

S.M. STIRLING

# STAL

DAVID DRAKE

**GENERAL**  
Księga IV

# **S.M. Stirling David Drake**

**STAL**

*The Steel*

**Tłumaczenie: Marta Koniarek**

**GENERAL -KSIĘGA IV**

# Rozdział pierwszy

Thom Poplanich unosił się poprzez nieskończoność. Jednolity blok eksplodował ku zewnątrz, a on *poczuł* skręcanie się czasoprzestrzeni we wrzasku jej narodzin...

*Sądzę, że teraz to rozumiem, pomyślał.*

>>Doskonale<< powiedziało Centrum. >>Powrócimy do analizy społeczno-historycznej: temat – upadek ludzkiej federacji.<<

Znajdował się tu w dole, w sanktuarium strefowej jednostki dowódczo-kontrolnej AZ12b14-c000 Mk.XIV już od lat. Jego ciało trwało w zawieszeniu, zaś umysł powiązany był ze starożytnym komputerem bojowym na poziomach o wiele bardziej różnorodnych niż bezgłośnie połączenie komunikacyjne. Nie potrzebował już przyglądać się wydarzeniom w kolejności...

Obrazy przewijały mu się w głowie. Ziemia. Prawdziwa Ziemia *Książeczek Kanonicznych*, a nie świat Bellevue. A jednak nie był to doskonały dom pólanołów, o którym mówili księża, lecz świat ludzi. Narody powstawały i walczyły ze sobą, imperia rosły i upadały. Ludzie uczyli się, gdy cykle zwyżkowały, potem zaś zapominali, a odziane w skóry dzikusy zamieszkiwały ruiny miast, pałac książki, by uzyskać zimną ciepło. Wreszcie jeden cykl wystrzelił wyżej ku niebu niż kiedykolwiek przedtem. Na małej wysepce na północny zachód od głównego kontynentu budowano silniki. Z początku je rozpoznawał: szczękające silniki napędzające fabryki-tkalnie, ciągnące ładunki po żelaznych szynach, użyczające mocy statkom. Maszyny robiły się coraz większe, dziwniejsze. Uleciały w powietrze, a pod nimi płonęły miasta. Rozprzestrzeniły się z jednego ładu na drugi, a wreszcie wystrzeliły w kosmos.

Unosiła się przed nim Ziemia, biało-niebieska, jak obrazy Bellevue, które pokazywało mu Centrum – biało-niebieska jak wszystkie światy mogące żywić nasienie Ziemi. Ostateczna wojna porała kulę pod nim płomieniami, punkcikami ognia, jednym ciosem pochłaniającymi całe miasta. Bezgłośnie, purpurowe i pomarańczowe kule rozkwiły w pozbawionym powietrza kosmosie.

>>Ostatnia dżihad<< powiedział głos Centrum. >>Obserwuj.<<

Ukazała się rozległa konstrukcja, ogromny szkielet koło tubokształtnych statków i maleńkich niczym kropeczki ludzi w skafandrach.

>>Przestrzenna Sieć Przesiedleńcza Tanaki. Pierwszy model.<< Płynęły przez nią energie, skręcające ją w wymiary dające się opisać tylko przy pomocy matematyki, jakiej on jeszcze nie opanował. Statki zniknęły i ukazały się ponownie daleko stamtąd... tutaj, w systemie Bellevue. Koloniści, pierwsi ludzie, którzy postawili stopę w tym świecie. Wylądowali i podnieśli zielony sztandar islamu.

>>Jeszcze bardziej niż dżihad, sieć uczyniła koniecznym istnienie ludzkiej federacji<< powiedziało Centrum. Imperium, które powstało, tym razem rozprzestrzeniło się, aż objęło całą Ziemię i dokonało skoku ku pobliskim gwiazdom. Wiek później jego przedstawiciele wylądowali na odległej Bellevue, ku sporemu niezadowoleniu potomków uciekinierów. >>I sieć stała się przyczyną jego upadku. Ekspansja postępowała szybciej niż integracja.<< Nastąpiły długie łańcuchy wzorów. >>Gdy osiągnięto punkt szczytowy, entropiczny rozkład przyspieszył wykładnikowo.<<

*Im wyżej się wznosili, tym boleśniesz był upadek, pomyślał Thom.*

>>To prawda.<< W beznamiętnym, mechanicznym głosie Centrum pojawił się lekki ton zaskoczenia.

Jeszcze więcej obrazów. Wojna przebłyskująca pomiędzy gwiazdami, bunt, secesja. Sieć Bellevue po rozbłysku zmieniona w plazmę. Pozostałości jednostek Federacji ulegające zdzczeniu, po tym jak zostały tutaj odcięte, przywodzące cywilizację ku upadkowi, nurzając ją w termonuklearnym ogniu. Postępujący szybko rozkład, prowadzący na większości obszarów do barbarzyństwa; żałosne pozostałości starożytnej wiedzy przechowywane w Rządzie Cywilnym i Kolonii podlegające degeneracji i stające się zabobonem. Teraz minęło ponad tysiąc lat i odczuwało się nieśmiałe poruszenie odrodzenia.

>>Cykle wewnątrz cykli<< powiedziało Centrum. >>Ogólny trend wciąż zdąża ku maksymalnej entropii. Jeśli moja interwencja nie zdoła zmienić parametrów, minie piętnaście tysięcy lat aż do fazy wzrostowej następnego całkowitego okresu historycznego.<<

Obraz dziwacznie znajomy, bowiem widział go na własne oczy i przy pomocy zmysłów Centrum. Dwóch młodych mężczyzn badających starożytne katakumby pod pałacem gubernatora we Wschodniej Rezydencji. Nietypowi przyjaciele: Thom Poplanich, wnuk ostatniego gubernatora Poplanicha. Młodzieniec drobnej budowy w tweedowym ubraniu myśliwskim patrycjusza. Raj Whitehall, wysoki, z nadgarstkami i ramionami szermierza. Strażnik panującego Barholma Cleretta, pochodzący tak jak i on sam z odległego hrabstwa Descott, będącego źródłem najlepszych żołnierzy Rządu Cywilnego. Jeszcze raz zobaczył, jak odkryli kości przed wejściem do wnętrza, kości tych, których Centrum odrzuciło jako swe narzędzia w świecie.

*Raj to uczyni, pomyślał Thom. Jeśli jakiś człowiek może zjednoczyćświat, to jest to on.*

>>Jeśli jakiś człowiek może<< zgodziło się Centrum. >>Prawdopodobieństwo powodzenia wynosi mniej niż 45% plus minus 3,

nawet z moją pomocą.<<

*Już pokonał Kolonię.* Bitwa pod Sandorałem była największym zwycięstwem Rządu Cywilnego odniesionym od pokoleń. *Zniszczył Eskadrę.* Eskadra i jej admirałowie utrzymywali Południowe Terytoria od ponad wieku – był to jeden z Rządów Wojskowych, który jako ostatni przybył z barbarzyńskiego Obszaru Bazy. *I pokonuje Brygadę.* 591 Prowincjonalna Brygada była najsilniejszą z barbarzyńców, utrzymywała Starą Rezydencję, pierwotną siedzibę Rządu Cywilnego na zachodnim skraju Morza Śródświatowego.

>>Do tej pory<< przyznało Centrum >>zajął Półwysep Korony i Miasto Lwa. Pozostały trudniejsze bitwy. <<

Ludzie idą za Rajem, rzekł cicho Thom. I nie tylko to. On sprawia, iż robią rzeczy wykraczające poza nich samych. Przerwał. Tak naprawdę, to martwi mnie Barholm Clerett. Nie zasługuje, aby służył mu taki człowiek jak Raj! A ten jego bratanek, którego posłał na tę kampanię, jest jeszcze gorszy.

>>Cabot Clerett jest bardziej zdolny niż jego stryj i jest mniejszym niewolnikiem swej obsesji<< zauważyło Centrum.

*I to mnie martwi.*

## Rozdział drugi

Kawaleria śpiewała jadąc. Dźwięk ten wznosił się rykiem ponad dudnieniem łap rozlicznych psów do jazdy, skrzypieniem uprzęży i piskiem nie naoliwionych kół karawany bagażowej.

*My, Descottczycy, włochate mamy uszy,*

*I gaci nie nosimy,*

*Każdy z nas fiutem łatwo skały kruszy,*

*My twarde skurwysyny!*

– Mam nadzieję, że będą tacy radośni za miesiąc – powiedział Raj Whitehall, spoglądając w dół na mapę rozpostartą na łąku siodła. Jego pies Horace przestąpił pod nim z nogi na nogę, skamłąc z niecierpliwości, aby pogalopować w rześkim, jesiennym powietrzu. Raj pogłaskał go po szyi dłonią w rękawicy.

Dowódcy zgromadzili się na pagórku dającym rozległy widok na szeroką dolinę rzeczną poniżej. Chrapliwy męski chór kawalerzystów unosił się znad pól. Korpus Ekspedycyjny wił się przez niskie falujące wzgórza, posuwając się ku zachodowi. Wozy i działa po drodze, piechota w kolumnach batalionów po obu stronach, a pięć batalionów kawalerii na flankach. Unosiło się bardzo niewiele kurzu; wczoraj spadł deszcz; wystarczająco, by ubić ziemię. Piechota posuwała się sprawnie, z karabinami przerzuconymi przez prawe ramię i zwiniętymi kocami zarzuconymi na lewe. W środku konwoju rozciągała się pstra mieszanina ciur obozowych, jedyny element chaosu w wyćwiczonej regularności kolumny, ale oni także nadążali. Powietrze było łagodne, lecz rześkie – doskonała pogoda do pracy na dworze; liście dębów i klonów, pokrywających wyższe wzgórza, nabrały złotych i szkarłatnych odcieni przypominających rodzimą roślinność.

Żołnierze wyglądali teraz jak weterani. Nawet ci, którzy nie walczyli z nim przed tą kampanią. Nawet dawni Eskadrowcy, wojskowi jeńcy wcieleni do sił Rządu Cywilnego po podboju Południowych Terytoriów w zeszłym roku. Ich mundury były brudne i podarte. Zarówno błękit ich frakowych kurtek, jak i ciemne bordo workowatych spodni nabrały koloru gleby, ale broń była czysta, zaś ludzie gotowi do walki... a tylko to się naprawdę liczyło.

– Wygląda na to, że dzisiaj wieczorem będzie znowu padało – powiedział Ehwardo Poplanich, zasłaniając oczy przed słońcem i spoglądając ku północy. – Czy w tym cholernym kraju kiedyś *nie* pada?

Towarzysze także byli teraz weteranami, jego wewnętrznym kręgiem dowódców. Jak broń, której rękojeść jest wysłużona, przystosowana do dłoni sięgającej do niej w ciemności. Ehwardo był obecnie kimś więcej niż tylko wnukiem gubernatora.

– Tylko w środku lata – odparł Jorg Menyez. – Przypomina mi nieco rodzinne strony – część hrabstwa Kelden jest bardzo podobna do tego, i rejon rzeki Diva na północnozachodnim pograniczu.

Kichnął. Specjalista od piechoty miał alergię na psy, dlatego też używał wykastrowanego samca i dlatego od początku wybrał karierę wojskową wśród pogardzanych piechurów, pomimo wysokiej rangi i ogromnego bogactwa. Teraz wierzył w nich z żarem nowo nawróconego, a oni zarazili się

jego wiarą i sami uwierzyli w siebie.

– Gospodarstwa dobrze wyglądają – rzekł Gerrin Staenbridge, wgrzyzając się w jabłko. – Jak rany, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby położyćłapy na części tych wiejskich terenów.

*I Gerrin też przebył daleką drogę.* Dowodził 5 z Descott, zanim Raj ich przejął. Wtedy nuda garnizonowych obowiązków sprawiała, iż nie miał się czym zajmować, oprócz grzebania w rachunkach batalionu i oddawaniu się swym hobby – szabli, operze i przystojnym młodzieniaszkom.

Wokół było wiele sadów. Jabłonie, śliwy i wiśnie oraz winnice pięły się wysoko na palikach lub gałęziach niskich drzew morwowych. Pszenica i kukurydza zostały ścięte i zwiezione. Pszenica znajdowała się w pokrytych słomą stogach na podwórzach gospodarstw, a kolby kukurydzy w długich, prostokątnych skrzyniach. Ciemnobrązowa ziemia falowała w bruzdach za ciągniętymi przez woły pługami, gdy przygotowywano pola pod oziminy. Niewielu robotników uciekało, nawet gdy armia przechodziła w pobliżu. Rozeszły się wieści, że najeźdźcy ze wschodu pustoszyli tylko te miejsca, gdzie napotkali opór... a ziemię trzeba obrabiać, w przeciwnym razie w przyszłym roku wszyscy będą głodować. Pastwiska były zieleńsze, niż przywykła do tego większość ludzi ze wschodu, trawa sięgała do pęcin pasącego się bydła. Tu i ówdzie stały chałupy o drewnianych zrębach, zwykle wtulone w zagajniki, a od czasu do czasu widoczna była wioska rozrzucona wokół skrzyżowania dróg albo osada wyrobników koło masywnego, kamiennego dworu.

Wiele dworów było pustych. Pozostali właściciele byli w przeważającej części cywilami, chętnymi przysiąc wierność Rządowi Cywilnemu. Tu i ówdzie stał spalony i pusty dwór. Nieprzemyślany opór albo zemsta wieśniaków na uciekających panach. Niektórzy wyrobnicy zostawiali swoje pługi i gapili się na wielką, uporządkowaną masę przechodzącego wojska Rządu Cywilnego z łopoczącym na przedzie Rozbłyskiem Gwiazd. Minęło ponad pięćset lat, odkąd ten święty sztandar powiewał na tych ziemiach. Raj pomyślał z ironią, że tubylcy pewnie myśleli, iż marszowa piosenka 7 Zwiadowczego z Descott była hymnem, często bowiem dotykali amuletów i klękali.

*Rźniemy dziewczki przez ubranie,*

*Szczegóły wszelkie mamy w dupie,*

*Wieszamy jaja na parkanie*

*I każdy z nas w nie z flinty łupie.*

–

Jak na mój gust za blisko do Oddanych – rzekł Kaltin Gruder. Jego dłoń gładziła blizny na twarzy, spuściznę po wybuchu pocisku artyleryjskiego Kolonistów, który zabił jego młodszego brata. – A przy okazji, jakieś wieści o tamtejszych garnizonach Brygadowców?

–

Ministerstwo ds. barbarzyńców w tej sprawie się postarało – powiedział Raj, wciąż nie podnosząc wzroku znad mapy. – Oddani najeżdżają granicę, jak im za to zapłaciliśmy, i została tam większość regularnego wojska nieprzyjaciela. Reszta wycofuje się na południowy zachód, ku rzece Padan, skąd mogą popłynąć barkami w górę rzeki do Koszar Carson. Przekupywanie jednych barbarzyńców, żeby atakowali drugich, od pokoleń stanowiło



specjalność Rządu Cywilnego. Było to tańsze niż wojny, choć istniały również niebezpieczeństwa. Brygada przybyła na południe dawno temu, lecz Oddani pojawili się z Obszaru Bazy zaledwie kilka pokoleń temu. Zaciekli, zdradzieccy, liczni, wciąż będący poganami – nie wyznawali nawet heretyckiego kultu tej Ziemi.

–

Dobra – stwierdził Raj, zwijając mapę. – Będziemy się posuwać w tej linii natarcia aż do rzeki Chubut – posłużył się mapą, aby wskazać na zachód – przy Lis Plumhas. M’Brust donosi, że otworzyło swoje bramy przed 1 Kirasjerów. Ehwardo, chcę, abys połączył się tam z nim z dwiema bateriami – wysforuj się przed kolumnę – i przejął dowództwo. Przekrocz rzekę i udawaj, że posuwasz się ku Padan przy Empirhado. To dobry, logiczny ruch i pewnie

się na niego nabiorą. Dopuszczaj do walki wedle własnego uznania, ale tak czy owak nas osłaniaj.

Padan osuszała większość środkowej części Zachodnich Terytoriów, wypływała z południowych podnóży gór Sangrah Dill Ispirito i płynęła na północny wschód wzdłuż tego łańcucha, a potem na zachód i południowy zachód okrążając najbardziej na północ wysunięte krańce. Empirhado było ważnym portem rzeczny i zajęcie go odcięłoby północ od stolicy Brygady w Koszarach Carson.

–

A tak naprawdę – ciągnął Raj – my znowu skręcimy na południowy wschód, okrążając Zeronique w górze Zatoki Rezydencyjnej i napadniemy prosto na Starą Rezydencję. Chcę, aby oni przyszli do nas, a w końcu będą musieli o nią walczyć – to *jest* starożytna stolica Rządu Cywilnego. A jednocześnie jest ona dostępna od morza rzeką Blankho, mamy więc bezpieczną drogę komunikowania się z Miastem Lwa. Strategiczna ofensywa, taktyczna obrona.

Wszyscy skinęli głowami, niektórzy robili notatki. Miasto Lwa stanowiło *bardzo* bezpieczną bazę. Rządzący nim syndycy próbowali stawiać opór wojsku Rządu Cywilnego, lękając się odwetu Brygady i ufając swym murom miejskim. Raj znalazł pod nimi starożytne przejście sprzed Upadku i poprowadził grupę mającą otworzyć bramę od środka. Po plądrowaniu, syndycy, którzy doradzali opór, zostali rozerwani na kawałki – całkiem dosłownie – przez rozwścieczonych zwykłych ludzi z miasta. Jediną nadzieją gminu było teraz zwycięstwo Rządu Cywilnego. Gdyby powróciła Brygada, to wyrznęłaby każdego mężczyznę, kobietę i dziecko za zdradę generała... i za zamordowanie wyższych stanem.

–

Tymczasem zamierzam zatrzymać pięć batalionów kawalerii z główną kolumną i posłać resztę was z podjazdami. Zbierzcie zapasy, oswobodźcie miasteczka i przy okazji zniszczcie ich fortyfikacje obronne – nie chcemy, żeby Brygadowcy znowu je okupowali na naszych tyłach. Bądźcie czujni, messerowie, wkrótce napotkamy pewnie większy opór. Przygotowałem listę celów o znaczeniu wojskowym. Grammeck?

– Nie podobają mi się te drogi – rzekł artylerzysta-inżynier.

Jak większość pracujących w tych służbach, Grammeck Dinnalsyn był człowiekiem miastowym, ze Wschodniej Rezydencji. W przeciwieństwie do większości szlachty wojskowej, Raj Whitehall

nigdy nie wahał się przed posłużeniem się umiejętnościami technicznymi wiążącymi się z tym wykształceniem.

– Te drogi to po prostu niwelowana ziemia, i to gliniasta. Więcej deszczu i zmieniają się w żupę.

Raj ponownie skinął głową. – Tym niemniej, zamierzam robić codziennie przynajmniej dwadzieścia kilometrów, minimum.

Jorg Menyez wzruszył ramionami. – Moi chłopcy będą tyle maszerować – powiedział i kichnął, odsuwając się nieco na bok, aby znaleźć się pod wiatr od psów. – Jestem zaskoczony, że jeszcze żeśmy nie napotkali większego oporu – dodał. – Znacznie przekroczyliśmy strefę, którą najechał major Clerett.

Raj się uśmiechnął. – Mały dactosauroid przyleciał i poszeptał mi do ucha – powiedział – w osobie szacownego Rehvidaro Boyeza, który był jednym z negocjatorów ministerstwa w Koszarach Carson i wy dostał się dzięki przekupstwu, że Brygada zwołała tam naradę wojenną.

Ostry śmiech dobiegł z kręgu towarzyszy. W skład rady wojennej wchodziłi wszyscy dorośli mężczyźni Brygady, podejmujący decyzje w sprawach wielkiej wagi państwowej na ogromnych zgromadzeniach w Koszarach Carson, stolicy Brygady wybudowanej na bagnach. A właściwie, dla ścisłości, to ogromnie długo debatowali nad tymi sprawami. Dla ludzi przyzwyczajonych do prawie boskiej autokracji Rządu Cywilnego, stanowiło to niewyczerpane źródło rozbawienia.

–

Nie, nie – właściwie to dobre posunięcie. Muszą podjąć decyzję dotyczącą przywództwa, zanim będą mogli coś *zrobić*. Filip Forker z pewnością nie zrobi nic. – Forker był uczonym o umiarkowanym temperamencie, bardzo nietypowym jak na awanturniczą szlachtę-wojowników Brygady. Był on także defetystą, potajemnie porozumiewającym się z Rządem Cywilnym.

–

Zatem muszą się go pozbyć i wybrać na generała wojownika. Oczywiście zostawili to na ostatnią chwilę.

Żołnierze poniżej wyryczeli ostatnią zwrotkę swojej marszowej piosenki.

*Owcę się czasem wychędoży*

*I wciągnie gdzieś w maliny*

*I nic jak baran się podłoży*

*My twarde skurwysyny!*

–

Ruszajmy się, panowie. Spodziewam się nieco gorącego przyjęcia po drodze do Starej Rezydencji.

\* \* \*

–

Ukłony dla kapitana Suhareza i niech kompania C zwróci się w lewo, w tej linii – rzekł

Gerrin Staenbridge. Naszkicował coś szybko w swoim notatniku, wyrwał stronę i wręczył posłańcowi na psie. Mężczyzna wsadził ją pod kurtkę, chroniąc rysunek przed padającą mżawką.

Gerrin uniósł lornetkę. Groty lanc kirasjerów Brygady były wyraźnie widoczne za granią, w odległości czterech tysięcy metrów na zachód. Sądząc po tym, jak proporce trzepotały ku tyłowi, posuwali się z wawo. Rozciągnięcie linii frontu stanowiło pewne ryzyko, lecz ogień pozostałych kompanii powinien ją pokryć. Lepiej zatrzymać wysunięty ruch okrążający, niż po prostu nie ruszać się z miejsca.

– I jedno działo – dodał.

Posłaniec pognał i zagrała trąbka. Ludzie posuwali się drogą w zagłębieniu ku linii frontu, gdzie zwracał się ku północy główny szereg dwóch batalionów. Kompania odczołgała się i stanęła, a potem szybko ruszyła na zachód w czwórkowej kolumnie. Woda tryskała im spod butów i chlupała spod działa podążającego za nimi, a toczące je psy dyszały i ślizgały się na mokrej ziemi i żółtych liściach, znikając z widoku, by odpowiedzieć na okrążający atak nieprzyjaciela. Pozostali ludzie ruszyli na zachód, aby zająć puste miejsce, rozciągając szereg w odpowiedzi na wykrzykiwane rozkazy.

Łapy pułkownikowego psa też chlupały, gdy ten jechał drogą. Droga miała zaledwie dziewięć metrów szerokości; zryte koleinami błoto otoczone po obu stronach przez wysokie klony i drzewa biczyskowe. Na północ za nimi znajdował się szeroki kawałek ścierniska po zżętej pszenicy, z lucerną prześwitującą zielenią pomiędzy wypłowiałym złotem słomy. Dalej znajdował się sad i Brygadowcy, ci, których ciałami nie było usiane pole po pierwszym przegrany natarciu.

– Dobra, chłopaki – zawołał Staenbridge, pogalopowawszy ku środkowi szeregu, gdzie obok głównej baterii łopotwały razem sztandary 5 z Descott i 1 Straży Życia z Rezydencji. – Trzymać te cudne tyłeczki przy ziemi i wybrać cele.

Mężczyźni leżeli lub klęczeli za wysoką na metr granią, stanowiącą północny skraj znajdującej się poniżej drogi. Drzewa i pozostałości płotu dawały jeszcze lepszą osłonę.

Skrzynie z mosiężnymi ładunkami leżały rozsiane wokół, a utrzymujący się smród siarki przebijał przez zapach mokrej ziemi i zgniłych liści. Większość ludzi miała na grzbietach szare płaszcze; Miasto Lwa miało ich pełne magazyny, utkanych z surowej wełny wciąż zawierającej lanolinę, będących prawie wodoszczelnymi. Staenbridge przemyślnie postawił strażę przed magazynami, gdy miasto upadło, i zabrał dosyć dla swoich ludzi oraz trochę dodatkowych. Kropelki deszczu, spływając, połyskiwały na wełnie, gdy ludzie nastavili celowniki i przeładowali. Szczęknął, otwierając się zamek działa, a załoga pchnęła je ku przodowi, aż lufa wystawała na równi z lufami broni strzelców.

Zatrzymał się koło sztandaru. – Kapitanie Harritch – powiedział – przesun jazgoczące działko na lewy koniec szeregu, jeśli łaska.

Dowódca dwóch baterii krzyknął, załoga pociągnęła za sznury i lekka broń zeskoczyła z prowadnicy. Nie trzeba było zaprzęgać psów do tego niewielkiego ruchu, lecz one podążyły posłusznie, ciągnąc keson z rezerwową amunicją.

– Moglibyśmy umieścić kompanię na psach za lewą i kontratakować, gdy te sparzone homary zostaną powstrzymane – podrzucił Cabot Clerett.

Była to odpowiedź jak z podręcznika, lecz Staenbridge potrząsnął głową. – Walka na miecze z barbarzyńcami – powiedział – jest jak walka ze świnią, gdy stajesz na czworaka i gryziesz ją. Wolę utrzymywać karabiny na naszej linii ognia. Zobaczymy, czy znowu zaatakują.

– Ci zamierzają – rzucił beznamiętnie Barton Foley.

Oficer obierał jabłko zaostrzoną, wewnętrzną krawędzią swego haka. Teraz odciął kawałek i podał go. Staenbridge wziął, ignorując zduszoną niecierpliwość Cabota Cleretta. Jabłko było bardziej cierpkie niż owoce, do których przywykł. Pomyślał, że to pewnie przez tutejsze dłuższe zimy.

Cabot Clerett prawdopodobnie czuł urazę, iż Barton Foley rozpoczął swą karierę wojskową jako protegowany – a właściwie kochanek – Staenbridge’a. Jednakże bitwy, które zabrały młodzieńcowi lewą dłoń, i dowództwa, jakie od tego czasu objął, czyniły z niego kogoś znaczniejszego.

– Popatrz na prawo, majorze Cleretcie – rzekł Gerrin. — Tam też mogą czegoś spróbować.

Długie szeregi żołnierzy w hełmach i szaro-czarnych mundurach wysuwały się z sadu trzy tysiące metrów przed nimi. Zwarte szeregi, bloki szerokie z przodu na pięćdziesięciu ludzi i głębokie na trzech, a potem luka przez kilka minut i kolejna fala, ci jednak w kolumnach kompaniami.

– Dwa tysiące w pierwszej fali – powiedział. – Tysiąc w kolumnie z tyłu. Razem trzy tysiące.

Plus ich rezerwa – zauważył Foley, popatrując na linię drzew.  
Clerett parsknął. – Jeśli barbarzyńcy jakąś mają – powiedział.

– Och, sądzę, że ci tak... to jest dziedziczny nadpułkownik Eisaku i...

...dziedziczny major Gutfreed – dokończył Foley. – Trzydzieści pięć do czterdziestu pięciu setek wszystkiego, domowych żołnierzy oraz wojskowych wasali.

Z prawej dowódca baterii wykrzyczał rozkaz. Ładowacz dział wepchnął żelazne, dwuzębne narzędzie w czub pocisku i przekręcił, przystosowując zapalnik do podanej odległości. Wewnątrz ładunku wybuchowego obróciła się perforowana mosiężna tuba, znajdująca się wewnątrz litej tuby, odsłaniając odpowiedni odcinek prochowego lontu obudowanego brzożowym drewnem. Kolejny mężczyzna posługiwał się dźwignią opuszczającą klinową blokadę i odsuwającą na bok trzon zamkowy, otwierając komorę, aby ładowacz mógł wsunąć pocisk na miejsce. Błoczki zaklekotały po linii, pięciokrotnie. Kanonier przyczepił sznur do odpalania do spustu i odsunął się na bok. Reszta załogi odskoczyła z drogi odrzutu, już przygotowując się do powtórzenia cyklu, ruchami o lepszej choreografii niż u większości tancerzy. Dowódca baterii machnął szablą w dół.

*POUMPF. POUMPF. POUMPF. POUMPF. POUMPF* . Pięć wybuchów prochowego dymu i czerwony blask, a działa odskoczyły do tyłu na drodze, rozbryzgując błotnistą wodę na obie strony.

Załogi naparły na wielkie koła, aby wepchnąć je z powrotem w baterię, a ładowacze wyciągali nowe pociski z wieszadeł kesonów.

Trzask pocisków wybuchających nad nieprzyjaciółmi nastąpił niemal natychmiast. Ludzie ginęli, ścinani od góry. Staenbridge skrzywił się nieco ze współczuciem – szrapnel nad głową to był koszmar każdego żołnierza, coś, na co nie było odpowiedzi. Brygadowcy natarli, nabierając rozpędu, lecz utrzymując równy szyk. Kolumny podążające za żołnierzami, ustawione w szeregu, skręcały ku jego lewej. Skinął głową; potwierdzenie zamiarów dowódcy przeciwnika. Było to spotkanie umysłów, równie intymne co pojedynki na szable lub taniec. Znajdowali się teraz bliżej. Pokonanie tysiąca metrów klusem nie zajęło dużo czasu. Tysiąc sekund, mniej niż dziesięć minut. Dragoni Brygady nałożyli bagnety i mokra stał załśniła słabo pod pochmurnym niebem. Ich buty wzbijały grudki ciemnobrązowej ziemi, wyorując dziury w cienkiej pokrywie ścierniska.

*POUMPF. POUMPF. POUMPF. POUMPF. POUMPF.* Jeszcze więcej wybuchów w powietrzu i jeden wadliwy zapalnik, który zarył w ziemię i wyrzucił mały wulkan błota, gdy zaskoczył zapasowy zapalnik uderzeniowy.

*Nie tak jak Eskadrowcy,* pomyślał Staenbridge. Barbarzyńcy z Południowych Terytoriów zbijali się w stłoczoną masę, stanowiąc doskonały cel. Ci Brygadowcy byli o wiele lepsi.

*POUMPF. POUMPF. POUMPF. POUMPF. POUMPF.* Dym prochowy unosił się nad linią ognia, nisko nad ziemią, przypominając mgłę w mżawce.

*Przynajmniej Południowe Terytoria były suche,* pomyślał. W hrabstwie Descott bywało w środku zimy chłodniej niż tu, lecz klimat był częściowo suchy.

–

Oceniam to na tysiąc sto metrów – powiedział Foley. Zbliżali się do zasięgu lekkiej broni.

–

*Przygotować się* – zawołał Staenbridge. Oficerowie i podoficerowie przeszli wzdłuż linii ognia, sprawdzając, czy ustawiono celowniki. – Zastanawiam się, jak radzi sobie lewa flank.

\* \* \*

– Załadowałeś te z twardymi czubkami? – syknął porucznik Robbi M'Telgez.

Strzelec, do którego się zwrócił, przełknął nerwowo ślinę. – Tak se myślę, ‘ruczniku – powiedział, oglądając się przez ramię na podoficera.

Kompania C klęczała na polu kukurydzy; dopiero co wrócili ze szczytu wzniesienia. Kukurydza nigdy nie została zebrana, lecz wypuszczono w nią bydło i świny. Większość łodyg była połamana, a nie wyrwana; wilgotne i zbrązowiałe od zgnilizny i deszczu stanowiły sięgającą pasa płataninę falujących rzędów na grudowatym polu. Przed szeregiem żołnierzy znajdował się dowódca kompanii. On także przypadł na jedno kolano, wraz z sygnalistami i chorążym trzymającym poziomo w stosunku do ziemi zwinięty proporzec jednostki. Działko polowe i jego załoga znajdowali się nieco bardziej z tyłu.

– Ruszaj dźwignią – powiedział M'Telgez.

Nieszczęsny żołnierz wsadził kciuk w zaczep za uchwytem swego karabinu i pchnął dźwignię ostro w dół. Mechanizm szczęknął i wyrzucił pocisk prosto do tyłu, gdy zamek poleciał w dół i nieco w tył. Podoficer pochwycił pocisk w powietrzu prawą dłonią, tak szybko i pewnie jak pstrąg łapiący muchę. W spiczastym czubku ołowianej kuli wydrążono dziurę.

– Ty bezmózgi chłopku, rekrucie-jołopie! – powiedział kapral. – Dlaczego żeś nie jest w pieprzonej *piechocie*? Chcesz, coby wsadzili ci w dupę jednego z tych świnió-dźgaczy? – Wydrążone ładunki często nie przebijały zbroi ciężkiej kawalerii Brygady.

Zdzielił mężczyznę przez łeb, pod hełmem. – Ładuj!

Młodszy mężczyzna skinął głową i sięgnął do tyłu do swego bandoletu; znajdował się on na szerokim parcianym pasie podtrzymującym frakowatą mundurową kurtkę, zaraz za prawą kością biodrową. Zakrywająca klapa była podpięta z tyłu, odsłaniając ułożone zygzakowato rzędy ładunków w płóciennych pętłach – zewnętrzna rama pojemnika zrobiona była ze sztywnej skóry sauroida wygotowanej w wosku, lecz mosiądz koroduje w zetknięciu ze skórą. Tym razem ołowiany pocisk, jaki wsunął kciukiem w wyżłobienie zamku karabinu, miał gładki, spiczasty, mosiężny czubek. Była to amunicja do polowania na wielkie, gruboskórne sauroidy, lecz równie dobrze nadająca się do zbroi.

– Użyj mózgu, a oszczędzisz swój tyłek – ciągnął jużłagodnie kapral.

Podoficer zajął z powrotem swoje miejsce w szeregu, przyglądając się porucznikowi plutonu i dowódcy kompanii. Porucznik był nowy od czasu wyspy Stern, ale wyglądało na to, że znał się na rzeczy. Przynajmniej sierżant plutonu też tak myślał. Obydwaj zachowali się tak samo jak wszyscy inni w tym popieprzeniu w tunelu. M'Telgez uśmiechnął się, a młodszy żołnierz, który oglądał się na niego, żeby zadać pytanie, przełknął znowu ślinę i spojrzął do przodu, przekonany, że nic, co tam zobaczy, nie będzie bardziej przerażające niż twarz dowódcy sekcji. M'Telgez myślał o tym, co zrobi, jeśli – kiedy – odkryje, kto spowodował odwrót w popłochu w ciasnych ciemnościach tunelu rury. Nie mógł nic zrobić, *nikt* nie mógł nic zrobić, gdy się rozpoczął. Tylko się wycofać albo dać się stratować na miazgę i zadusić, gdy rura całkiem zatkałaby się ciałami.

Zamiast 5 z Descott poszedł 2 Kirasjerów – wrywni eskadrowscy barbarzyńcy. Z messerem Rajem. Plama na honorze Piątego została zmaszana przez ich zakończone powodzeniem krwawe natarcie na bramę później tej samej nocy... ale M'Telgez zamierzał odkryć, kto pierwszy zrobił tę plamę. Piąty był z messerem Rajem od czasu jego pierwszej kampanii i nigdy nie uciekali przed wrogiem.

Kanonierzy toczyli swą broń do przodu, pokonując ostatnich kilka metrów na szczyt niewielkiego wzniesienia; dwóch mężczyzn przy każdym kole i trzeci trzymający ogon łoża.

– *Na rozkaz* – powiedział porucznik, przyglądając się kapitanowi. Zabrzmiała trąbka, pięć wznoszących się tonów i jeden opadający.

–

Kompania...

–

Pluton...

## *Naprzód!*

Stu dwudziestu ludzi wstało i zrobiło trzy kroki do przodu. Porucznicy się zatrzymali, z ramionami i szablami wyciągniętymi w bok jak sztaba teowa, żeby nadać swoim jednostkom linię.

Dla Brygadowców pojawili się ponad szczytem nagiej ziemi zniecka, jak pajacyk wyskakujący z pudełka.

Pięćset metrów przed nimi znajdowała się jakaś jedna czwarta kolumny Brygadowców, wspinająca się po lekkim wzniesieniu. Jechali w kolumnie szerokiej na sześciu ludzi. Spodiewając się wkrótce walki, wyjęli trzymetrowe lance z nosideł i oparli końce na palcach prawych stóp. Psy, na których jechali, były nowofunlandami o szerokich łapach: włochatymi, masywnymi i czarnymi, a każdy ważył do tysiąca czterystu funtów. Potrzebowały potężnego cielska i kości, aby nosić ludzi ubranych w napierśniki i napleczniki, ochraniacze udowe i naramienniki ze stali, a także miecze, lance, broń palną i hełmy. Ich zadaniem była zwykle szarża prosto na masy Oddanych już posiekane na kawałeczki przez karabinowy ogień towarzyszących im dragonów. Czasami dzicy piechurzy przyjmowali szarżę i pochłaniali ją, jak rój śmiercionośnych pszczół zbyt licznych, aby lansjerzy mogli się przed nimi opędzić. Częściej jednak kawaleria rozpraszała Oddanych, polując na uciekinierów i wybijając ich... dopóki lansjerzy posuwali się but w but bez najmniejszego wahania.

Był to styl walki, który przestał się sprawdzać we wschodniej części niecki Morza Śródświatowego dwa wieki temu, gdy broń odtylcowa weszła do powszechnego użytku. Brygadowcy mieli się właśnie nauczyć dlaczego.

Oczywiście, jako że kirasjerów było prawie tysiąc, żołnierze Rządu Cywilnego mogli także nie przeżyć tej lekcji.

*POUMPF.*

Działko polowe zostało odrzucone przez długi pióropusz dymu. Pierwszy pocisk wybuchł na wysokości głowy, tuzin jardów przed kolumną; szczęśliwy przypadek, jako że zapalniki czasowe nie były na tyle wrażliwe, aby tak dokładnie je nastawić. Był to kartacz – cienka skorupa wypełniona ołowianymi kulkami z małym ładunkiem wybuchowym z tyłu. Ładunek ściągnął korpus pocisku i rozrzucił kulki, a sama tylko prędkość pocisku uczyniła je śmiercionośnymi. Pierwsze trzy szeregi lansjerów padły w zamieszaniu pełnym wycia i kopniaków. Dowódca regimentu kirasjerów stał w strzemiach, unosząc trójkątną, trzyczęściową przyłbicę swego hełmu, aby zobaczyć, co wyskoczyło, zagradzając drogę jego podwładnym. Trzy ważące pół uncji kule oderwały mu głowę od torsu i odrzuciły ciało do tyłu przez łęk siodła.

Dalej za nim kulki przeleciały nad głowami tych z tyłu kolumny, chronionych przez zagłębienie na polu, po którym jechali. Pociski uderzyły w uniesione lance, drzewce przednich szeregów i długie na stopę grotty tych znajdujących się bardziej z tyłu i niżej. Dźwięk był jakby ktoś przeciągnął żelaznym prętem po największym sztachetowym płocie we wszechświecie. Uderzenia wytrącały lance z rąk w tuzinie szeregów albo łamały je niczym tulipany w cieplarni. Ludzie krzyczeli ze strachu i bólu, a psie szczekanie przypominało stłumiony grom.

Regiment kirasjerów był podzielony na dziesięć oddziałów, składających się z osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu ludzi, dowodzonych przez kapitana oddziału i podoficerów. Żaden z nich nie wiedział, co się działo na przedzie kolumny, lecz wszyscy oni byli szlachcicami Brygady pragnącymi zbliżyć się do wroga. Odpowiedzieli zgodnie ze swoim wyszkoleniem. Cała masa lansjerów zatrzymała się i każdy oddział skręcał w prawo lub w lewo, aby ustawić się w szeregu. Gdy Rząd Cywilny lub dragoni Kolonistów ustawiali się do szarży w ogniu strzałów, robili to w galopie, lecz Brygadownicy byli przyzwyczajeni do wojowników wyposażonych w strzelby i topory do miotania. Byli przyzwyczajeni do tego, że mieli dużo czasu do zgrabnego ustawienia się w szyku.

M'Telgez przyglądał się kątem oka szabli porucznika. Poleciała w prawo. Okręcił się lekko, biorąc ogólny kierunek z tej szabli tak, jak jego oddział brał od niego. Grupa lansjerów otworzyła się wokół strzępiastego proporca, niesionego obok mężczyzny mającego na sobie zbroję wykładaną srebrem i narzuconą na ramię lśniącą skórę jakiegoś sauroida, wydzielającego mieniący się metal w swoich łuskach. Kapral wybrał cel, lansjera obok dowódcy – nie było sensu dwa razy strzelać do tego samego człowieka, a *wiedział*, że ktoś nie oprze się tej wymyślnej zbroi. Tylna szczerbinka ustawiła się za zaostrzoną muszką, a on obniżył swój cel jeszcze kilka cali – sześćset metrów, a kula spadnie z tego łuku pod niezłym kątem.

– salwą pal...

Zrobił wydech i pozwolił palcowi wskazującemu zawinąć się lekko, przyciskając spust. Pas od karabinu miał dwukrotnie owinięty wokół lewej ręki, napięty, podczas gdy łożo spoczywało na kostkach dłoni. Mógł nie wiedzieć, kto skrewił w tunelu, ale przynajmniej zamierzał dzisiaj *kogoś* zabić.

– *Ognia!*

\* \* \*

Kule przelatywały nad głowami z nieprzyjemnym bzyczeniem. W szeregu oddalonym od grupy dowódczej żołnierz osunął się do tyłu, a jego hełm poleciał wirując i wylądował w błocie wraz ze zdjętym czubkiem głowy. Żołnierz w ustach trzymał jak papierosy dwa ładunki, z wysuniętymi w gotowości trzonkami; poleciały za hełmem, słaby błysk mosiądzu w deszczu.

Gerrin Staenbridge rozejrzał się do przodu i do tyłu po leżącej w zagłębieniu drodze. Sanitariusze – wojskowa służba – wlekli ludzi do tyłu, przykucając, niosąc tak, by nie wychylić się ponad wyższym, północnym skrajem drogi. Inni słudzy i żołnierze nosili do przodu pudła z amunicją, odrywając poluzowane wieka i rozdając naboje garściami żołnierzom na linii ognia. Przed nimi Brygadownicy znowu nacierali; jeden szereg biegł do przodu i krył się, podczas gdy drugi strzelał i stawał, aby załadować swoje toporne, ładowane przez lufę muszkiety. Sprawdził; tak, dowódcy kompanii i plutonów rozdzielali ogień tak, że obejmowali nim obie części i nie pozwalali ludziom marnować kul na leżące na ziemi cele.

—

Gorąco – rzucił znajdujący się obok Barton Foley. Zadał dosłowny kłam swoim słowom, potrząsając głową i rozpryskując zimny deszcz z hełmu i kolczugowego ochraniacza na szyję.

—



Cholera jasna – odparł Staenbridge, podnosząc nieco głos. – Walczysz na pustyni i chcesz deszczu. Walczysz w deszczu i chcesz słońca. Niektórym ludziom nigdy nie można dogodzić.

Zapalił dwa papierosy i podał jednego młodemu kapitanowi. Wiele nieprzyjacielskich muszkietów nie wypaliło; spłonki były odporne na deszcz, ale papierowe ładunki nie. Podniósł się kolejny nacierający szereg Brygadowców, a odpowiedziały mu ogłuszające salwy półplutonów. Z odległości trzystu metrów więcej strzałów trafiało, niż chybiało, lecz pozostali nacierali i wstawali, aby odpowiedzieć własną salwą ognia. W szeregach Piątego i Straży Życia ranni mężczyźni wrzeszczeli i przeklinali; ale oni byli osłonięci, wszystko poza głowami i ramionami. Nieprzyjaciel był nagi. Karabin Rządu Cywilnego był jednostrzałową bronią odtłcową, a jednym z jego błogosławieństw było to, że można go było ładować na leżąco.

Na wschodzie, gdzie ulokowano kompanię C, szereg strzelców był bardziej rozciągnięty. Piąty wciąż miał nadwyżki ludzi, ale już nie tak duże od czasu walk o Miasto Lwa. Znajdujące się tam jazgoczące działko wydało z siebie swój dźwięk *braaaaaak* – trzydzieści pięć karabinowych luf złożonych razem, strzelających przy pomocy korby. Kolumna Brygadowców została trafiona z odległości sześciuset metrów, gdy rozpoczęła niezgrabny kontrmarsz, jakim się posługiwali, aby przejść od kolumny marszowej do szyku bojowego. W parę sekund później dwa pociski z działka polowego dotarły do tego samego celu, wybuchając przy kontakcie; wyorywały strugi błota i przewracały ludzi podmuchem i ciężkimi fragmentami korpusów. Staenbridge zszedł z przycupniętego psa i przeszedł wzdłuż szeregu, z flagą u boku. Miała parę więcej dziur po kulach, lecz chorąży trzymał ją wysoko we wzbierającym deszczu.

–

Ponie, czy możesz nas oświecić, gdzie chcesz przyciągnąć ogień? – zawołał do niego sierżant.

–

Niech szlag trafi oświecanie, sprawdzam, czy żeście wypolerowali skórę – powiedział Staenbridge.

Towarzyszył mu szorstki śmiech, gdy powędrował z powrotem ku środkowi. *Na ducha, czego to człowiek nie mówi w stresie*, pomyślał.

Chlapiąc, podbiegł goniec ze Straży Życia. – Ponie – zwrócił się do Cabota Cleretta. – Barbarzyńcy posuwają lasem. Na psach, ano.

Staenbridge skinął głową, odpowiadając na spojrzenie bratanka gubernatora. – Zostajemy tutaj – powiedział. – Weź kompanię... i pozostałe dwa jazgoczące działka.

–

Zabawki Whitehalla – stwierdził Clerett.

–

Użyteczne zabawki. Weź je i wykorzystaj.

Clerett skinął głową i odwrócił się, wykrzykując rozkazy. Zasiadł na psie, a zwierzę powstało,

ociekając wodą; deszcz padał teraz mocniej, ciągnęła mżawka. Woda skwierczała na lufach jazgoczących działek, a kanonierzy pozostawiali ich zamki otwarte, gdy podczepiali ogony łoża do przodków i toczyli je. Ludzie daleko na prawej oddziału 2 Straży Życia na linii ognia wystrzelili jeszcze jedną salwę i uformowali szereg, przeładowując w biegu. Dobiegł odgłos uderzenia i chorąży Drugiego wydał z siebie głęboki pomruk i osunął się w siodle. Cabot sięgnął i przejął drzewce, opierając koniec o żelazo strzemiona, gdy mężczyzna się przewracał.

—

Zajmijcie się nim – powiedział. – Wy, za mną. – Puścił psa równym, szybkim tempem, a oni posuwali się za nim, chlupiąc chóralnie.

—

Rozciągnąć się tam – rzucił ostro Foley. Znajdująca się najbardziej na prawo kompania Piątego i najbardziej na lewo wysunięta kompania Drugiego przesunęły się, aby wypełnić lukę; uchylając się i posuwając tak, by pozostać pod osłoną.

—

Ma tupet – wymruczał Staenbridge. – A mimo to bardziej się cieszę, widząc jego tyłek, niż jego gniewną twarz.

—

Mógłbym czuć się urażony tą uwagą – rzekł Foley *sotto voce*. Agłośno – Poruczniku, grupują się z lewej. Naprowadź ogień, jeśli łaska.

\* \* \*

— *Ognia!*

M'Telgez powstał z kucek i wystrzelił. Karabin ze zbrojowni walnął go w ramię; lufa była zanieczyszczona wszystkimi tymi pociskami, jakie przez nią przepchnął tego popołudnia. To była piąta szarża i wyglądało na to, że będzie najgorsza. W odległości stu metrów psy przewracały się, a ludzie ginęli; byli na tyle blisko, że słyszał głucho uderzenia kul trafiających w ciało i ostrzejsze *ptung*, gdy waliły w zbroję. Ruszył dźwignią i pochwycił ładunek, który trzymał pomiędzy palcami lewej ręki, wsuwając go kciukiem na miejsce.

— Oto nacierają! – warknął.

Brygadowcy robili się sprytniejsi. Kazali zsiąść z psów niektórym ze swoich ludzi tam za granią, aby posłużyć się ich karabinami jako bazą ogniową. Dowódca kompanii C wycofał swoich żołnierzy o sześć kroków, żeby mogli ładować w kucki i wychylać się, by wystrzelić, ale i tak tracili ludzi. A wróg wciąż próbował szarży. Było to kosztowne, lecz mimo iż mogli wygrać walkę ogniową, to nie mogli wygrać jej na czas, by wpłynąć na główne działania rozgrywające się pół kilometra dalej – a lansjerzy mieli spaść na flankę Piątego.

W dole, w bagnistym zagłębieniu pomiędzy dwoma niskimi graniami, lansjerzy nacierali grupkami i pojedynczo. Łapy ich psów były kulami kleistego błota, a łodygi kukurydzy zostały stratowane na śliską miazgę tak, że niektórzy jeźdźcy, ślizgając się, tworzyli straszną, miotającą się płataninę, nawet jeśli nie trafiły w nich kule. Natarło ich jednak więcej, wspinając się z trudem po zboczu.

– *Ognia!*

Kapral znowu wystrzelił. Wokół niego trzasnęła z ogłuszającym hukiem luf nierówna salwa – zwłaszcza od jednego człowieka z tyłu, którego lufa znajdowała się prawie przy jego uchu.

– Trzymaj *szyk*, ty jolopie! – wrzasnął, szarpiąc swoją dźwignię, a mężczyzna przesunął się parę kroków w prawo. Przynajmniej karabin się nie zacinał; *jakiś* pożytek z tego zimnego deszczu z sykiem wpadającego mu do oczu.

Widział warczące psy i ludzi pod przyłbicami. Błoto obryzgiwało piersi psów zbliżających się ciężkim galopem.

– *Ognia!*

Więcej zginęło, a z pół tuzina zawróciło, niektórzy, gdy ich psy skoczyły do tyłu, mimo piłujących wodzy i nacisku dźwigni uzdy na policzkach. Reszta natarła, a ci, którzy wciąż mieli lance, wymierzili je. Drzewca były zwężające się i gładkie, poza drewnianą kulą wielkości grejpfruta, zaraz przed uchwytem dla dłoni; grot stanowiły ostrza o prostych bokach długie na stopę, zaostrzone i śmiercionośne, ze stalowymi osłonami dwie stopy dalej na drzewcu po obu stronach. Palce M'Telgeza musiały przez sekundę szukać ładunku w bandolecie; górne rzędy były puste. Wsadził go na miejsce w chwili, gdy chaotyczna szarża dotarła do szeregów Rządu Cywilnego.

Porucznik obrócił się w bok przed grotem jak matador na arenie. Jego szabla cięła drzewce za stalowymi osłonami biegnącymi od grotu i ostre jak brzytwa ostrza opadły. Pozwolił, aby pęd obrócił go w miejscu i z rewolweru trzymanego w lewej dłoni strzelił jeźdźcowi z bliska w plecy.

M'Telgez stracił zainteresowanie lancami oprócz tej wycelowanej w jego pierś. Zamek zatrzasnął się, gdy lanca znajdowała się w odległości zaledwie kilku metrów. Powodowany ślepym instynktem kapral rzucił się na plecy i upadł z łupnięciem, gdy stał się pochyliła. Grot przeleciał w odległości dłoni nad jego głową, a on wystrzelił z karabinu w białego kolbą w ziemię. Kula drasnęła szyję nowofunlandczyka, rysując czerwoną krechę na zabłoconym, czarnym futrze. Zwierzę stanęło dęba, a potem rzuciło się ku jego twarzy z otwartymi ogromnymi szczękami, woniejąc cmentarnym smrodem zepsutego mięsa. M'Telgez wrzasnął i wyrzucił karabin w górę. Pies także ryknął, gdy jego szczęki zamknęły się na dwustopowym bagnecie. Broń została wyrwana z ręki Descottczyka, a błoto przykleiło mu się do pleców. Brygadowiec stał w strzemionach, pokrzykując, gdy przykracał lancę, by dźgnąć prosto ze stającego dęba wierzchowca.

Młody żołnierz znajdujący się z boku, którego to M'Telgez zrugął za złe załadowanie, zrobił krok do przodu i wypalił z bagnetem dotykającym uzbrojonego torsu Brygadowca. Z tego zasięgu nieważne było, co miał w lufie. Lansjer wyleciał z siodła, gdy kula przebiła się pod jego krótkimi zębami. Zbroja tylko ją spłaszczyła, zanim ta przeleciała przez wątrobę, płuca i serce i utkwiała w ramieniu po drugiej stronie. Krew strzeliła żołnierzowi z nosa i ust. Był martwy, zanim jego ciało uderzyło o ziemię z brzękiem stali.

Pies był całkiem żywy. Jego ogromne łapy stanęły po obu stronach leżącego Descottczyka. Wyposażone były w pazury i opuszki, a nie kopyta bydlęce, lecz i tak, gdyby na nim stanęły, to roztrzaskane żebra wyleciałyby mu przez kręgosłup. Wielkie szczęki były otwarte, gdy bestia potrzasała łbem z bólu, rozbryzgując krople deszczu i krew z rozciętego języka. Żołnierz krzyknął i

wraził jej bagnet w szyję, gdy kły zwróciły się ku człowiekowi na ziemi. Atak człowieka zmienił się w niezdarną ucieczkę, gdy pies obrócił się i kłapnął, a odgłos zamykających się szczęk był niczym drewno uderzające o drewno.

M'Telgez przypomniał sobie o swoim pistolecie. Większość żołnierzy włożyła nową broń do olster u siodła – przeznaczona była do walki wręcz na wierzchowcach. On odruchowo wsadził swoją w cholewkę buta do jazdy, gdy zsiadał. Teraz wyszarpnął pistolet i wypalił we włochate cielsko nad sobą, w brzuch, za poprzęgiem siodła. Pies skulił się i pobiegł, a jego tylne łapy ledwo co wyminęły mężczyznę. Zwierzę oddaliło się chwiejnie z tuzin kroków i padło w drgawkach.

– *Fastardos!* – M'Telgez wydyszał, podnosząc karabin martwego mężczyzny i ładując go, gdy wstawał.

Brygadownicy cofali się w zagłębieniu, wielu z nich pieszo – psy stanowiły większe cele niż ludzie.

– Łajdaki! – M'Telgez wypalił, przeładował i znowu wystrzelił. – Łajdaki!

Strzały trzaskały wszędzie wzdłuż szeregu kompanii C, a potem dały się słyszeć początki salwy ogniowej. Burza ognia grzmotnęła w wycofujących się ludzi, zabijając prawie tylu, co zginęło w ataku, zanim udało im się wrócić do bezpiecznego obszaru za miejscem, z którego wyruszyli. Działko polowe uniosło się i zaczęło zrzucać pociski za granicę. Kanonierzy wraz z tuzinem żołnierzy potykali się i ślizgali w błocie, wtaczając je na lekkie wzniesienie, aż widać było lufę.

Nadeszła także odpowiedź ogniowa; odwrót odkrył szereg Rządu Cywilnego przed Brygadowcami po drugiej stronie zagłębienia. M'Telgez z powrotem przypadł na jedno kolano, gdy małe kule zaświstały nad głową i szarpnął znajdującego się obok żołnierza za poję kurtki.

– Głowa w dół, głupcze – warknął, rozglądając się.

Niedaleko jakiś mężczyzna wił się ze złamaną lancą wystającą z brzucha, skamłąc i ciągnąc za drzewce. Szarpnął, lecz stal wbiła się w biodro zbyt mocno, by mogły ją wyciągnąć śliskie od krwi ręce. Inny gmerał przy pasie w poszukiwaniu sznurka, by zrobić krępulec; jego ramię zostało odcięte ponad łokciem. Krew tryskała wolniej, gdy mężczyzna się przewracał. M'Telgez wiedział, że nikt nie może nic zrobić dla żadnego z tych biednych gnojków. Gdy nadszedł twój czas, to nadszedł... a on był *bardzo* zadowolony, że nie nadszedł czas na niego.

– Dzieciaku – ciągnął, gdy młodzieniec posłusznie przypadł na jedno kolano i spojrzał na niego zalękniony. – Dzieciaku, jesteś w porządku.

–

Czy oni wrócą, 'ruczniku? – spytał.

M'Telgez otarł deszcz i krew z oczu – dzięki *Duchowi*, ta krew nie była jego.

–

Nao – wycharczał.

Zagłębienie przed nim pełne było trupów ludzi w zbrojach i psów. Zwłaszcza przed sztandarem kompanii; Brygadownicy stłoczyli się tam, prac do środka – a także w kierunku działa, przyjmując

prosto na siebie wybuchy szrapneli.

– Nao, nie wróć. – Omiótł wzrokiem szereg. – Trzymać szyk! – warknął ostro. To, co pozostało z jego oddziału, przesunęło się, aby wyrównać szereg.

M'Telgez wyszczerzył się w uśmiechu, a wyraz jego twarzy bardzo przypominał ten, jaki miał pies lansjera, gdy skoczył, ratując sobie życie. – Hoi, barbarzyńcy! – krzyknął w stronę odległego wroga. – Macie coś do przekazania swoim żonkom? Spotkamy je przed wami!

\* \* \*

Szabla Cabota Cleretta uderzyła o bagnet. Był to bagnet tulejowy, wystający z tulei wokół lufy tak, że muszkiet można było ładować i ubijać stemplem, gdy ten był nasadzony. Metal zazgrzytał o metal, a Cabot wystrzelił w ciało Brygadowca pod ich złączonymi ramionami. Mężczyzna zwałił się do tyłu, gdy pocisk o płaskim czubku w kształcie litery H wybił małą dziurę w jego brzuchu i o wiele większą w jego plecach.

– Naprzód! – rzucił bratanek gubernatora. – *Victoria o muwerti!* – Motto Straży Życia. A może zwycięstwo i śmierć, nic nie było za darmo.

*Braaaaaap.* Jazgoczące działko wypaliło niedaleko z tyłu, z prawej. Kule śmigły przecinkami pomiędzy drzewami; to były dęby, zasadzone regularnie jak na szachownicy. Miały jakieś sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat, sądząc po wysokości drzew, i były regularnie wycinane. Woda kapiała z ich nagich gałęzi. Słabo widoczne postacie w szaroczarnych mundurach uciekały. Kilka zatrzymało się, aby przeładować za drzewami, lecz miało osłonę tylko z przodu. Żołnierze Straży Życia rozciągnięci z obu stron zdejmowali wrogów, zwykle zanim ci dokończyli żmudny proces ładowania.

Ludzie otaczali go, gdy posuwał się do przodu, a nowy chorąży trzymał flagę batalionu. Dowódca kompanii znajdował się na wysuniętej prawej flance wraz z drugim jazgoczącym działkiem. Słyszał, jak strzelało, toczne naprzód tak jak to, które miał ze sobą jako wsparcie natarcia. Ludzie szli po obu jego stronach, przeładowując i wymijając drzewa. Strzelając, wznosili radosne okrzyki. Dowódcy plutonów odwrócili się i wyrzucili ramiona oraz szable, aby przypomnieć im o utrzymaniu szyku.

– Goniec – powiedział Cabot. – Do pułkownika Staenbridge'a: wróg nacierał kolumną z prawej flanki. Odrzuciłem go i wkrótce w ogniu podłużnych zaprowadzę go do miejsca, z którego wyruszył.

Jazgoczące działka *były* użyteczne. Wymiana każdej żelaznej płyty z trzydziestoma pięcioma ładunkami zajmowała mniej niż dziesięć sekund, ponad trzysta pocisków na minutę. Z nimi i z jakąś setką strzelców, wkrótce będzie mógł skosić przód szeregu strzelców Brygady z prawej i wyciąć wszelkie rezerwy, jakie wciąż mieli w sadzie.

Niech ten *marhicon* zobaczy, jak Clerett kieruje bitwą, na Ducha!

\* \* \*

– Więc ruszyliśmy do przodu i dorwaliśmy ich po drugiej stronie sadu, gdy próbowali zaprzestać walki – powiedział Staenbridge. – Pocięliśmy ich ślicznie, a potem ruszyliśmy w pościg za tymi na psach, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby znowu do nich postrzelać. Wycofali się do rozległego,

ufortyfikowanego dworu, który palił się całkiem widowiskowo mimo deszczu, kiedy żeśmy zasypali go pociskami. W przybudówkach było trochę bardzo przydatnych zapasów, które wkrótce przyjadą na wozie w tempie woła, wraz z cywilami.

– Major Clerett – ciągnął – poprowadził prawe skrzydło umiejętnie i z rozmachem.

Raj skinął głową młodszemu oficerowi. – Zapasy się przydadzą – powiedział. – Trudno dostarczyć wystarczająco dużo, gdy się szybko posuwamy.

Wskazał głową w dół zbocza. Większość żołnierzy maszerowała ciężko z karabinami zarzuconymi lufami w dół; ich buty ubiły pola po obu stronach drogi na kleistą maź. Niektórzy z nich mieli na sobie mokasyny tutejszych wieśniaków; od gęstego błotagniło płótno przydziałowych butów, klejąc się do podeszew. Dalej z przodu wlokła się kawaleria, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zeskrobać kule błota z łap swoich wierzchowców. Psy wyły i szarpały się, chcąc się zatrzymać i oporządzić. Na drodze ludzie – piechota i wojskowi słudzy wraz z nadzorującymi ich kanonierami – trudzili się w jeszcze głębszym błocie, układając nawierzchnię z kłód i desek. Gdy oficerowie się przyglądali, pojawił się zaprzęg od działa z łańcuchem zaczepionym wokół świeżo ściętych kłód. Kłody potoczyły się po zboczu, wywołując ogólne przekleństwa wśród ludzi zmuszonych do uskakiwania przed drewnem.

– Mam nadzieję – ciągnął Raj – że zatrzymałeś dla mnie trochę jeńców z wyższych rangą Brygadowców. Potrzebujemy więcej informacji o tym, co się dzieje w Koszarach Carson.

## Rozdział trzeci

Mówił dziedziczny oficer z zachodu rzeki Waladavir:

– ...z tuzin gospodarstw i wioska spalona, mój dwór splądrowany. Tylko dzięki łasce Ducha Człowieka tej Ziemi i interwencji miłosiernych awatarów udało mi się wraz z domownikami uciec przed tym diabłem Whitehallem. Co Jego Znamienitość zamierza zrobić w tej sprawie?

Sala Audiencyjna była oświetlona przez dziesiątki świec, wiszących w żelaznych uchwytach ponad antycznymi laserami bojowymi. Ruchome cienie przesuwwały się po wypełniającym salę tłumie. Przybyło prawie tysiąc mężczyzn. Blask połyskiwał migotliwie na rękojeściach mieczy, wysadzonej klejnotami zapince na włosach jednego lorda lub platynowych paciorkach na kurtce z frędzlami innego. Powietrze było chodne i wilgotne od jesiennych deszczy, lecz śmierdziało mocno świecami z tłuszczu sauroidów i męskim potem. W tłumie podniósł się niewyraźny pomruk; każdy z nich był potężnym człowiekiem, wielmożą panującym nad wieloma akrami i setkami własnych żołnierzy.

– *Walczyć! Walczyć! Walczyć!*

Generał Forker podniósł się ze Stolca, aby odpowiedzieć. Światło migotało zimno na grawerowanym srebrze jego ceremonialnej zbroi i na szatach liturgicznych sysupów i doradców zgrupowanych wokół tronu.

– Poważnie ucierpieliśmy cierpieniem naszych poddanych – zaczął.

Warknięcie tłumy, a on przełknął nerwowo ślinę i ciągnął dalej.

–

Dlatego też zwołaliśmy was, moi panowie, abyście się z nami naradzili. Nasza dyplomacja przynajmniej opóźniła ten atak, a teraz przyszły deszcze i nadchodzi zima. Będziemy mieć dość czasu na przygotowania...

Kolejny lord wkroczył na miejsce mówcy, na posadzce przed Stolcem, tuż przed szeregiem Straży Życia.

–

*Mieliśmy czas. Wyspa Stern upadła pięć miesięcy temu!* – wypluł z siebie. – A my tylko posłaliśmy do Miasta Lwa nadpułkownika Strezmana z ludźmi – tylu, aby zabolało nas, gdy ich stracimy, lecz nie dość, aby powstrzymać wroga. A teraz Strezman i jego ludzie nie żyją!

–

Władco ludzi – ciągnął dalej chłodnym tonem. – Możesz nie mieć ochoty na zimową kampanię, lecz nie wygląda na to, żeby wróg podzielał twoje odczucia. Whitehall znajduje się nad Waladavir, a jego ludzi widziano w odległości trzech dni jazdy od Empirhado.

Ryk narastał w sali, zadrzały zwisające z krokwi sztandary.

– Pogłoski!

– Prawda! – odkrzyknął szlachcic. – To nie jest najazd ani wojna przygraniczna o prowincję czy o wojenne odszkodowanie. Cywilniaki zamierzają zetrzeć nas na proch, tak jak zrobili to z Eskadrą, zabić nas i przejąć nasze ziemie, obalić nasz święty kościół oraz zniewolić nasze kobiety i dzieci.

Nadchodzą, a tubylcy już powstałi w sześciu prowincjach.

Dreszcz przerażenia przeszedł przez salę. Minęło sześćset lat, od kiedy Brygada przybyła z Obszaru Bazy i pokonała mówiących po spanjolsku tubylców na zachodnich terytoriach Rządu Cywilnego, lecz ludy te wciąż różniły się krwią i językiem oraz wiarą, zaś tubylcy stanowili znaczącą większość. Jak Rząd Cywilny wyznawali oni kult Ducha Człowieka Gwiazd, a nie tej Ziemi jak Brygada i jej kuzyni.

Szlachcic odwrócił się tyłem do Stolca, a to złamanie protokołu sprawiło, że obserwatorzy oniemieli.

– Potrzebujemy wojownika, aby nas poprowadził. A nie mola książkowego, który spiskuje z nieprzyjacielem za naszymi plecami. *Wnoszę o postawienie w stan oskarżenia.*

Twarz Forkera wykrzywiona była gniewem i strachem schwytanego w pułapkę zwierzęcia. Zmusił się do mówienia, głosem podniesionym i piskliwym.

– Przekraczasz granice. Aresztować tego człowieka!

Strażnicy ruszyli do przodu, lecz ze dwudziestu szlachciców zgrupowanych wokół mówcy dobyło mieczy. Ostrza błysnęły, gdy ciężkie klingi uniosły się groźnie.

–

Nie przekraczam granic – odparł szlachcic. – Jako dziedziczny nadmajor, mam prawo do wzywania przed tym zgromadzeniem do postawienia cię w stan oskarżenia.

–

Ja, dziedziczny pułkownik Brygady, Ingreid Manfrond, popieram oskarżenie. – Kolejny mężczyzna wkroczył w krąg mówcy; grubokościsty, muskularny i posiwiasty. – I przedkładam swoje nazwisko do nominacji na stanowisko generała Brygady.

– Ty?! – syknął Forker. – Nie należysz nawet do domu Amalsona.

–

Pokrewna gałąź rodowa – powiedział Ingreid. – Ale jutro poślubię Marie Welf, córkę generała Welfa, co czyni moje roszczenia mocnymi niczym żelazo. – Zwrócił się do zebranych. – Moim pierwszym posunięciem jako generała będzie mobilizacja hufca. Drugim będzie poprowadzenie go, aby zmiażdżył najeźdźców naszej ziemi!

Forker dał znak swojej straży. Nastąpiła chwila przerwy. W tym czasie lekki paradny napierśnik sprawiał wrażenie, jakby wciskał mu serce w usta. Potem strażnicy walnęli kolbami karabinów o posadzkę. Uciszenie pomruków, aby mógł przemówić, zajęło chwilę.

–

Kłamiesz, Ingreidzie Manfrondzie. Do mnie należy prawo oddania lub nie oddania ręki Marie *Forker*, mojej pasierbicy – a ona, zadowolona, przebywa pod strażą *moich* domowych żołnierzy.

Kolejny mężczyzna przepchnął się do przodu, aby stanąć obok Ingreida. – Jestem – ryknął wyszkolonym głosem dowódcy – pułkownik dragonów Howyrd Carstens. Forker kłamie. Moi ludzie pilnują Marie Welf, a ona zgodziła się poślubić naszego następnego generała, Ingreida Manfronda – godnego dziedzica wielkiego generała Welfa. A jako ślubny dar, prosi o głowę Filipa Forkera,



mordercy jej matki. Zabójcy kobiet i tchórza!

Uniósł swój miecz. – Chwała generałowi Ingreidowi!

– *Chwała! Chwała! Chwała!*

\* \* \*

–

Wolałabym raczej parzyć się z dzikiem i porodzić prosiaki! – krzyknęła przez zamknięte drzwi Marie Welf.

Mocniej ścisnęła pistolet. Po obu stronach drzwi czekały jej damy dworu: jedna trzymająca wysoki, mosiężny świecznik, a druga ze sztyletem o wysadzanej klejnotami rękojeści, lecz całkowicie użytecznym.

–

Proszę, panienko For – ach, panienko Welf. – Głos marszałka dworu drżał, a spanjolski akcent był mocniejszy niż zwykle. – Żołnierze mówią, że *musisz* otworzyć drzwi.

–

Zabiję pierwszych pięciu ludzi, którzy przejdą przez nie – powiedziała Marie. Nikt, kto jej słuchał, nie mógł wątpić, że tego spróbuje.

Zapadła cisza. Buty do jazdy zastukały na parkietowych posadzkach na zewnątrz, a smuga światła pod drzwiami pojaśniała, gdy przyniesiono więcej lamp.

–

Marie, tu Theodore – zawołał mężczyzna.

–

Co tutaj robisz, kuzynie? – spytała Marie.

Była wysoką, młodą kobietą o pełnej figurze, z jasnoblond włosami związanymi w długie warkocze po obu stronach twarzy, która była bardziej piękna niż ładna, z wysokimi kośćmi policzkowymi i prostym nosem. Na policzkach płonęły jej teraz rumieńce gniewu i trzymała pistolet wyćwiczonym, dwuręcznym chwytem.

– Rozmawiam z tobą. I nie zamierzam tego robić przez zamknięte drzwi. Uważaj.

Wybuchły strzały i mosiężna płyta zamka wybrzuszyła się. Mężczyzna w korytarzu na zewnątrz wrzasnął z bólu, a chłodny uśmiech rozjaśnił twarz Marie. Drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna lat dwudziestu paru, pięć lat starszy od kobiety. Jego bardzo przystojne rysy twarzy mocno przypominały jej własne pod puchem jasnoblond brody; nosił zbroję oficera kirasjerów. Wsadził pod pachę hełm z pióropuszem, częściowo zakryty przez płaszcz z deinonosauroida pobłyskujący w świetle lamp. Na widok jej wymierzonego pistoletu odsunął drugie ramię od ciała.

– Strzelaj, kuzynko, jeśli chcesz zobaczyć na świecie mniej Welfów.

Marie westchnęła i pozwoliła pistoletowi upaść na błyszczący dywan kurdyjski. – Wejdz, Theodore – powiedziała i zasiadła w rogu łoża wspartego na czterech słupach.

Damy dworu spojrzwały na nią z wahaniem. – Dziękuję wam, Dolors, Katrini – lepiej, abyście udały się teraz do swoich pokoi.

Teodore położył swój hełm na stole i zaczął zdejmować rękawice od zbroi. – Nie masz może jakiegoś wina? – spytał. – Przeklęta, zimna noc, i w dodatku mokra: przewrót to ciężka praca na dworze.

Wskazała bez słowa na kredens, a on uśmiechnął się i nalał im obydwójgu.

– Robisz bardzo dużo zamieszania wokół czegoś, co i tak będziesz musiała zrobić – stwierdził, podając jej kielich i odchodząc, aby usiąść przy ogniu.

Aksamit na krześle zagłębił się i napiął pod ciężarem jego skąpanej w deszczu zbroi. Na ścianie za nim znajdował się kominiek, płonący małym węgielnym płomieniem, oraz półka na książki. Stało na niej dwa tuziny szacownych woluminów: *Księżeczki Kanoniczne* w nameryjskim tłumaczeniu Wulfa Philsona, życie awatarów oraz kroniki i dzienniki podróży w spanjolskim i sponglijskim.

– Sam byś robił zamieszanie, gdybyś był trzymany w więzieniu od czasu, gdy to zwierzę zamordowało moją matkę – powiedziała Marie. Wino było z Sala, mocne i słodkie. Wydawało się, jakby wiło się wokół ognia płonącego w jej piersi.

–

Sam lubiłem ciocię Charlotte. „To zwierzę” zostało teraz zdjęte ze Stolca i ucieka, chcąc zachować życie – podkreślił Teodore. – Do czego się przyczyniłem.

–

Ing Reid to świnią. I popierał Forkera. Jestem pewna, że był jednym z tych, którzy zamordowali matkę dla tego *tchórza*.

–

To nigdy nie zostało udowodnione. A Ing Reid jest *silną* świnią – powiedział Teodore, rzucając szybko spojrzenie ku drzwiom. Rozmawiali jednak cicho, a on powiedział swoim ludziom, żeby odsunęli wszystkich od drzwi. – A fakt, że popierał Forkera, przemawia na jego korzyść. Alternatywą była wojna domowa. *Teraz* alternatywą jest wojna domowa, chyba że Ing Reid Manfred będzie miał niezbywalne prawo do Stolca. Jeśli nie uważasz, że wojna domowa jest możliwa z najeźdźcami u granic, to wiesz mniej o naszej historii, niż sądziłem. – Machnął ręką w kierunku półki z książkami.

– Czy Ing Reid w ogóle umie czytać? – spytała z goryczą.

–

Zapewne nie – rzekł szczerze Teodore. – To uczyni go jeszcze bardziej popularnym wśród zaściankowej szlachty, drobnych dziedziców ziemskich i dzierżawców. Cywilniaki będą jak zwykle prowadzić rachunki, a on ma doradców takich jak Carstens i – poklepał się po napierśniku – do bardziej skomplikowanych spraw. Z pewnością potrafi poprowadzić szarżę, a tego nie dało się powiedzieć o tym pseudouczonym Forkerze.

Pochylił się do przodu, z poważnym wyrazem twarzy. – Jestem gotów walczyć i umrzeć dla niego, jako generała. A ty tylko musisz go poślubić.

– To nie ty masz iść z nim do *łóżka*, Theodore.

–

To prawda – przyznał młody człowiek. – Ale kiedyś i tak będziesz musiała kogoś poślubić, tak się robi w naszych sferach.

–

Jestem wolną kobietą z Brygady. Prawo stanowi, iż nie mogę zostać wydana za mąż wbrew mojej woli – powiedziała Marie.

Teodore rozłożył ręce. A ona skinęła głową. – Wiem... ale on śmierdzi. I ma *pięćdziesiątkę*.

–

Zatem go przeżyjesz – powiedział Theodore. – Prawdopodobnie jako regentka nieletniego dziedzica. A jutro *wyjdiesz* za niego. Jeśli to konieczne, z żołnierzem stojącym z

tyłu i wykręcającym ci ramię. To nie będzie wyglądało godnie, ale zadziała.

– Ty byłbyś lepszym generałem, kuzynie!

– Byłbym, gdybym miał poparcie – powiedział Theodore. – Ty byś była, gdybyś była mężczyzną. Ale ja nie mam, a ty nim nie jesteś. Wróg nie będzie też czekał, aż zbiorę większość.

– A ile warte będzie *moje* życie, kiedy już urodzę zdrowego dziedzica? – spytała Marie. – Nie wspominając o kwestii jego własnych synów, którzy także będą mieli własne regenckie ambicje.

Teodore podszedł do drzwi i sprawdził, czy jego kirasjerzy trzymali sługi w końcu korytarza.

– Jeśli chodzi o dziedzica – powiedział, pochylając się nisko do ucha Marie – to czas pokaże. Za rok wojna dobiegnie końca. Kiedy już *grisuh* znajdą się z powrotem za morzem...

Marie miała zimne spojrzenie, gdy odstawiała kielich wina. – W porządku, Theodore – powiedziała. – Wysłuchaj mnie jednak i uwierz w to, co mówię: niezależnie od tego, co przyrzeknę w katedronie, Ingreid Manfrond nie otrzyma ode *mnie* ani miłości, ani lojalności. I pożałuje, że zmusił mnie do tego w dniu, w którym umrze, a nastąpi to wkrótce. Niech Duch Człowieka tej Ziemi będzie mi świadkiem.

Teodore Welf kruszył kopie z mistrzami Straży na północno-zachodniej granicy i walczył z Oddanymi dalej na wschodzie. Zabił także dwóch ludzi w pojedynkach w rodzinnych stronach.

W tej chwili odczuwał jedynie ogromną wdzięczność, iż to Ingreid Manfrond, a nie Theodore Welf, stanie jutro w katedronie obok Marie.

Grom przetoczył się przez noc, a strugi deszczu spływały po grubym, bąbelkowym szkłe romboidalnych okien. Theodore odwrócił wzrok od swej kuzynki.

– Przynajmniej – powiedział – wróg nie będzie się szybko posuwał przez *to*. Będziemy mieli czas do zaprowadzenia porządku w naszym domu.

\* \* \*

Grom trzasnął za brodem. Światło przebiło szarość południa, odbijając się od mokrych, miotanych wiatrem drzew i twarzy ludzi. Woły zaryczały, pochylając się w swoich chomątach,

starając się ruszyć działo, które ugrzęzło po osie w środku wzbierającej rzeki; ignorowały nawet psy ze zwykłego zaprzęgu prężące się obok nich. Dziesiątki piechurów napierały na lufę i koła, łapiąc oddech i krztusząc się, gdy nad nimi rozbryzgiwała się woda. Inni trudzili się na brzegach, zrzucając w dół zarośla i żwir, aby pochyłe powierzchnie były przejezdne. Zaprzężone do wozów woły ryczały w proteście, gdy wprowadzano je do wody. Ludzie brodzili przez sięgającą pasa powódź, trzymając nad głową karabiny i pudełka z nabojami.

Jedna z pracujących załóg została zluzowana i potykając się, wspięła się po zboczu na podwórzec znajdującą się przy rzece gospody.

– Jak nazywa się ta rzeka? – ktoś spytał podoficera.

–

Wolturno – wymamrotał mężczyzna, ścierając błoto z twarzy. Był to wijący się strumień, płynący meandrami przez równinę zalewową, po której biegła droga. Korpus Ekspedycyjny już kilka razy ją przekraczał.

–

Każda pieprzona rzeczka tutaj nazywa się Wolturno – powiedział żołnierz. Powlekli się do kolejek przed kotłami.

– Dziękuję, panienko – powiedział piechur, biorąc swoją miskę i kubek.

Oddalił się chwiejnie kilka kroków, żeby przykucnąć pod osłoną wozu i spałaszować gulasz z fasolą i kawałkami bekonu, zagryzając go kukurydzianym podpłomykiem. Więcej towarzyszy z jego oddziału tłoczyło się pod daszkami nad bulgoczącymi kotłami. Tak jak on ociekali nie tylko od zacinającego deszczu i byli tak brudni, że z trudem dostrzegało się łaty i rozdarcia na ich mundurach. Jeden z żołnierzy był całkowicie owinięty osłoną z poplamionych ziemią wieśniaczych koców.

Fatima cor Staenbridge – *cor* znaczyło, że była wyzwolencem, a nazwisko należało do jej dawnego pana – znowu napełniła chochlę i wylała zawartość do wyciągniętej miski.

–

To niewiele, ale jest gorące – powiedziała radośnie. Deszcz przesiąkał przez prowizoryczny daszek, lecz większość ściekała po grubej wełnie płaszcza z kapturem, który miała na sobie. – Weź, ile możesz zjeść, żołnierzu, i zjedz wszystko, co weźmiesz.

–

Lepsze niż to, co jademy w domu – powiedział piechur w mocnym, wiejskim sponglijskim dialekcie, którego nie mogła umiejscowić. Było ich tak wiele. Sądząc po jego chudej twarzy, młody wiejski poborowy pewnie nie jadał tak dobrze, zanim porwał go oddział wcielający do wojska. – Żeś aniołem, panienko.

Mitchi rzuciła kawałek kukurydzianego chleba na jego miskę i wzięła kubek, żeby zanurzyć w kadzi z gorącym cydrem.

– Podziękuj messie Whitehall, ona to zorganizowała – powiedziała.

Na podwórzu gotowano w dziesiątkach kotłów przyciągniętych z kuchni w gospodzie i z

pobliskich domów. Wojskowi służący, kobiety – a nawet w kilku przypadkach żony – i przeróżni duchowni donosili nowe porcje składników i wrzucali je, żeby się gotowały. Tam, gdzie nie było targowisk, wydawano racje, ale każdy ośmioosobowy oddział miał właściwie sam sobie gotować – należało to do obowiązków, jakie wojskowi służy wykonywali dla kawalerzystów. Dzisiaj, dla piechurów trudzących się, aby utrzymać bród przejezdny, oznaczałoby to suchary i zimną wodę; bez Suzette Whitehall, która zebrała potrzebne do tego zapasy i ludzi ciągnących za obozem. A na koniec dnia marszu zostanie rozbity zwykły obóz, z mokrym drewnem na opał i przemoczonymi posłaniami. Wyczerpani ludzie mogą zapomnieć o zadbaniu o siebie i rozchorować się.

– Messer Raj i jego pani, zesłani przez Ducha – wyrzucił z siebie żołnierz. Miał ściągniętą twarz pokrytą zarostem. – Traktujom dobrze zwykłego wojaka, a nie tylko chłopoków na psoch.

Ludzie byli zbyt zmęczeni, aby okazać entuzjazm, ale skinęli głowami i zamruczeli potwierdzająco, posuwając się do przodu. Fatima machała chochlą, aż drapała o dno kotła.

–

Weź, ile możesz zjeść, zjedz wszystko, co możesz – messer Raju!

–

Dziękuję, Fatimo – powiedział.

Błoto znajdowało się głównie poniżej pasa na szabłę. Mundur i buty miał porządne, a na sobie jeden z ciepłych, odpornych na wodę płaszczy. Poza tym wyglądał na niemal tak samo wyczerpanego jak piechurzy, którzy łopatami nagarniali kamienie i ciągnęli zarośla do brodu. Pozostali znajdujący się z nim oficerowie nie wyglądali lepiej. Gdy został rozpoznany, cichy pomruk rozszedł się po podwórzu, lecz na lekki gest ręki ludzie pozostali w swoich mizernych schronieniach.

Cabot Clerett spojrział z powątpiewaniem na miskę. Pozostali zaczęli pałaszować ze swoich, nie przejmując się. – Mam nadzieję, że na koniec dnia będzie coś lepszego – powiedział.

Fatima odsunęła się na bok, gdy dotelepało się paru pomocników z wiadrami wody ze studni, workami fasoli i połową beczki pociachanego bekonu. Prowadząca ich umartwiona siostra dorzuciła podwójną garść soli i trochę suszonego chili. Kocioł zasyczał nieco, gdy wpadały składniki, a jeden ze służących dorzucił więcej węgla do żaru pod nim.

–

Messa Whitehall powiedziała – wtrąciła się Fatima – że kucharz w kwaterze głównej znalazł jagnię i trochę świeżego chleba.

–

Coś, na co warto czekać. – To był major Peydro Belagez z Rzeźników z Rogor. – Na Ducha, *mi heneral*, zanim cię spotkałem, spędziłem piętnaście smętnych lat, patrolując granicę na Drangosh i walcząc z Kolonistami raz na dwa miesiące. Świeciło słońce, zaś pomiędzy patrolami polegiwałem pod pomarańczowymi drzewkami, a dziewczęta wrzucały mi do ust nugat. A teraz popatrz na mnie! *Mi mahtre* ostrzegała mnie przed konsekwencjami popadnięcia w złe towarzystwo – Malash, i miała rację.

Major z południowego pogranicza był mężczyzną drobnej budowy, lat trzydziestu paru, naturalnie

ciemnoskórym, z twarzą wysuszoną przez lata ostrego pustynnego słońca i wiatrów, noszącym spiczastą hiszpańską bródkę i złoty kolczyk w jednym uchu. Miał swobodny i przyjazny uśmiech. Fatima przełknęła ślinę, przypomniałszy sobie ten sam przyjemny wyraz twarzy z zeszłego roku po tym, jak Mekkle Thiddo, towarzysz, który dowodził Rzeźnikami, został zabity pod flagą zawieszenia broni, a Belagez zgarnął ludzi za to odpowiedzialnych, nawet w chaosie pościgu, który nastąpił po rozproszeniu zastępu Eskadrowców. Raj rozkazał, aby ich ukrzyżować, ale to Belagez dopilnował szczegółów, tego, by ofiarom wykręcono stopy aż do pośladków, zanim zostali przybici do drewna.

Nigdy nie czuła się swobodnie w otoczeniu pograniczników. Niesnaski pograniczne pomiędzy Kolonią a Rządem Cywilnym były zbyt stare i zajadłe. Fatima nienawidziła swego ojca, caida El Djem... ale zbyt dobrze pamiętała, jak umarł, w ogromnej kałuży krwi i z jakimś pogranicznikiem tańczącym z radości wokół niego, potrząsającym moszną starca wbitą na zakrzywiony nóż, którym ją odciał.

Uśmiech Belageza był niewinny, gdy na nią spojrział. Była kobietą przyjaciela, toteż z radością stawiliby czoła śmierci, aby jej bronić.

– Messa Whitehall mówi, że znalazła także trochę dobrego wina – ciągnęła Fatima.

A jeśli o to chodziło, to 5 z Descott też walczyłby teraz za nią – a byli to ludzie, którzy spalili jej dom i dokonali na niej zbiorowego gwałtu, gdyby nie udało jej się przekonać Gerrina i Bartona Foleya, aby jej bronili. *Życie jest dziwne*. Przez rok z pogardzanej córki pomniejszej konkubiny stała się wolną kobietą i matką uznanego syna zamożnego szlachcicaoficera Rządu Cywilnego... oczywiście, dziecko mogło równie dobrze być Bartona. Ale Gerrin je zaadoptował, a on nie miał innego dziedzica. Messer Raj i jego pani byli gwiazdorodzącami.

– Jeśli usta się od niego nie wykrzywią – powiedział Belagez. – Na Ducha, tutejsze wino jest jeszcze kwaśniejsze niż psie szczyny, jakie lubicie wy z północy – nie wierzyłem, by to było możliwe.

Kaltin Gruder uśmiechnął się. – Masz na myśli, że nie jest to syropek jak to, co wyrabiają na południe od Oxheadów – rzekł. – Za słodkie do picia i za gęste do wysiusiania, nie dziwota, że mieszacie je z wodą.

Raj dokończył kubek cydru i westchnął, wycierając usta wierzchem dłoni. – Cóż, messerowie – powiedział. – Nikczemnicy nie zaznają odpoczynku. Mam nieprzyjemne podejrzenie, że przynajmniej niektórzy Brygadowcy domyślą się, że nie zamierzamy zaszyć się w jakimś przytulnym miejscu, zwinięci w kłębek przed ogniem, aż ustaną deszcze.

–

Ci, którzy nie są zajęci sobą nawzajem – rzekł Barton Foley. Oddał swoją miskę Fatimie z uśmiechem podziękowania.

–

Nawet jeśli większość politykuje, to pozostaje nieprzyjemna liczba zajętych czymś innym – stwierdził Raj. – Gerrin, masz główną kolumnę na resztę dnia. Majorze Cleretcie, ty i ja...

Filip Forker, dawny generał, nie będący już władcą ludzi, wystawił głowę z okna powozu.

– Szybciej! – rzucił, kaszląc w chusteczkę. *Świetny moment na przeziębienie*, pomyślał.

Droga na północny zachód od Koszar Carson była niegdyś utwardzona, dawno temu. Jeszcze teraz kawałki starodawnego betonu sprawiały, że lekki powóz podróżny trząsał się, tocząc do przodu przez gęstą mgłę. Wilgoć pobłyskiwała w świetle księżyca na długim białym futrze afganów i spływała po oknach powozu. Z tyłu znajdował się dodatkowy zaprzęg, drugi powóz z jego kochanką i niezbędnymi bagażami, lekka dwukółka na wyposażenie oraz eskorta... choć eskorta była mniejsza niż jeszcze kilka godzin temu. O wiele mniejsza niż była, gdy opuszczali miasto, choć przyrzekł wysokie nagrody każdemu, kto pozostanie z nim, aż dotrze do swej posiadłości na Kosta dil Orhenne na dalekim zachodzie.

Niektórzy pozostaną, bowiem żyją z jego żołądu. Goryczą napawało przyglądanie się, jak niewielu czuło się z nim związanych.

–

Dlaczego nie jedziesz szybciej? – zawołał do woźnicy.

–

Jest ciemno, panie, a droga wyboista – odparł mężczyzna.

Nawet jego ton uległ zmianie, choć nosił żelazną obręcz, a Forker miał taką samą władzę nad jego życiem i śmiercią, jaką miał, zanim pozbawiono go stanowiska. Przez chwilę Forkera kusilo, aby nakazać jego natychmiastowe rozstrzelanie, po to tylko, aby to zademonstrować – ale i tak miał ze sobą niewiele sług. Poczekaj z chłostą, aż dotrą do jego posiadłości, do wojskowych wasali rodziny Forkera. Tam będzie bezpieczny...

Jacyś ludzie jechali drogą sto metrów przed nim. Byli spowici w ciemne płaszcze, lecz większość z nich trzymała karabiny z kolbami spoczywającymi na udach. Grupka na przedzie miała obnażone miecze, a zimne światło gwiazd odbijało się od ostrego metalu.

Forker przełknął wymiociny. Otarł odarty ze skóry nos i rozejrzał się dziko dokoła. Jeszcze więcej wyjeżdżało z tyłu, z niesamowitego lasu rodzimych drzew biczyskowych, pokrywających ziemię po obu stronach. Oficer jego własnych żołnierzy wykrzykiwał rozkazy do garstki strażników, którzy pozostali, a oni otoczyli powozy, wyciągając muszkiety z olster. Kurki stuknęły odciągnięte przez kciuki, głośny i metaliczny dźwięk w nocy wypełnionej szeptem owadów.

– Stać – rzucił dowódca odzianych w płaszcze ludzi.

–

In... – zaczął Forker, zakaszlał, splunął i znowu się odezwał – Ingrid Manfrond obiecał mi życie!

–

Och, generał Manfrond nie przysłał mnie, abym cię zabił – powiedział mężczyzna, błyskając uśmiechem spośród brody. – Władca Ludzi tylko mi powiedział, gdzie mogę cię znaleźć. Zabicie cię było moim własnym pomysłem. Czy mnie nie pamiętasz? Dziedziczny kapitan Otto Witton.

Mężczyzna podjechał na tyle blisko, że podróżne latarnie na powozie ukazały długą, białą bliznę biegnącą po lewej stronie jego twarzy, znikającą pod włosami. Płonęła czerwienią od emocji. Jego pies przysiadł, a on z niego zsiadł.

—

Tylko drobna kwestia kurateli nad córką mego kuzyna, Kathe Mattiwson – i jej ziem – a ona była obiecana *mnie* i chciała *mnie*, ty łajdaku. Ty jednak przejąłeś kuratelę i sprzedałeś ją niczym świniaka na targu temu sukinsynowi Slikerowi. *Wylaż* stamtąd.

Forker nawet nie zauważył, gdy zaczął wysiadać na drogę. Rzadkie błoto lepiło się do podeszew jego wykończonych złotem butów z kutasikami.

– Ach, szacowny mariaż...

– *Zamknij się, ty mały gówniarzu!* – wrzasnął Witton. Blizna odcinała się bielą od zaczerwienionej twarzy, a jego miecz wysunął się z sykiem. – Teraz *umrzesz*.

Kapitan straży stanął pomiędzy nimi. – Po moim trupie – powiedział dość spokojnie. Czubkiem własnego miecza dotykał drogi, lecz gibkie ciało miał napięte do działania niczym kot. Na jego napierśniku znajdowały się wyklepane zagłębienia, takie, jakie pozostawia cięcie ciężkim mieczem.

– Jeśli tego chcesz – powiedział Witton.

Spojrzał na mężczyzn nakazujących swym psom usiąść wokół powozu. – Ale byłoby szkoda, Brygada potrzebuje wszystkich swoich wojowników – a ten mały miłośnik cywilniaków to niewielka strata.

—

Brygada nie potrzebuje ludzi pozwalających, aby pan, któremu przysięgali, został zarżnięty przez trzydziestu nieprzyjaciół na drodze – rzekł żołnierz. – On może być tchórzliwym gówniarzem, ale my przyjmowaliśmy od niego żołd. To, iż Filip Forker zignorował tę uwagę, wiele mówiło o tej sytuacji. Zamiast tego pisnął

—

Ano właśnie – wasz honor zależy od mego życia! Ocalcie mnie, a dam wam połowę moich ziem.

Kapitan obejrzał się beznamiętnie przez ramię na Forkera. A potem odwrócił się z powrotem do Wittona.

—

Człowiek żyje tak długo, jak żyje, i ani dnia dłużej – powiedział. – Szkoda jednak stracić wojnę z cywilniakami.

—

Nie musisz – rzekł Witton. Tym razem miał szczwany uśmiezek. – Przysięga dana człowiekowi bez honoru nie jest przysięgą. Nie pokonamy twego pracodawcy liczebnie. Wyzwę go tu i teraz, a ty możesz być świadkiem sprawiedliwej walki.

Postąpił bliżej i splunął Forkerowi na but. – Nazywam ciebie i twego ojca tchórzem, a twoją matkę dziwką – rzekł. – Masz miecz.



Kapitan straży odsunął się i rozchmurzył. Obydwaj mężczyźni mieli klingi, żaden nie nosił zbroi i byli bliscy sobie wiekiem. A jeśli dawny monarcha był chuderlawy i miał cienkie nadgarstki, zaś Witton wyglądał, jakby mógł giąć w palcach żelazne pręty, to był to problem *Forkera*. Powinien był spędzać te wszystkie lata w sali do ćwiczeń, a nie w bibliotece.

Forker rozejrzał się dokoła. Kodeks mówił, że ktoś mógł się zgłosić, by walczyć za niego na ochotnika, ale nie było takiego przymusu. Niektórzy z jego ludzi się uśmiechali, inni odwracali wzrok w noc. Żaden z nich się nie odezwał.

—

Już czas – rzekł Witton, potężny i chełpliwy. Uniósł klingę. – Dobądź miecza albo giń jak wykastrowany samiec w rzeźni.

—

*Marcy!* – wrzasnął Forker, padając na kolana. Gdy puścił mu pęcherz, dało się poczuć ostry smród amoniaku. – *Marcy, migo!* Oszczędź mnie – oszczędź me życie, a wszystko, co mam, będzie twoje.

Uśmiech Wittona zmienił się w grymas nienawiści. Forker wrzasnął i wyrzucił ramiona w górę. Jedno z nich odpadło w łokciu przy drugim ciosie żarliwej, choć topornej rzezi. Forker zamachał dokoła kikutem ramienia, tryskając krwią czerniącą się w srebrzystym świetle. To oprzytomniło napastnika, a jego kolejny cios został wymierzony umiejętnie z siłą ramion grubych jak u kowala.

—

Mol książkowy – rzucił z pogardą wojownik, odsuwając się i dysząc. Grube krople krwi spływały mu po twarzy i na brodę, plamiąc przód jego skórzanej kurtki z frędzlami.

Słudzy martwego mężczyzny postąpili do przodu, aby owinąć ciało. Krew i inne płyny przesączały się przez dywan, w jaki je zawinęli. Kochanka *Forkera* przyglądała się z drugiego powozu. Kobieta uniosła do ust futrzaną mufkę skrywającą dłonie i wpatrywała się z rozmysłem w kapitana straży i potężnie zbudowanego zabójcę.

Witton odezwał się pierwszy. – Mam nadzieję, że nie czujesz się zobowiązany do wyzwania mnie – rzekł do strażnika.

Żołnierz wzruszył ramionami. – Mieliśmy kontrakt, nie byliśmy wasalami. Poległ przez swe własne czyny. – Chłodny uśmiech. – Sądzę, że nie będzie kłopotów ze znalezieniem nowej przystani dla mnie i moich ludzi.

Twarz przybrała jeszcze chłodniejszy wyraz. – Choć jeśli złapię te cipki, które zwiały, zanim żeśmy tu dotarli, to nie sądzą, by do końca życia potrzebny im był kolejny kontrakt na sprzęt i utrzymanie.

Mgła zmieniła się w lekką mżawkę. Witton splunął ku ciału, które słudzy wpychali do powozu. Afgany w chomątach zaskomlały i zadrżały od zapachu krwi i napięcia, aż woźnica trzasnął im batem nad grzbietem.

—

Nie można ich winić, że nie chcieli walczyć za *Forkera* – powiedział.

–  
Pieprzyć Forkera – rzekł kapitan straży. – Ja miałem kontrakt z nim, ale oni ze *mną*.

Witton skinął głową. – Możesz dołączyć do moich – powiedział. – Brakuje mi dwudziestu karabinów do wyznaczonej listy wojennej drużyny.

Strażnik potrząsnął głową. – Nie wyglądałoby to dobrze – powiedział. Witton mruknął potakująco; od reputacji najemnika zależało jego utrzymanie. – Podążymy z powrotem do Koszar Carson i ktoś nas najmie na jakiś czas, może regularni. Myślę sobie, że i tak wkrótce nadejdzie wezwanie na służbę, równie dobrze możemy uprzedzić natłok.

Odwrócił się i wykrzyknął rozkazy. Jego ludzie popuścili kurki karabinów i wsadzili je w olstra przy siodłach. Nastąpiła chwila napięcia, gdy jeden człowiek pochylił się w siodle i chwycił za uzdę psy ciągnące wóz z bagażami, zawracając go, a potem dobiegło cichnące *plop* psich łap.

Witton machnięciem ręki nakazał jechać powozowi z ciałem Forkera. Zabiorą go z powrotem, by pogrzebać w posiadłości jego przodków, choć nawet przy tej chłodnej pogodzie do tego czasu będzie już za późno. Nie miał nic przeciwko temu, gdy jego przyboczny dalej na drodze zajął się poszukiwaniem skrzyni z pieniędzmi i klejnotami, jaką Forker bez wątpienia zabrał, uciekając. Podniósł wzrok na drugi powóz. Znajdująca się w nim kobieta opuściła futro skrywające twarz i uśmiechnęła się do niego. Pokojówka kuląca się obok niej była wyraźnie przerażona, lecz dawna kochanka Forkera była także zawodowcem, na swój sposób. Ogromne fiołkowe oczy zamrugały ku niemu, chłodne w rozmazanym przez mgłę świetle księżyców.

I całkiem niesamowite. Cóż, ten mały łajdak *był* generałem i nie istniał powód, dla którego miałby się zadowolić czymś gorszym niż to, co najlepsze. Mężczyzna otarł twarz umazaną krwią i odpowiedział uśmiechem, podczas gdy jego dłonie automatycznie czyściły i chowały miecz do pochwy.

\* \* \*

– To powinno być naprawdę bardzo przydatne – rzekł Raj.

Posiadłość znajdowała się w sporej odległości od drogi przemarszu wojska, w rejonie falujących kredowych wzgórz. Niewiele było upraw, a ziemia pokryta była głównie gęstą, sprężystą, zieloną darnią; pasły się na niej ogromne stada owiec i jeszcze większe stada bydła, zaśświnie żerowały w brzozowych laskach na bardziej stromych zboczach. Widać było, że okoliczna ziemia podzielona była na duże posiadłości-rancza oraz gospodarstwa hodowlane drobnych właścicieli ziemskich, a nie wypuszczona dzierżawcom opłacającym się częścią plonów. Dwór, który właśnie zajęli, był otoczony przez przybudówki, wielkie szopy na wełnę, zagrody i wędzarnie, a jakiś kilometr stąd znajdowała się napędzana wodą oczyszczalnia wełny i śmierdząca garbarnia. Peklowany bekon oraz solona wołowina i baranina w beczkach będą mile widziane. A jeszcze bardziej stada, jako że można je było pognać ku głównym siłom.

A jeszcze bardziej mile widziane będą bele wełnianej tkaniny, tkanej w długich szopach przy wiosce wyrobników. Teraz tutaj nie padało, a gleba sama się osuszała, jednak powietrze było rześkie i widać było oddechy ludzi i psów – a wielu jego żołnierzy latało sobie spodnie złupionymi

zasłonami nad łóżek. Ta okolica dostarczy każdemu człowiekowi w armii kolejny koc, co dla wielu może oznaczać różnicę pomiędzy zdrowiem a zapaleniem płuc. Wystarczy także na podszewki do kurtek, jeśli starczy czasu i krawcowych.

–

Mam nadzieję, że wszystko jest zadowolające, panie – odparł Cabot Clerett. *Oczywiście, że jest* oraz *dlaczego się wtrącasz* pozostały niewypowiedziane.

Szacunek Cabota Cleretta wobec zdolności dowódczych Raja był niechętny, lecz szczerzy.

–

Zupełnie zadowolające – odrzekł Raj. *Cieszę się, że nikogo nie nienawidzę tak bardzo*, dodał w duchu.

>>Tylko częściowo to nienawiść<< rzekł z pedantyzmem mechaniczny głos Centrum. >>Sporą część stanowią także lęk, zazdrość i zawiść.<<

*Mów do mnie jeszcze*, pomyślał Raj.

Cabot zazdrościł Rajowi wszystkiego, od jego wojskowej reputacji, aż po żonę. Suzette mogła oczywiście pogrywać na nim jak na skrzypcach i prawdopodobnie tylko to powstrzymało Cabota od nakłonienia stryja do wydania katastrofalnego rozkazu odwołania Raja. Nie, żeby potrzeba było dużo nakłaniania. Paranoja Barholma Cleretta wykaczała mocno ponad normalną gubernatorską podejrzliwość wobec cieszącego się powodzeniem dowódcy.

*Nie znaczy to, że musi mi się to podobać*, pomyślał Raj. A potem: *z powrotem do roboty*.

Właściciel posiadłości poddał się prędko i otrzymał rachunki za zapasy, z których 1 Straży Życia metodycznie ogałacał stodoły i magazyny. Wydawało się, że wśród ludzi Cleretta panowała dyscyplina; pomagali wyrobnikom z posiadłości ładować wozy i trzymali na muszce ustawioną w szeregu dworską służbę, ale nic poza tym. Niewątpliwie zniknie parę drobnych kosztowności, nie wspominając już o kurczakach, lecz nie działo się nic takiego jak gwałt, podpalenie czy morderstwo. Wystawi się posterunki, aby utrzymywać okolicę pod obserwacją...

Raj omiół spojrzeniem właściciela dworu, krzepkiego Brygadowca w średnim wieku, ignorującego pilnujących go żołnierzy i stojącego z pogardliwym wyrazem twarzy. Odbijał się on na wąskim obliczu o ostrych rysach, należącym do dobrze ubranej matrony u jego boku. Trzy młodsze kobiety z dziećmi wyglądały na tylko nieco bardziej załęknione. Jeden dwunastoletni chłopak z konopnymi włosami, które niedawno osiągnęły długość jak u wojownika i spięte były zapinką przy szyi, wpatrywał się w dowódcę Rządu Cywilnego z otwartą nienawiścią. W oknach dworu oraz średniej wielkości domkach oddzielonych od chat wyrobników tłoczyło się więcej kobiet i dzieci Brygady.

– Dobra, ruszamy – rzekł Raj.

Skierowanie wozów oraz miotających się, beczących i muczących stad na drogę wijącą się białą pośród kredowych wzgórz zajęło sporo czasu. Sądząc po wyglądzie trawy i sinawych chmurach przewalających się nad głową, spadło tutaj tyle samo deszczu co w dolinie, gdzie trudziło się wojsko, posuwając się na południe ku Starej Rezydencji. Kredowa gleba nie zniknęła pod błotem, jak

działo się to z gliną na nizinach, jako że sama wysychała, ale i tak będzie trudno. Wielu z żołnierzy Straży Życia było *vakaro* w Descott albo innych hrabstwach znajdujących się w głębi lądu; wymachiwali batami i arkanami i pokrzykiwali na obrzeżach stad.

– Martwi mnie, gdzie są wszyscy mężczyźni – powiedział Raj. – Nie tylko ci stąd, ale z ostatnich paru dworów w tej okolicy i z większych gospodarstw.

Dwóch oficerów jechało na przedzie kolumny kompanii Pierwszego, w górze zbocza, nad drogą, z dala od chaotycznego młyna spędu i ciężkiego smrodu płynnych owczych odchodów. Inne kolumny znajdowały się na flankach podążającego w dół konwoju.

– Cóż, zostali zmobilizowani – powiedział Clerett.

Raj skinął głową; była to pierwsza rzecz, jaką zrobił Ingrid po zajęciu Stolca. W odezwach, jakie udało im się przejąć, na punkt zborny wyznaczone zostały Koszary Carson.

– Może tam udali się domowi żołnierze wielmożów – rzekł. – Nie sądzę, aby były im tu potrzebne duże garnizony do utrzymania w ryzach tubylców.

Wyrobnicy z dworów wyglądali na znacząco lepiej karmionych i bardziej wrogo nastawionych wobec żołnierzy Rządu Cywilnego niż większość, jaką widzieli przedtem. Hodowla wymaga mniej pracy niż gospodarka rolna i produkuje więcej od człowieka, choć mniej z hektara.

– Problem w tym – ciągnął Raj – że to *jest* rejon hodowlany.

Clerett spojrział na niego podejrzliwie. Raj wyjaśnił – Jest zbyt rzadko zaludniony, aby wystrzelano carnosauroidy – powiedział.

Młodszy mężczyzna skinął z niecierpliwością głową. – Dużo znaków – rzekł.

Wryte na drzewach znaki; z sierpostopem stojącym na jednej nodze, ostrzącym sobie szczątkową stopę, od której pochodziła ich nazwa. A w ostatnim dworze nad wrotami stodoły przybito czaszkę ceratosauroida: długą na metr łącznie z charakterystycznych rogami na nosie, a bestia miała dwa metry w kłębie, gdyby gnała za ofiarą z głową i ogonem wyciągniętymi poziomo, na stawiających długie kroki nogach. Strzępy ciała oraz czerwonoszara guzowata skóra przylegały do czaszki.

– A pod nim ładny sznureczek szczątkowych stóp sierpostopów – ciągnął dalej Raj. – Też jesteś Descottczykiem, majorze. – *Bardziej niż Barholm*, pomyślał.

Gubernator spędził większość swego życia we Wschodniej Rezydencji, podczas gdy Cabot pozostał w domu wśród wzgórz, aby utrzymywać dobre stosunki pomiędzy Clerettami a szlachtą Descott. Nie było przypadkiem, iż hrabstwo dostarczające jedną czwartą elitarnej kawalerii wydało także dwóch ostatnich gubernatorów.

Clerett zmienił się na twarzy. – *Vakaro* – powiedział. Pastuchy.

Raj skinął głową. Prowadzenie rancza oznaczało na Bellevue kontrolę nad drapieżnikami, a rozdanie karabinów i psów do jazdy niewolnikom albo wyrobnikom i posłanie ich, żeby pędzili stado, było oględnie mówiąc *złym* pomysłem. Większość przymusowych robotników w posiadłościach, jakie właśnie opuścili, zajmowała się przetwórstwem, przygotowaniem

konserwowanych mięs, garbowaniem skór oraz tkaniem, a także pracą w ogrodzie i drobnymi pracami gospodarskimi. Widać było zbyt wiele baraków i chałup oraz pustych stajni w stosunku do potrzeb wyrobników, a także dużo kobiet Brygady z gminu. Pastuchów nie było.

– To dlatego wszyscy tutejsi właściciele posiadłości zdają się być Brygadowcami. – Na większości terenów, przez jakie przechodzili, ziemia była dość równo podzielona pomiędzy Brygadę a cywili. – Prawo Brygady zakazuje zbrojenia cywili. Nie sądzę, aby byli bardzo surowi we wprowadzaniu go w życie, ale większość vakaro – czy jak ich tu nazywają – także będzie Brygadowcami.

A nie było lepszego szkolenia do pracy w lekkiej kawalerii. Utrzymanie czegoś takiego jak stado ceratosauroidów czy sierpostopów z dala od bydła wymagało jednocześnie czujności, pracy zespołowej, umiejętności jeździeckich i strzeleckich. Nie wspominając o działaniu w polu i podchodzeniu.

– Czy mam rozstawić szerzej sieć zwiadowców? – spytał Cabot.

Raj stanął w strzemionach i rozejrzał się po okolicy. Nie było tu żadnych kanionów, porytych erozją terenów ani wulkanicznych parowów, które składały się na raj dla partyzantów, jakim była większość hrabstwa Descott, ale co większe połacie brzozy i lasów i występujący od czasu do czasu gąszcz rodzimych zarośli też się nadadzą.

– Myślę, że to byłby bardzo dobry pomysł, majorze Clerett – powiedział.

\* \* \*

Marie Welf – teraz Marie Manfrond – leżała bezgłośnie i nieruchomo, gdy Ingreid stoczył się z niej. Poruszała się jedynie jej pierś, opadając i wznosząc się, bardziej gwałtownie teraz, gdy nie było ciężaru; leżała na plecach z rozwartymi nogami i rękami wspartymi o głowę łoża. Prześcieradło pomiędzy rozsuniętymi udami poplamione było krwią i odrobiną wonnej oliwy pozostawionej dyskretnie na nocnym stoliku, co okazało się niezbędne. Wysoki kasetonowy sufit w prywatnych komnatach generała pokryto złotymi liśćmi, zaśściany mozaiką. Łoże skąpane było w żółtawym blasku płomienia pojedynczej lampy naftowej.

Wydatny brzuch i siwiejące włosy na ciele nagiego Ingreida były wyraźnie widoczne, jednak to tylko podkreślało trollową siłę jego potężnych ramion. Ciało miał pozłobione szramami, zwłaszcza u dołu lewego boku i w dolnych partiach ramion i nóg. Dziobate rany po kulach, długie białe cięcia od mieczy, głębokie złobienie na jednym udzie, gdzie grot lancy wyrwał kawałek mięsa, gdy broń przebiła się przez nabiodrek. Szyja, biodro i stawy tam, gdzie spoczywała zbroja, były pokryte zgrubiałą skórą, a na czole miał wyżłobienie od wyściółki hełmu. Mocne zęby błysnęły żółcią, gdy się do niej uśmiechnął i uniósł karafkę ze stolika nocnego.

– Napijesz się? – spytał. Marie zachowała milczenie, wpatrując się w sufit.

– Cóż, zatem ja się napiję – rzekł, wlewając brandy do szklanicy. Końce jego długich włosów sięgały mu do błyszczących ramion, a jego pot miał kwaśną woń wina i piwa.

Wytarł się o róg satynowego prześcieradła i wstał. Poruszał się niespokojnie, podnosząc przedmioty i stawiając je. Po chwili odwrócił się z powrotem ku łóżku.

– Nie takie złe, co? Będzie lepiej, jak do tego przywykniesz.

Marie obróciła głowę i popatrzyła na niego w milczeniu. Jej oczy były tak pozbawione wyrazu jak jej twarz. Ingreid się zaczerwienił.

–

Lepiej, żeby tak było – powiedział, połykając brandy. – Miałem poślubić kobietę, a nie trupa.

Marie odezwała się beznamiętnym głosem – Dostałeś to, na co się zgodziłeś. I tylko to dostaniesz.

–

*Doprawdy*, dziewczyno? – rumieniec Ingreida się pogłębił, aż opalona twarz stała się sino-czerwona. – *Zobaczmy*.

Odrzucił szklanicę, a ta podskoczyła i potoczyła się pod dywanach, a potem szarpnął głowę Marie w górę, ciągnąc za włosy. Jego ręka wyrznęła ją w twarz dłonią twardą niczym deska. Marie szarpnęła się i przetoczyła na skraj łóżka, a długie blond włosy skryły jej twarz. A potem uniosła głowę, a w jej zielonych oczach utrzymał się ten sam beznamiętny wyraz, mimo płonącego odcisku ręki na jej policzku.

–

Mam lepsze rzeczy do robienia niż uczenie cię manier, suko – warknął Ingreid. – Na razie. Kiedy wygramy wojnę, będę miał czas.

Narzucił szlafrok. Marie zaczekała, aż walnął drzwiami i także wstała, poruszając się ostrożnie przy boleśnie napiętych mięśniach i bólu pomiędzy nogami. Gdyby pociągnęła za jeden ze sznurów, przyszłaby służąca, ale teraz nie była w stanie znieść nawet takiej bezosobowej obecności. Weszła do łazienki i podkręciła lampę przy drzwiach, przyglądając się sobie bez mrugnięcia okiem w wielkim lustrze, a potem przekręciła kurki, aby napełnić marmurowo-złotą wannę w kształcie muszli. Pocięła gorąca woda; komnaty generała miały wszystkie luksusy. Dopiero gdy wanna była pełna i zapieniła się wonnymi mydlanymi bulkami, Marie zdała sobie sprawę z tego, iż była to ta sama wanna, w której utopiono jej matkę.

Udało jej się dostać do ubikacji, zanim zaczęła wymiotować. Gdy miała pusty żołądek, wytarła twarz, a potem i tak weszła do wanny. W nadchodzących dniach będzie potrzebowała wszystkich swych sił.

\* \* \*

– To było zbyt łatwe – powiedział Raj, kładąc hełm na łąku siodła. I *choć raz nie padało*. Oddech ludzi i psów unosił się w lodowych chmurkach, lecz słońce świeciło jasno na porannym niebie.

Małe miasteczko Pozadas usadowione było pomiędzy kredowymi wzgórzami a leżącą niżej gliniastą równiną. Pozadas nie miało murów, choć kościół i kilka większych domów mogło służyć jako schronienie przeciwko bandytom albo najeźdźcom. Tak jak i niektóre fabryczki wzdłuż rzeki, zbudowane z miękkiego wapienia o złotawym odcieniu; głównie gręplarnie oraz farbiarnie wełnianych tkanin. W miasteczku było wiele chałup, w których na ręcznych krosnach pracowali

tkacze, a szewcy wyrabiali buty i uprząż. Obywatele mądrze nie stawiali oporu, lecz byli ponurzy, mimo iż Rząd Cywilny zapłacił złupionym złotem za większość z tego, co zabrał.

Jak na swoją wielkość było to dobrze prosperujące miasteczko. Ratusz był nowy i całkiem nowoczesny, z dużymi szklanymi oknami na dole i otwartym balkonem na drugim piętrze, z widokiem na dachy innych budynków.

– Posępnie wyglądające gnojki – rzekł Cabot, podnosząc się w siodle, by spojrzeć Rajowi przez ramię.

Na ulicach było niewiele ludzi – żołnierze i ogromne stada inwentarza, jakie przeganiali główną ulicą, zajmowali zbyt wiele miejsca – lecz twarze wyglądające z okien i drzwi były skrzywione.

– To żadna niespodzianka – stwierdził Raj.

Skinął głową ku rozległej masie beczących, szaro-białych owiec, wzbijających kurz na ulicy z kredowej ziemi wykładanej łupkiem. Stado posuwało się niczym włochaty dywan. Od czasu do czasu jakaś sztuka podskakiwała, posuwała się chwiejnie kilka kroków po grzbietach sąsiadów, a potem zapadała się z powrotem w ciżbę. Dał się czuć ciężki odór obory, przebijający ponad zwykłym chemiczno-wychodkowym smrodem włókienniczego miasteczka.

– Zabieramy ich inwentarz – ciągnął generał. – Odbudowanie tutejszych stad – skinął głową ku nizinie, jaką właśnie skończyli przeczesywać – zajmie im lata. A i to zakładając, że sprawy się nie skomplikują, gdy carnosauroidy wykończą bydło, jakie zostawiliśmy do rozrodu. A przez ten czas skąd wezmą wełnę i skóry?

Duża armia była jak zasysająca maszyna, a jego armia podróżowała na tyle szybko, że nie pozostawiała za sobą głodu, ale też nikt inny nie będzie mógł w najbliższym czasie przeprowadzić żołnierzy tą samą trasą.

– Wciąż się zastanawiam, gdzie się podzieli wszyscy ci mężczyźni – rzekł w zamyśleniu Raj.

Cabot dobył pistoletu i wymierzył z niego. Raj rzucił się płasko na siodło, a kula świsnęła w miejscu, gdzie się przedtem znajdował.

Horace obrócił się częściowo, a łapy pośliznęły mu się lekko na pokrytym owczymi odchodami błocie ulicy. Znajdujący się za nim Brygadowiec poleciał do tyłu z dziurą od kuli na linii brwi, a jego kapelusz o obwisłym rondzie spadł, wirując. Z tyłu znajdował się jeszcze jakiś tuzin Brygadowców. Niektórzy wciąż wypadali z otwartych drzwi wychodzących na podwórzec ratusza, a więcej nadciągało z tyłu, piechotą. Jeszcze więcej zaś znajdowało się na balkonach i dachach, unosząc się do strzału. Kule świstały po ulicach, ludzie wrzeszczeli, psy wyły, a beczenie oszalałych owiec było jeszcze głośniejsze, gdy wystraszone zwierzaki rozbiegły się we wszystkich kierunkach po uliczkach i skwerach i wpadały przez otwarte drzwi i okna budynków.

– Dzięki! – krzyknął Raj. Teraz wiem, gdzie się podzieli pastuchowie.

Znajdujący się za nim mężczyzna miał uniesiony miecz, by zamachnąć się do cięcia. Raj zrobił unik pod nim, zamachując się szablą, gdy Horace skoczył do przodu. Klingi spotkały się z niemelodyjnym brzękiem i piskiem, a on okręcił się, tnąc trzeciego Brygadowca w twarz. A potem otoczyła go jego osobista eskorta i stawiała czoła reszcie, strzelając i dźgając w walce wręcz wokół

Raja, Cabota i ich chorążych. Jeszcze więcej Brygadowców wypadło z fabryk. Raj zlustrował spojrzeniem dachy. Kilka setek nieprzyjaciół; znaleźli najlepszy sposób do ukrycia zapachu swoich psów – w środku włókienniczego miasteczka, gdy tłoczyły się w nim tysiące bydła.

*Cholerne bezgwiezdne ciemności*, pomyślał z obrzydzeniem. Kolejna rzecz skrewiona, bo nie miał dosyć żołnierzy, aby dokończyć sprawę.

Problem w poleganiu na szybkości i zastraszeniu tkwił w tym, że niektórzy ludzie po prostu za cholere nie dawali się zastraszyć.

– Zbiórka na południe od miasteczka – krzyknął do Cabota Cleretta. – Rozciągnij się i nie pozwól im na dostanie się z powrotem na wzgórze. Zbliżając się, przyszpil ich przy rzece.

– Przepląną strumień i rozproszą się – odparł młodzieniec.

Raj uśmiechnął się dziko. – Nie na długo – powiedział. – Ruszaj!

Major skinął gwałtownie głową, obrócił psa i machnął pistoletem do przodu. Jego chorąży ustawił się za nim, a trębacz zagrał *odwrot-zbiórka*, gdy z tętentem pędzili na południe, do miejsca, gdzie kolumna Rządu Cywilnego weszła do miasteczka. Ludzie uwalniali się od swoich stad i wozów z łupami i przyłączali się do niego grupkami i jednostkami. Niektórzy padali, lecz wielu pojmowało konieczność przerwania walki, aż będą mogli się zebrać i zjednoczyć. Jeśli będą stali, to przygotowany nieprzyjaciel posieka ich na małe grupki i wyrżnie.

– Za mną! – krzyknął Raj.

Jego eskorta zajęła się pierwszymi atakującymi Brygadowcami, lecz jeszcze gdy mówił, zobaczył, jak pada jakiś człowiek i pies. Kula świsnęła mu obok policzka z nieprzyjemnym podmuchem, *zdecydowanie* za blisko. Miał ze sobą pełen pluton 5 z Descott, oprócz posłańców i adiutantów. To powinno wystarczyć.

Wskazał szablą na ratusz i wbił pięty w boki Horace'a. Pies skoczył na przygiętych tylnych łapach, pokonując, tuzinem susów wznoszących go nad ziemię na wysokość piersi, błotnisty plac pokryty owcami. Jak Raj się spodziewał, to zdezorientowało strzelców. Ci spodziewali się, że żołnierze, których schwyтали w zasadzkę, będą kręcić się w miejscu albo spróbują odpowiedzieć ogniem z poziomu ulicy. *Nigdy nie rób tego, czego się spodziewają.*

Trzydzieści psów pognało po schodach na arkadową werandę ratusza. Ostatni wystrzał – zbyt chaotyczny, by mógł być salwą – z bliskiej odległości położył pokotem następną szóstkę. Dym buchnął im w twarze, oślepiając na chwilę. A potem pędzili po gładkich kaflach ganku i roztrzaskując wysokie okna, wpadali przez nie w deszczu szkła i ze skamleniem pociętych psów. Horace stanął dęba i grzmotnął przednimi łapami w wielkie, dwuskrzydłowe drzwi. Ciałem Raja wstrząsnęło i mężczyzna poczuł, jak zęby zastukały mu niczym kastaniety. Wydawało się, jakby mu coś pękło w głowie.

Drzwi otworzyły się z hukiem, miażdżąc kości i zwalając ludzi z nóg. Szczęki Horace'a zamknęły się wokół twarzy jakiegoś mężczyzny; zatopiły się w nim długie na cal kły, a pies trzepnął nim, jakby zabijał szczura i ciało poleciało, koziołkując, w deszczu krwi. W wielkiej sali zebranych przylegającej do ganku znajdowało się trzydziestu czy czterdziestu Brygadowców; sądząc po wyglądzie, odnalazł



brakujących pastuchów. Wraz z dwudziestoma pięcioma psami do jazdy było tłoczno, zbyt tłoczno, aby wróg mógł przeładować swądowaną przez lufy broń. Niektórzy trzymali muszkiety niczym pałki, ale większość dobiła mieczy albo noży do walki. Ludzie Raja opróżnili bębni rewolwerów w tę cizbę i wyciągnęli szable. Psy tratowały ludzi starających się podnieść pod ich brzuchami i ciąć, kłapały kłami i waliły przednimi łapami.

Jakiś Brygadowiec zrobił unik i ciął w lewe udo Raja, zawsze narażone na atak u człowieka będącego wierzchem. Horace obrócił się na jednej nodze, a Raj dźgnął w dół ponad siodłem. Cios pod dziwnym kątem, ale zagłębił się w biceps ramienia trzymającego miecz. Broń męczyzny poleciała, gdy Raj wyszarpnął swoją stal z rozerwanego mięśnia; a potem descottyjski pies bojowy zamknął szczęki na plecach męczyzny i przerzucił go do tyłu za siebie. Raj ciął na odlew w prawo za siebie, w szyję męczyzny starającego się napaść od tyłu na jego chorążego. Męczyzna z flagą miał w prawej ręce rewolwer – utrzymywał swego wierzchowca w bezruchu wyćwiczonym znakiem, dotykając palcami stopy jego przedniej łapy – i starannie wybierał cele.

Świsnął ostatni strzał. Dym prochowy unosił się ku sufitowi. Wpadło jeszcze paru ludzi w niebieskich kurtkach i bordowych spodniach – żołnierze, których psy zostały trafione na zewnątrz. Jak zawsze walka dobiegła końca z szokującą gwałtownością. W jednej chwili słychać było strzały i wrzaski, chór stali uderzającej o stal niczym w kuźni, a w drugiej dobiegały jedynie jęki rannych i odgłosy żołnierzy dobijających padłych nieprzyjaciół; krótkie uderzenia rzeźniczego topora.

– Zsiadać! – krzyknął Raj. – Psy czuwać.

Horace postawił swoje kłapiaste uszy na to słowo. Tak jak i inne wierzchowce, gdy ludzie zsuwali się na ziemię, dobywając karabiny z olster u siodeł. Każdego, kto będzie próbował dostać się na parter, spotka bardzo paskudna niespodzianka.

– Ranni mogący chodzić niech osłaniają frontowe wejście – ciągnął Raj. Mogli obandażować siebie i mocniej rannych. – Reszta, nałożyć bagnetów i za mną.

Na chwilę przełożył szablę do drugiej ręki, aby rewolwer znalazł się w lewej i poprowadził pędem w górę po swojej stronie podwójnych, krętych schodów, z porucznikiem plutonu eskorty po drugiej. Strzelcy wyborowi odłączyli się w połowie drogi na górę, aby, strzelając ponad głowami towarzyszy, osłaniać szczyt schodów. Ćwieki i podkute blachą podeszwy brzęczały i krzeszały iskry na wapieniu. Siatka celownicza Centrum ukazała mu się przed oczami... to było złym znakiem, bo działo się tak tylko w rozpaczliwych sytuacjach. Nie było czasu do namysłu, a tylko szybkie, czyste uczucie całkowitej czujności. Wszyscy przykucnęli, zbliżywszy się do szczytu schodów. Dał znak na prawo i lewo ludziom, których czubki bagnetów widział po obu stronach.

– Teraz!

Chorążę znajdujący się dwa stopnie w dole padł na płask, wystawiając flagę i wymachując nią. Brygadowcy czekający w górnym korytarzu zareagowali dokładnie tak, jak Raj się tego spodziewał. Drzewce podskoczyło w dłoniach chorążego, gdy jedna z kul oderwała kawałek hebanowego kija, podczas gdy inne przeleciały przez gruby jedwab samego sztandaru. Raj i strzelcy na przedzie przykucnęli pod krawędzią schodów, gdy maleńkie kulki i naboje z pistoletów waliły w górny stopień. Wydawało się, jakby czas zwolnił, gdy uniósł głowę i lewą rękę.

Zielone światło rozjarzyło się wokół mężczyzny z rewolwerem. Raj wstawił lufę pomiędzy deseczki krzesła. Maksymalny priorytet. *Trzask*. Mężczyzna poleciał do tyłu z kulą w szyi, a jego tryskające krwią ciało ubrudziło kilku innych. Raj wypalił tak szybko, jak jego nadgarstek mógł przesunąć kropkę celownika na następny jarzący się cel, opróżniając pięciostrzałowy bębenek w czasie krótszym, niż zajęło zaczerpnięcie oddechu. Jeszcze trochę tego i zasłuży na reputację mistrza w posługiwaniu się pistoletem. Gdy opadł z powrotem za najwyższy stopień, czterech ludzi wymierzyło karabiny ponad nim i wypaliło. Ciężkie, jedenastomilimetrowe pociski przebiły się przez barykadę. Cała czwórka zanurkowała z powrotem, żeby przeładować, a kolejni powstali kilka stopni niżej, żeby strzelić ponad ich głowami. Odgłos ten odbijał się echem od ciasno ustawionych kamiennych ścian, głośno niczym grom.

Nie był to manewr z podręcznika musztry, ale to byli weterani. Wytrząsnął z rewolweru pusty mosiądz i przeładował, oceniając wielkość odpowiedzi ogniowej.

– Jeszcze raz i na nich – powiedział. – *Teraz*.

Powstali do natarcia. Mężczyzna obok Raja dostał w brzuch, zgiął się wpół z westchnieniem i poleciał do tyłu po schodach, tocząc się i wywijając koźły. Żołnierze za nim przepchnęli się do przodu. Wszyscy Brygadowcy za zaimprovizowaną barykadą byli mocno ranni, ale nie oznaczało to, iżżaden z nich nie mógł walczyć. Nastąpiła krótka wymiana strzałów z bliskiej odległości i pchnięć bagnetów.

Raj stał, myśląc, gdy żołnierze przeszukiwali pokoje po obu stronach korytarza, prędko, ale ostrożnie. Żadnych więcej strzałów... poza tymi na zewnątrz, gdzie znowu narastał ciągły trzask. Jego spojrzenie padło na nie zapaloną lampę. Była to jedna z tych umieszczonych w uchwytach wzdłużściany. Podobna do tych w rodzinnych stronach; na dole kulisty szklany zbiornik na naftę, a wewnątrz zwinięty, płasko spleciony bawełniany knot nastawiany małą mosiężnąśrubką, a nad tym podłużny wylot z dmuchanego szkła.

– Sierzancie – zawołał Raj, przestępując nad martwym Brygadowcem.

Krew, która zebrała się kałużą wokół poległego wroga, poplamiła mu podeszwy tak, że pozostawiał lepkie ślady na parkiecie korytarza. Światło wpadało przez okna w kształcie rozety po obu stronach korytarza.

–

Weźcie te lampy, wszystkie – powiedział.

–

Ponie? – Podoficer wgapił się w niego.

–

*Wszystkie*, a gdzieś w pobliżu, w kredensie, powinni przechowywać ich więcej. Rozstaw je przy oknach. Szybko! – Żołnierz odbiegł. Rozkaz był bezsensowny, ale on dopilnuje, by go wykonano szybko i sprawnie.

–

Poruczniku – ciągnął Raj. Młodzieniec podniósł na niego wzrok znad obwiązywanej

naprędcie łydki.

– *Mi heneral?*

–

Oddział do każdego z głównych okien, jeśli łaska. Poślij kogoś po dodatkową amunicję z juków.

– Panie.

–

I sprawdź, ilu ludzi mogących strzelać jest na dole. Poślij paru żołnierzy, żeby pomogli im zabarykadować drzwi i okna.

– *Ci, mi heneral.*

Poprowadził swoją własną małą grupkę składającą się z gońców i chorążego przez pokój po przeciwnej stronie niż klatka schodowa. Wyglądało na to, że była to jakaś komnata do zebrań, z długim stołem i krzesłami oraz skrzyżowanymi sztandarami na ścianie. Jeden był szkarłatno-czarną, podwójną błyskawicą Brygady, a drugi lokalnym emblematem.

– Weźcie stół – powiedział. – I wychodźcie za mną.

Balkon na zewnątrz ciągnął się wzdłuż frontu budynku; kuta żelazna balustrada na kamiennej podstawie. Sygnaliści wyszli, pomrukując pod ciężarem masywnego dębowego stołu i upuścili go z hukiem, opierając bokiem o poręcz. Zapadli za niego szybko, z wdzięcznością, gdy strzelcy w oknach i na dachach po drugiej stronie otworzyli ogień. Na szczęście nic nie górowało nad ratuszem oprócz wieży kościoła, a ta była zbyt odsłonięta, by stanowić dobre stanowisko dla strzelca wyborowego. Inne oddziały wnosiły własne meble, niektóre z barykady Brygadowców u szczytu schodów.

– Zajmijcie ich czymś, chłopaki – powiedział Raj.

Wybuchł ciągły trzask wymierzanych strzałów; wzdłuż balkonu, z okien w obu końcach korytarza z tyłu i z małych okienek na tyłach ratusza. Raj wyjął lornetkę. Zimny uśmiezek wykrzywił mu usta. Wyglądało na to, że nieprzyjaciel wychodził na ulicę i głównie kręcił się w kółko zaskoczony, przyłączyło się nawet kilku mieszkańców miasteczka.

*Amatorzy*, pomyślał.

Twardziele, każdy z osobna dobry wojownik, lecz ktokolwiek nimi dowodził, nie był na tyle zorganizowany, aby zmienić plany, gdy pierwszy zawiódł. Na tym polegał problem z dobrym planem – a była to sprytnie pomyślana zasadzka – że cię hipnotyzował. Jeśli nie miałeś czegoś w zanadrzu na wypadek niepowodzenia, to traciłeś czas. A czas był rzeczą najcenniejszą ze wszystkich.

Na południe od miasteczka StrażŻycia ustawiała się poza zasięgiem ognia. Psy na tyły, rozciągnięty podwójny szereg, jedna kompania w siodle do szybkich manewrów; prosto jak w podręcznikach. Także działka. Cztery, a pierwsze przygotowywało się do...

*POUMPF*. Pocisk przeleciał górą ze zgrzytliwym jękiem i wyrznął w jedną z fabryczek. Czarny dym i kawałki gontu oraz krokwi wystrzeliły w górę. Buchnęło więcej dymu. Musieli tam przechowywać jakiśój albo lanolinę.

– Panie. – Byli to porucznik i sierżant plutonu.

Ten drugi niósł z tuzin lamp naftowych, a jego ludzie nieśli jeszcze więcej, pozostałe zaś piętrzyły się wysoko na drewnianym wózku woźnego.

—

Panie – ciągnął młody oficer – na dole jest dziesięciu ludzi zdolnych do walki, jeśli nie będą musieli się za bardzo ruszać. Zabarykadowaliśmy wejście frontowe. Barykada jest mocna i nie przedostaną się bez tarana. Fronton to inna historia, zrobiliśmy, co się dało, ale... Raj skinął głową i wyjął z kurtki paczkę papierosów, wręczając dwa pozostałym mężczyznom.

—

Sygnalisto, dwie czerwone rakiety – rzucił przez ramię. A potem skupił swoją uwagę z powrotem na mężczyznach.

— Za jakieś pięć minut – powiedział, machając czubkiem szabli w stronę miasteczka – barbarzyńcy zdadzą sobie sprawę, że dopóki tu siedzimy, to nie mogą nawet bronić miasteczka przed Strażą Życia – zbyt skutecznie możemy stąd sprzątnąć ich snajperów na dachach.

—

Spróbują więc nas napaść. Mogą wejść tylko dwiema drogami: od tyłu i od przodu, tak samo jak my weszliśmy. Nie mamy dość karabinów, żeby ich powstrzymać i jednocześnie także powstrzymywać snajperów. A kiedy znajdą się blisko ścian, nie będziemy mogli się podnosić i strzelać stąd bez odsłaniania się.

Skinęli głowami. Raj wziął jedną z lamp i podkręcił knot, zapalając go papierosem. Płomień był błady i chwiejny w jasnym świetle poranka, ale palił się.

—

Będą się musieli zgrupować przy ścianach – na przykład przy drzwiach. – Raj podrzucił lampę w górę i w dół. – Naprawdę nie sądzę, żeby im się spodobało, jak je na nich spuścimy. Dwaj oficerowie i podoficer uśmiechnęli się do siebie. – A co z frontonem? – spytał sierżant. – Nad gankiem jest to – uderzył obcasem w podłogę balkonu.

—

Tam – ciągnął Raj – bierzecie beczułkę... – Wskazał na gliniane beczułki nafty na wózku i dzwoniący o niego tuzin lamp. – ...i wieszacie ją jak *pihnyata* na któryś z uchwytów.

—

Dobra, ponie – powiedział sierżant, szczerząc się w uśmiechu jak rekin. – Tom, gdzie łobleje ich naftom, jak wpadnom na schody, ano.

Wziął ciężki pojemnik i zarzucił go sobie na ramię. – Ta, Belgez, za mnom.

\* \* \*

— Sto tysięcy ludzi? – spytał Ingreid.

Teodore Welf skinął głową zachęcająco. – Wliczając w to wszystkie regularne garnizony, jakie mogliśmy wycofać, Wasza Znamienitość, oraz poborowych pierwszej klasy – wszyscy zorganizowani i wszyscy między osiemnastym a czterdziestym rokiem życia.

Usta Ingreida poruszyły się i mężczyzna spojrział na swoje palce. – Ile z tego w regimentach?

Howyrd Carstens rozejrzał się po komnacie narad. Była dość obszerna, ale skromna: pobielone ściany i wysokie, wąskie okna. Znajdowali się tu tylko we troje oprócz służby i cywilnych rachmistrzów – niebytów. Dobrze. Lubił Ingreida i szanował go, ale nie dało się zaprzeczyć, iż wielkie liczby po prostu nie były *rzeczywiste* dla starszego wielmoży. A właściwie, to sto tysięcy ludzi stanowiło liczbę trudną do pojęcia dla niego samego, a był on nowocześnie myślącym człowiekiem, który potrafił czytać i pisać, znał też arytmetykę, łącznie z dzieleniem z resztą. Miał tyle blizn i zabił w tylu pojedynkach, że nikt nie nazwie tego niemęskim.

Teodore odezwał się pierwszy. – Standardowych regimentów? – Tysiąc do tysiąca dwustu ludzi w każdym. – Setka, sto dziesięć regimentów. Nie wliczając oczywiście ciur obozowych i tym podobnych.

Ingreid zamruczał i łyknął resztkę swojej kawy, pstrykając palcami, żeby przynieśli jeszcze.

– A nieprzyjacieli?

Carstens wzruszył ramionami. – Dwadzieścia tysięcy ludzi, ale ponad połowa to piechota.

Rządy Wojskowe nie miały w swoich szeregach piechoty i zastanawiano się, dlaczego Rząd Cywilny zawracał sobie nią głowę.

–

Żołnierzy wierzchem, prawdziwych wojowników? Siedem, może osiem regimentów. Mają jednak sporo artylerii polowej – i z tego, co słyszałem, jest skuteczna.

Ingreid potrząsnął głową. – Siedem regimentów przeciwko setce. Szaleństwo! Co Whitehall chce osiągnąć?

–

Nie wiem, Wasza Znamienitość – powiedział Teodore Welf. Starsi mężczyźni podnieśli wzrok na ton jego głosu. – I to mnie martwi.

\* \* \*

Palący się ludzie umykali z ganku ratusza. Kilku mężczyzn oberwało pełnym rozbryzgiem paliwa i teraz tarzali się w mokrej ziemi na placu. Jeszcze więcej podskakiwało i wyło, bijąc płomienie osmalające im buty i spodnie. Kule rżące w nich z okien były o wiele bardziej śmiertelne – lecz każdy człowiek czegoś się lęka, a dla wielu jest to ogień. Woń opalonego kamienia, płonącej wełny i włosów buchała podmuchem gorąca i dymu z ganku ku wiszącemu nad nim balkonowi. Na parterze wyły i szczekały psy, na tyle głośno, że podłoga drżała im lekko pod stopami. Ludzie na balkonie w górze strzelali, przeładowywali i strzelali, skupiając uwagę na bezbronnych celach.

– Pilnujcie tych cholernych *dachów* – warknął Raj i słuchał, jak rozkaz powtarzany jest przez podoficerów.

Brygadowcy zaczęli skupiać się do następnego natarcia na ganek, gdy płomienie nieco przygasły... choć spod podłogi balkonu dochodziło złowróżbne trzeszczenie krokwi biegnących od luków do ściany budynku. Kolejny deszcz szklanych latarni pełnych nafty pozostawił na ziemi kałuże ognia i przerwał natarcie, odrzucając Brygadowców z powrotem na drugą stronę placu, gdzie szukali schronienia w innych budynkach.

Raj spojrział w lewo, na południe. Nacierają tam StrażŻycia Cabota, z baterią działek polowych strzelających ponad głowami. Kanonierzy mieli zasięg, i budynki znajdujące się na obrzeżu miasta rozpadały się pod młotem pięciokilowych pocisków.

–  
Messer Raju. – Sierżant plutonu, pochylając się, podszedł do stanowiska Raja, mając stos drewnianych mebli wzdłuż balustrady pomiędzy sobą a celownikami strzelców Brygady.

–  
Nieźle żeśmy ich sporzyli, ponie – powiedział podoficer. Jego własne brwi wyglądały tak, jakby także poniosły straty w boju. – Tylko, że pieprzony dach się poli, ano. Będzie trza się niedługo ruszać.

–  
Barbarzyńcy się ruszą, zanim się upieczemy, sierżancie – powiedział Raj. *Mam nadzieję, że tak*, pomyślał. Miał też nadzieję, że ciepło kafli podłogowych pod jego dłonią to złudzenie.

Wróg *powinien* uciec. Pozadas pomogło zastawić pułapkę – czego jego mieszkańcy pożałują – ale Brygadowcy pochodzili ze wsi. Gdy zostaną schwytani w dwa ognie, instynkt będzie im nakazywał podążyć ku otwartej przestrzeni, z dala od budynków, które dawały osłonę, ale były także pułapką.

Otarł oczy rękawem kurtki i podniósł szkła. *Tak*. Grupki mężczyzn wylewały się z domów, wylewały się z fabryczek – większość z nich płonęła. Piechotę i na grzbietach psów splywali na północ ku rzece, tłocząc się na jedynym kamiennym moście lub przepływając na swych psach na drugą stronę. Dowódca baterii był czujny i natychmiast podniósł lufy. Nad głowami dał się słyszeć dźwięk pocisków, niczym rozdierane płótno. Jeden wylądował za mostem. Następny nie doleciał, wybijając dziurę w prowadzącej do niego drodze – wyrzucając w górę ludzi i psy oraz kawałki jednych i drugich w fontannie białawo-szarej ziemi. Następny ukruszył bok samego mostu i cała bateria dała ognia. Pociski wybuchwały w powietrzu nad rzeką, wytłaczając kręgi na wodzie, jak dziobate ślady po rozprysnięciu szrapnela.

– Na dwór, wszyscy na dwór – powiedział Raj.

StrażŻycia nacierała, pokrzykując radośnie. Kompania wierzchem rozpędziła się do galopu przed nimi.

– Sprawdźcie każdy pokój – ciągnął. – Może być w nich ktoś ranny i nie móc się ruszyć. Do roboty!

Porucznik przyszedł z tyłu, utykając na rozdartą nogę i uśmiechając się niczym sierpostop. – Wymiotło ich – powiedział. – Wszystkich oprócz tych, których żeśmy spalili albo zastrzelili, jak próbowali otworzyć tylne drzwi przy pomocy pnia drzewa.

– Dobra robota – powiedział Raj.

Objął młodego oficera w pasie, aby go podeprzeć i szybko zeszli po schodach. Dolne piętro już pustoszało. Psy skamlały i tańczyły nerwowo, gdy przechodzili po gorących kaflach ganku. Kałuże ognia wciąż płonęły na popękanej posadzce, a grube belki na suficie pokryte były szkarłatnymi

jężorami płomieni.

*Chyba jednak nie wydawało mi się, że podłoga robi się gorąca*, pomyślał Raj. Nafta okazała się skutecznym rozwiązaniem problemu Brygadowców szturmujących budynek... lecz mogła przynieść pewne poważne problemy w dalszej perspektywie czasowej.

Oczywiście, musisz przeżyć, żeby dalsza perspektywa była istotna.

Horace obwachał go starannie na placu, a potem kichnął, upewniwszy się, że Raj nie został ranny. Na plac wpłynęła kompania Straży Życia wierzchem, już dobywając karabinów. Za nimi podążały ciągnięte klusem, zwrócone do przodu dwa działka. Raj spojrział na południe: kompanie spieszone rozciągały się, aby otoczyć miasteczko i zamknąć je z trzech stron.

Cabot Clerett zatrzymał psa przed generałem, unosząc szablę w salucie. Raj odpowiedział na ten gest, przykładając pięść do piersi.

Młodszy mężczyzna stanął w siodle. – *Niech to diabli*, wielu z nich się wymknie – powiedział. Od strony mostu dochodził odmierzany huk salw ognia i nieco przytłumiony odgłos armat strzelających z bliska kartaczami.

Znajdujący się obok Raja chorąży zeszywniał nieco na ton w głosie młodego oficera. Clerett zdał sobie sprawę ze spojrzeń.

– Panie – dodał.

Raj spoglądał w tym samym kierunku. Przez ponad tysiąc metrów ziemię po obu stronach rzeki stanowiły płaskie, zirygowane pola. Brygadowcy uciekali przez nie – ci z najszybszymi psami, którzy znajdowali się przedtem najbliżej rzeki. Ciała unosiły się teraz z prądem. Niewielu z tych, którzy, gdy przybyli żołnierze, wciąż znajdowało się w wodzie lub na moście, przebędzie rzekę; gdy się przyglądał, grupka na dalekim brzegu poleciała do tyłu.

– Och, nie sądzę, majorze Cleretcie – rzekł spokojnie. Horace przysiadł, a on zajął miejsce w siodle.

Za oczyszczonymi polami znajdował się las często przycinanych topoli, prawdopodobnie rosnących jako źródło opału dla rękodzielników i do kominków Pozadas. Błysk metalu był ledwo widoczny, gdy ludzie wyjeżdżali z lasu, zatrzymując się, aby wyrównać szyki. Z tej odległości nie słyhać było trąbek, lecz sposób, w jaki jednocześnie błysnęły uwalniane szable, a ludzie pognali do przodu, nie dał się z niczym pomylić.

Clerett spojrział na niego beznamiętnie. Pomruk rozszedł się wśród znajdujących się najbliżej ludzi i szepty, gdy powtarzali tę rozmowę tym, którzy byli dalej.

– Spodziewałeś się zasadzki? – spytał ostrożnie Clerett.

–

Nie dokładnie. Myślałem, że przydałaby się nam pomoc z całym tym inwentarzem... i że wszystko szło zbyt łatwo.

–

Gdybyś mi powiedział, panie, moglibyśmy zorganizować jakieś bardziej... eleganckie

rozwiązanie, bez dodatkowych żołnierzy.

Raj westchnął, rozglądając się dokoła. Cywile wciąż znajdowali się w domach, oprócz tych kilku, którzy próbowali podążyć za Brygadowcami przekraczającymi rzekę i zginęli wraz z nimi. Ogień palił się powoli, a słupy dymu waliły prosto w spokojne, chłodne powietrze. Sięgnął do juków i z jednej z toreb, które wsadziła mu Suzette, wyciągnął orzech włoski.

– Majorze – rzekł – *to* jest elegancki sposób, aby rozgnieść orzech.

Ścisnął jeden ostrożnie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym ręki, którą władał szablą. Skorupa się rozdzieliła, a on wyjął zawartość i wrzucił ją sobie do ust.

– I może się udać. Jednakże. – Wziął drugi orzech w lewą dłoń, uniósł prawą i grzotnął nią w dół. Orzech został roztrzaskany, a on strząsnął kawałki na ziemię. – Ten sposób *zawsze* działa. Bardzo niewiele operacji nie udało się, bowiem użyto zbyt wielu żołnierzy. Wykorzystaj, co tylko możesz.

Cabot skinął głową z namysłem. – Jakie są twoje rozkazy, panie? – spytał. – To znaczy, dotyczące miasteczka.

Rannych układano na ziemi przed ratuszem. Raj skinął głową ku nim.

– Rozbijemy się tu biwakiem na noc, twój batalion i Rzeźnicy – powiedział. – Zgaście pożary albo je opanujcie – pobudźcie cywili, żeby wam pomogli. Spędźcie inwentarz, który pędziliśmy. Wyślijcie grupy zwiadowcze, by dopilnować, żeby żaden nieprzyjaciel nie uciekł ani się nie ukrył. A przy okazji, żadnych jeńców.

– Miasteczko i cywile? – spytał Clerett.

Raj się rozejrzył. Pozadas poddało się na określonych warunkach, a potem je pogwałciło.

–

Spłądrujemy do cna wszystko, co użyteczne, i spalimy, gdy jutro wyjedziemy.

Powystrzelamy wszystkich dorosłych mężczyzn, oddamy kobiety żołnierzom, a potem pognamy je wraz z dziećmi do kolumny, na sprzedaż.

Clerett skinął głową. – W sumie małe, ale zgrabne zwycięstwo, panie – powiedział.

–

Doprawdy, majorze? – spytał posępnie Raj. – Straciliśmy dzisiaj ilu... dwudziestu ludzi? Bratanek gubernatora uniósł brwi. – Zabiliśmy setki – stwierdził. – A teraz zwycięstwo na polu bitwy jest nasze.

–

Majorze, Brygada może *zastąpić* setki łatwiej, niż ja mogę zastąpić dwudziestu weteranów kawalerzystów. Gdyby wszyscy barbarzyńcy stanęli w szeregu, aby moi ludzie mogli poderznąć im gardła, to mogliby ciąć, aż by im opadły ramiona ze znużenia, a Brygadowców wciąż by nie brakowało. Tak, teraz pole bitwy należy do nas – aż odjedziemy. Mając mniej niż dwadzieścia tysięcy ludzi, trudno byłoby mi obsadzić garnizony w jednym dystrykcie, a co dopiero w całych Zachodnich Terytoriach. Możemy zwyciężyć tylko wówczas, gdy ludzie będą posłuszni *bez* oddziały mierzącego w nich cały czas z karabinów.



Raj w zamyśleniu postukał kostkami dłoni o kulę siodła. – Nie wystarczy *pokonać* ich w bitwie. Muszę ich *zmiążdżyć* – złamać wolę oporu, zmusić ich do poddania się. Nie poddadzą się paru batalionom kawalerii. Zatem musimy znaleźć coś, przed czym się poddadzą.

Zebrał wodze. – Zmierzam z powrotem do głównej kolumny. Podążajcie za mną tak szybko, jak możecie.

\* \* \*

Abdullah al'Aziz rozłożył z rozmachem dywan.

– Najwspanialsza robota z Al Kebir, moja pani – odezwał się po spanjolsku, starannie wtrącając ślady arabskiego akcentu – był to jego rodzimy język, potrafił jednak mówić jeszcze pół tuzinem innych z bezbłędną biegłością. Był drobnym mężczyzną o oliwkowej skórze, jak miliony wokół Morza Śródziemnego czy też w położonych dalej na wschodzie dominiach Kolonii. Ubranie i bardziej subtelne oznaki wskazywały na to, iż jest zamożnym muzułmańskim kupcem z Al Kebir, a on potrafił zmieniać ruchy rąk, twarzy i ciała równie łatwo, co długą tunikę, workowate spodnie i turban.

Tego ranka w pokoju generalskiego pałacu było ciepło od draperii i płonących w jednym kominku kłód, lecz wieczny wilgotny chłód zimy w Koszarach Carson wciąż utrzymywał się, chociażby tylko w umyśle. Abdullah rozpraszał go nieco swoimi towarami. Jasne dywany z jedwabiu o tysiącu supełkach i ze złotą nicią, aksamity i torofib, przyprawy, czekolada i lapis lazuli. Od czasu wojen zanjiskich, gdy Tewfik z Al Kebir złamał monopol południowych miast-państw, paru śmiałych kupców Kolonistów wybierało się w trwającą rok podróż dokoła Południowego Kontynentu do znajdujących się w rękach Brygady portów Tembarton i Rohka. Jeśli przeżyło się spotkanie z morskimi potworami, sztormy i dzikusów, taka podróż mogła być bardzo opłacalna. Rząd Cywilny kontrolował lądowe trasy z Kolonii, a jego podatki pięciokrotnie podnosiły cenę.

Marie Manfrond wyprostowała się na krześle. – To piękna robota – powiedziała, przesuwając dłonią po kawałku torofibu wyszywanego w pawie i afgany wiozące na polowanie mężczyzn w turbanach.

– Wy wszyscy – ciągnęła – zostawcie mnie. Poza tobą, Katrini.

Kilka dworskich matron prychnęło z niechęcią, wychodząc; usługiwanie damie generała było dziedzicznym prawem małżonek pewnych wysokich oficerów. Chłodne spojrzenie Marie pospieszyło je ku drzwiom. Mężczyźni w mundurach straży stali na zewnątrz; ceremonialni wartownicy i prawdziwi strażnicy więzienni. Abdullah rzucił spojrzenie na Katrini. Stała ona koło drzwi, ustawiona tak, aby dać im kilka sekund, gdyby ktoś przez nie wpadł.

– Katrini jest ze mną, odkąd byłyśmy dziewczynkami – powiedziała Marie. – Zawierzam jej swoje życie.

Abdullah wzruszył ramionami. – Inshallah. Wiesz zatem, od kogo przybywam?

Jego długi, jedwabny płaszcz i spięty klejnotem turban były naprawdę autentyczne; wykonane w Al Kebir, jak wskazywał na to ich wygląd.

–  
Od Raja Whitehalla – rzekła beznamiętnie Marie. – Kupcy z Kolonii nie przybywają do Tembarton o tej porze roku, wiatry są niekorzystne.

–  
Ach, moja pani jest spostrzegawcza – powiedział Abdullah. Marie skinęła głową. Nawet jeden szlachcic Brygady na tyśiąc by się tego nie domyślił.

–  
Nie przybywam jednak od generała Whitehalla... nie bezpośrednio. Raczej od jego żony, pani Suzette. Jeśli towarzysze messer Raja są walczącym dla niego mieczem, to ona jest jego sztyletem, nie mniej śmiertelnoścym.

–  
Czy to ważne? – spytała Marie. – Dlaczego nie miałabym od razu oddać cię w ręce ludzi mego męża?

Abdullah uśmiechnął się na tę zasugerowaną groźbę, iż zostanie oddany *później*, jeśli nie teraz. Ta subtelność była przyjemna. Zawdzięczał Suzette Whitehall wolność i życie swoje i swojej rodziny, lecz służył jej przede wszystkim dlatego, iż dawała mu możliwość pełnego spożytkowania jego talentów. Gdyby tego chciał, mógłby przejść na emeryturę i żyć z oszczędności, lecz życie byłoby równie pozbawione smaku, co mięso bez soli.

–  
Wybacz mi, jeśli tak zakładam, pani, lecz moja pani Suzette powiedziała mi, iż twoje interesy i interesy generała Ingreida nie są... jak by to powiedzieć... nie są zawsze dokładnie takie same.

–  
To nie stanowi tajemnicy nawet w Koszarach Carson – powiedziała Marie. Nie minął miesiąc od ślubu, a schodzący siniak wokół podbitego oka był niedokładnie zamaskowany kosmetykami. – Ale Ingreid Manfred jest generałem, a mój lud prowadzi wojnę. Czy sądzisz, że zdradzę 591 Prowincjonalną Brygadę i jej dziedzictwo przez złość?

–  
Ach, nie, żadną miarą – rzekł uspokajająco Abdullah, rozkładając ręce w czarującym geście.

–  
Pani Suzette jest poruszona siostrzanym współczuciem – oraz przekonaniem, iż generał Ingreid wyrządzi swoją niekompetencją Brygadzie wszelką szkodę, jaką mógłby wyrządzić zdrajca. A poza tym Duch Człowieka – powiedziałbym, że ręka Boga – czuwa nad jej panem. Jest nie do pokonania. Pani Suzette martwi się, iż możesz niepotrzebnie ucierpieć od gniewu Ingreida.

– A ja mogę uwierzyć w tak wiele lub w tak mało z tego, ile zechcę – powiedziała Marie.

Przez chwilę milczenie zaciążyło w ciepłym powietrzu pokoju; na zewnątrz mgła i delikatne kropelki deszczu lgnęły do murów i skrywały bagno.

– Czy to prawda – młoda kobieta ciągnęła dalej neutralnym głosem – że ona jedzie u jego boku?

Abdullah ponownie się skłonił, z ręką przyciśniętą do piersi. – Jedzie z jego wojskowym

gospodarstwem – powiedział. – I zasiada na wszystkich jego radach. Pod El Djem jej karabin powalił Kolonistę, którego miecz był wzniesiony nad głową messera Raja.

Marie położyła łokieć na rzeźbionej poręczy krzesła i wsparła brodę na pięści. – Jakiej pomocy może mi udzielić?

– Czyż generał Ingreid nie powiedział, i to publicznie, aby wszyscy słyszeli, że jak tylko dostarczysz dziedzica, nie będzie cię potrzebował?

Te słowa były bardziej bezpośrednie niż jego. Marie skinęła głową. Kiedy już Ingreid będzie miał dziedzica z jej niewątpliwie amalsonskiej krwi, nie będzie potrzebował małżeństwa z nią, aby rościć sobie niezaprzeczone prawo do Stolca. Już od tygodnia regularnie wymiotowała.

Abdullah otworzył małe puzderko z drzewa różanego. – Oto są *ayzed* i *beyam* – rzekł, uśmiechając się spod osłoniętych rzęsami oczu. – Jeden na problem, który, jak widzę, masz teraz, moja pani. Drugi w skrzyneczce na wypadek, gdybyś zobaczyła w generale Ingreidzie nie tarczę Brygady, lecz kamień ciągnący ją do dna.

Wyjaśnił, jak posługiwać się zanjiskimi lekami. Katrini stojąca przy drzwiach głośno wciągnęła powietrze; Marie dała jej znak, by zamilkła i z namysłem skinęła głową.

– Ingreid nie ma nawet mózgu sauroida – rzekła zamyślona. – Mów dalej.

–

Moja pani, masz własnych stronników – rzekł Abdullah. – Lojalnych względem twojej rodziny. Twoją matkę dobrze wspominają, a tym bardziej ojca.

–

Niewielu prawdziwych wasali. Stolec kontroluje moje rodowe włości, zatem nie mogę wynagradzać moich stronników. Wojownicy muszą iść za lordem, który może obiema rękami rozdawać im złoto, wyposażenie i ziemię. Ja jestem przetrzymywana tutaj, nie mając łatwego dostępu do nikogo poza klientami Ingreida i ludźmi, którzy mu przysięgali.

Abdullah rozłożył ręce. – Fundusze można wypłacić z góry – rzekł. – A wiadomości można doręczać. Nie w jakimś zdradzieckim celu, ale czyż nie masz do tego prawa? Czyż zgodnie z prawodawstwem Brygady dama *brazaz* twego stanu nie ma prawa do swego własnego dworu, do swych własnych dworzan?

Marie chytrze skinęła głową. – Będziemy jeszcze musieli o tym porozmawiać – stwierdziła.

## Rozdział czwarty

– Zaraz przed nami, ponie – powiedział zwiadowca. – Skręćcie w prawo z drogi, do *kasgrane*, ano.

Korpus Ekspedycyjny posuwał się drogą wijącą się przez wiejskie obszary niskich, pofalowanych wzgórz, głównie pokrytych winnicami, drzewkami oliwnymi i sadami; piękne z wyglądu, nawet gdy opadły wszystkie liście, lecz trudno było przez nie maszerować. Gdy zbliżali się do Starej Rezydencji, coraz częściej pojawiały się wioski, a *kasgrane* – dwory – były nie ufortyfikowane i często zbudowane z przepychem, z ogrodami i wodnymi ozdobami, jako wiejskie rezydencje miejskich magnatów. Lekkie, przewiewne konstrukcje wskazywały na to, iż większość z nich i tak byłaby pusta zimą, lecz także wielu wieśniaków skorzystało z bezpieczeństwa ofiarowanego przez mury miejskie. Od pokoleń nie było tutaj żadnej poważnej wojny, lecz wieśniacy czuli głęboko w kościach, że zwykle nie można było zbyt wybierać pomiędzy maszerującymi armiami. Każda ze stron mogła grabić i gwałcić, a może także zabijać i palić. Lepiej było ukryć się w mieście, gdzie najpewniej nadejdzie tylko jedna strona i gdzie dowódcy byli bardziej czujni.

Raj skinął głową i stuknął piętami w żebra Horace’a. Obok niego pokłusowała jego eskorta, po oczyszczonym odcinku za przydrożnym rowem. Wymijali posuwającą się piechotę – mundury piechurów były połatane, ale cieszyli się z tego, że wydostali się z błota rzeczno dna – wymijali działa i wozy ciągnięte przez woły, jeszcze więcej piechurów i szpitalne karetki, z których dobiegały odgłosy zgrzytania zębami, gdy ranni ludzie podskakiwali na koleinach prymitywnej, żwirowej nawierzchni drogi. A także były tam ponad dwie setki ludzi z zapaleniem płuc, a będzie ich więcej, chyba że wkrótce znajdzie im schronienie. Noce były teraz niezmiennie chłodne, a powietrze w ciągu dnia ostre, padało też mniej więcej co drugi dzień. Tylko miesiąc zajęło im przebycie ponad czterystu kilometrów. Ludzie byli wycieńczeni, a psy miały obolałe łapy.

*Pod koniec tego będę musiał pokonać drugie co do wielkości miasto w Śródświecie*, pomyślał posępnie Raj. Stara Rezydencja była jedynie cieniem tego, czym była w dniach swej chwały sześćset lat temu, gdy stanowiła siedzibę gubernatorów i stolicę całej niecki Morza Śródświatowego. Wciąż miała czterysta tysięcy mieszkańców i była centrum większości handlu i wytwórstwa w Zachodnich Terytoriach.

Minęli czoło kolumny. Przed nimi znajdowały się tylko oddziały zwiadowcze, przeczesujące wzgórza przed i wokół głównych sił, aby upewnić się, iż nie czekały na nich żadne niespodzianki. Pluton 5 z Descott czekał przy skręcie z drogi.

Prywatna aleja była wąska, lecz lepiej utrzymana niż droga publiczna; gładki pokruszony wapień wysadzany wysokimi cyprysami. Wiła się przez winnice, których przycinanie zostało przerwane w połowie. Niektóre winne latorośle były przycięte w poskręcane zimowe kształty, a na innych wciąż widać było na długich, nagich pędach roślinność pozostałą z tej pory roku. Nie pilnowane owce pasły się pomiędzy nimi na dywanie kielkujących upraw dzikiej gorczycy. *Kasgrane* w środku *finca*, posiadłości, miał dwa piętra z pomalowanego na biało kamienia i dach z gontu. Wysokie drzwi ze szklanymi szybami na obu piętrach wskazywały na to, iż była to letnia rezydencja; tak jak usytuowanie jej na szczycie wzgórza, by owiewał ją wiatr. Okna były teraz zamknięte, a dym unosił się z kominów.

Więcej dymu dobywało się z wymyślnych namiotów rozbitych w ogrodach. Wokół tłoczno było od wozów i karet oraz skromniejszych posłań służby i pomocników, a w powietrzu wisiał ciężki zapach wielu psów. Błyszcząca postać w kombinezonie z lśniącego, białego jedwabiu i szacie ze złotej tkaniny czekała przy głównym wejściu do dworu. Wysadzone klejnotami słuchawki spoczywały na jej rzadkich, białych włosach, a trzymana w dłoni laska zakończona była starożytną płytką obwodową otoczoną siatką z platyny i diamentów. Był to kluczowy chip kapłana parafii rezydencjalnej, symbol jego władzy nad kodem przekazywania dusz na orbitę spełnienia i banków ROM Ducha. Stroje liturgiczne stojących wokół niego arcysysupów, sysupów i kapłanów tworzyły oślepiającą aureolę w jasnym słońcu południa.

Gdy Raj się zatrzymał, arcykapłan na schodach uniósł laskę i dłoń w geście błogosławieństwa. Herold o płucach niczym miechy postąpił do przodu.

– Niech wszystkie dzieci Świętej Federacji pokłonią się przed *paratierem*, siedemnastym z kolei noszącym to miano, kapłanem parafii rezydencjalnej, sługą sług Ducha Człowieka Gwiazd, na którego ręce złożono otwieranie i zamykanie bram danych.

Raj i oficerowie zsiadli z psów. Oficerowie i Suzette dotknęli na chwilę ziemi jednym kolaniem. Raj miał w zgięciu lewego łokcia wykładaną platyną buławę będącą symbolem jego władzy prokonsula. Oznaczało to, iż był osobistym przedstawicielem gubernatora – a w Rządzie Cywilnym władca miał najwyższą władzę w kwestiach zarówno duchowych, jak i doczesnych. Zamiast przyklęknąć, pochylił się, aby ucałować pierścień na wyciągniętej dłoni prałata. W pierścieniu znajdował się także bezcenny starożytny relikw, całkowity chip procesora osadzony w rubinach i szafirach.

>>Jednostka FC-77b6<< stwierdziło Centrum. >>Zwykle używana do kontroli domowych modułów rozrywkowych.<<

– Wasza Świątobliwość – rzekł, prostując się, Raj.

Kapłan był starszym człowiekiem o twarzy przypominającej blady, pomarszczony pergamin, a wokół niego unosił się lekki zapach lawendy. Oczy miał brązowe i zimne niczym kamienie wypolerowane przez strumień z lodowca.

– *Heneralissimo supremo* Whitehall – odparł w nie nacechowanym akcentem sponglijskim. – Wraz z tymi świętymi przedstawicielami kościoła...

Zgromadzeni duchowni przyglądali się Rajowi i jego ludziom, tak jak jednoróg przypatruje się carnosauroidowi. Nie byli właściwie zatrwożeni, jedynie czujni. Niewielu wyglądało na pełnych entuzjazmu z powrotu panowania Rządu Cywilnego. Kościół stanowił najważniejszą siłę w Starej Rezydencji, pod słabą władzą generałów Brygady. Żaden z nich nie miał złudzeń, iż Rząd Cywilny nie będzie równie pobłażliwy. A gubernatorzy najpewniej także nie pozwolą paratierowi na zachowanie dużej autonomii. Krzesło wierzyło w utrzymywanie kościelnych władz pod ścisłą kontrolą.

...oraz Radą Gubernatorską...

Cywilni magnaci. Rada była ważna pół tysiąca lat temu, gdy gubernatorzy rządili ze Starej

Rezydencji. We Wschodniej Rezydencji wciąż istniała rada, choć członkostwo w niej było pustym tytułem. Widocznie tutejsi ludzie podtrzymywali te formy jako swego rodzaju zarząd miejski.

...znajdują się tutaj, aby podarować ci klucze do Starej Rezydencji. – Dosłownie: do przodu wystąpił paż z ogromnym żelaznym kluczem na aksamitnej poduszce.

– Moje głębokie podziękowania, Wasza Świątobliwość – rzekł Raj.

Zupełnie szczerze. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była próba zajęcia szturmem miejsca dziesięć razy większego od Miasta Lwa. Zwrócił spojrzenie ku zebrany magnatom.

– Jestem przyjemnie zaskoczony waszą obecnością, panowie – ciągnął. – Zwłaszcza, że słyszałem, iż barbarzyński generał wymusił od was jeńców i przysięgi.

Paratier się uśmiechnął. – Przysięgi złożone pod przymusem są nieważne, i to podwójnie, jako że zostały złożone heretykowi. Ci wspaniali panowie zostali uwolnieni od przysięgi naszym rozkazem.

Raj skinął głową. *A ja dokładnie wiem, ile jest warte wasze słowo*, pomyślał. A na głos – Co jednakże z garnizonem heretyków?

Paratier rozejrzał się dokoła. Wydawał się nieco zaskoczony, iż Raj mówił otwarcie przy swoich oficerach. A jeszcze bardziej zaskoczony obecnością Suzette u jego boku.

– Ach – zakaszłał w chusteczkę. – Ach, zostali przekonani...

*Miasto Lwa*, pomyślał Raj, *w końcu na coś się przydało*.

\* \* \*

– Panie, *proszę*, wsiądź do pociągu!

Dziedziczny nadpułkownik Lou Derison potrząsnął głową. – Generał wyznaczył mnie na dowódcę Starej Rezydencji. Zostanę tutaj.

– Lou – powiedział drugi mężczyzna, podchodząc bliżej. – Straciliśmy Strezmana i cztery tysiące ludzi w Mieście Lwa. Nie możemy *pozwolić* sobie na następną taką stratę wyszkolonego, regularnego wojska. W garnizonie jest tylko pięć tysięcy ludzi, nie dosyć, aby zapanować nad wrogim miastem i bronić murów. Jednak na polu bitwy może to przesądzić o zwycięstwie lub klęsce. Kiedy już pokonamy *grisuh* w bitwie, Stara Rezydencja znowu otworzy przed nami swoje bramy – to miasto jest jak dziwka rozkładająca nogi przed najsilniejszym.

Z tyłu, za młodszym oficerem zaświstał gwizdek lokomotywy i przestraszył psa Derisona tak, że ten zaskomlał protestująco. Mały parowóz sapnął, a wokół podstawy jego umieszczonego pionowo kotła widać było czerwone plamy, tam, gdzie niewolnik wrzucał łopatą węgiel w ceglany łuk pieca. Dziesięć wagonów zostało przyczepionych do lokomotywy zwykłymi zaczepami z łańcuchów, podobnie jak ciągnięte przez woły wozy. Na osłonach kół i deskach boków widniały oznaczenia: 8 psów/40 ludzi. Były one wypakowane żołnierzami, ostatnimi z garnizonu Starej Rezydencji. Większość wyjechała w ciągu poprzedniego dnia i nocy. Tory biegły ku zachodowi, pośród walących się magazynów, a potem przez równie zrujnowane mury miejskie. Motorniczy zakrzyknął coś niezrozumiałego w stronę grupki oficerów.

Derison ponownie potrzęsął głową. – Nie, nie – robisz, co musisz, Torens, a ja zrobię to, co *ja* muszę. Do widzenia i niech Duch Człowieka tej Ziemi będzie z tobą.

Major Torens zamrugał, pochwycił wyciągniętą ku niemu rękę, a potem odwrócił się, aby wskoczyć do ostatniego, już ruszającego wagonu. Koła lokomotywy obróciły się na drewniano-żelaznych szynach i cały pociąg oddalił się w mglisty deszcz z trzeszczącym, szczękającym hałasem, który cichnął powoli, przechodząc w echo i wreszcie ostatni żałobny świst gwizdka.

Derison westchnął i założył hełm, starannie poprawiając napoliczniki. Jego zbroja była wypolerowana, a pod pasem na miecz miał czerwoną, jedwabną szarfę, lecz broń i pancerz już zaznały trudów służby.

– Chodźcie, panowie – powiedział. – Jedziemy do zachodniej bramy.

Towarzyszył mu tuzin ludzi: jego synów i kilku osobistych żołnierzy. Jeden się odezwał – Czy to rozsądne, panie? Tubylcy wymknęli się spod kontroli.

Derison zasiadł na przycupniętym psie, a ten podniósł się, szczeknąwszy z wysiłku. – Człowiek żyje tak długo, jak żyje, i ani dnia dłużej. Powitamy tego Raja Whitehalla jak wojownicy, pod otwartym niebem, a nie chowając się w budynkach jak kobiety.

\* \* \*

Chór trąb zagrał przy wejściu do Starej Rezydencji. Horace odskoczył kilka kroków w bok i rozłoszczony wyrzucił w górę swój długi pysk. Wojskowe psy oczekiwały, iż trąbki *przekażą* coś, a na tych grano jedynie po to, by narobić hałasu. Mury były wysokie, lecz cienkie, a część blank dawno temu odpadła. Po obu stronach bramy znajdowały się dwie wieże, lecz nie było odpowiedniego blokhauzu ani pogrubionych murów. Najpierw ciągnęły się kilometry ruin, a potem dotarli do fortyfikacji obronnych. Część stanowiło dzieło sprzed Upadku; większość materiałów, z których budowali nie-Upadli, niszczała szybko, lecz reszta nie niszczała wcale. Sporo było zwykłego kamienia i cegieł, mocno rozparcelowanych na materiał budowniczy. Datowały się one na trzeci albo czwarty wiek po Upadku, gdy Rząd Cywilny był rządzony z tego miejsca, obejmując całą nieckę Morza Śródświatowego.

Sam mur pojawił się jakiś wiek czy dwa później – gdy populacja miasta skurczyła się, a sytuacja pogorszyła. Dwa pokolenia potem Stara Rezydencja wpadła w ręce Brygady.

Nie było kraty, tylko grube drewniano-żelazne wrota. Droga otwierała się na leżący dalej plac, gdzie gęsto było od tłumy, którego głosy przetaczały się ponad głowami kolumny Rządu Cywilnego jak wielkie fale. Wciąż było to *duże* miasto. Ulica prowadziła na południe, ku rzece Białej, lecz pokryte budynkami wzgórze zagradały jej drogę. Olbrzymia, marmurowozłota bryła Pałacu Kapłana znajdowała się na lewo; nie tylko rezydencja, lecz dom kościelnych urzędników. Dalej po prawej widać było kopuły dachów Pałacu Starego Gubernatora – na betonie widniał tylko jeden złoty liść – a także katedron oraz Radę Gubernatorską – wszystkie znajdowały się na szczytach wzgórz, a znajdujący się pomiędzy nimi teren stanowił główny plac miasta. Reszta była morzem dachów i pajęczyną dróg oraz swojskim zapachem dużego miasta, na który składał się dym węglowy, smród potu, ścieków i psów. Wzdłuż głównej drogi znajdowały się nawet słupy gazowych lamp z kutego żelaza, wyglądające jakby zostały skopiowane z trójkloszowego modelu używanego we Wschodniej

Rezydencji. I tak pewnie było.

Po obu stronach ulicy stały delegacje kościoła, wielkich magnackich domów, cechów kupieckich oraz bractw religijnych. Świecona woda, kadzidła i suszone płatki kwiatów leciały w stronę grupy sztandarowej Raja wraz z okropnym brzękiem muzyki i zorganizowanymi okrzykami *Zwyciężaj! Zwyciężaj!* Było to gubernatorskie powitanie i wysoce nietaktowne, a Barholm dostanie szału, gdy o nim usłyszy – co z pewnością się stanie, i to wkrótce.

Czekała także grupa szlachty Brygadowców, wyglądająca na nieco pokiereszowaną i mocno rozgniewaną. Raj wraz z chorążym i strażą odłączył się od procesji i pogalopował ku otaczającemu ich kręgowi ubranej w białe mundury kapłańskiej straży. Żołnierze mieli ogolone czaszki, co oznaczało, iż sami byli wyświęconymi kapłanami.

–

Kim są ci ludzie? – Raj warknął do ich oficera, podnosząc nieco głos, aby niósł się ponad rykiem tłumu.

–

To dowódca garnizonu heretyków. Myśleliśmy, że wyjechał z pozostałymi, lecz oni zmierzali w tę stronę. Mamy ich pod strażą...

– Gdzie są ich miecze? – spytał Raj.

– Cóż, nie mogliśmy przecież pozwolić jeńcom chodzić uzbrojonymi, prawda? – powiedział mężczyzna.

– Oddaj im je – rzekł Raj.

Odwrócił głowę, by przyrzeć się oficerowi w białym mundurze, który zaczął się sprzeciwiać. Broń pojawiła się szybko; zwykle szerokie jednosieczne klingi o koszowych rękojeściach. Wydawało się, że Brygadowcy urosli kilka cali, gdy odzyskali klingi i schowali je do pochew. Większość z nich wyglądała, jakby wołała posłużyć się nimi wobec otaczających ich żołnierzy-kapłanów.

– Nadpułkownik Derison? – spytał Raj, podprowadzając Horace'a do przodu o kilka kroków.

– Generał Whitehall? – odpowiedział pytaniem mężczyzna.

Raj skinął krótko głową. Brygadowiec ponownie dobył miecza i podał go na lewym przedramieniu rękojeścią do przodu. Młodszy mężczyzna znajdujący się u jego boku uczynił podobnie. Raj przyjął miecz starszego, a Gerrin Staenbridge młodszego; zamachali nimi nad głowami i oddali klingi. Zgodnie ze zwyczajem Brygady ich właściciele zostali zwolnieni warunkowo pod słowem honoru. Miał nadzieję, że nie będą robili sprawy ze swoich pustych olster na pistolety, bowiem nie miał zamiaru zwracania im *tego*.

– Gratuluję mądrej decyzji – powiedział.

Właściwie, to pozostanie tutaj było bezcelowym gestem lub tchórzostwem. Nie uważał, że nadpułkownik jest tchórzem, lecz szkoda, iż postanowił pozostać, jeśli był po prostu głupi. Raj chciał, aby wszyscy pozbawieni wyobraźni oficerowie Brygady działali aktywnie na swoich



stanowiskach w strukturze dowodzenia.

Derison pochylił głowę. – Twoje rozkazy, panie? – powiedział.

–

*Moje* rozkazy nakazują przetransportować cię do Wschodniej Rezydencji – odparł Raj. Wyglądało na to, że Derison senior był zaskoczony, lecz przebłysk zainteresowania przemknął przez twarz jego syna. – Zostaniesz potraktowany honorowo, będziesz mógł zabrać ze sobą swoich domowników oraz otrzymywać dochody z posiadłości, jakie ci pozostaną.

Najprawdopodobniej także zostanie zepchnięty do jakiegoś dworu w odległej prowincji po tym, jak Barholm się nim pochwali, aby dodać świetności uroczystościom świętującym zwycięstwo, zaś jego synowie i młodszy żołnierze zostaną grzecznie wcieleni do wojska Rządu Cywilnego. Lecz istniał gorszy los dla pokonanych. Całej szlachcie Brygady, która się poddała, pozwolono zachować wolność i jedną trzecią ziem. Ci, którzy walczyli, stawiali czoła śmierci, a ich rodziny sprzedawane były jako niewolnicy.

–

Właściwie – ciągnął dalej – to byłbym zobowiązany, gdybyś jednocześnie zrobił coś dla mnie.

–

powiedział. – Proszę, przekaż go Jego Wysokości wraz z moimi ukłonami i powiedz, iż

Derison ponownie się skłonił. Raj sięgnął do kurtki. – Oto jest klucz do Starej Rezydencji postanowiłem przesłać mu go pod opieką człowieka honoru.

Brygadowiec spojrzał na klucz – który zwykle dla celów uroczystości pozostawiany był pod opieką kapłana – i zwalczył uśmiech.

–

Pułkownikowi Staenbridge – ciągnął dalej oficjalnie Raj.

–

*Mi heneral?*

– Dopilnuj, aby tych szlachciców odprowadzono do odpowiednich kwater w Starym Pałacu i z całym szacunkiem strzeż ich przy pomocy własnych ludzi.

– Wedle rozkazu, *mi heneral*.

Uprzejmość wobec pokonanych nic nie kosztowała, a zachęcała ludzi do poddawania się.

*A teraz do roboty*, pomyślał.

\* \* \*

– Czy którykolwiek z was słyszał kiedyś opowieść o prawniku Marthinezie? – spytał Raj.

Stał, spoglądając przez okno Starego Pałacu ku dkom. Na głównych ulicach zapalały się gazowe latarnie, a w tysiącach okien płonęły miękkim, żółtym blaskiem lampy. Wzniosły się oba księżyce; dyski wielkości pięści częściowo skryte przez przepływającą chmurę. Deszcz, który zaczął się o

zachodzie słońca, rozmazywał obraz, ale Raj był w stanie dostrzec długie, przypominające rekiny, sylwetki parowych taranów Rządu Cywilnego, płynących w górę rzeki, a każdy, walcząc z prądem, ciągnął statek z ładunkiem.

Pomyślał, iż tym razem nie było żadnych skarg na marynarkę. *Muszę sprawdzić ich dowódcę.* W pokoju było ciepło dzięki znajdującym się pod podłogą rurom z gorącym powietrzem i pachniało tytoniem oraz mokrymi mundurami i butami.

Raj odwrócił się ku mężczyznom zebranych wokół półokrągłego stołu. Wszyscy towarzysze, niektórzy dowódcy innych batalionów, oraz Cabot Clerett, którego dla bezpieczeństwa nie dało się wyłączyć.

– Ach, Marthinez – rzekł Ewardo Poplanich. Suzette skinęła głową. W jej rysach widoczne było subtelne wyrafinowanie szesnastu pokoleń dworskiej szlachty Wschodniej Rezydencji; mogła okazywać rozbawienie leciutkim zwężeniem orzechowo-zielonkawych oczu. Reszta towarzyszy spojrzała, nie pojmując.

– Marthinez – ciągnął Raj, przechadzając się koło okien niczym kot na smyczy – był prawnikiem Wschodniej Rezydencji. – Stolica miała stałe siły policyjne, rzecz dość niezwykła nawet jak na Rząd Cywilny.

Ktoś się roześmiał. – Nie – kontynuował Raj – był on bardzo *dziwnym* prawnikiem. Całkowicie uczciwym.

– Cholernie wbrew naturze – rzucił Kaltin.

–

Być może. To właśnie wpędziło go w kłopoty. Zdemaskował jednego ze swoich szefów, który wziął znaczną łapówkę, aby ukryć paskudne morderstwo popełnione przez... syna bardzo ważnej osobistości.

Wokół stołu kiwano głowami.

–

Cóż, postawienie go przed sądem byłoby żenujące, toteż został wrzucony do Subiculum.

Było to więzienie dla najgorszych przestępców. Zwykle sędziowie w końcu zgotowywali więźniom krótki proces, a potem ukrzyżowanie, powieszenie albo usmażenie na stosie, zależnie od tego, za jaką zbrodnię ostatnio ich schwytano. Z drugiej jednak strony, czasami po prostu gubili nazwisko w całym tym bałaganie. W opinii wielu ludzi dożywocie w Subiculum było znacznie gorsze niż śmierć. Czasami zagubienie było celowe.

– Jak można sobie wyobrazić, nie był tam zbyt popularny. Czterech łapaczy dusz – porywaczy, którzy kradli wolne dzieci i sprzedawali jako niewolników – postanowiło, iż zaraz pierwszej nocy zatłuką go na śmierć za to, że ich tam wsadził.

–

Ale – ciągnął Raj z drapieżnym uśmiechem – Marthinez był, jak już powiedziałem, dość niezwykłym człowiekiem. Gdy rankiem weszły straże, większość łapaczy duszy miała głowy

powykręcane do tyłu albo wkleśnięte zebra. Marthinez miał jakieś siniaki. Zabrali go więc do izolatki na tydzień, standardowa kara za bijatyki w celach...

—  
A gdy wlekli go po korytarzach, on krzyczał – Nie rozumiecie! To nie ja jestem tu z wami uwięziony. To wy wszyscy jesteście uwięzieni tutaj ze mną!

—  
Mocno przetrzebił więźniów – zakończył Raj – aż dziad Ewardo go ułaskawił i uczynił głównym prawnikiem.

Raj zatrzymał się przed środkowym oknem, uderzając pięścią w rękawicy w otwartą dłoń. – Generał Ingreid uważa, iż mnie uwięził. – Odwrócił się. – Tak jak prawnik Marthinez, co?

Kaltin skinął głową. – Nie podoba mi się jednak utrata mobilności – powiedział. Co było naturalne u oficera kawalerii.

Raj ciągnął dalej – Kaltin, nie wystarczy *pokonać* Brygadę. Wierz mi, możesz mieć dobrego dowódcę i świetnych żołnierzy, wygrywać bitwę za bitwą, a i tak przegrać wojnę.

>>Hannibal<< powiedziało Centrum. Raj przyjął to w duchu. Wciąż nie był całkowicie pewien, kiedy to Hannibal toczył swoją wojnę – nie wydawały się to wcale być czasy sprzed Upadku – ale opis kampanii zarysowany przez Centrum był bardzo oświecający. Bitwa pod Kannami to była perełka, tak decydująca, jak tylko mogła być. Jeszcze bardziej decydująca niż dwie masakry, jakie w zeszłym roku Raj zgotował Eskadrze – tylko że wrogowie Hannibala się potem nie poddali.

—  
Aby wygrać tę wojnę, musimy zrobić dwie rzeczy. Musimy sprawić, aby tutejsza ludność cywilna aktywnie nas wspierała.

Dało się słyszeć parsknięcia. Raj przyjął je do wiadomości. – Tak, wiem, że w większości mają w sobie tyle ducha walki, co te liczne owce – sześć wieków pod panowaniem Brygady. Ale jest ich *mnóstwo*.

—  
A po drugie, co najważniejsze, musimy sprawić, aby Brygada *uwierzyła*, iż została pokonana. Aby to zrobić, musimy zgromadzić ich tyłu, ilu się da w jednym miejscu, a przynajmniej wszystkich głównych wielmożów i ich ludzi. A potem musimy zabić tyłu z nich, by reszta była przekonana aż do szpiku kości, iż walka z nami i śmierć to jedno i to samo. Najlepszy sposób, by tego dokonać, jak sądzę, to nakłonić ich do frontalnego ataku na ufortyfikowane pozycje.

Gerrin uniósł brew. – Zakładając, że to zrobią – powiedział. – Ja bym nie zrobił. Kazałbym dużym siłom blokującym okopać się i posłałbym mobilną armię polową, aby zaatakowała naszą wysuniętą bazę na Półwyspie Korony i oczyściła obszary, przez które przemaszerowaliśmy.

Raj parsknął śmiechem. – Tak, ale, Gerrin, ty nie jesteś barbarzyńcą. – Wskazał kciukiem na okno. – Wedle najnowszych doniesień wywiadu, Ingreid zebrał pod swoim sztandarem około sto tysięcy ludzi: większość regularnego wojska Brygady i wszystkie rezerwy z pierwszej linii.

—  
Po pierwsze, pamiętajcie, że Brygada jest tutaj mniejszością. Będą się martwić powstaniem tubylców i wieśniaków, jeszcze bardziej odkąd okupujemy Starą Rezydencję – która nie ma żadnego znaczenia wojskowego, ale *ludzie* tego nie wiedzą. Oni będą pod wrażeniem.

—  
Po drugie, ogoławają swoją północną granicę. Oddani i Straż ruszą z najazdami, nawet zimą. Zwłaszcza, że ministerstwo ds. barbarzyńców subsydiuje ich, aby właśnie to robili. Podszedł do ramy i przesunął dłonią po mapie Zachodnich Terytoriów na wysokości Koszar Carson, trochę na południe od Starej Rezydencji.

—  
Większość Brygadowców mieszka na północ stąd. To były pierwsze tereny, jakie zajęli i tam większość z nich się osiedliła. Południowa część półwyspu została podbita stopniowo, a barbarzyńcy są tutaj rozproszeni. Będą się zatem martwić o swoje domy i rodziny na północy, oglądając się przez ramię, pragnąc z tym skończyć i udać się do domu. A Brygada nie ma tego rodzaju struktury dowodzenia, która może ignorować takie odczucia.

—  
Po trzecie, sto tysięcy ludzi będzie obozowało tutaj, w środku wiejskich obszarów, które my systematycznie ogołocimy z każdej uncji żywności. Znacze Brygadę: równie dobrze byłoby w stanie zorganizować system dostarczania zapasów z tyłów na taką skalę, jak polecieć na Minilunę, machając ramionami.

—  
Istnieje kolej do Koszar Carson – rzekł z namysłem Gerrin Staenbridge. – Z jej pomocą mogliby korzystać z całej doliny Padanu. – Na chwilę odwrócił się, by poszeptać z Bartonem.

—  
Tak, tak myślałem. *Ledwo co* zdolna do uniesienia niezbędnego ładunku, ale bez większego marginesu ładowności.

Raj skinął głową. – Coś się robi w tej sprawie. Zatem będzie im zimno, będą mokrzy i głodni, a w niedługim czasie wielu z nich będzie także chorych. Będą myśleć o swoich miłych, ciepłych dworach oraz przytulnych gospodarstwach i gorącej zupie przy ogniu.

—  
Będą *musieli* zaatakować. A my musimy być *gotowi*. A teraz, panowie, oto, jak się za to weźmiemy. Po pierwsze, jako że nie zostaliśmy pobłogosławieni kontyngentem Służb Administracyjnych, wyznaczam panią Whitehall jako legata do spraw cywilnych. Następnie...

## Rozdział piąty

– Większość powinna wyzdrowieć – powiedziała umartwiona siostra.

Suzette skinęła głową, zatrzymując się na chwilę przy łóżku jakiegoś mężczyzny. Jego twarz błyszczała od potu, bardziej niż mogło za to odpowiadać łagodne ciepło panujące w zarekwirowanym dworze z podpodłogowym systemem ogrzewania. Chory uśmiechnął się do niej słabo, gdy pomocnik podparł go i przyłożył do ust miskę rosółu. Powietrze przepęłniała woń leków, dobiegająca głównie od garów wody zaprawionej liśćmi mięty i eukaliptusa, gotujących się na palnikach w każdym pokoju i korytarzu. Cichy chór okropnego kaszlu pobrzmiwał w tle żywszych rozkazów i odgłosów wózków z zupą.

– Zapalenie płuc jest najpoważniejsze, gdy ciało jest osłabione – ciągnęła umartwiona, gdy wychodziły z pokoju. – Zimno, wyczerpanie i złe jedzenie. W ciepłe, odpoczywając, przy starannym odżywianiu i dużej ilości płynów, większość z tych ludzi powinna w przeciągu miesiąca być gotowa do lżejszej służby w sprawie świętego Kościoła.

Co da Rajowi z powrotem odpowiednik całego batalionu. Suzette skinęła głową, uśmiechając się.

– Cudownie się sprawiłyście – powiedziała.

Umartwiona prychnęła. – Duch był z nami, pani Whitehall – rzuciła ostro.

Uzdrowicielki kościelne towarzyszyły każdej armii Rządu Cywilnego. Te były z Rajem już prawie trzy lata.

– Powiedz jednak, proszę, *heneralissimo*, że ludzie, którzy śpią w zimnym błocie i są zbyt zmęczeni, by odpowiednio się odżywiać, *będą* chorować.

\* \* \*

– Co to znaczy? – chciał wiedzieć kupiec. – Z drogi, wieśniaki!

Starał się przepchnąć przez piechurów stojących w drzwiach jego magazynu. Żołnierze wieśniacy nie mówili po spanjolsku, choć i tak by go zignorowali. Wszedł na skrzyżowane karabiny jak na kamienny mur, odbijając się z krzykiem. Poranne słońce błyszczało jasno na ostrzach ich bagnetów, gdy te powędrowały w pozycję *prezentuj broń*, a ich czubki znalazły się o kilka cali od jego piersi. Za nim znajdował się powóz zaprzężony w cztery psy oraz dwóch służących wierzchem, uzbrojonych w miecze i pistolety, a także tłum jego urzędników i magazynierów. Wyglądało na to, iż tego dnia żaden z nich nie pomoże mu dostać się do jego miejsca pracy.

– Messer Enrike – odezwał się uspokajający głos.

Enrike się odwrócił. Muzzaf Kerpatik wyłaniał się zza węgła wysokiego budynku wraz z oficerem w mundurze Rządu Cywilnego.

– Messer Kerpatiku, czyż mam zostać obrabowany, po tych wszystkich twoich zapewnieniach? – chciał wiedzieć kupiec.

Chodziły pogłoski, iż Kerpatik był totumfackim Raja w sprawach zakupów; stanowisko godne

pozazdroszczenia. Wyraźnie było widać, iż przynajmniej on nie był Descottczykiem – mały i szczupły, odziany w oślepiająco biały materiał, z dziwaczną, zakończoną szpiczaste z przodu i z tyłu czapką z miast na południowym pograniczu Rządu Cywilnego, przy granicy z Kolonią. W jego sponglijskim pobrzmiewałaśpiwny akcent Komaru.

–

Oczywiście, że nie – uspokajał Komarianin. – To tylko środki bezpieczeństwa.

–

Środki bezpieczeństwa przed *czym*? – chciał wiedzieć Enrike.

Muzzaf poszeptał oficerowi do ucha. Mężczyzna rzucił rozkaz w sponglijskim i oddział pochylił broń i odsunął się od drzwi. Reszta pilnująca wielkich magazynowych wrót dla wozów pozostała, lecz pracownicy weszli jeden za drugim do przedniej części budynku.

Enrike prychnął, zasiadając w wielkim, skórzanym fotelu za swym biurkiem. Jeden z jego urzędników wpadł pospiesznie, aby wrzucić szufłę węgla do żeliwnego piecyka stojącego w rogu, a służąca przyniosła kawe oraz bułeczki.

– Środki bezpieczeństwa przeciwko nieautoryzowanej sprzedaży – powiedział Muzzaf. – Dowiesz się, że cała zmagazynowana pszenica, jęczmień, kukurydza, mąka, ryż, fasola, mięso konserwowe i tak dalej zostały objęte embargiem. Pierwszeństwo zakupu należy do autoryzowanych agentów z każdego batalionu, według cen ze spisu. – Wyciągnął papier z kurtki i położył go na biurku. – Żołnierze mogą oczywiście kupować dodatkowe zapasy detalicznie.

–

To oburzające! – rzucił Enrike, przeglądając listę. – Te ceny to rozbój!

–

Rozsądne przy sprzedaży hurtowej – odparł Muzzaf. – I to płatne w złocie lub w

wekslach na okaziciela zaciągniętych na Felaskeza i synów ze Wschodniej Rezydencji. – A to ostatnie było równie dobre jak gotowizna wszędzie w Śródświecie.

–

Zupełnie nierozsądne, biorąc pod uwagę sytuację – rzekł Enrike. – Mam nadzieję, że wasz generał Whitehall nie myśli, iż może odrzucić prawa popytu i podaży.

Uśmiechnął się cierpko. Szlachta Brygady w większości nie znała się na ekonomii, tak jak nie umiała czytać ani pisać. Enrike i jemu podobni bardzo dobrze wychodzili na tej ignorancji, choć powodowała ona nie kończące się problemy, gdy Brygada próbowała ustalić jakąś politykę.

–

Och, nie – rzucił przyjaźnie Muzzaf. – W każdym razie ma on mnie oraz innych doradców, którzy mogą mu dokładnie powiedzieć, jak *manipulować* popytem i podażą. Cudowne sąścieżki Ducha, przynoszące narzędzia, jakich jego miecz potrzebuje. A tak przy okazji, pani Suzette została wyznaczona cywilnym legatem. Z wszelkimi skargami należy zwracać się do niej.

Twarz Enrike się zasępiła. Muzzaf ciągnął dalej – Zobaczysz również, iż po zaspokojeniu

potrzeb wojskowych, każde gospodarstwo domowe będzie mogło zakupić raz w tygodniu wyznaczoną ilość. Także po ustalonych cenach.

– Jak macie zamiar wprowadzić *to* w życie?

–

Bez większej trudności – powiedział Muzzafer. – Biorąc pod uwagę to, iż *wiemy*, ile każdy z was ma na składzie. – Twarz Enrike zasępiła się jeszcze bardziej, gdy Muzzafer zaczął rzucać liczbami. – A także to, ile wynosi normalna konsumpcja. A tak przy okazji, z Miasta Lwa będą przybywać statki z dodatkowymi zapasami ziarna z magazynów kupców Kolonistów, które przypadły na rzecz państwa... nie chcielibyśmy, aby coś takiego wydarzyło się tutaj, prawda?

–

Nie – wyszeptał Enrike. Wieści o masakrze syndyków w Mieście Lwa rozeszły się szybko.

Handlował z tymi ludźmi regularnie. Większość zapasów ziarna Starej Rezydencji było w normalnych czasach przywożone statkami z Półwyspu Korony. Tej jesieni miejscy hurtownicy ziarna bardzo się wykosztowali, aby sprowadzić go więcej z południowych portów albo koleją z doliny Padanu na zachodzie. Wszyscy wiedzieli, co skinnerscy najemnicy zrobili z Kolonistami w Mieście Lwa, a poszczyci ludzie z gminu z bogaczami.

– To, czego wojsko nie będzie potrzebowało, sprzedamy detalicznie po ustalonych cenach

– ciągnął Muzzafer. – Po to tylko, by uniknąć bezpodstawnej spekulacji i ciułania, rozumiesz.

– Rozumiem – rzucił przez zaciśnięte zęby Enrike.

Będzie miał w tym roku niezły zysk – ale nie taką zdobycz, jakiej się spodziewał. Nawet nie tyle, ile by zarobił na brakach w dostawach wywołanych upadkiem Miasta Lwa i Półwyspu Korony.

*Niech piekło pochłonie* tego generała ze wschodu i jego sługi! O wiele łatwiej było sobie radzić z Brygadą. Trochę się popłaszycie i mogłeś ich okradać do woli. Niewielka szansa, aby to się udało z Rajem Whitehallem. We Wschodniej Rezydencji, w tym gnieździe zmij, mógł uchodzić za prostego, uczciwego żołnierza, ale prostaczek z dworu gubernatora mógł dawać lekcje intrygi w Koszarach Carson.

A jeśli chodziło o oszukanie Suzette Whitehall... wzdrygnął się i ukradkowo zrobił lewą ręką znak rogów chroniący przed czarami.

\* \* \*

– *Uważaj* na to – powiedział pułkownik Grammeck Dinnalsyn.

Oficer nadzorujący szczegóły skinął nerwowo głową i podszedł bliżej, by przyjrzeć się wzmocnieniu u szczytu muru. Bliźniacze, drewniano-żelazne wysięgniki wystawały z obu stron, z obciążonymi równo drewnianymi wiadrami na kablach, biegnącymi na zwykłym wielokrążku. Cała masa skrzypiała i stękała zatrważająco, gdy wiadro pełne ziemi i gruzu uniosło się zza muru. Po wewnętrznej stronie muru zaprzęg wołów ciągnął za kable, wbijając kopyta w ziemię, gdy długie baty strzelały bydłu nad grzbietami. Wążący tonęładunek, składający się z mokrej ziemi i kamieni, ze stękiem wznosił się na wysokość muru, a potem w dół, a mężczyźni przyciągnęli go przy pomocy

zakończonych hakami kijów. Inni wskoczyli na ładunek i odczepili utrzymujące go kable, mocując je do bloku biegnącego nad wewnętrznymi wspornikami.

– Zaczepcie bloczki – rzucił oficer ostrzeżony przez Dinnalsyna. – Kliny. Poluzować i sprowadzić go na miejsce.

Żelazne koła zapiszczały na bębnach hamulcowych, gdy wiadro chwiejnie uniosło się w górę i na drugą stronę muru. Kubel zjechał w dół po wewnętrznej stronie muru, gdy ludzie przy dźwigniach szarpnięciami popuszczali kabel z kołowrotów. Gdy z łupnięciem opadł w dół, zaprzęg wołów znowu pociągnął, by go przewrócić. Setka robotników poskoczyła do przodu z łopatami, motykami i taczkami, wygarniając jego zawartość i rozprowadzając jako warstwę podkładową po wewnętrznej stronie muru. Wzdłuż całego muru pracowało jeszcze więcej dźwigów i tysiące robotników. Zienna rampa ze schodami wyrastała obok starożytnych fortyfikacji z kostki budowlanej. Jeszcze inne grupy robocze burzyły budynki i ubijały gruz oraz kamień w gładką drogę, a jeszcze inni kładli ponownie nawierzchnię i poszerzali rozchodzące się promieniście drogi. Kamieniarze pracowali wzdłuż całego muru, wymieniając górne warstwy kamieni i reperując parapety.

To umożliwi szybkie przemieszczanie ludzi i dział z jednej części zewnętrznych murów na następną i pozwoli żołnierzom z rezerwy centralnej prędko się posuwać. Zdumiewające, co można było zrobić w kilka tygodni, mając wystarczająco rąk do pracy i nieco organizacji.

Wykonawca robót budowlanych stojący obok oficera potrząsnął głową, przyglądając się uwijającym się wewnątrz murów mrówkom i nieco mniejszemu rojowi na zewnątrz, kopiaćemu głęboką fosę.

– Zdumiewające – rzekł w powolnym sponglijskim z mocnym spanjolskim akcentem. Wschodnie i zachodnie języki były blisko spokrewnione, ale nie dało się ich nawzajem zrozumieć. – Jak wy się... jak się mówi, zorganizowali tak szybko? Wasz messer Raj...

Powstrzymały go zimne spojrzenia. Żołnierze zwracali się w ten sposób do swego dowódcy, ale nie był to szeroko przyznawany przywilej.

– ...*excuzo*, wasz generał Whitehall, on musi rozumieć takie sprawy.

Dinnalsyn wzruszył ramionami. – On rozumie, co trzeba zrobić i kto może to zrobić – powiedział.

Wykonawca skinął głową zazdrośnie. *On* spędzał większość czasu, zajmując się klientami, którzy uważali, że znają jego zawód lepiej niż on sam, bo mogli sobie pozwolić na wynajęcie go. Praca dla kogoś, kto nie próbował snuć przypuszczeń, stanowiła luksus, który sobie cenił.

–

Jak zmuszacie tę zgraję do *pracowania* tak ciężko? – ciągnął dalej, spoglądając na robotników.

Żołnierze zajmowali się nadzorowaniem i pracami technicznymi; artylerzyści, sądząc po niebieskich spodniach z czerwonymi lampasami. Jego własni wykwalifikowani ludzie wykonywali podpory i przypory oraz szkielec drewniany. W grupach roboczych kopiących i noszących znajdowali się także mieszkańcy miasta, lecz głównie pomocnicy fabryczni i robotnicy niewykwalifikowani



*dezpohblado.*

–

Premia dla najlepszych zespołów, plus zwykła dniówka. Płacimy jedną dziesiątą srebrnego FedKredyta dziennie – rzekł Dinnalsyn.

Usta wykonawcy ułożyły się w bezgłośnym gwizdzie. – Płacicie *gotówką*? – spytał.

Dinnalsyn skinął głową. Robotnicy pracujący w Starej Rezydencji za dniówkę nie byli właściwie chłopami pańszczyźnianymi jak wieśniacy na terenach wiejskich – lecz ich pracodawcy płacili im głównie w wekslach ważnych tylko w sklepach znajdujących się w posiadaniu szefów. To pozwalało im ustalać ceny, jak chcieli, co oznaczało, że robotnikom zwykle brakowało pieniędzy do następnej wypłaty i musieli pożyczać na poczet zarobków... także od swoich pracodawców, i to na procent.

–

Będzie na to wiele skarg – przez wykonawcę przemawiało doświadczenie. Większość interesów robił z tymi samymi magnatami.

–

Nie – stwierdził Dinnalsyn. Jego uśmiech sprawił, że wykonawca nerwowo przełknął ślinę.  
– Nie sądzę, abyśmy w ogóle otrzymali jakieś skargi.

\* \* \*

– Co to? – spytał porucznik Hanio Pinya.

Jego patrol 24 Piechoty z Valencii był znużony nie obfitującym w wydarzenia nocnym patrołowaniem ulic. Był też zniecierpliwiony. Przyzwyczaili się do myślenia o sobie jako o prawdziwych wojownikach, po Sandoralu i Południowych Terytoriach oraz kampanii na Półwyspie Korony. Miesiąc ciepłych koszar, dobrego jedzenia i nowe mundury przyćmiły nieco horror forsownego marszu z Miasta Lwa. Sam messer Raj pochwalił bataliony piechoty za ich żołnierską wytrzymałość. Nic się nie wydarzyło od tego czasu poza strażą na murach, chyba że liczyć pijanych żołnierzy, proszących patrole *guardii* o wskazówki jak dotrzeć do najbliższego burdelu lub baru... a po prawdziwej wojaczce nawet oficer piechoty miał dosyć bycia alfonsem w mundurze.

–

Pewnie jakaś suka klóci się ze swoim starym, panie – rzekł z nadzieją sierżant plutonu. Miejsce ich biwaku znajdowało się niedaleko.

Wrzaski stały się głośniejsze; więcej niż jeden głos, a w tle było słycać chrapliwe okrzyki. Wszystko to brzmiało, jakby dochodziło z wnętrza domu; kawałek dalej po wybrukowanej cegłą ulicy.

–

*Daj spokój* – warknął Pinya. – Messer Raj powiedział, że mamy utrzymywać wzorowy porządek.

Patrol ruszył ciężko truchtem za nim, a ćwieki ich butów pobrzękiwały w ciemnej ulicy.

\* \* \*

Dorya Minatili wrzasnęła z rozpacz i potknęła się, uciekając przez drzwi swego domu. Żołnierze na zewnątrz mieli takie same mundury jak ci wewnątrz. Kątem oka zobaczyła unoszący się długi miecz i rękę chwytającą za jej warkocz.

Ludzie na ulicy wyminęli ją. Ręka puściła jej włosy, a ona usłyszała z tyłu dziwny odgłos łupnięcia. Jeszcze więcej żołnierzy pognało po schodach do domu. Odwróciła się, drżąc. Ten, który ją gonił, leżał na schodach, przyszpilony do kamienia długim bagnetem. Jego miecz spadł z brzękiem na ulicę, obracając się. Żołnierz, który go zabił, przekreślił karabin i wyciągnął ostrze, długie i mokre czerwienią w księżycowym świetle; krew tryskała z rany i drgających ust oraz nosa trupa. Wszystkie pozostałe domy na ulicy miały zamknięte drzwi i okiennice, a ta dzielnica nie była na tyle zamożna, aby pozwolić sobie na gazowe latarnie. Dziewczyna zaczęła się znowu trząść, zauważywszy, iż mundury nie były całkiem takie same. Ci żołnierze nie mieli przy swoich hełmach kolczugowych ochraniaczy na szyję i nosili opaski naramienne z dużą literą G. Byli niskimi, ciemnoskórymi, gładko ogolonymi mężczyznami, a nie wysokimi, jasnowłosymi jak ci inni. Przewodził im oficer z dobytą szablą, który w drugiej ręce trzymał lampęłukową.

\* \* \*

Porucznik Pinya odsunął dziewczynę na bok i wepchnął się do pokoju. Znajdujący się wewnątrz żołnierz 1 Kirasjerów stał za starszą kobietą, którą pochylił nad stołem, gotując się, by jej dosięść. Gdy wpadła *guardia*, próbował jednocześnie podciągnąć spodnie i sięgnąć po swoją szablę. Jeden człowiek wałnął go głową w brzuch, a drugi zdzielił kolbą karabinu w kark. Mężczyzna jęknął i upadł, podczas gdy kobieta pognała ku pojękującemu cywilowi leżącemu w rogu. Ktoś rytmicznie krzyczał na górze. Dźwięk ten przeszedł w męskie wrzaski i ciężkie walenie.

Jakiś człowiek stoczył się ze schodów, kolejny żołnierz 1 Kirasjerów. Wciąż żywy i przytomny, ale wnosząc z tego, jak pojękiwał i osuwał się, próbując czołgać, nie był w dobrym stanie.

Za nim dwóch piechurów niosło ранego cywila, młodego, z głębokim rozcięciem na nodze. Ludzie założyli na udo opaskę uciskową, lecz krew już się przez nią przesączała. Za rannym mężczyzną szła dziewczyna, młodsza niż ta, która wybiegła na ulicę. Ta miała na szyi obrozę niewolnicy i była całkowicie naga; miała kilkanaście lat, dość ładna, pewnie służąca. Jeszcze paru żołnierzy popychało przed sobą bagnetami kolejnego kirasjera, a kapral zamykał tyły z workiem i dużym ceramicznym dzbanem, w rodzaju tych, w jakich trzymano tutejszą gorzałkę.

– O, *kurwa* – powiedział porucznik.

Służba w garnizonie w Południowych Terytoriach nie była *taka* zła. Może trochę nudnawa. A teraz będzie całą noc na nogach, tłumacząc sprawy każdemu, aż do majora Felaskeza włącznie, a może i wyżej. Na trzeźwo, 1 Kirasjerów to byli całkiem dobrzy żołnierze i na tyle zdyscyplinowani, że można było zapomnieć, że byli eskadrowymi barbarzyńcami. Trzy tygodnie służby w *guardii* nauczyły go, że wypiwszy parę głębszych, wracali do korzeni; oraz tego, że pijani nie odróżniali siostry od maciory, i że jedno i drugie się nada.

Kapral zamachał butelką i workiem, w którym zabrzęczało srebro. – Wygląda na to, że te pieprzone barbarzyńce pomyślały se, że popiją sobie i podupczą i jeszcze na tym zarobią, El-Tee –

rzucił radośnie. Szansa zgnojenia kawalerzysty była rzadko trafiającą się gratką w życiu piechura. – Nikogo innego na górze. Wygląda na to, że dopiero zaczynali, ale to może nie być pierwszy dom.

Z tyłu domu dobiegł głos. – Drzwi od uliczki wyłamane, panie.

–

Toryez, sprowadź szybko medyka – rzucił oficer. – Sierzancie, opatrz cywili. I zwiąż tych *gnojków*.

Żołnierze wyciągnęli zza pasów kawałki sznura i związali więźniom ręce z przodu, a potem unieruchomili je, wpychając pochwy ich szabli w zgięcie łokci z tyłu za plecami. Jeden z więźniów zaczął głośniejsz bełkotać po nameryjsku, ale sierżant uciszył go szybkim kopniakiem między nogi.

–

Na zewnątrz – powiedział Pinya, wskazując kciukiem. – Obudźcie sąsiadów, pokażcie im martwego barbarzyńcę i więźniów, to może następnym razem podniosą alarm.

Oświadczenia to jedno, ale przykład to najlepszy sposób, aby pokazać, że dowódcy Rządu Cywilnego byli naprawdę gotowi bronić tutejszych mieszkańców przed własnymi ludźmi.

Odwrócił się do cywili. Wyglądało na to, że obydwaj mężczyźni przeżyją, choć w przypadku młodszego mężczyzny to sprawa wisiała na włosku, jeśli medyk wkrótce nie przybędzie. Kobieta w średnim wieku wyglądała na oszołomioną, a służąca nagle zdała sobie sprawę ze swojej nagości; chwyciła ręcznik i starała się jak najwięcej nim przykryć.

–

*Hablai usti Sponglishi?* – spytał Pinya. Odpowiedziały mu puste spojrzenia. A potem dziewczyna wsadziła głowę przez otwarte frontowe drzwi i odezwała się – Ja umiem. Trochę. Miała mocny akcent, lecz dało się zrozumieć słowa. – Co się stanie z tymi ludźmi?

–

Zostaną ukrzyżowani – rzekł bez ogródek Pinya. – Będziemy potrzebować waszych zeznań. I chcę, żebyś przetłumaczyła moje słowa swoim sąsiadom.

Dziewczyna spojrzała na niego błyszczącymi oczami. Wyprostował się i wsunął szablę do pochwy. – Nazwiska? – zaczął.

\* \* \*

–

*Heneralissimo supremo*, poddaliśmy nasze wspaniałe miasto, aby je ocalić, a nie przyglądać się jego zniszczeniu! – rzekł przewodniczący Rady Gubernatorskiej.

Stał. Stali wszyscy przybyli z petycją oprócz kapłana paratiera, któremu podsunięto krzesło u końca stołu. Raj siedział u szczytu, przyglądając się im zza złożonych w piramidkę palców, z łokciami wspartymi o poręcz fotela. Nieruchomi żołnierze 5 z Descott stali wzdłuż dwóch ścian długiej komnaty. Kominek na ścianie płonął słabo, sycząc nie tak głośno jak mieszanka deszczu i śniegu po zewnętrzne stronie okien. Suzette siedziała po jego prawej stronie, a urzędnicy notowali rozmowę.

—  
Poddaliście się – rzekł cicho Raj – wiedzieliście bowiem, co stało się z ostatnim miastem, które próbowało stawiać opór wojsku Jego Wysokości Barholma. Wojsku Ducha Człowieka. Jakiś duchowny pochylił się do przodu; miał twarz czerwoną od gniewu, lecz zdusił swoje słowa, gdy paratier położył uspokajająco palec na jego rękawie.

—  
*Heneralissimo*, daleś do zrozumienia, iż ruszysz dalej, by walczyć z Brygadą, a nie że zostaniesz tutaj, czyniąc z nas cel ich kontrataku.

Raj się uśmiechnął. Był to zimny, dziki wyraz twarzy. – Nie, wielebny arcysysupie, to wy tego pragnęliście, ja nic takiego nie powiedziałem.

—  
Spokój, mój synu – odezwał się paratier. Jego głos z wiekiem stracił na sile, lecz zmienił styl na szukający kompromisu, a nie starający się go wymusić. Ten szept był mocniejszy niż krzyk. – Czyż jednak Duch Człowieka nie okryje się żałobą, gdy bezcenne

skarby znajdujące się w tych murach, relikty i zapiski starożytnych czasów, zostaną zniszczone przez wściekłość heretyków i barbarzyńców?

Raj skinął głową. – I właśnie dlatego nie zamierzam wpuścić barbarzyńców w te mury, Wasza Świątobliwość – rzucił krótko. – Jak pewnie zauważyłeś, energicznie przygotowujemy się na ich przybycie.

– Masz na myśli, *heneralissimo* Whitehall, że rozpętniecie w mieście chaos – powiedział cywil-magnat. – Wywracasz do góry nogami dobry porządek i dyscyplinę i zachęcasz do różnego rodzaju zamieszek i niepokoju.

To, ile kosztowały jego pierścienie i diamentowa szpila w krawacie, wystarczyłoby na miesięczne utrzymanie kompanii kawalerii, a wysadzane klejnotami klamry jego butów to ekwiwalent wyposażenia jej w wierzchowce.

Raj uśmiechnął się otwarcie. – Messer Fedherikosie, myślę, iż przyznasz, że moi żołnierze są raczej zdyscyplinowani. Zatem zakładam, iż masz na myśli to, że zatrudnimy zwykłych ludzi z miasta przy niezbędnych pracach na rzecz obrony, a co gorsza, płacimy im gotówką i na czas. Ludzie wykazali wielkie zaangażowanie w sprawę Rządu Cywilnego Świętej Federacji.

Jego oczy przesunęły się po przybyłych z petycją. Niewielu odpowiedziało mu spojrzeniem, lecz paratier tak. Jego oczy były równie spokojne i niewinne, niczym u dziecka

—  
lub carnosauroida.

—  
Czy przypuszczacie panowie, że wasz gmin może zareagować na próbę zdrady tak samo jak uczynili to ci z Miasta Lwa, po tym, jak ich społeczność powróciła na łono Rządu Cywilnego?

Naga groźba zadźwięczała w powietrzu niczym szrapnel.

Głos Raję brzmiał niczym metronom. – Oczywiście, tutaj nie ma możliwości zdrady. Wszyscy

jesteśmy lojalnym synami kościoła Świętej Federacji. – Cóż, jeden z sysupów był *córą* Świętego Kościoła, ale nieważne. – A jako że nikt nie rozważa zdrady, okazuję moje zaufanie obywatelom Starej Rezydencji, ogłaszając ogólną mobilizację ludności. Do pracy albo do milicji, którą formujemy – zamierzając objąć nią wszystkie prywatne siły zbrojne w mieście.

Zszokowani, wciągnęli głośno oddech. To sprawi, iż kościół i magnaci staną się bezbronni... bezbronni między innymi wobec zwykłego powstania, chyba że będą ich strzegli żołnierze Raja. A także niezdolni do oddania miasta Ingreidowi tak, jak oddali je Rajowi.

>>Osoby te będą postępowały zgodnie z poleceniami, chyba że sytuacja ulegnie drastycznej zmianie<< powiedziało Centrum. Wokół większości przybyłych z petycją jarzyły się obwódki – a co najważniejsze, wokół paratiera. Inni oznaczeni byli czerwonymi ramkami, >>Ci osobnicy będą się opierać koniecznym środkom z prawdopodobieństwem 94% plus minus 3.<<

*Którzy z nich są naprawdę lojalni?* – spytał Raj.

>>Prawdopodobieństwo zachowania lojalności przez wskazanych osobników wobec Rządu Cywilnego jest zbyt niskie, aby poddać je sensownej kalkulacji, chyba że pod groźbą lub też bezpośrednim przymusem.<<

*Dokładnie to, czego się spodziewałem: Jedyna różnica w tym, że niektórzy mają dość jaj, aby aktywnie zdradzać, a inni nie.*

>>Szybko się uczysz, Raju Whitehallu.<<

*Nie; mieszkałem tylko we Wschodniej Rezydencji, pomyślał kwaśno.*

Raj zakonotował sobie tych oznaczonych jako najbardziej niebezpiecznych; najlepiej natychmiast ich zatrzymać. Jeden czy dwóch wzdrygnęło się, gdy jego wzrok zatrzymał się na ich twarzach.

–

Mój synu, mój synu – zaintonował paratier. – Będę się za ciebie modlił. Unikaj grzechu pochopnego zakładania, iż twój program pozbawiony jest wirusów. Duch obdarzył cię wielką mocą: Nie odmawiaj w swej dumie skopiowania do twego systemu mądrości, jaką długie doświadczenie obdarzyło innych.

Raj wstał, pochylając się do przodu na rozłożonych dłoniach. – Wasza Świątobliwość, messerowie. Jestem mieczem Ducha Człowieka. Duch wybrał mnie do swych celów wojskowych, a nie jako kapłana. W sprawach duchowych będę oczywiście radził się Waszej Świątobliwości. W sprawach wojskowych oczekuję, iż wszyscy będą wypełniać wolę Ducha, który przemawia przeze mnie.

–

A teraz – ciągnął – proszę mi wybaczyć. Generał Ingreid zmierzą w tym kierunku ze wszystkimi poborowymi Brygady, a ja przygotowuję się ha jego przyjęcie.

## Rozdział szósty

Tereny wiejskie poza Starą Rezydencją miały widmowy wygląd. Przeważały szarobrunatne kolory głębokiej zimy, pozbawione liści drzewa i nagie winorośle. Nic się nie poruszało, oprócz jakiegoś ptaka od czasu do czasu, albo przemykającego sauroida wielkości królika. Raj wydał rozkaz, aby przyniesiono do Starej Rezydencji lub zniszczono każdą odrobinę żywności znajdującą się w promieniu dwóch dni ostrej jazdy, zaś każdy dom i potencjalne schronienie, by zostało zburzone lub spalone. Przy skrzyżowaniu dróg przed nimi widać było połamane kikuty wioski: zwalone cegły i zwęglone drewno, wyglądające jeszcze bardziej żałośnie w siekącym deszczu. Dwa bataliony przejechały przez nią w milczeniu, z naciągniętymi na głowy kapturami płaszczy z surowej wełny. Od czasu do czasu zabrzęczała uprzęż, gdy psy potrząsały głowami, rozpryskując zimną wodę.

Raj zatrzymał się z boku z dowódcami tych dwóch batalionów. Znajdujące się z nim dwie setki zachowujących się swobodnie Skinnerów nie przejmowały się pogodą: w porównaniu do stepów w ich rodzinnych stronach była to łagodna wiosna. Wielu miało obnażone torsy i nie zwracało sobie głowy zakładaniem zimowych kurtek z odpornej na wodę skóry sauroida podbitej watoliną. Regularni żołnierze wyglądali na stoicko obojętnych na tę niewygodę. Jeśli w ogóle coś, to rwali się do walki. Ludzie, którzy nie lubią walczyć, rzadko obierają zawód wojskowego, a ci żołnierze od dawna nie przegrali bitwy. Miał ze sobą Jednostką Własną Poplanich oraz dwie baterie – osiem działek. Drugą jednostką był 2 Kirasjerów. Nie towarzyszyła im żadna artyleria, ale każdy mężczyzna miał ze sobą trzy luzaki, psy zaś niosły paczki z ładunkami amunicji i dodatkowym wyposażeniem. Wierzchowce miały gładkie i lśniące futro, wykarmione do tego doskonałego stanu na resztkach z rzeźni Starej Rezydencji, gdzie solono i wędzono mięso ze skonfiskowanego inwentarza.

Zagrała trąbka i Jednostka Własna Poplanich się zatrzymała. Skinnerzy także mniej więcej przystawali, co stanowiło ustępstwo z ich strony. Minie całe pokolenie albo i więcej, aż ta okolica dojdzie do siebie. Jeśli ktoś zetnie drzewka oliwne i winorośle na opał, co zapewne się stanie, to w jedno popołudnie diabli wezmą trzy pokolenia żmudnej pracy. Deszcz kapał ze skraju kaptura Raja. Odsunął on wełnę do tyłu, a krople uderzyły o jego hełm niczym łzy bogów.

Ehwardo opiekował się Kirasjerami. — *Myślałem, że miałeś jakiś pomysł* – rzucił lekko.

– Nawet jeśli tego nie powiedziałaś.

Raj skinął głową. – Nawet Brygadowcy nie zaniedbają tego, by mieć w Starej Rezydencji pełno szpiegów — powiedział. – Nie ma sensu ułatwiać im sprawy.

– Rozwalić kolej, zanim się tu dostaną? — spytał Ehwardo.

– Bynajmniej – zaśmiał się Raj. – Ludzie Ludwiga będą trzymać się w ukryciu i przeprowadzać zwiad, podczas gdy Brygada zakończy swoje pierwsze manewry. Kolejne – ciągnął – to cudowna rzecz, nieważne jak psioczą na nie prowincjonalni autonomiści. Cały Rząd Cywilny powinien paść na kolana i dziękować Duchowi, iż Jego Wysokość gubernator Barholm poprowadził Centralną Kolej aż do granicy na Drangosh – fakt, że Kolonia ma tam transport rzeczny, stanowił dla nas kulę u nogi w każdej wojnie, jaką z nimi toczyliśmy.

Ehwardo uniósł brwi.

Raj ciągnął dalej – Możesz sobie policzyć, Ehwardo. Sto tysięcy Brygadowców. Przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy ciur obozowych; a wielu z nich zabierze ze sobą swoje rodziny. Powiedzmy, jeden i ćwierć kilo chleba i pół kilo mięsa, sera, fasoli dziennie na człowieka, nie wspominając już o oleju do gotowania, opale... oraz konserwowane warzywa i owoce, jeśli chcesz uniknąć szkorbutu. Plus nakarmienie prawie setki tysięcy psów, a każdy z nich je ten sam rodzaj pożywienia co ludzie, tyle że od pięciu do dziesięciu razy więcej. Plus dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy wołów do karawan wozów kursujących od czoła kolei do obozu, a wszystkie będą potrzebować paszy. To ponad tysiąc ton *dziennie*, absolutne minimum.

– Zatem zaczekamy, aż się tu dostaną, *a potem* odetniemy kolej – rzekł Ehwardo. — Mimo to istnieją środki zaradcze. Hmm... przeznaczyłbym, powiedzmy, dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy ich kawalerii do służby patrolowej wzdłuż linii frontu. Łatwiej ich karmić, łatwo zebrać razem, gdy zajdzie potrzeba, a pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy ludzi może oblegać miasto równie dobrze, co sto tysięcy. Stutysięczna armia jest cholernie nieporęczna na polu bitwy.

Raj uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Dokładnie tak bym zrobił. Jednakże Ingreid jest Brygadowcem ze starej szkoły, musi zdjąć buty, żeby policzyć do dziesięciu. A żaden z dowódców jego regimentów nie będzie się chciał znajdować z *dala* od frontu. Ponadto wszystkie huty zdolne do zbudowania nowych lokomotyw znajdują się w Starej Rezydencji, tak jak i walcownie mogące produkować nowe, cięte taśmowo żelazo do układania torów.

Generał zwrócił się do młodszego dowódcy. Ludwig Bellamy sam był, technicznie rzecz biorąc, barbarzyńcą – szlachcicem Eskadry. Wyglądał odpowiednio, o palec wyższy od Raja, z żółtymi włosami i niebieskimi oczami. Jego ojciec poddał się Rajowi przez roztropność i z powodu urazy, jakążywił wobec panującego admirała Eskadry. Ludwig miał swoje własne powody, by podążać za Rajem Whitehallem i udało *mu* się zmienić w bardzo wiarygodną podobiznę cywilizowanego oficera.

– Ludwigu, powierzam ci ważne zadanie. Każdy *wojownik* może zaszarżować i zginać; tu trzeba ręki żołnierza i to cholernie dobrego żołnierza. To jest trudne. Niektórzy z podwładnych Ingreida są zdolnymi ludźmi, wnosząc z raportów. – *Za które dzięki niech będą Abdullahowi*, pomyślał. – Na przykład Teodorę Welf i Carstens.

Położył dłoń na ramieniu Bellamy'ego. – Zatem nie przerywaj linii kolejowej tak mocno, żeby już nic nie dało się zrobić. Drażnij się z nimi. Pozwalaj odrobinie się przesączać, tyle, żeby Ingreid zachował nadzieję, ale nie dosyć, by wykarmił armię. Zwiększaj to stopniowo i *nie wdawaj się w walkę*. Uciekaj, jakby cię diabły goniły, jak tylko zobaczysz ich w pobliżu. Nie mogą być wszędzie wzdłuż ciągnących się osiemset kilometrów torów. Utrzymuj wieśniaków po swojej stronie, a będziesz dokładnie wiedział, gdzie znajduje się wróg, a oni będą ślepi.

Ludwig Bellamy wyprostował się. – Nie zawiedziesz się na mnie, messer Raju – rzekł z dumą.

Trzej oficerowie pochylili się ku sobie w siodłach i walnęli się pięściami w rękawicach. Ehwardo potrząsnął głową, gdy Bellamy wraz ze swym chorążym oddalili się galopem wzdłuż szeregu 2 Kirasjerów, wciąż posuwającym się na północ w szarym deszczu.

Ja też nie sądzę, byś się na nim zawiódł – wymruczał. – Umiesz pobudzić w ludziach zdolności, jakich zdają się nie posiadać, Whitehallu. Mój pradziad nazywał to darem władcy.

Tylko w przypadku żołnierzy – rzekł Raj. – Nie udałoby mi się nakłonić cywili, żeby poszli za mną dalej niż na fiestę z darmowym winem, chyba że zrobiliby to ze strachu – a sam strach nie stanowi podstawy niczego konstruktywnego.

– W Starej Rezydencji radzisz sobie całkiem dobrze – zwrócił uwagę Ehwardo.

W stanie wojennym. Który tak się ma do normalnej sytuacji jak muzyka wojskowa do muzyki. Uzyskałem posłuszeństwo w Starej Rezydencji, mając ze sobą dwadzieścia tysięcy karabinów, ale mógłbym tam rządzić na dłuższą metę tak samo, jak generał Ingreid mógłby

pojąć logikę. – Raj się uśmiechnął. – Wierz mi, wiem, że naprawdę nie nadaję się do administracji cywilnej. Wiem to tak, jakby powiedział mi to sam Duch.

>>Zgadza się.<<

Ehwardo zamruczał sceptycznie, ale zmienił temat. – A teraz jedźmy do tego cholernego mostu kolejowego – powiedział. – Czuję się nieswojo, gdy są tam tylko ci najemnicy Oddanych.

Raj skinął głową. – Zgoda, ale zanim doprowadzi się mury do porządku, nie było nikogo wolnego – powiedział.

Wiadukt przecinał Białą dziesięć kilometrów w górę nurtu od Starej Rezydencji. Było to najbardziej na wschód wysunięte miejsce, gdzie jeszcze można było umieścić słupy mostu. Bez niego armie Brygady będą musiały wędrować w górę rzeki do brodów, by przeprawić się na północny brzeg – na południowym brzegu znajdowały się tylko nie chronione murem przedmieścia – co opóźni ich o tydzień albo dwa i jeszcze bardziej skomplikuje ich sytuację zaopatrzeniową. Silny fort przy moście można było zaopatrywać rzeką ze Starej Rezydencji i da on siłom Rządu Cywilnego ewentualną bramę wypadową na tyłach oblegających.

Pognali psy do przodu, a ciężkie łapy rozbryzgiwały błoto.

\* \* \*

Antin M'lewis zagwizdał cicho przez zaciśnięte zęby i zaśpiewał pod nosem:

*Gdy od domu do domu przemykasz,*

*Pracuj zawsze we dwóch,*

*I choćłupu o połowę mniej, bezpieczeństwa dwa razy więcej,*

*Bo samego łatwiej zapędzić w kozi róg,*

*A kobieta zajdzie od tyłu i zwali z nóg.*

*Jak już wszystko przepiłujesz,*

*I bez wątplenia nie było nic do znalezienia,*



*Zanim hak swój naszykujesz,*

*Sprawdź ich dach oka kątem,*

*Chowają pewnie łup pod jego gontem.*

Las przed nim ociekał wilgocią, a nawierzchnia z liści była tak śliska, jak tylko mogła być oślizgła zgniła roślinność. M'lewis zauważył z dumą, jak trudno było zobaczyć jego ludzi i jak dobrze szare płaszcze wtapiały się w roślinność i potrzaskane skały. Mężczyzna wydał z siebie ćwierkający odgłos przy pomocy języka i zębów – podobny do zawołania jednego z mniejszych sauroidów — i dwudziestu żołnierzy Oddziału Zwiadowczego podniosło się i ruszyło wraz z nim do przodu, przemykając od pnia do pnia. Zatrzymali się na jego gest pośród potrzaskanych kamieni i przypominających drut rodzimych zarośli. Każdy z nich był jego krewnym albo sąsiadem z parafii Buford. Każdy z nich był bandytą, złodziejem owiec i psów, zgodnie z dziedzicznym powołaniem. Wykonywanie tych zajęć wymagało wysokich umiejętności i żelaznych nerwów w niezbyt przestrzegającym prawa hrabstwie Descott, gdzie każdy *vakaro* i dzierżawca miał karabin i wiedział, jak się nim posługiwać.

Nie wątpił w ich umiejętności. Ani w ich posłuszeństwo. Antin M'lewis awansował z żołnierza na oficera należącego do klasy messerów, podczepiając swoją gwiazdę do messera Raja... po tym, jak niemalże został wy chłostany za kradzież przy ich pierwszym spotkaniu. Zwiadowcy – nieoficjalnie znani jako Czterdziestu Złodziei — otaczali zabobonną czcią człowieka mającego takie szczęście. Odczuwali również głęboki szacunek wobec jego garoty i noża służącego do obłupiania ze skóry.

Widoczność była ograniczona; deszcz, leżąca przy gruncie mgła. Widział tory kolejowe znikające w dole, w kierunku rzeki, kluczące tam i z powrotem na południowy zachód. Po szynach i drodze koło nich posuwali się w czwórkowych kolumnach marszowym tempem ludzie na wierzchowcach. Zmierzali w jego stronę, czyli w kierunku Starej Rezydencji.

—

Wiadomość do messera Raja – rzucił przez ramię. – Zbliżają się dwie... nie, cztery setki ludzi w kolumnach. Wycofamy się i będziemy ich obserwować.

\* \* \*

—

Nie mogłem odróżnić, co to byli za jedni, messer Raju — powiedział goniec. – Tyle że moszerujom w kolumnach, ponie.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

Fort po północnej stronie mostu kolejowego stanowił prosty kwadrat *ziemnych* fortyfikacji z drewnianą palisadą. Na zachód od niego pieniała się woda, tam, gdzie kamienne słupy mostu wspierały ciężkie, drewniane łuki. Mgła pokrywała powierzchnię wody, skręcając się i wirując z prądem. Kolumna kawalerii Brygadowców wjechała na południowe szanice. Jeszcze dłuższy szereg rozciągał się w deszczu; znikająca z oczu ogromna szara kolumna połyskująca stalą. Okute żelazem

koła dział dudniły na podkładach kolejowych; lekkie mosiężne działka polowe ładowane przez lufę.

Oddani znajdujący się w forcie wylewali się na mury; na wpółśpiący albo pijani. Prawdopodobnie mieli zwiadowców po południowej stronie rzeki i równie prawdopodobne było to, że ci zwiadowcy po prostu zwinęli się, jak tylko spadł na nich zastęp Brygady.

Rakieta poszybowała znad fortu. Smuga dymu znikła w nisko unoszącej się chmurze. Dał się słyszeć *pop* wybuchu, ale kolorowe światło było niewidoczne nawet bezpośrednio w dole. Jakby stanowiło to sygnał, setki postaci wylały się przez mur do łódek i łodzi wiosłowych przywiązanych do mola pod mostem. Pod kurtkami z owczej skóry ludzie nosili pasiaste tuniki wojowników Oddanych. Równie folklorystyczne były lekkie, trzymane w jednej ręce topory, jakie wyciągnęli, by odrąbać cumki przywiązujące lekkie łodzie do brzegu. Przy okazji rąbali siebie nawzajem, gdy ogarnięte paniką hordy walczyły o miejsca w łodziach. Niektóre jednostki unosiły się puste w dół rzeki, gdy ich niedoszli pasażerowie rąbali się i dźgali w doku, inne płynęły wywrócone do góry dnem z Ignącymi do nich ludźmi, a jeszcze inne przepełnione były niemal do granicy wytrzymałości. W powietrze wzbijały się fontanny pyłu wodnego, gdy pasażerowie łódek walili wiosłami po głowach tych, którzy starali się uchwycić okrężnie. Jeszcze więcej Oddanych przedzierało się szlakiem do punktu obserwacyjnego Raja, z oczami i ustami rozwartymi z wysiłku. Barbarzyńcy rozproszyli się w lesie po obu stronach szlaku. Pod mostem umocowano uprzednio beczki prochu połączone kawałkami nawoskowanego lontowego sznura. Nikt nawet na niego nie spojrzał.

Punkt widzenia przesunął się na sam fort. Starszy mężczyzna zszedł po murze od strony mostu i zaczął posuwać się ciężko ku Brygadowcom. Jego siwiejące włosy zostały wygolone z tyłu aż do linii pomiędzy uszami. Miał długie, opadające wąsy, siatkę z brązowych pierścieni przyszytą z przodu tuniki i strzelby-obrzyny w olstrach na każdym udzie. Raj go rozpoznał. Clo Reicht, wódz najemników Oddanych służących w siłach Korpusu.

—

*Marcy, varsh!* — zawołał, zbliżając się do nieprzyjaciela, oficera lansjerów na przedzie w bogato wykładanej zbroi, *litości, bracia-wojownicy*, po nameryjsku.

Groty zostały opuszczone, dźgając obok paszcz bojowych psów z obnażonymi zębami. Reicht uśmiechnął się szeroko, a jego małe, niebieskie oczka pobłyskiwały przyjacielskością i szczerością. Ręce trzymał wysoko i otwarte.

—

Wiele wiem o człowieku Raju — powiedział. — On mówi Clo Reicht wszystko o swoich planach. Dużo warte. Zaprowadź mnie do swego przywódcy,

\* \* \*

*Kurwa*, pomyślał Raj, waląc pięścią w kulę swego siodła. Podjął jeszcze jedno ryzyko przy swoich nieadekwatnych siłach. Tym razem się nie opłaciło.

Raj zamrugał, wracając do zewnętrznego świata, do ciężaru wilgotnej wełny na ramionach i zapachu mokrego psa. Ehwardo i M'lewis wpatrywali się w niego, czekając z rozwartymi szeroko oczami na jakieś rozwiązanie. *Gubernator nie powinien posyłać nas, żebyśmy wyrabiali cegły bez słomy, takie jest rozwiązanie.* Mając dość ludzi...

– Oddani się ulotnili – rzucił krótko.

Rozejrzał się po bokach. Po obu stronach niskiej skarpy kolei znajdowała się droga, a nieco wyżej na zboczach wzgórz oczyszczona ziemia. Przed nimi grunt robił się bardziej nierówny, ale wszędzie dało się przejść; za nim otwierał się na falującą równinę wokół miasta.

– Awangarda Brygadowców znajduje się na moście i idzie prosto na nas. Poślaniec do miasta, proszę. – Jeździec pognął do tyłu, rozpryskując błoto i żwir.

– Odwrót? – spytał Ehwardo. M'lewis kiwał głową, nieświadomie potakując.

Raj potrząsnął głową. – Za daleko – powiedział. – Jeśli rzucimy się do ucieczki, stracimy spójność i będą mogli nas ścigać bez ustawiania się w szyku, z całą szybkością, i nas wyróżnić. Dlatego też...

...atakujemy, *mi heneral* – powiedział Ehwardo. Na sekundę zdjął hełm, a rzednące włosy przylegały mokre do jego głowy, gdy się drapał. – Jeśli uda nam się zepchnąć ich na most...

Raj skinął głową. Mógłby zamienić go w strefę śmierci; ludzie ściśnięci razem nie mający szansy na posłużenie się bronią ani ustawienie w szyku.

– Dwie kompanie do przodu, ustawione kolumnami plutonów gotowymi do ruchu – powiedział. Zwarta formacja, ale będzie mu potrzebna cała siła ogniowa. – Trzy w rezerwie, działa w środku.

Stanął w siodle i zawołał w paytoizkim – *Juluk!* Ty bezwartościowy klaunie, jesteś pijany czy tylko się boisz?

Wódz Skinnerów zsunął się na swym psie w dół zbocza i wynurzył się z lasu, by zatrzymać się obok Raja. – Przybyli Długowłosi – rzucił zwięźle. – Uciekasz puniemężczyzno?

– Walczymy – powiedział Raj. – Trzymaj swoich ludzi po bokach i z przodu.

Nomadyjski najemnik uśmiechnął się szeroko, skinął głową i oddalił się galopem, wykrzykując rozkazy do swoich ludzi. Wokół Raja Jednostka Własna Poplanich rozbiła swoją zwartą *formacją* na luźniejszą grupę natarcia w czterech kolumnach o sile plutonów, rozrzuconych po otwartej przestrzeni. Krótki ryk trąbek i ludzie dobyli karabiny z pochew, opierając je o uda. Psy się zjeżyły i zawarczały w nagłym napięciu, a tempo przeszło do szybkiego stępa. Ta odrobina wiatru wiała im w twarze, więc nie powinno to zaalarmować nieprzyjaciela.

Dobre prowadzenie zwiadów oznaczało pięciominutową różnicę pomiędzy byciem zaskoczonym a zaskakiwaniem.

– Stępa, *klusem*.

Parli naprzód; masa walących łap i pomruk dział. Pokonali wzniesienie i pośród wzgórz wyłonił się przed nimi widok na białą-szarą mgłę na rzece i most wyłaniający się z niej, jakby za pomocą magii. Na drodze znajdującej się pomiędzy nimi a koleją czerniło się od ludzi i psów, połyskiwały słabo groty lanc i proporce. Sztandar Brygady z podwójną błyskawicą już powiewał nad małym fortem, gdy obok przepływał zastęp, wraz z osobistym proporcem – biegnącym psem bojowym; czerwien na czarnym, z ogromnym srebrnym W. – domu Welfów. Wywiad donosił, że Teodorę Welf prowadził awangardę nieprzyjaciela. Kolumna Brygady była zwarta, ludzie ściśnięci strzemię w

strzemię na otwartej przestrzeni. Młody Teodorę ryzykował wszystko, aby szybko posunąć siły do przodu, w górę, z dala od wzgórz i na równinę.

Dokładnie to należało zrobić. Niestety dla wroga, nawet usprawiedliwione ryzyko było w dalszym ciągu ryzykiem.

Zabrzmiała trąbka. Kolumny plutonów zatrzymały się, a psy przysiadły. Mężczyźni z nich zeszli i szybko pognali do przodu, rozciągając się niczym rozpostarte skrzydła pikującego jastrzębia. Zanim nieprzyjaciel znajdujący się w odległości kilku setek metrów miał czas, aby zrobić coś poza tym, że zaczął zawracać i miotać się, zabrzmiał rozkaz:

—

Kompania...

—

Pluton...

—

Przedni szereg, salwą pał, *pał!*

BAM. Dwustu ludzi złożonych w jednym strzale; czerwone błyski z luf przebijały deszcz niczym poziomy grzebień.

Tylny szereg przeszedł przez pierwszy. Zanim ucichły echa początkowego zawołania *fwego*, wystrzelił następny szereg – półplutonami, osiemnastu ludzi naraz, z gwałtownym, jazgoczącym hukiem.

*BAM. BAM. BAM. BAM.*

Pomiędzy jednostkami pojawiły się działka polowe. – Jeśli się przedrą... – powiedział Ehwardo. Żołnierze nacierali i strzelali, nacierali i strzelali. Dowódcy podążali za nimi, prowadząc swoje psy.

– Jeśli – odparł Raj.

Działka wypaliły kartaczami, a ładunki rozlatywały się na ograniczonej przestrzeni z maksymalną skutecznością. Dym litościwie przykrył na chwilę rezultat, a potem deszcz przegnał go z powietrza. Bowiem pięćdziesiąt metrów od czoła kolumny Brygadowcy i ich psy stanowili unoszący się i opadający z wrzaskiem dywan ciał. Człowiek bez twarzy szedł chwiejnie ku szeregowi Rządu Cywilnego, wyjąc w agonii. Następna salwa odrzuciła go do tyłu, aż spoczął w różowo-szarej płataninie psych wewnętrzności. Zwierzę wciąż skamlało i drgało.

*Ludzie mają w sobie dużo życia*, pomyślał Raj. Ludzie i psy. Czasami po prostu umierali, a czasami przecinało ich na pół, a oni żyli jeszcze przez minuty, nawet godziny.

Nacierające siły posunęły się tak daleko w dół zbocza, że pluton rezerwy i druga bateria dział mogli strzelać im nad głowami. Fale uderzeniowe przelatujących górą pocisków waliły ich w tył hełmów jak poduszki przemieszczającego się powietrza. Większość Brygadowców na czele kolumny *próbowała* uciekać, ale pasmo ziemi koło torów było zbyt wąskie, a ścisk za nimi zbyt wielki. Ludzie rozproszyli się, wspinając na zbocze ku zalesionym wzgórzom. Wtedy właśnie Skinnerzy otworzyli ogień ze swoich dwumetrowych strzelb na sauroidy. Lecąc w dół równego stoku, ich

piętnastomilimetrowe kule przechodziły przez trzech albo i czterech ludzi na raz. Ogromny hałas podniósł się od uwiecznionego tłumu żołnierzy nieprzyjaciela; częściowo zawodzenie, częściowo ryk. Niektórzy dobywali swoich karabinów i próbowali odpowiedzieć ogniem, stojąc lub szukając osłony za stosami ciał. Ołowiane pociski świstały nad głowami, a niecałe dwa kroki od Raja jakiś żołnierz krzyknął *ang!*, jakby go ktoś walnął w brzuch, a potem upadł na kolana i na ziemię.

Wyminęła go reszta jednostki, przeładowując. Pusty mosiądz zadzwieczał, spadając obok ciała leżącego na torach, odskakując od czarnego żelaza klamer na drewnianych podkładach.

Raj zagwizdał ostro, a Horace wysunął się do przodu i przysiadł. *Muszę zobaczyć, co się dzieje*, pomyślał Raj, zajmując miejsce w siodle i wypatrując przez lornetkę, gdy pies wstawał.

A potem: *cholera*.

Dym i mgła utrudniały widoczność, ale w dole przy forcie coś się działo. Ludzie z proporcami wyjeżdżali galopem przy głośnym wtórze kotłów. Kolumna nieprzyjaciela wyrzuszała się naturalnie tam, gdzie nacierające szeregi spotykały się cofającymi. Oddział z fortu zaprowadzał wśród nich porządek, grupki psów do jazdy odprowadzano na tyły, a ludzie w mundurach dragonów rozbiegali się na lewo i prawo ku lasowi. Trzy pociski z drugiej baterii przeorały się przez skupisko Brygadowców, wznosząc fontanny ziemi i kamieni, żelastwa z torów i kawałków ciał. Gdy rozwiął się dym, Brygadowcy wciąż się posuwali, a sztandar Welfów wciąż stał. Raj wycelował lornetkę w szanice fortu. Centrum ustawiło mu kwadrat przed oczami i powiększyło, wypełniając szacunkowymi danymi. Mężczyzna w inkrustowanej zbroi lansjera z pióropuszem wysokiego dowódcy. Kolejny z postronkiem na szyi i dwóch mężczyzn stojących za nim z czubkami mieczy w okolicach jego nerek. Clo Reich wskazujący...

*Wskazujący na mnie*. Bez pomocy lornetki nie można było rozpoznać człowieka z tej odległości, ale Horace'a tak.

Napór na moście za fortem ustał. Dwa nisko zawieszony pojazdy w kształcie żółwi wjeżdżały na niego powoli, a ludzie i zwierzęta odpływali na boki, aby pozwoić im przejechać. Pojazdy pluły parą i dymem z niskich kominów. Brygada nie dorosła nawet do astmatycznych silników na gaz, jakimi posługiwały się w pojazdach opancerzonych Kolonia i Rząd Cywilny, ale w krytycznym momencie para też się nadawała. Raj znowu przeklął w duchu. Ktoś miał przyływ inteligentnych pomysłów. Pojazdy posuwały się na kołach z krezami pasującymi do torów. Do kadłuba przyczepiono szersze ogumienie. Kilka minut roboty, żeby przymocować je do żelaznych osi i pojazdy będą mogły poruszać się po drodze. *To* było sprytne.

—

Ehwardo! – krzyknął Raj.

—

Niezbyt radośnie? – spytał towarzysz.

—

Niezbyt. Zaczęli się rozbiegać w panice, ale ten, kto tam jest, zajął się przywracaniem porządku.

Regiment lansjerów wydobywał się z tej ciżby i formował szyki. Działa z fortu grzmotnęły, a

kartacze nadleciały ze świstem, wybuchając w powietrzu w połowie drogi pomiędzy rozrzuconymi z przodu trupami nieprzyjaciół a szeregiem Rządu Cywilnego. Coraz więcej strzelców odpowiadało ogniem, niektórzy w zorganizowanych jednostkach. Żołnierze Brygady byli odważnymi ludźmi, a większość stanowili wyszkoleni żołnierze. Nie *chcieli* paniki, wiedzieli też, że prawdziwa rzeź zaczynała się, gdy jedna ze stron rzucała się do ucieczki. Kiedy ktoś wreszcie zaczął wydawać rozkazy, musieli odczuć ogromną ulgę.

—

Jeśli to jest Teodorę Welf, to lepiej, żeby Ingreid Manfrond później pilnował swojego Stolca — powiedział Ehwardo.

— I lepiej, żebyśmy my pilnowali teraz naszej dupy – rzucił Raj.

Spojrzał na niebo i przywołał z pamięci wygląd terenu. Kolejne pociski świsnęły obok, a kula armatnia uderzyła w drzewo u góry zbocza, prawie na jego wysokości. Długi, smukły pień drzewa biczyskowego wybuchł drzazgami na wysokości piersi, a potem opadł powoli, usuwając się ze szlaku, podtrzymywany przez sąsiednie drzewa.

— Ma dość rozumu, żeby zmienić ich zwykłą taktykę – rzekł Raj. — Ci dragoni będą starali się zająć nas od flanki, a lansjerzy będą nacierać lub grozić natarciem, żeby nas przyszpilić.

— Odwrót? – spytał Ehwardo.

Wyraźnie niemożliwością było pozostanie. Gdyby nieprzyjaciel uciekał, zaistniałaby szansa do zdobycia mostu szturmem. Jeśli jednak by nie uciekł, to przeważałaby brutalna arytmetyka walki. Na tym nierównym terenie było po prostu za dużo tych po drugiej stronie. Ludzie piechotą mogli zająć ich z flanki, a teren dawał wystarczającą osłonę.

—

Ja to zrobię, z działami i Skinnerami. — Uniósł dłoń. — To *rozkaz*, majorze. Zabierz ich do tyłu kłusem, ale nie szybciej, i zaraz za bramą miej kompanię w siodle. Zobaczymy, co się stanie. M'lewis, zbierz swoich złodziei psów. Goniec do Juluka – wodza Skinnerów – powiedz, że go teraz potrzebuję. Kapitanie Harritch!

Artylerzysta dowodzący dwiema bateriami przygnał swego psa.

—

Kapitanie Harritch, grzmotnij teraz paroma pociskami w tory, jeśli łaska – *nie* chciał bowiem, żeby te pojazdy opancerzone popędziły szybko jak po gładkich torach – a potem przygotuj się do zaprzęgnięcia do przodka. Zrobimy tak...

Wszyscy tutaj także czuli ulgę, słysząc rozkazy. Gdyby tylko był ktoś, kto mówiłby *jemu*, co robić.

\* \* \*

— Teraz! – rzucił porucznik baterii. Sierżant-woźnica Rihardo Terraza – jego zadanie polegało na powożeniu psem-przodownikiem z lewej strony zaprzęgu ciągnącego działo – napał na ogon łoża. Reszta załogi też pchała albo naciskała na szprychy kół. Działko połowe podskoczyło do przodu, przeskakując ponad lekkim wzniesieniem na drodze.

*niechocalinasduchświęteawatary*, tym razem barbarzyńcy byli *blisko*. W odległości mniejszej niż czterysta metrów, dragoni, lansjerzy i kilka ich żalonych dział odprzodkowych, posuwało się z łoskotem po drodze, w deszczu, który przybierał na sile. Mieli tylko dość czasu, żeby trochę przyhamować, gdy czarne lufy dział wychynęły zza grani, pojawiając się jakby znikąd. Inni Brygadowcy przecinali pofalowane pola, ale oni znajdowali się o wiele dalej, spowalniani przez winnice i kamienne murki, o które potykały się ich psy.

Stuknęły zamki. Wszyscy odskoczyli ze ścieżki odrzutu, otwierając usta, by oszczędzić uszy.

*POUMF. POUMF. POUMF. POUMF.*

Pociski z natychmiastowo zaskakującymi zapalnikami wybuchły przed Brygadowcami. *Miodek*, pomyślał Terraza z mściwą satysfakcją. Od pięciu lat był w swojej baterii, *od* czasu kampanii pod El Djem, gdy zabrali na pustynię tylko jedno działo z czterech. Wiedział, co kartacze robiły z takim zmasowanym celem jak ten.

– Trzymajcie się z dala, *fastardos* – wymruczał pod nosem i znowu rzucił się *m* działo.

Z *powrotem* do baterii. Czuł jak mięśnie nóg drżą mu od powtarzanego wysiłku, wpychania raz po raz i z powrotem tych dwóch ton drewna i żelaza. Deszcz zmywał i rozpuszczał pot. Przesunął językiem po wargach, suche. Ostry dym śmierdzący siarką przyprawiał go o kaszel. W odległości niecałego ramienia od jego głowy kula odbiła się ze świstem od lufy działa, rozplaszczając się w ołowiany placek niczym miniaturowe frisbee, odskakując *ziip-ziip-ziip* w powietrze.

Barbarzyńcy na ich usługach otworzyli ogień; Skinnerzy stojący za swoimi podpórkami strzelniczymi, waląc kurkami z regularnością metronomu. Coś wielkiego wybuchło nad nieprzyjacielem, pewnie jeden z ich kesonów. To mogli zrobić Skinnerzy albo ogień z baterii. Nie ma czasu na przyglądanie się i niech Duch pobłogosławi *cokolwiek* to zrobiło. Barbarzyńcy mieli się czym martwić, zamiast próbować sprawić Rihardo Terrazo lewatywę z metalowym szpicem.

*POUMF. POUMF. POUMF. POUMF.*

– Zaprzęć do przodka! – krzyknął porucznik.

Tym razem załoga pochwyciła ogon łoża, zanim działo skończyło odrzut – ryzykując zmiżdżenie stóp i rąk, ale było to *znacznie* łatwiejsze niż ciągnięcie działa siłą samych mięśni. I szybsze, co było teraz ważne. Podtrzymywali pęd i ogon w górze, z lufą działa pochyloną lekko w dół i wepchnęli je z powrotem w przodek. Był to dwukołowy wózek z trzymaną w gotowości amunicją i uprzężą dla psiego zaprzęgu. Stalowa obręcz na końcu ogona opadła z brzękiem żelaza na sztabę blokującą w tyle przodka.

Tetrazo zignorował to. Przeciągnięcie zaczepu przez sztabą było zadaniem kogoś innego. Właściwie to jego młodszego brata Halvaro. Zadaniem porucznika było powiedzenie mu, dokąd się udać, a zadaniem kapitana Harritcha podjęcie decyzji gdzie, zaś zadaniem messer Raja było czuwanie nad wszystkim. Pognał do przodu, na czoło zaprzęgu sześciu psów, i zajął miejsce w siodle przodownika po lewej stronie. W tej samej chwili przodowniczka po prawej szczeękła i podniosła się.

– *Hadelande, Pochita!* – krzyknął do niej. Pochita była dobrą suką, wychował ją od szczeniaka i

sam przyuczył do upręży,

Wiedziała, jak łapać kierunek z szabli porucznika, tak samo jak i on wiedział, i ruszyła galopem. Zaprzęg pognał równocześnie.

Porucznik wskazywał kierunki *szablą*. Na prawo i do tyłu, żeby odrzucić zachodzącą z flanki grupę barbarzyńców, która kręciła się zbyt blisko. Ruszyli z łomotem i grzmiotem przez rów przydrożny, a potem, ze świszczącym oddechem, w górę po skalistym zboczu. Jak tylko usunęli się z drogi, druga bateria kilka tysięcy metrów w tyle otworzyła ogień. Skinnerzy także znaleźli się w siodłach, posuwając się wraz z nimi. Wszystkie cztery działa i dwa dodatkowe kesony z zapasową amunicją. Będą jej potrzebowali, zanim znowu zobaczą Starą Rezydencję.

Coś uderzyło w skałę na *prawo* od niego z potwornym hukiem i metalowym brzękiem w tle. Kartacze z lanego żelaza z jednego z dział barbarzyńców; mieli cholerne szczęście, trafiając tak blisko poruszającego się celu. W ułamek sekundy później cały zaprzęg się zatoczył, a on prawie przeleciał przez kulę siodła.

Pochita legła. Obie tylne *łapy* miała odcięte w pęcinach; kartacz przetoczył się, wirując, po ziemi, ignorując wszystko inne. Suka zaskomlała i pobrnęła dalej, Szok zablokował większość bólu, ale nie mogła zrozumieć, czemu jej nogi nie pracują. Była skrzyżowaniem nowofunlanda z alzaczykiem; bezpłodna krzyżówka, z wielkimi, bursztynowymi oczami. Ogromny, miękki jęzor gorączkowo lizał Terraza, gdy mężczyzna lewą ręką ciągnął za wodze, a prawą macał w poszukiwaniu zapinki przy upręży.

Zapinka puściła, ale on *musiał* dobyć szabli i cięciem uwolnić sukę od drugiego psa po prawej. Teraz wbił pięty w swego wierzchowca i zaprzęg znowu ruszył do przodu, ale tylko się zatoczył i jeszcze raz zatrzymał.

– Stój, stój! — zakrzyknął jego brat Halvaro.

Rihardo obejrzał się przez ramię. Pochita próbowała podążyć za zaprzęgiem – była najlepszym psem, jakiego kiedykolwiek szkolił, i najbardziej chętnym. Próbowała nawet wówczas, gdy krew tryskała z jej obojgu odciętych tylnych łap, a ona zawadzała o wózek. Ostatnia para psów niemal odskoczyła w bok, starając się jej nie stratować. Pochita się wiała, a jej ciało wygięło się łukiem bólu.

– *Pieprzyć to!* – wrzasnął Rihardo. Deszcz spadł mu na twarz niczym łzy. – Nie zatrzymałbym się, nawet gdybyś to był *ty, mi bro*.

Wbił pięty w boki psa po lewej. Podkute żelazem koło wózka przetoczyło się po szyi Pochity, a koło działa po jej czaszce. Zaprzęgiem szarpnęło i coś pękło z odgłosem przypominającym trzaskające drewno. Halvaro stał na swoim stanowisku na wózku i obejrzał się z przerażeniem, gdy wybuchł pocisk. Pocisk wyrznął w ziemię na prawo od posuwającej się baterii, a kawałek skorupy wielkości ręki pchnął młodego kanoniera do przodu, rozdzierając plecy i ukazując przez połamane żebra wystającą różową powierzchnię płuc.

Halvaro wylądował przed kołami wózka, padając pomiędzy dwoma ostatnimi psami w zaprzęgu. Rihardo z pomrukiem zwrócił twarz przed siebie. Zignorował drugie chrupnięcie, gdy koła przejechały po plecach i piersi jego brata.



– Bateria, dać ostro ognia! – rzucił porucznik.

\* \* \*

– Dobra, wynośmy się stąd – powiedział Raj. – Teraz, kiedy stracili swoje działa, trzymają się z tyłu.

Schował lornetkę. Południe minęło dwie godziny temu; dobry moment na walkę w odwrocie, rozpoczętą wczesnym rankiem. Brygadowcy zostali rozproszeni na kilku tysiącach metrów frontu od strony zachodniej. Ci, którzy będą próbowali przedrzeć się przez pola, będą wolniejsi niż działa Raja *tocząc* e się kłusem po drodze w kierunku domu. Po raz pierwszy tego dnia Raj zauważył wilgotny chłód przemoczonego ubrania. Generał odkorkował termos i pociągnął letnią kawę, słodką i lekko zaprawioną brandy. *Bądź błogosławiona, moja kochana*, pomyślał: Suzette nalegała, aby to zabrał, choć planował wrócić do Starej Rezydencji przed południem. Podał resztkę kapitanowi artylerii.

–

*Grazias, mi heneral* – powiedział młody człowiek. Osuszył kubek i otarł oczy, popatrując ku zachodowi. — Niewielki pożytek z tych ich mosiężnych dział – ciągnął.

Dwie baterie przyczepiono do przodków i zmieniono kilka utraconych psów dzięki nadwyżkom z zaprzęgów dodatkowych kesonów. Potoczyły się szybkim kłusem. Rozłożeni wokół Skinnerzy podnieśli się, wystrzelili parę razy na pożegnanie i wsiedli na psy, wszyscy oprócz jednego, który stwierdził, że droga była dobrym miejscem do opróżnienia kiszek.

–

To prawda, kapitanie Harritch – rzekł Raj, gdy oficerowie zgromadzili się wokół i ruszyli za działami. Psy rzuciły się do biegu susami pochłaniającymi przestrzeń. – Problemem jest ich determinacja.

Wyglądało na to, iż Jednostka Własna Poplanich była wciąż skupiona wokół kolejowej bramy prowadzącej do miasta.

*Co ten Ehwardo sobie myśli?* – pomyślał z irytacją Raj.

\* \* \*

– Otwierajcie tę cholerną *bramę*, głupcy! – wrzasnął ku górze ponad murem Ehwardo Poplanich.

Deszcz tryskał z rynien na parapecie w górze, spadając na jego żołnierzy. Ehwardo czuł, jak psy za nim się niecierpliwia, a ludzie także – odwrót stanowił najostrożniejszy sprawdzian dyscypliny.

Milicjant wyrzwał przez maleńki okratowany otwór w bramie na wysokości głowy. – Pojedźcie naokoło do północnej bramy – powiedział ze śladem hysterii w głosie. – *Słyszeliśmy* walkę. Nie zamierzamy wpuścić Brygady do miasta po to tylko, coby ocalić *wasze* tyłki, człowieku ze wschodu.

Szczyt bramy najeżył się karabinami. Przejęta broń, rozdana miejskiej milicji, jednak wystarczająco śmiertelna. Z rynien mogła wypływać także gotująca się oliwa i płonąca nafta... i trudno było powiedzieć, co mógł zrobić tłum przerażonych cywili. Postawili milicję na straży w ciągu dnia, aby prawdziwi żołnierze mogli lepiej spożytkować swój czas. Kolejne wkalkulowane

ryzyko, bo brakowało im ludzi...

Raj się zatrzymał. – *Co się tutaj dzieje?* – warknął. Horace warknął dosłownie, głębokim, gniewnym pomrukiem.

Ehwardo wykonał jeden, mocno opanowany gest w kierunku judasza. Raj zdjął hełm.

– Tu generał Whitehall – rzekł powoli i wyraźnie. – Natychmiast – otwierać – bramę.

–

Whitehall jest *martwy* – rzucił drżącym głosem mężczyzna. – Słyszeliśmy o tym od uciekinierów. Martwy, zmieciony wraz z obydwoma batalionami, *martwy*.

I to teraz, gdy Raj oraz cały batalion kawalerii i osiem dział czekali na drodze. A wszystko przez jednego albo dwóch tchórzy, którzy zwiali przed odwrotem, a ci wychowani na ulicach milicjanci postanowili im uwierzyć. Znajdujący się obok niego Ehwardo przeklinał cicho. Cała ta sprawa kosztowała *czas*. Gdyby Jednostka Własna Poplanich znalazła się wewnątrz, mógłby wtoczyć działa i wprowadzić Skinnerów do środka ze sporym marginesem bezpieczeństwa. Nawet gdyby otwarto teraz bramę, byłoby to ryzykowne. Pościg nadjeżdżał galopem, pędząc jak po ogień. Za murami miasta rozhuśtały się dzwony. Miasto zostało zaalarmowane, ale mogło upłynąć piętnaście minut albo i więcej, aż wiadomość dotrze do prawdziwego oficera.

–

Poślijcie gońca do kwatery głównej – Raj warknął w kierunku judasza. Nie było czasu, aby o tym myśleć. Nie było czasu, żeby myśleć o tym, co zrobi z ludźmi odpowiedzialnymi za to popieprzenie.

–

Ehwardo, będziemy musieli zająć się tymi depczącymi nam po piętach, zanim zrobimy cokolwiek innego. Ustaw się w szyku przecinającym drogę, cofając środek. Kapitanie Harritch, obydwie baterie we wsparciu, jeśli łaska. Dwa działa na środku, a reszta po bokach. Juluk...

Deszcz przeszedł w drobną mżawkę. Teren w pobliżu miasta był w większości płaski, a Raj rozkazał, aby wycięto i zniszczono każdy skrawek schronienia w promieniu dwóch kilometrów od murów. Raj stał zwrócony przodem ku wschodowi, ku kolei i biegnącej wzdłuż niej drogi, brukowanej tak blisko miasta. Z lewej miał rzekę, zwężającą się i skręcającą tutaj na północ, z wysokim występem skalnym na zakręcie jakieś dwa kilometry stąd. Zawołania trąbek rozpraszały ludzi z Jednostki Własnej Poplanich gładko niczym olej rozplływający się po szkle.

*Dobrze wyszkoleni*, pomyślał Raj. Tylko głupiec nie denerwowałby się w takiej sytuacji, lecz manewr był tak spokojny i szybki jak na ćwiczeniach. Kolumna zawróciła, każdy pies skręcił dokoła własnej osi. Każda kompania ruszyła ukosem, jak ramiona litery V, przez pola, a plutony uczyniły tak samo, potem zaś skręciły, *tworząc* szereg. W przeciągu mniej niż ośmiu minut sześciuset ludzi z Jednostki Własnej Poplanich kłusowało z powrotem ku wschodowi w rozciągniętym, otwartym szyku; podwójny szereg ciągnący się prawie na kilometr.

Grupa lansjerów, licząca sobie tysiąc ludzi, przewodziła pościgowi Brygadowców, galopując drogą na psach pozbawionych tchu od pogoni w górę zbocza. Las wzniesionych lanc poruszył się niczym kępa trzciny na wietrze, gdy cienki niebieski szereg żołnierzy Rządu Cywilnego ruszył ku nim

spokojnym kłusem. Znajdujący się obok Raja Ehwardo potaknął sam sobie.

– Tylko spokojnie – rzekł cicho do siebie.

Dystans się zmniejszał, a lansjerzy pchnęli swoje wymęczone psy do ciężkiego galopu, nacierając grupą.

– Teraz!

Trąbka zagrała pięć dźwięków. Powtórzyli je trębacze kompanii, psy przysiadły na tylnych łapach, a potem przypadły na ziemię. Ludzie pobiegli sześć kroków w przód i też padli. Pierwszy szereg leżał, a drugi klęczał.

– *Ognia!*

Zasięg wynosił teraz nie więcej niż dwieście metrów. Było na tyle blisko, iż widać byłoby twarze ludzi, gdyby podnieśli swoje przyłbice. Na tyle blisko, by słyszeć, jak kule uderzają o zbroje. Wysunięte do przodu skrzydła formacji Rządu Cywilnego oznaczały, iż każdy człowiek mógł wzniesić swój karabin. Dwa działka polowe w środku, obok dowódców, także zaczęły strzelać kartaczami, z lufami ustawionymi poziomo do gruntu. Setki ołowianych kulek brzmiały niczym wszystkie osy świata, aż uderzyły w masę ludzi i psów. Przypominało to grad walący w dachówki. Po trzeciej salwie ci, którzy przeżyli, odwrócili się, by uciekać, ale ich psy były zmęczone i blokowane przez kopiące masy umierających i martwych. Za nimi, drogą, zbliżały się jednostki, dragoni i lansjerzy razem, pędząc, by uczestniczyć w zabijaniu, o czym świadczył wznowiony ogień.

Zabijanie trwało. Zza pagórka wyjechali Skinnerzy. Niektórzy zsiadli, by strzelać. Inni wpadali w wir walki, z siodeł waląc z bliska ze swych olbrzymich karabinów i zeskakując w dół z nożami w każdej ręce, a potem umykając z wybranym łupem. Brygadowcy na tyłach ciżby zaczęli się zatrzymywać i znowu przemykać bokami na pola. Skinnerzy podążyli za nimi, rozciągając się po polach. Ludzie uciekali od groźby niesionej przez ich ogień.

– Brygadowcy naprawdę muszą popracować nad formacją swoich jednostek – rzucił chłodno Raj. – Te ich regimenty są za duże, by szybko reagować. Zaplątują się we własne nogi, gdy wydarza się coś nieoczekiwanego.

Pociski przeleciały górą i wybuchły nad drogą. Szrapnel spadł deszczem na masę żołnierzy nieprzyjaciela, schwytyanych w pułapkę pomiędzy rzędami trupów przed batalionem a grupkami jeźdźców napływającymi strużkami od tyłu.

– Możemy... och, kurna – rzekł Ehwardo.

Czarny, przypominający żuka kształt zamajaczył w deszczu, rozrzucając ludzi na boki po obu stronach kadłuba jak radło pługą. Miał długość ośmiu metrów i szerokość trzech, a w środku jego zaokrąglonego kadłuba z żelaznej blachy wysokość człowieka. Z komina w tyle biły dym i para. Deszcz syczał, uderzając o metal. Jeszcze więcej pary buchało spod tylnych kół, rytmiczne *czu-czu-czu*. Lekkie działko wysunęło się z przodu przez szczelinę jak w skrzynce na listy. Po bokach widać było małe otwory na karabiny i pistolety.

– *Scramento* – powtórzył Raj.

Ktoś tam na moście kazał przenieść pojazd przez dziurę, jaką wyrwali w torach, a potem posłał go, żeby śmignął po zachowanej części. Za ostatnim wzniesieniem w kilka minut zamocowano na krezach koła do jazdy po drodze i już był gotowy. Teraz posuwał się do przodu, grzechocząc i świszcząc, a żołnierze Brygady podążali za nim, jakby przyciągani przez podwójną czarną błyskawicę w czerwonym kole umieszczonym na jego przedzie.

Tylko działo po tej stronie skarpy kolejowej mogło strzelać. Załoga już poruszała śrubami regulującymi wysokość i kierunek swojej broni. Ta skoczyła i ześliznęła się do tyłu; pocisk wzbili fontannę ziemi ze skarpy obok wozu opancerzonego. Pojazd poleciał w bok, zarzuciło nim, a potem wrócił na drogę, nabierając szybkości.

– Nic nie zostało, tylko kartacze! – krzyknął sierżant kanonier, gdy pognął z powrotem do kleszczy.

Ludzie przenosili cel na pojazd. Sypnęły iskry, gdy kule odbijały się od powierzchni, ale nawet pociski zakończone mosiądzem nie mogły się przebić. Właz na górze zamknął się ze szczęką, tak że dowódcy pozostały jedynie szczeliny wokół klapy. Pojazd opancerzony nie miał siły ogniowej, aby zabić aż tylu żołnierzy. Mógł jednak złamać ich pozycję i zwartość szyku, a tylko tego było trzeba. Piętnastomilimetrowe pociski z karabinów na sauroidy Skinnerów pewnie by się przebiły, ale oni znajdowali się na flankach... i pewnie będą uważali, że to jego sprawa, nawet jeśli popatrywali w jego stronę.

*To była jego sprawa.* – Za mną – zakrzyknął i wbił pięty w boki Horace’a.

Ludzie podążyli za nim – nie było czasu, żeby sprawdzić kto – i pies pognął do przodu wyciągniętym galopem, z brzuchem blisko ziemi. Żelazny potwór *rosł* w oczach z przerażającą prędkością. Musiał posuwać się z najwyższą psią szybkością. Ruch Raja przesunął Horace’a w bok, do rowu. Armata się obróciła, starając się w niego wymierzyć, a potem błysnęła czerwienią. Koło lewego ucha świsał mu kartacz, a Horace podskoczył, jakby ugryziony przez muchę. Kula drasnęła zad psa, a potem znaleźli się poza zasięgiem strzału. Za nim jakiś pies zawył z szoku, a potem Raj ściągnął wodze. Horace szarpnął się, przypadając tylnymi łapami niemal do ziemi, aby wytracić pęd, i obrócił się. Raj ocenił odległość i rzucił się na kadłub wozu opancerzonego, a jego prawa dłoń zacisnęła się na klamrze w kształcie litery U, przyśrubowanej do kadłuba. Zamknęła się ona jak mechaniczny uchwyt i mężczyzna poczuł, jakby niemal wyrwało mu ramię ze stawów, gdy osiemdziesięciokilogramowa masa jego ciała została wyciągnięta z siodła i walnęła o górę kadłuba na przedzie wozu opancerzonego.

Nity wbiły mu się w pierś, aż z pełnym bólu świstem stracił oddech. Jego talia znajdowała się na skraju pancerza, a nogi zwisały niebezpiecznie blisko obracających się szprych przedniego koła.

A za sekundę dowódca wystawi głowę przez właz i zastrzeli go niczym spętaną owcę albo trafi w niego jedna z kul odbijających się z brzękiem od kadłuba.

Uniósł lewe ramię i zacisnął na następnej klamrze w kształcie litery U. Wełna płaszczka rozdarła się, gdy napiął ramiona, żeby podciągnąć się wyżej. Podskoki i opadanie wozu posuwającego się po nierównej drodze na twardych resorach rzucały nim w górę i w dół po kadłubie z żelaznej blachy kotłowej. Macał prawą stopą, aż udało mu się przerzucić ją przez górną krawędź kadłuba i oparł się o uchwyt. *Teraz mógł uwolnić rękę.* Rewolwer wyskoczył z olstra z trzaskiem, gdy puścił zapinający

go pasek.

M'lewis jechał obok po drugiej stronie pojazdu – Duch wie jak – mocno się wychylając, z karabinem trzymanym jedną ręką i wsadzonym w szczelinę przy kierowcy. Odgłos wystrzału niemalże zgiął pośród jękliwego, zgrzytliwego hałasu towarzyszącego przejazdowi wozu. Raj poczuł, jak ten nagle zatoczył się pod nim, a potem niemal go zrzuciło, gdy pojazd wpadł w rów przy drodze i wjechał na pole. Armatka się obróciła, próbując wycelować w M'lewisa, gdy ręce człowieka wewnątrz *odciągały ciało kierowcy od panelu kierowniczego*.

To dało Rajowi czas. Zwisając większością ciała z przodu kadłuba, Raj wsadził rewolwer obok lufy armatki i wpakował tam wszystkie pięć pocisków, tak szybko, jak jego palec mógł pociągać za cyngiel. W chwili, gdy kurek uderzył w pustą komorę, mężczyzna rzucił się do tyłu, zwijając się w kłębek w powietrzu tak, jakby zrobił to, gdyby wyleciał z siodła, przeskakując przez żywopłot.

Raj grzotnął o skalistą ziemię, kalecząc się i siniacząc. Coś wyrznęło go w hełm tak mocno, że przetoczył się tych parę ostatnich razy zupełnie zwiotczały. Wciąż widział, jak pojazd opancerzony posuwa się chwiejnie do przodu. Stracono teraz nad nim kontrolę, gdy kule odbijały się rykoszetem w środku jego kabiny bojowej. Przód maszyny walnął o murek z polnych kamieni i ten się rozwalił, a tył ciężkiego pojazdu poleciał do góry i wyrznął znowu w dół.

To, co nastąpiło, zdawało się dziać dość wolno, choć musiało w całości trwać nie więcej niż piętnaście sekund. Rozwaliło jedną trzecią wozu z tyłu, szwy kadłuba rozdarły się w konwulsyjnym podmuchu uciekającej pary, gdy pękł kocioł. Musiało dojść do tego, że nafta ze zbiornika na paliwo bryzgnęła do przodu, dostając się do kabiny bojowej, bo żółte płomienie buchały przez każdą szczelinę i łączenie. W tej samej chwili wybuchła zapewne zmagazynowana amunicja i gazowe resztki zawartości zbiornika paliwa. Pojazd wybuchł kulą białego płomienia. Kawalki i strzępki żelaznej blachy i maszynierii wyleciały w górę i spadły deszczem wokół.

Coś zimnego i mokrego dotknęło jego karku. Nos Horace. Raj chwycił za strzemień i podciągnął się do pozycji wyprostowanej. Ścisnął się w pasie, czując, jak trzęsą mu się kolana. Wydawało mu się, jakby mu brakowało skóry na znacznej części twarzy, ale żadna z głównych kości nie była złamana. Brygadowcy byli w pełnym odwrocie. Odpytywali z powrotem na wschód: psy, ludzie piechotą i działa z pokrzykującymi w pościgu Skinnerami. Zagrały trąbki. Po lewej batalion kawalerii Rządu Cywilnego wypadł galopem zza węgła miejskiego muru i zaczął formować szyk. Potrząsnął głową, aby mu się w niej rozjaśniło – błąd – i udało mu się dostrzec sztandar 5 z Descott.

– Ponie.

Raj podniósł wzrok. To był Antin M'lewis, wciąż w siodle. – Ponie, dobrze się czujesz?

– Będę żyć – rzekł Raj, spluwając krwią z rozciętej wargi i przebiegając językiem po zębach.

Żaden się nie obluzował... Obejrzał się na drogę. Jednostka Własna Poplanich posuwała się do przodu, wszyscy oprócz grupy sztandarowej. Zatrzymali się wokół czegoś na drodze. Raj poszedł w tym kierunku, z jednym ramieniem wspartym o kulę siodła. Pies Ehwarda leżał martwy na drodze, z przetrąconym karkiem i zmiażdżoną czaszką. Ehwardo leżał niedaleko od niego. Brakowało mu większości lewego boku. Od unoszących się zeber w dół, przez rozdarte ciało, prześwitywała różowo-biała kość, a krew przepływała przez bandaż uciskowy, jakie próbowali założyć jego

ludzie. Sądząc po tym, jak podskakiwała mu druga noga, miał złamany kręgosłup, co zapewne było miłosierdziem. Kapelan batalionu klęczał przy nim, unosząc słuchawki, dotknąwszy po raz ostatni skroni.

Raj przyklęknął. Wzrok starszego mężczyzny wędrował; a zatem już niedługo. Przesunął się po Raju, a oczy zamrugały w chwili rozpoznania. Usta uformowały się w słowo.

— Zrobię to – rzekł głośno Raj, pochylając się mocno.

Ehwardo miał żonę i czwórkę dzieci; łącznie z jednym młodym chłopcem, który będzie sam na świecie zdecydowanie niesprzyjającym genom Poplanich.

Oczy wywróciły mu się ku górze. Raj, tak jak wszyscy obecni, pocałował amulet, a potem wstał.

– Przerwać walkę – rzucił chrapliwie do starszego kapitana. – Zagrajcie odwrót. Tym razem brama zostanie otwarta.

Suzette podjechała na swoim wierzchowcu Herbie obok sztandaru Piątego. – Och, niech to piekło pochłonie – rzekła. – Był z niego dobry człowiek.

Raj skinął krótko głową. *Byłby lepszym gubernatorem niż Barholm*, pomyślał.

>>Nie.<< Głos Centrum w umyśle był silny niczym skała. >>Byłby człowiekiem pokoju. Nie miałby bezwzględności potrzebnej do złamania wewnętrznego oporu przed zmianą.<<

*A czyż nie potrzebujemy pokoju?* – spytał Raj. *Czy tylko sierpostop w ludzkiej skórze może utrzymać się na Krześle?*

>>Pokój może zaistnieć jedynie przez zjednoczenie. Barholm Clerett jest zdolnym administratorem, mocno trzymającym się władzy, potrafiącym zastraszyć zarówno biurokratów, jak i szlachtę. I nie spocznie, zanim Bellevue nie zostanie zjednoczona. Dlatego też jest on jedynym odpowiednim gubernatorem w obecnych okolicznościach.<<

*A ja muszę zdobyć dla niego Ziemię*, pomyślał z goryczą Raj. *Dla niego i kanclerza Tzetzasa.*

>>Bellevue<< poprawiło Centrum. >>Na Ziemię przyjdzie pora długo po tym, jak twój czas się skończy. A reszta jest zgodna z prawdą.<<

Trąbki obydwu jednostek zagrały skomplikowaną przeplatankę. Ludzie owinęli ciało Ehwardo Poplanicha i złożyli je na kesonie działa. Inni zbierali biegające luzem psy oraz rannych i broń nieprzyjaciela.

Po chwili Raj przemówił na głos. – Przynoszę nieszczęście rodowi Poplanich – powiedział.

– To nie twoja wina, mój drogi – wymruczała Suzette.

– Nie powiedziałem, że moja – odparł tonem niczym stal. — Nie powiedziałem, że moja.

Brama była otwarta. Wzdłuż drogi znajdowali się regularni żołnierze salutujący wjeżdżającemu Rajowi, a potem ponownie ciału Ehwarda. Milicja stała nieco bardziej z tyłu, z posepnym wyrazem twarzy. Żołnierze Jednostki Własnej Poplanich spluwali na nich, przejeżdżając obok, a mieszkańcy miasta spuszczaali potulnie wzrok, nie starając się nawet usuwać.

Gerrin Staenbridge czekał za bramą. Stałe rozkazy zakazywały mu znajdowania się poza murami w tym samym czasie co Raj.

– W mieście ogłoszono stan pogotowia – powiedział. A potem – *Cholera* – gdy zobaczył dowódcę Jednostki Własnej Poplanich.

Jego wzrok powędrował ku milicji, która zamknęła bramę. – Jakie są twoje rozkazy dotyczące ich, *mi heneral?*

Raj wzruszył ramionami. – Zdziesiątkować – rzucił beznamiętnie.

– Nie wszystkich?

– Niektórzy z nich mogą się później przydać – ciągnął Raj. – Choć teraz nie mogę sobie wyobrazić do czego.

## Rozdział siódmy

Oddział sztandarowy i eskorta wyszły Teodorę Welfowi naprzeciw przy głównej, północnej bramie Starej Rezydencji. Welf wymienił saluty z dowodzącym nimi oficerem, mężczyzną młodszym niż on sam, z hakiem zamiast lewej dłoni. Był mały i ciemny na sposób ludzi ze wschodu, pachnący mydłem lawendowym, ogolony, z gładkimi policzkami – niemal karykatura zniewieściałego grisuh. Pomijając ten hak oraz strzelbę-obrzym noszoną w olstrach przerzuconych przez ramię, i zimne, beznamienne oczy zabójcy. Jego nameryjski był dobry, ale po książkowemu starodawny, z melodyjnym sponglijskim zaśpiewem i śladem południowego wibrującego „r”, jakby mówił nim głównie z ludźmi z Eskadry.

– Jestem zachwycony, mogąc cię poznać, lordzie Welfie – powiedział. – Obawiam się, że odtąd konieczne będą opaski na oczy.

Teodorę oderwał spojrzenie od odbudowanych szańców i nęcących fragmentów fortyfikacji ziemnych za bramą. Widział, iż wykopano fosę; dno było pełne błotnistej wody i naostrzonych kołków. Krawędź wgłębienia wyglądała na nienaturalnie równą jakby ukształtował ją ogrodnik, ale zupełnie brakowało ogromnych kup ziemi, która musiała pozostać po takim wielkim kopaniu. Czuć było wyraźny zapach nowo położonej cementowej zaprawy, a ze szczytów wież leciały iskry i dobiegał szczeł żelaza – kowale przy pracy.

Miękki materiał przykrył mu oczy, a ktoś wziął wodze jego psa. Z tyłu dochodziły normalne odgłosy ruchu ulicznego i wonie miasta wraz z cichym pomrukiem rozlegającym się na widok sztandaru Brygady u jego boku. Od czasu do czasu dał się słyszeć okrzyk ze spanjolskim akcentem, nawołujący do usunięcia się z drogi. Raz czy dwa członek eskorty powiedział coś. Teodorę miał problem ze zrozumieniem, choć także mówił we wschodnim języku. Mężczyźni wokół niego mówili nim z nosowym tonem, posługując się wieloma słowami, jakich nigdy nie przeczytał w żadnej sponglijskiej książce. Poczucie bezradności było tak dziwnie dezorientujące, jakby było się chorym. Wyminęli ich ludzie wierzchem oraz działa turkoczące po nierównym bruku. Mijały minuty, mimo iż psy posuwały się szybko stępa. Stara Rezydencja była *dużym* miastem.

Gdy echa zmieniły się, co oznaczało, iż wyjechali na główny plac, Teodorę Welf trochę się rozzłościł. Tylko myśl, że *miał* się rozzłościć, sprawiała, iż panował nad sobą. Ktoś musztrował piechurów na placu, a on rozpoznał dość sponglijskich przekleństw, by wiedzieć, że ktokolwiek to był, nie był z nich zadowolony. Jeśli Raj Whitehall starał się zrobić żołnierzy z milicji Starej Rezydencji, to zapewne obie strony były rozpaczliwie nieszczęśliwe. Ta myśl przywróciła mu nieco radości, gdy pomagano mu zsiąść z wierzchowca i poprowadzono w górę schodami, podtrzymując za łokieć. Jeden z pozostałych emisariuszy potknął się i zaklął.

Zimny metal wsunął się pomiędzy opaskę a jego skórę, lekko niczym dotknięcie motyla.

—Nie *ruszaj* się teraz — rzekł melodyjny głos przy jego uchu.

Materiał spadł, zgrabnie przecięty. Zamrugał, gdy powróciło światło. Spłowiały i wytarty przepych komnaty Rady Gubernatorskiej był znajomy. Przeszli przez marmurowe korytarze o wysokich, kasetonowych sufitach i wysokich, smukłych słupach po bokach, wchodząc do sali rady znajdującej się pod kopułą. Wznoszące się półkołem rzędy ławek były pełne odstrojonych doradców.



Karbidowe lampy na kopule w górze odbijały się od białego kamienia i jasnego drzewa. Teodorę zeszytywniał z gniewu, zobaczywszy, że zdjęto sztandar Brygady wiszący za podium, a złoto-srebrny Rozbłysk Gwiazd ponownie zajmował dumnie to miejsce.

Jeszcze kilka innych rzeczy uległo zmianie. Straże przy drzwiach były w mundurach Rządu Cywilnego: niebieskich, frakowych kurtkach, bordowych spodniach i okrągłych hełmach z kolczugowymi ochroniaczami. Krzesło pierwszego obywatela zajmował mężczyzna w oficerskiej wersji tego samego stroju. Na stole obok niego znajdowała się poduszka z metalową buławą wysadzaną szlachetnymi metalami.

*Whitehall*, pomyślał szlachcic Brygady. Stuknął obcasami i lekko pochylił głowę. Człowiek ze wschodu skinął głową. Kobieta siedziała na miejscu małżonki władcy o stopień niżej. Nawet w tej sytuacji Teodorę obdarzył ją ponownie spojrzeniem, co miało niewiele wspólnego ze wspaniałością jej dworskiej szaty ze Wschodniej Rezydencji. *Rany*, pomyślał.

A potem spotkał się spojrzeniem z szarymi oczami generała. Teodorę Welf walczył raz w czasie burzy, gdy niebieska poświata odbijała się od grotów lanc i zbroi ludzi. Mrowienie skóry było całkiem podobne do tego, jakie odczuwał teraz. Pamiętał bitwę przy kolejowym moście i na drodze, to dziwaczne uczucie bycia obserwowanym, ubieganym, nie wiedząc, co zaraz w niego uderzy.

Otrząsnął się z tego. Jego generał powierzył mu zadanie do wykonania.

\* \* \*

...toteż, doradcy, nawet teraz Władca Ludzi jest skłonny wybaczyć wam to, iż pozwoliliście cudzoziemskiemu uzurpatorowi zająć i obsadzić fortyfikacje, których od tak dawna broni przed wrogami 591 Prowincjonalna Brygada. Pełna amnestia, pod warunkiem, iż żołnierze ze wschodu opuszczą miasto w przeciągu doby. Damy nawet nieprzyjaciołom trzy dni przewagi przed wyruszeniem w pościg, albo i tydzień, jeśli zgodzą się odjechać morzem i nie będą już więcej trapić Zachodnich Terytoriów.

—

Dobrze się zastanówcie, ile kilometrów muru otacza to wielkie miasto i jak niewielu, jak bardzo niewielu, jest cudzoziemskich żołnierzy – zakończył ambasador Brygady. – O wiele za mało, by je utrzymać przeciwko wielkiemu hufcowi Władcy Ludzi, który właśnie teraz rozbija obóz na zewnątrz. Posłuchajcie i przyjmijcie miłosierdzie Jego Znamienitości, zanim odczujecie jego gniew.

Raj uśmiechnął się lekko. *Nieźle przedstawienie*, pomyślał. Pewnie sporo doradców mocno się teraz pocilo. Ten Teodorę Welf z pewnością wyglądał odpowiednio, z surową i przystojną młodą twarzą i długimi, jasnymi lokami opadającymi na naramienniki zbroi. Mówił także jak wykształcony człowiek – a w potyczkach z awangardą armii Brygady walczył tak samo. Dwaj pozostali oficerowie znajdujący się koło niego byli starsi; weterani z bliznami lat czterdziestu paru. Ich mowy były krótsze, a ich spanjolski o wiele bardziej akcentowany.

—

Bardzo elokwentne – rzucił sucho Raj. – Jednakże, lordzie Welfie, ja przemawiam za tę szlachetną radę jako jeden z jej członków – jego rodzina należała do dziedzicznych doradców w

Rządzie Cywilnym, co było tam uważane za pomniejszy honor – i jako wyznaczony zgodnie z prawem dowódca sił zbrojnych Rządu Cywilnego Świętej Federacji, pod rozkazami jedyne go prawowitego autokraty Barholma Cleretta. A 591 Prowincjonalna Brygada znajduje się w stanie bezprawnego buntu wobec jego osoby i rządu. To ty jesteś tu cudzoziemcem. Generał Forker był zbuntowanym wasalem...

W teorii Brygada utrzymywała Zachodnie Terytoria jako „delegaci” Krzesła; rozwiązanie pozwalające zachować twarz, sięgające czasów pierwszej inwazji, gdy generał Teodorę Amalson został przekonany do usunięcia się na Zachodnie Terytoria po tym, jak przez całe pokolenie nękał Wschodnią Rezydencję. Stara Rezydencja już wtedy znajdowała się w rękach „garnizonu” barbarzyńskich najemników dłużej niż jedno ludzkie życie. Stary Amalson rozwiązał ten problem z bezlitosnym pragmatyzmem: zabił w czasie bankietu wszystkich przywódców, a następnego dnia zmasakrował szeregowych żołnierzy.

...a twój krewny przez małżeństwo, Ingreid Manfrond, nie jest nawet wasalem, ale uzurpatorem. Chciałbym też dalej zaznaczyć, iż ani Brygadowcy, ani inni barbarzyńcy, nie zbudowali tego miasta ani jego murów – nie potrafilicie nawet utrzymać ich w dobrym stanie. Powróciło ono do swych prawowitych władców i zamierzamy je zatrzymać. Jeśli myślicie, że możecie je nam odebrać, to proszę, próbujcie, mocnym uderzeniem, a nie słowami. Brygada nigdy nie przodowała w machinach obłączniczych i przewiduję, że połamiecie sobie zęby na tym orzechu, zanim go rozłupiecie. Tymczasem będziecie obozować w błocie i chorować, podczas gdy ludzie będą powstawać za wami, a dzikusy z północy będą palić wasze nie chronione domy.

– Wracaj, lordzie Welfie – ciągnął Raj. – Posłuż się swoją elokwencją wobec swych ziomków. Powiedz im, aby zakończyli teraz swoją rebelię, gdy jeszcze zachowali swe życie i ziemię, zanim staną sięściganymi uciekinierami chowającymi się w jaskiniach i lasach. Jego Wysokość bowiem powierzył mi zadanie zmuszenia do posłuchu Zachodnich Terytoriów i wszystkich się w nich znajdujących. I tak uczynię wszelkimi niezbędnymi środkami.

\* \* \*

– Więc, jaki jest ten gość Whitehall? – spytał Ingreid Manfrond.

Ingreid, Teodorę i Carstens byli teraz sami. Teodorę położył swoje obute stopy na skrzyni. Służący zaklaskał i zaczął odpinać nagolennik; inny wręczył mu puchar Sala zaprawionego korzeniami. Namiot dowódcy był jak mały dom urządzony z przepychem, ale panował już w nim zatęchły zapach. Młody mężczyzna zmarszczył brwi. Ingreid był *świnią*. I *nic nie wie o kobietach*, pomyślał. *To, jak traktuje Marie, jest głupie*. Niebezpiecznie głupie.

Nie należało jednak lekceważyć Ingreida. W tych małych oczkach widać było przebiegłość dzika.

– Whitehall? — powiedział Teodorę. Spokrewniony przez małżeństwo z generałem, na osobności mógł sobie darować tytuły. – Mniej więcej mojego wzrostu, wygląda na około trzydziestkę. Ciemny nawet jak na człowieka ze wschodu, ale ma szare oczy. Powiedziałbym, że prawdziwy z niego wojownik, sądząc po tym, jak jest zbudowany, i z tego, jak wyglądają jego ręce i twarz – człowiek do miecza i do siodła, a nie taki, co to dowodzi ze wzgórza. Nie marnuje słów. Powiedział mi od razu, że jeśli chcemy miasta, to możemy przyjść i walczyć z nim o nie. I... Władco

Ludzi, masz przed sobą prawdziwą wojnę. To człowiek, za którym pójda wojownicy.

Ingreid zamruczał z namysłem, a jego raka gładziła rękojeść miecza. – Mówią też, że ma szatańskie szczęście.

– Co do tego, to nie wiem, ale widziałem jego żonę – a powiadają, że ona jest czarownicą. W to mogę uwierzyć.

Ingreid potrząsnął głową. – Złamiemy go – powiedział z całkowitym przekonaniem. — Całe szczęście gównu jest warte, kiedy przewyższają cię liczebnie jak dwadzieścia do jednego. – Manfrond nieświadomie się zgarbił, przyjmując postawę człowieka zdeterminowanego przebić głową mur z cegieł albo zginąć przy tej próbie.

Młody oficer i Carstens wymienili spojrzenia. *Przewyższałem go liczebnie, a on zabił dwa tysiące moich najlepszych ludzi*, pomyślał Teodorę. Wątpił, czy Whitehall stracił więcej niż setkę. Oczywiście, w tym tempie armii Rządu Cywilnego zabraknie żołnierzy, zanim zabraknie ich Brygadzie... ale zwycięstwo okupione taką ceną trudno było odróżnić od klęski.

–

A co z cywilniakami? – wtrącił Carstens. – Nie może utrzymać miasta, mając tylko dwadzieścia tysięcy ludzi, jeśli tubylcy nie będą z nim współpracować.

–

Rada? — parsknął Teodorę. – Większość z nich nie będzie srać bez pytania o pozwolenie. Boją się nas, ale bardziej boją się jego, bo on jest tam z nimi. Może uda nam się jednak zrobić coś z kapłanem. Whitehall dość mocno przyciska szlachtę cywilniaków. Myśleli, że będą przyglądali się wojnie jak widzowie na walce byków, ale on na to nie pozwala.

Carstens skinął głową. – Mam w odwodzie paru oswojonych kapłanów-cywilniaków – powiedział. – Możemy przekazać wiadomości przez mury.

Ingreid machnął ręką. – Zajmij się więc tym, Howyrd – rzekł. – Otwórz mi bramę, a zostaniesz *dziedzicznym* wielkim pułkownikiem. – Carstens uśmiechnął się niczym wilk. To dałoby jego synom tytuł Jeśli nie samo stanowisko.

– Ziemia? – spytał. – Będę potrzebował większej posiadłości, aby utrzymać ten tytuł.

– Ci doradcy muszą mieć razem milion albo i dwa akrów. Ci, którzy będą się trzymali Whitehalla, stracą głowy – a ty będziesz miał w czym wybierać, po Stolcu.

Teodorę skinął głową w zamyśleniu. – A czy ja mam twoje pozwolenie, aby zawiadywać obozem? – spytał.

Obydwaj oficerowie spojrzeli na niego. – Pewnie, jeśli chcesz.

Była to rutynowa praca. Niemalże jak służącego... – Będziemy tutaj jakiś czas – powiedział Teodorę. – Lepiej dobrze to zorganizować. Nie chcę, żebyśmy marnowali ludzi, i tak straciliśmy zbyt wielu przez niedbalstwo Forkera.

– Osiem obozów? – spytał Ingreid Manfrond, popatrując na mapę, którą rozwinął młodszy

mężczyzna. – Dlaczego osiem?

Teodorę Welf odchrząknął. – Mniejsza szansa choroby, jeśli rozrzucimy żołnierzy, Władco Ludzi – powiedział. – A przynajmniej tak mówią kapłani.

Tak też mówił *Podręcznik działań oblężniczych* Mihwela Obregona, ale Teodorę nie zamierzał powiedzieć swemu monarsze, że ten pomysł pochodził z książki, i to w dodatku ze sponglijskiej książki. Sam nie brał wszystkiego w niej poważnie, gdy ją czytał – ale od czasu spotkania z wojskiem Rządu Cywilnego, ich metody wyglądały na o wiele bardziej wiarygodne.

Howyrd Carstens skinął głową, podszedł do klapy namiotu i posłużył się lunetą wymierzoną w mury miasta znajdującego się w odległości dwóch kilometrów.

– Wygląda dobrze – rzekł. – Mając dwanaście regimentów w każdym obozie, będziemy mieli dość ludzi, żeby zablokować wszelkie wypady cywilniaków z miasta na tak długo, żeby nadciągnęli pozostali.

– Myślisz, że ośmielą się na wypad? — spytał zaskoczony Ingrid.

Teodorę przełknął resztkę zaprawionego wina i wyciągnął puchar po więcej. – Postawmy sprawę w ten sposób, krewniaku – powiedział. – Kiedy zatknijemy głowę Whitehalla na lancy, wtedy się odprężę.

\* \* \*

—

Czy widziałeś te bezrękie krowy na musztrze, *mi heneral*? – rzucił z goryczą Jorg Menyez. – Do czego się nadają poza wychodzeniem kulom naprzeciw tak, żeby w coś trafiły i był z nich pożytek?

Raj zaśmiał się, nie podnosząc wzroku znad wielkiej lornetki, zamocowanej na trójnogim, stojaku na szczycie wieży przy północnej bramie. Wyskoczył mu przed oczy znajdujący się najbliżej obóz nieprzyjaciela, a obnażona, czerwono-szara ziemia wału wokół niego wydawała się być w zasięgu ramienia.

—

Inni też mówili to samo o naszej piechocie, Jorg – rzekł, odsuwając się. – Grammeck, powiedz, co sądzisz o tych obwarowaniach.

Artylerzysta pochylił się do okularu. Na szczycie wieży było tłoczno. W środku znajdowało się obłożone workami z piaskiem stanowisko dwustumilimetrowego moździerza, a niedaleko z przodu zbudowano przenośne rampy do odrzutu, drewniane ślizgawki ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Działka polowe mogły wjeżdżać po nich przy odrzucie i wracać do baterii, wykorzystując swój własny ciężar, oszczędzając tym samym wiele czasu w trakcie działań bojowych. Wyważona platforma z tyłu wieży dawała szybki dostęp do poziomu parteru.

Raj powstrzymał swego dowódcę piechoty uniesieniem dłoni.

—

Wiem, wiem. Mimo to musimy pracować z tym, co mamy. Zamierzam wezwać ochotników z

milicji, jako że dostaną pełne racje i zapłatę...

– Możemy sobie na to pozwolić? — spytał Jorg.

—

Kapłan zgodził się zapłacić podatek wojenny od kościelnych dóbr – rzekł Raj. — Spodziewam się, że zgłosi się dziesięć tysięcy ludzi. – Szkolili jakieś czterdzieści tysięcy, a w obleżonym mieście o zatrudnienie nie było łatwo.

—

Weźmiemy pięć tysięcy najlepszych. A z tego zgarniemy kompanięsmietanki wartą każdego waszego batalionu – młodych ludzi bez lokalnych powiązań. Wcielimy ich, a ty będziesz mógł rozpocząć szkolenie pełną parą. Mamy dosyć dodatkowego *sprzętu dla tak wielu*. A w *najgorszym razie mogą trzymać* wartę, kiedy prawdziwi żołnierze będą spać. Podejrzewam, że wróg wkrótce zacznie nękać nas ciągłymi atakami.

Uśmiechnął się. – Ażeby ci całkowicie uprzykrzyć życie, możesz dostarczyć także kadrę dla reszty —to będzie około ośmiu batalionów zawodowców, wyposażonych w broń Brygadowców. Oni też mogą zastąpić regularną piechotę w rzeczach takich jak służba w *guardii*.

Jorg westchnął i skinął głową. Grammeck podniósł wzrok znad lornetki.

—

To nieprzyjemnie przypomina jeden z naszych obozów – powiedział. – Choć są w tym dosyć powolni – cały tydzień, a jeszcze nie skończyli.

—

Prosto z *Działań obleżniczych* Obregona – rzekł Raj. – Umiejscowienie, rozłożenie i obwody zewnętrzne, choć rozkład ulic wewnątrz nie jest regularny. Ale kopanie to robota dla służących, a nie Brygadowców. Mają paru kompetentnych oficerów, lecz u nich nie ma stałej organizacji.

Zmrużył oczy, wpatrując się w odległe fortyfikacje ziemne. Powietrze było ostre i chłodne, ale przynajmniej raz sinawo-szare chmury wstrzymywały się z deszczem.

– Podejrzewam, że wkrótce będą kopać szybciej – ciągnął.

\* \* \*

Skinner Junpawl posunął się o kolejne pół cala, czołgając się na brzuchu po śliskim błocie. Było zupełnie czarno, dwie godziny po północy. Oba księżyce zaszły, a chmury przysłaniały gwiazdy. W obozie Długowłosych panowała prawie zupełna cisza, a najbliższe światło znajdowało się w odległości dziesięciu minut spacerem – tylko wielcy wodzowie mieli dosyć drewna na opał, aby wystarczyło na ogień przez całą noc. Skinner dobył długiego noża przyczepionego do nagiego uda. Do tej roboty rozebrał się aż do opaski biodrowej i cały wysmarował się błotem, a nawet zdjął mosiężne pierścienie z loku na skalpie. Zimny wiatr dotknął jego pleców. Dobrze, psy przypisane do tego namiotu znajdowały się w odległości dziesięciu metrów pod wiatr... a on miał pod pachami gównem muła – pewna przykrywka dla ludzkiego zapachu.

Płótno z tyłu namiotu rozsunęło się pod ostrzem noża; dźwięk cichszy niż linka namiotu łopocząca

na wietrze. Skinner wsadził głowę do środka, rozdymając nozdrza, pozwalając, aby zapach i słuch pracowały za oczy. Czterech ludzi, dwóch chrapało. Spali głęboko, jakby byli w domu ze swoimi kobietami – spali bardziej głęboko, niż spał którykolwiek z Prawdziwych Mężczyzn, nawet gdy był zalany w trupa. Uśmiechnął się w ciemności, przesmygując się przez długą na metr szczelinę, ostrożnie, by nie stała otworem. Wiatr mógł obudzić człowieka, nawet Długowłosego. Wewnątrz jego bosa stopy dotknęły gałęzi sosny; to dlatego nieprzyjaciele szeleścili, przewracając się we śnie.

Jego palce się poruszyły lekko niczym piórko, gdy dotykał ciała, aby potwierdzić ich pozycje. Długie Włosy spały skupione razem dla ciepła, owinięci wieloma grubymi wełnianymi kocami jak kobiety wodza, przyszpilając swoje własne ramiona. Ich miecze i karabiny stały ustawione w piramidkę przy wejściu do namiotu – poza zasięgiem. To rzeczywiście byli ludzie jedzący trawę, jak owce. Tylko Skinnerzy żyli tak, jak powinni żyć Prawdziwi Mężczyźni: na stepie wraz z rodzinami, w namiotach na wozach, podążając za stadami pasących się sauroidów. Polowanie i wojna to była praca Prawdziwego Mężczyzny.

Powoli, posuwając się ułamek cala za każdym razem, lewa ręka Junpawła popęzła ku twarzy. Ciepły oddech musnął mu dłoń. Palce i kciuk zacisnęły się z brutalną gwałtownością na nosie i ustach, zatykając je; poczerwiony nóż w jego prawej ręce poleciał ukośnie w dół. Była to ciężka stal, dostatecznie naostrzona – ale nie na tyle ostra, żeby przeciąć kość. Nic sobie nie robiła z mięśni i chrząstki w szyi Długowłosego, ze zgrzytem wbijając się w kręgosłup. Ciałem rzuciło raz, a po przedramionach poleciała mu krew, ale potężna rana sprawiła, że Długowłosy wykrwawił się niemal natychmiast. Pozbawiona brody twarz zwiotczała pod jego ręką; musiał to być młody człowiek, ledwo mający tyle lat, by wyruszyć z wojennym hufcem.

Junpawl czekał ze wzniesionym nożem, gotowy ciąć i wymknąć się z namiotu. Mężczyzna obok trupa przewrócił się na bok, zamruczał przez sen i znowu zaczął chrapać. Najemnik-nomad odciął ucho martwego mężczyzny i wsadził je do sakiewki przy pasie; jedna sztuka srebra za lewe ucho, tyle zapłaci wielki diabeł Whitehall. Ach, ten to był *frai hum*, Prawdziwy Mężczyzna duchem! Za sztukę srebra można było kupić dużo ognistej wody, wiele grubych kobiet, mnóstwo czekolady albo amunicji.

Junpawl przeszedł ponad śpiącym mężczyzną i przykucnął koło drugiej pary, starannie wycierając ręce o róg koca tak, żeby następna ofiara nie poczuła krwi kapiącej jej po twarzy.

Zabije tylko dwóch z czterech znajdujących się w namiocie. *Cadaw d'nwit*, nocny dar dla Długich Włosów, aby mieli coś na przebudzenie. Jego chichot był całkowicie bezgłośny.

Ten żart wart był nie zarobienia kolejnych dwóch sztuk srebra. Poza tym, po drodze z obozu zatrzyma się w jeszcze jednym namiocie.

Delikatnie niczym paniński pocałunek, ręka Skinnera spadła ku twarzy śpiącego Brygadowca.

## Rozdział ósmy

– Podejrzewam, że do wiosny obrzydnie nam ten widok – rzekł Raj. *Minęło dopiero kilka tygodni, odkąd przybyli Brygadowcy, a mnie to już obrzydło*. Argumenty strategiczne przemawiające za obroną były mocne, a mimo to mu się to nie podobało.

Pochylił się do okularu mosiężno-żelaznej lornetki ustawionej na trójnogu. Reduta na działa, którą wznosił wróg – powoli, jako że niechętnie wysuwali się poza swoje wały nocą – była prawie na ukończeniu. Wały z wiklinowych koszy wypełnionych ziemią, z otworami na ciężkie działa oblężnicze. Same działa były wytaczane ze znajdujących się najbliżej ufortyfikowanych obozów; przypominały kształtem butelki wody sodowej na czterokołowych wózkach ciągniętych przez licznie zaprzęgnięte woły. Dopiero co ucichło skandowanie porannej modlitwy. Oddechy grupy dowódczej na wieży tworzyły białe obłoczki, choć nie było prawdziwego mrozu. W setkach katedronów i kościołów w całym mieście rozdzwoniły się dzwony. Srebrzysta mgła leżała na powierzchni rzekizami wzgórzami Starej Rezydencji. Para unosiła się z kubków kawy trzymanyh przez większość oficerów.

Kaltin Gruder ugryzł kawałek swój ego ciasta. — Jak na walkę zimą – powiedział – to nie jest tak źle. Czyste poślanie, ciepłe posiłki, bieżąca woda, kobiety. Oczywiście dopóki starczy żywności.

Muzzaf Kerpatik skinął głową. – Wczoraj w nocy zawinęły dwa statki holujące – rzekł. – Osiemset ton zapasów i kolejne dwieście tysięcy jedenastomilimetrowych pocisków z Miasta Lwa.

Raj podniósł wzrok na odzianego w czarny mundur dowódcę marynarki. Marynarz odchrząknął.

– W nocy ich baterie na południowym brzegu nie na wiele się zdają – rzekł. – Od północnej strony kanał jest dość głęboki i my po prostu dajemy pary, a oni starają się uderzyć w hałas naszych silników. Co jest trudne nawet wówczas, gdy *jest* się przyzwyczajonym do tego, jak dźwięk rozchodzi się po wodzie.

*Tonhio Lopeyz*, przypomniał sobie Raj.

– Dobra robota, messer komandorze Lopeyz – powiedział, kiwając głową.

*Zatem nie brakuje zapasów, pomyślał. Dostyc fasoli i kul, ale jemu potrzeba było ludzi. Czegóż to nie dokonałby z kolejnymi pięcioma albo sześcioma tysiącami kawalerzystówweteranów...*

–

Jak myślisz, Grammeck, jaką częstotliwość ognia mogą uzyskać z tych dział oblężniczych? – spytał.

Dinnalsyn podniósł wzrok znad stołu z mapami. – Och, nie więcej niż jeden wystrzał co pół godziny na dział, *mi heneral* – powiedział. – Ich załogi wyglądają głównie na amatorów

–

myślę, że pomiędzy wojnami trzymają te działa w magazynach. Pewnie tylko paru prawdziwych kanonierów na dział. A jednak dzień z okładem i sześć dział strzelających tymi czterdziestokilogramowymi pociskami rozwali kilka setek metrów muru, nawet ze wsparciem ziemnych fortyfikacji, jakie wstawiliśmy. Mury osłonowe takie jak te – uderzył stopą – po prostu nie wytrzymują walenia. – Dlatego też w Rządzie Cywilnym i Kolonii zostały one zastąpione niskimi murami wspartymi ziemnymi fortyfikacjami, zapadniętymi za fosami.

Zachodni Śródświat był wyraźnie zacofany.

Z tyłu wieży dochodziło grzechoczące walenie. Belki w kształcie litery V zatrzeszczały, gdy platforma zrównała się z parapetem i załoga wepchnęła siedemdziesięciopięciomilimetrowe działo na kamienną podłogę. Stojący obok niego kanonier zamachał flagą i platforma się obsunęła, gdy woły na ziemi w dole pociągnęły w swoich jarzmach, równoważąc napięcie odważników. Zjeżdżając w dół, drewniana platforma uderzała rytmicznie o kamienie wewnętrznej ściany wieży. Załoga wepchnęła działo na miejsce na czekającym na nie drewnianym dysku. Za kołami znajdowały się długie, pochyłe rampy, a przed nimi owinięte sznurem. bloczki. Kanonierzy wsunęli rożki w żelazne klamry, zatopione w okrągłym, drewnianym dysku i pociągnęli na próbę. Piasek „poślizgowy” pod deskami zazgrzytał i broń się okręciła, a lufa wyminęła blanki parapetu.

– Czy budowla to wytrzyma? – spytał Raj.

– Tak myślę – rzekł ostrożnie Dinnalsyn. – Mamy pod podłogami wsporniki z mocnego drewna. – Spojrzał na Brygadowców. – Amatorzy. Czy nie wpadli na to, żeby sprawdzić trajektorie? Wysokość to odległość.

*Nie, pomyślał Raj. Ale ja też bym na to nie wpadł, gdyby nie podsunęło mi tego Centrum.*

Drugie działo wsunęło się na swoje miejsce. Dinnalsyn spojrział na wieże na lewo i prawo od jego stanowiska; tam też działa znajdowały się w gotowości.

Odpalił dymną raketę. Niewielki fajerwerk poleciał z sykiem ku północy, a pozostawiany przez niego pióropusz unosił się w chłodnym porannym powietrzu. Centrum patrzyło oczami Raja na dym. Rozjarzone linie kreśliły mu wektory przed oczami.

– Pułkownik – rzekł cicho Raj – myślę, że jak przesuniesz działo jeszcze o dwa stopnie, to uzyskasz lepsze efekty.

Dinnalsyn przekazał rozkaz. – Straciliśmy wspianiałego kanoniera, gdy urodziłeś się szlachcicem, *mi heneral* – rzucił radośnie, pochylając się do lornetki. A potem – *Fwego!*

Kanonier szarpnął za sznur. Działo poleciało do tyłu, podjeżdżając na szynach ustawionych za kołami, zatrzymało się na sekundę, gdy masa walczyła z pędem, a potem zsunęło się szybko w dół, ze szczękiem wpadając w klocki hamulcowe. Wiatr przyniósł ostry dym z boku wieży wprost w oczy oficerów. Ci zamrugali, a nad reductą Brygadowców w środku czarnego dymu na chwilę rozbłysł czerwony ogień. W sekundę później wypaliła jedna z oblężniczych armat nieprzyjaciela; dłuższe, bardziej głucho łupnięcie i chmura dymu. Niemalże w tej samej chwili z dołu dobiegł rozdzierający trzask, a kamień wieży zatrzęsł się pod ich stopami. Mosiężna skorupa pocisku zadźwięczała o drewno, gdy załoga działka polowego otworzyła zamek swojej broni.

Nikt z mężczyzn na wieży nie skomentował trafienia nieprzyjaciela. Dinnalsyn zwrócił się do dowódcy baterii przy stole z mapami. – Triangulacja.

Kapitan przesunął po papierze swój cyrkiel traserski, skonsultował się z drukowaną tabelką i posłużył się suwakiem logarytmicznym. Rozwiązanie było proste; dobranie zapalnika przez serię odmierzonych odległości, aż do wybranego miejsca. Centrum rozwiązałoby ten problem dział Rządu Cywilnego, aż do granicy akuracji, w ułamku sekundy – ale to *zaczęłoby* wyglądać przesadnie



dziwacznie. Poza tym nie chciał ludzi, którzy byli niepełnosprawni. Centrum także nie. Kapitan zawołał, podając wyniesienie i kierunek dla każdego dział z dziesięciu wyznaczonych do tej misji. Sygnalista przy heliografie przesłał to w obie strony; słońce padające na lustro za przesłoną.

– Ogień, sprawdzaj odległość, po kolei – powiedział Dinnalsyn.

Od wschodu do zachodu, wzdłuż muru przemówiły działa, a obsada każdego czekała tyle czasu, by zaobserwować, gdzie upadł pocisk. Raj wymierzył swoją własną lornetkę polową. Woły ryczały i biegały po otwartej przestrzeni w środku reduty Brygadowców, niektórym różowe sznury jelit plątały się pod kopytami. Ludzie uciekali chwiejnie na tyły albo byli wleczeni przez swych towarzyszy. Jeszcze inni wciąż napierali na masywne oblężnicze działa, ciągnąc grupami, po dwa tuziny albo i więcej, za wielokrążki wysuwające i wsuwające je na stanowisko.

– Piąt zmasowanych pocisków – rzucił Dinnalsyn chłodnym i beznamiętnym głosem. – Szrapnel; strzelać, ogniem skutecznym, szybkie strzały. Ognia.

Tym razem dym i płomienie wybuchły na czterech wieżach, a każde dział strzelało, jak tylko sąsiednie dział wjechało z powrotem w baterię i było ładowane. Szybkość ognia znacznie przewyższała tę, którą uzyskiwałyby działa, strzelając z równego podłoża. W przeciągu mniej niż minuty czterdzieści pocisków wybuchło ponad pozycją nieprzyjaciela; ciągły, przetaczający się grzmotem rozbłysk. Dym unosił się znad wież, skrywając cel. Rozdzierający powietrze huk i kula żółtych płomieni znaczyły wtórną eksplozję, gdy wybuchł keson jednego z oblężniczych dział. Po półsekundowych przerwach nastąpiły jeszcze cztery wybuchy i ogromna lufa jednego z oblężniczych dział wyleciała z kurzu i dymu. Gdy to się rozwiało, stanowisko Brygadowców wyglądało jak skrzyżowanie świeżo skopanego ogródka ze złomowiskiem.

Raj pochylił się do lornetki. Przez kilka długich sekund nic się nie drgnęło w polu widzenia. A potem poruszył się kurz i podniósł się mężczyzna. Miał ręce przyciśnięte do uszu, a sądząc po rozwartych ustach, prawdopodobnie wrzeszczał. Łzy spływały po jego oblepionych kurzem policzkach, gdy błędząc po omacku, przeszedł przez kopiec ziemny i znalazł się w strefie pomiędzy bastionem – dawnym bastionem – a miastem. Wciąż krzycząc i szlochając, posuwał się chwiejnie do przodu, aż przemówił karabin z murów. Raj zobaczył obłoczek pyłu z przodu jego kurtki, gdzie trafiła kula.

–

Pięć zmasowanych pocisków, pociski z zapalnikami uderzeniowymi – rzucił Dinnalsyn. – Normalny ogień, pal.

Działa znowu wypaliły, miarowo, trzy pociski na minutę, co chroniło lufy i łamało armie. Większość pocisków wzbijała w górę ziemię już przegryzioną przez wybuch zmagazynowanej amunicji. Kilka odrzuciło na bok ciężkie działa oblężnicze, wrywając je z żelaznych ram fortecznych stanowisk. Radosne okrzyki i wycie podniosło się z murów Starej Rezydencji, gdy żołnierze i milicja podkpiwali sobie i naśmiewali się przy każdym trafieniu. Hałas trwał, aż Raj odwrócił głowę i wyrzucił rozkaz, który posłał gońca w dół wewnętrznymi schodami, na mury.

–

Nie ma się z czego cieszyć, kiedy dzielni ludzie są wyrzynani dzięki rozkazom imbecyla – powiedział.

– Lepiej oni niż my, *mi heneral* – stwierdził Kaltin.

Zapadła cisza. Kanonierzy wykorzystali okazję do przelecenia wyciorami luf swojej broni, oczyszczając zatykające resztki, zanim przyłgnęły mocno do metalu. Ze środkowego obozu Brygadowców wyjechał człowiek wierzchem z białą flagą na lancy. Był to herold proszący o pozwolenie zabrania martwych i rannych; oficjalne przyznanie się do klęski w tej... nie mógł się zdecydować, jak to nazwać. Słowo „bitwa” było zupełnie nieodpowiednie.

–

To prawda, Kaltinie – rzekł Raj. – Jednak pamiętaj, że za każdym razem, gdy z kimś walczysz, to czegoś go uczysz, jeśli chce się uczyć. *Ktoś* tam będzie chciał się uczyć. Graj wystarczająco długo z dobrymi graczami, a robisz się dobry.

Ktoś tam przynajmniej przeczytał *Działania oblężnicze* Obregona. Nie był to główny dowódca, bo nie dopuściłby do tego fiaska.

–

Nasza armia już jest niezła. Musimy *mocno* się starać, aby się poprawić. Nieprzyjaciel musi jedynie nauczyć się kilku podstawowych rzeczy i zwiększy to dwukrotnie jego siłę bojową.

Będzie to wyścig pomiędzy jego zdolnościami a krzywą wykresu zdolności uczenia się nieprzyjaciela. Znowu przypomniał sobie Kanny. Doskonała bitwa... ale nawet Hannibal potrzebował Tarentiusa Varro dowodzącego po drugiej stronie.

– Obyśzył i panował długo, Ingreidzie Manfrondzie – wyszeptał Raj.

Kilku pozostałych oficerów spojrzało na niego. Wyjaśnił – Istnieją cztery typy dowódców: wybitny i aktywny, wybitny i leniwy, głupi i leniwy oraz głupi i aktywny. Przy pierwszych trzech można coś zrobić. Przy ostatnim wyniknie jedynie nieszczęście. Myślę, że Ingreid Manfrond pokazał, do której kategorii się zalicza. Miejmy tylko nadzieję, że będzie wystarczająco aktywny, by utrzymać się przy władzy.

\* \* \*

– *Powiedziałem ci, co się stanie!* – krzyknął Howyrd Carstens.

– Uważaj, co mówisz! – ryknął w odpowiedzi Ingreid. – *Powiedziałem ci, co się stanie, Władco Ludzi* – rzekł z mocnym sarkazmem Carstens.

Ostro wciągnięty oddech dobiegł z pryczy pomiędzy nimi. Obydwaj mężczyźni się odsunęli. Leżał na niej Teodorę Welf ze skórzanym rzemieniem między zębami. Kapłanlekarz, z biegnącą od przodu do tyłu tonsurą duchownego tej Ziemi, chwycił szczypcami długą, żelazną drzazgę i ciągnął miarowo. Metal wystawał z uda młodzieńca pod zgrabnym kątem czterdziestu pięciu stopni. Przez chwilę opierał się mięśniom doktora, a potem został wyszarpnięty w strumieniu krwi.

– Niech pokrzwawi przez sekundę – powiedział lekarz. Wypływ krwi zmniejszył się, a on oczyścił ranę zwitkiem waty zamoczoną w alkoholu, a potem obmacał okolicę, szukając kawałków i strzępków materiału. – Wygląda czysto i wszystko wyszło – powiedział. – Jeśli tylko kość nie zmartwieje, powinienes zaraz być na nogach. Do tego czasu nie obciążaj jej, bo będziesz kuśtykał przez lata.

Przesunął swoim amuletem nad dziurą, a potem oczyścił ją poświęconą jodyną. Gdy go dotknęła, pacjent znowu zacharczał, a potem przyglądał się, jak go bandażowano.

– To ukoi twój ból.

Teodorę potrząsnął głową. – Żadnego maku. Potrzebuję swojego rozumu. – Spojrzał gniewnie na dwóch starszych mężczyzn. Pot spływał mu po twarzy, ale czekał aż lekarz wyszedł, zanim się odezwał.

– Obydwaj macie rację – powiedział. – Carstens, skrewiliśmy. Miałeś rację. Władco Ludzi, masz rację – nie mamy czasu.

– Podejrzewam, że masz propozycję? – spytał Ingreid, gładząc się po brodzie.

Ten chłopak był szczeniakiem, ale był dzielny i rozsądny – i był Welfem. Oznaczało to, że mądry generał będzie obdarzał go uwagą ze zdrowym respektem, bowiem Welfowie wciąż mieli wielu zwolenników. Oznaczało to również, iż rozsądny generał powinien w pełni popuścić cugli jego odwadze. Poległy z honorem Welf będzie o wiele mniej niewygodny po wojnie, niż żywy i bohaterski. Skrzywił się i zacisnął pięści. *Niech piekło pochłonie* tę dziewczkę za to poronienie, teraz, kiedy on był zbyt zajęty, żeby ją ujeżdżać. Biodra miała wystarczająco dobre i wyglądała na zdrową, co zatem poszło nie tak? Ich wspólny syn zjednoczyłby obie gałęzie i byłby nie do pokonania; oczywisty wybór przy elekcji, kiedy on będzie zbyt stary, aby utrzymać władzę. Jego starsi synowie będą gotowi do zajęcia wysokich stanowisk przy Stolcu.

–

W porządku – powiedział. – Jaki masz pomysł? – Uniósł rękę. – Tylko żadnego gadania o odesłaniu żołnierzy, żeby strzegli naszych tyłów. Jeśli pozwolę odejść regimentom, to cały hufiec zacznie się rozpadać, domagając się garnizonu tutaj i oddziału tam. Potrzebuję ich tutaj, żebym miał ich na oku – zbyt wielu nie rozumie, że ta wojna jest ważniejsza niż najazdy na pogranicze.

–

Władco Ludzi, cywilniaki właśnie pokazały nam, że można mocniej rzucać kamieniem ze wzgórze. – Teodorę wskazał brodą na mapę w namiocie. – Oto, co proponuję... Jakaś godzinę później Ingreid powoli kiwnął głową. – Wygląda na to, że zadziała – powiedział.

–

*Lepiej, żeby zadziałało* – rzekł Howyrd Carstens. – Chyba że lubicie smak psiego mięsa.

\* \* \*

*Teraz wiem, czemu nasi przodkowie opuścili Obszar Bazy*, pomyślał Ludwig Bellamy. *To, albo zamarzniecie na śmierć.* Znajdowali się pomiędzy Starą Rezydencją a Koszarami Carson. Z dala od morza zimy były ostrzejsze. Teraz mróz przychodził każdej nocy, a deszcze były częściowo ze śniegiem. Jego ludzie spali przytuleni do swoich psów w poszukiwaniu ciepła, śniąc o pomarańczowych gajach i palmach daktylowych Południowych Terytoriów. A Obszar Bazy na północy był jeszcze zimniejszy niż to. Nic dziwnego, że każda kolejna fala najeźdźców była bardziej barbarzyńska – ich mózgi dłużej marzły w ciemnościach. Uśmiechnął się do siebie, zauważywszy, iż

sformułował tę myśl w sponglijskim. Kiedy walczył albo brał kobietę, albo też modlił się do Ducha, nameryjski pierwszy przychodził mu na myśl. Do subtelnego humoru albo rozważania strategii, sponglijski był bardziej naturalny.

– Żadnych jeńców – rzekł cicho. Jego głos niósł się przez przypominającą katedron ciszę dębowego lasu. – Nikt nie może przeżyć.

Psy przysiadły, a ludzie przykucnęli przy nich, zjednoczeni w pełnej napięcia niecierpliwości drapieżcy, gdy usłyszeli żałobny gwizd zbliżającej się lokomotywy. Od skraju lasu rozpościerały się otwarte pola, czarna gleba z zagłębieniami zimnej wody i porannego lodu; pszeniczna ozimina stanowiła niebieski połysk na jej powierzchni. Znajdowali się na północ od kolei, a nasyp biegł w odległości kilometra, od południowego zachodu na północny wschód i przechodził w drewniany most, wsparty na jednym, kamiennym filarze. Pociąg i eskortujący go pojazd opancerzony zatrzymały się tam, sprawdzając ostrożnie teren pod mostem. Bellamy podniósł lornetkę, by zobaczyć, jak dragoni Brygady brną z pluskiem przez sięgającą ud lodowatą wodę, dźgając i szturchając, sprawdzając pod jej powierzchnią. Gdy tak się przyglądał, nozdrza wypełnił mu zapach chłodnej i mokrej rozoranej ziemi, gnijących liści i psów, zapach polowania.

Brygadowcy wspięli się z powrotem na górę, niektórzy do pojazdu opancerzonego posuwającego się na krezowych kołach, a pozostali do ostatniego z piętnastu wagonów przyczepionych do lokomotywy. Czarny dym bił z komina. Ludwig widział, jak niewolnik zapamiętale ładuje łopatami węgiel – ciepło dla niego, a także moc dla silnika. Sapnięcie pionowych cylindrów rozeszło się po polach i długi deszcz iskier wystrzelił spod ciężkiej drewnianej ramy, gdy tłoki popchnęły cztery pary kół lokomotywy po żelaznej powierzchni szyn. Lokomotywa ruszyła do przodu, zatrzymała się z szarpnięciem, gdy łańcuch się naprężył, a potem znowu potoczyła się do przodu, gdy wagony posuwały się, kolejno waląc zderzakiem w tył wagonu z węglem. Fala zderzenia z hukiem połączyła wagony, a cała masa potoczyła się naprzód w tempie wolniejszym niż piesze. Ten proces powtarzał się kilka razy, zanim pociąg zaczął posuwać się, równocześnie napinając łączące wagony łańcuchy.

Pojazd opancerzony posuwał się przed siebie bardziej gładko, wyhamowując szybkość, aby dopasować się do eskortowanego pociągu. Zanim pociąg osiągnął szybkość galopującego psa, przejechał prawie kilometr. Co sprawiło, iż znalazł się...

*Whump.*

Przednie koła wozu opancerzonego przecięły podkład, który Ludwig wybrał. Mina nie była niczym skomplikowanym; ładunek z wysuniętą kulą, wsadzony w pięciokilogramową torbę czarnego prochu. Deska z gwoździem spoczywała nad kulą, a wszystko to było starannie zakopane pod podkładem kolejowym. Pęd pojazdu przepchnął go prosto nad ładunek, zanim wybuchł proch. Wóz zleciał z szyn i wylądował do góry nogami, a przez chwilę tłoki na jego podwoziu wciąż obracały koła, mimo wygięcia szkieletu. A potem pomarańczowo-biały płomień wystrzelił z każdego otworu kadłuba; czarna masa żelaza trzęsła się, wybrzusząc w środku od ognia amunicji wybuchającej z trzaskiem i praskiem.

Mnóstwo iskier wystrzeliło spod kół lokomotywy, gdy ogarnięty paniką motorniczy dał całą wstecz. Wagony towarowe nie miały jednak hamulców. Cała masa wyrznięta w tył lokomotywy tak, że ta zleciała z szyn, zanim jeszcze dotarła do krateru. Wagony w środku pociągu wyskoczyły w

powietrze, gdy zsuwający się ciężar napotkał nagle unieruchomioną przeszkodę z przodu. Na tylnym końcu trzasnęło jak z bata, a dwa ostatnie wagony zleciały z szyn i zwały się na ziemię z miażdżącą kości siłą.

– Do ataku! – krzyknął Ludwig.

Zagrała trąbka i 2 Kirasjerów z rykiem wylał się z lasu. Kilku wojowników Brygady wydobyło się z wraku wagonu służbowego, wychodząc na spotkanie szablom. A potem żołnierze zeskakiwali z psów na ziemię i wdzierali się do rozwalonego pociągu. Ludwig spojrzał na wschód i zachód. Zwiadowcy przesłali mu sygnały, błyskając lusterkami. Wszystko w porządku, żadnych innych pociągów w zasięgu wzroku.

– Bekon! – krzyknął do Ludwiga dowódca kompani. – Fasola, mąka kukurydziana, suchary i wieprzowy smalec.

Zabrzmiały wystrzały, gdy jego ludzie wykańczali resztę załogi i eskorty. Ludwig zmarszczył brwi.

– Stałą, głupcy – ryknął.

Musieli oszczędzać amunicję, jako że zapasy wroga były dla nich bezużyteczne – choć wszelki proch, jaki zajęli, był dobry. *Dobre chłopaki, ale wciąż od czasu do czasu dają się ponieść*, pomyślał.

Wieśniacy, których zebrali, także wysuwali się z lasu; kilka setek. Ludwig uśmiechnął się do siebie. Mogli się poczęstować tym, czego jego ludzie nie zdołają załadować na psy-luzaki

–

i ukryją to o wiele dokładniej niż najeźdźcy, jako że znali okolicę. Przy moście znajdował się oddział; odłupując kilofami kamienie ze środkowego filaru wsadzali w niego płócienne worki z prochem.

–

Ogień w dziurze! — zakrzyknął jeden z nich, gdy wspinali się z powrotem z koryta strumienia.

Minutę później wszystkie psy drgnęły, gdy z parowu wystrzelił słup czarnego dymu i wody. Drewno skrzynkowo-filarowego mostu spinającego potok wybrzuszyło się w środku i rozpadło na kawałki. Deszcz desek i kawałków drewna pokrył połowę powierzchni pomiędzy wrakiem a mostem. Ludwig zauważył, iż wciąż trzyma dobytą szablę. Wsadził ją do pochwy. Wyminął go człowiek uginający się pod ciężarem półki bekonu i rzucił dwa jego psu. Jeszcze gdy zwierzęta jadły, do juków przy siodłach wędrowały porcje jedzenia. Jak większość drapieźników, psy bojowe potrafiły napchać się mięsem, a potem głodować przez dłuższy czas bez większej szkody. Dzisiaj każdy pochłonie ilość tłustego mięsa wieprzowego, odpowiadającą wadze człowieka.

Przybyli dysząc pierwsi wieśniacy. Byli oberwańcami, mieli posklejane łachmany i włosy. Wyglądali na bardziej wygłodzonych niż zwykle wyrobnicy w środku zimy. Kwatermistrzowie Brygady uprościli swoje problemy z zaopatrzeniem, zabierając, ile się dało z terenów znajdujących się w odległości przejazdu wozem od kolei, nie czekając na barki z ładunkiem przy końcu rzeki

Padan.

– Dziękujemy ci, panie – powiedział przywódca wieśniaków, kłaniając się nisko.

Jego ludzie ruszyli prosto do przewróconych wagonów. Niektórzy, pracując, wsadzali sobie do ust surową mąkę kukurydzianą, pojękując i mlaskając, a żółte ziarno plamiło im brody i sukmany.

– *Gubernio Civil* przybywa, by uwolnić was od Brygady — powiedział Ludwig. – Niech to będzie początek. I nie musicie czekać na nas, sami możecie wziąć więcej.

–

Jak to, panie? – rzekł przywódca chłopów pańszczyźnianych. Wieśniacy już truchtali z powrotem do lasu zworkami na plecach. – Nie mamy broni ani prochu. Panowie mają miecze, psy i strzelby.

–

Nie musicie wysadzać torów – rzekł Ludwig. – Wyjdźcie tuż przed zmrokiem. Odczepcie tory od podkładów albo przepiłujcie je. Poczekać aż pociąg się wykolei. Większość z nich ma tylko paru żołnierzy i niewiele ma za eskortę pojazdy opancerzone. A jeśli chodzi o broń.., macie cepy, motyki i kosy. Wystarczy do zabicia w ciemnościach ludzi oszołomionych katastrofą. Większość prawdziwych wojowników Brygady i tak pojechała walczyć pod Starą Rezydencją.

A jeśli paranoja powstrzyma ich przed puszczaniem pociągów nocą, to będzie to oznaczać o połowę mniejszą przepustowość kolei.

Przywódca wyrobników skłonił się znowu z bezkształtną wełnianą czapką przyciśniętą do piersi. – Panie, zrobimy, jak rozkażesz – powiedział. Słowa były pełne pokory, ale dziki błysk w czarnych oczach wieśniaka sprawił, że Ludwigowi omal nie zaszczekały zęby.

Gdy wieśniak oddalił się powoli, podjechał kapitan Hortez. – Gotowi do wyruszenia, panie – rzekł Descotczyk. Spojrzał z podziwem na wrak. — To było przebiegłe, panie, bardzo przebiegłe.

– Chyba uczę się cywilizowanego postępowania. To naprawdę brzmi jak komplement – rzekł Ludwig. – Należało się domyślać, że Brygadowcy w końcu zaczną sprawdzać mosty.

– Co dalej?

– Spróbujemy tego jeszcze parę razy, a potem zaczniemy kłaść minę *przed* mostem. A potem, kiedy dostaną fiksacji, wypatrując min koło mostów, nie będziemy ich kłaść *nigdzie w pobliżu mostów*. Możemy też wyrwać część torów.

Wyrwać żelazo, zgromadzić na ogromnym stosie podkładów i podpalić. Czasochłonne, ale skuteczne.

– A im bardziej powoli będą prowadzić pociągi, szukając min...

...i im więcej miejsca przeznaczana strażników... ..tym lepiej – dokończył Ludwig.

–

Nowy sport – stwierdził Hortez. – Rozwalanie pociągów. – Płomienie zaczęły dobywać się z drewnianych wagonów, gdy żołnierze dokładali beczułki smalcu, polewając nim drewno. Hortez spojrział na szereg wieśniaków posuwających się ciężko z powrotem w las. – Wieśniacy też zaczynają się do tego zapalać. Wkrótce będą wyrządzać więcej szkody niż my. Zaskakujące – myślałem, że akcje odwetowe Brygady będą bardziej skuteczne.

–

Jak powiedział mi messer Raj, ludzi można skazać na śmierć tylko *raz* – powiedział Ludwig. – Groźby są bardziej skuteczne jako groźby. Kiedy już ukradłeś im ziarno pod zasiew, zabrałeś ich inwentarz i spaliłeś domy, to co jeszcze możesz zrobić?

Hortez się zaśmiał. Podjechał chorąży 2 Kirasjerów, a Ludwig wyrzucił rękę przed siebie. Kolumna uformowała się w plutony, a zwiadowcy rozproszyli się na flankach; pojechali na południe, w dół, w koryto strumienia. Zaciąg Brygady przebiegał niemal całkowicie wzdłuż linii kolejowej. Lokalni strażnicy domostw byli siwobrodymi staruchami albo też młodzikami

o gładkich policzkach. W większości gubili ślady, gdy przedsięwzięło się środki ostrożności... może *naprawdę* je gubili, choć przy pierwszych okazjach ścigające ich grupy dość entuzjastycznie wpadały w zasadzkę.

– Ale nie chciałbym być *tutaj* właścicielem ziemskim przez następnych kilka lat – rzucił descottyjski oficer.

Ludwig Bellamy przypomniał sobie sposób, w jaki rozpromieniła się twarz tego chłopca pańszczyźnianego. *Na Ducha, będziemy musieli stoczyć kolejną kampanię, aby zaprząć wyrobników z powrotem do pracy po tym, jak pokonamy Brygadę.* Żadnemu właścicielowi ziemskiemu nie podobała się myśl o rozpasanych wieśniakach. Szkoda, że wojny nie można było ograniczyć do sprawy między szlachcicami.

*Rozwiązuj jeden problem na raz,* upomniał się. Problem stanowiło zwycięstwo nad Brygadą. Messer Raj wyznaczył mu rolę w jego rozwiązaniu, zniszczenie ich logistyki.

Nieważne jak.

## Rozdział dziewiąty

– To było naprawdę całkiem sprytne – powiedział Raj. – Nieskomplikowane, ale sprytne.

Wycelował lornetkę. Mur od strony rzeki znajdował się o wiele niżej od zewnętrznych fortyfikacji obronnych, ale Raj z łatwością widział przedmieścia i wille na południowym brzegu Białej. Niegdyś Morze Śródziemne chlupotało w miejskiej zatoce, ale milenium osadzania się mułu zepchnęło deltę kilka kilometrów w głąb morza. Widział także niezgrabnie wyglądające jednostki unoszące się na wodzie w pół drogi, na szerokiej na cztery kilometry rzece.

Obydwie były kwadratowymi pudłami z ostro ściętymi bokami. Trójka przysadzistych luf wystawała z każdego boku, w Środku dachu znajdowała się wieżyczka pilota wysokości człowieka, z blachy kotłowej na drewnianej podporze. Na maszcie flagowym wisiała podwójna błyskawica Brygady.

– Jak udało im się je ustawić? – spytał Raj. Nie było śladu silników ani wiosł.

– Przeciąganie – rzekł komandor Lopeyz. Pociągnął za kołnierz kurtki mundurowej. – Wysyłasz nocłodzie z kotwicami i kablami. Rzucasz kotwice, mocujesz kable do tratwy. I kable do brzegu. Załoga w środku wciąga kable, żeby ustawić się na pozycji.

– Nic nie możesz z nimi zrobić? – spytał Raj.

–

Niech to wszystko diabli wezmą, generale – rzucił sfrustrowany oficer marynarki. Zatrzasnął ze stuknięciem długą, mosiężną lunetę.

–

To są tylko *tratwy* – ciągnął. – Nawet mając te tarany i z półtora metra dębiny na burtach, mają mniejsze zanurzenie niż moje statki, więc nie mogę ich dostać. Musiałbym i tak staranować je z tuzin razy, rozwalić je. Unoszą się na platformach z kłód, a nie dzięki wyporności kadłuba. A jeśli spróbuję wymiany strzałów, oni roztrzaskają moje parowce na zapałki, zanim uda mi się odnieść jakiś skutek – zamocowali czterdziestokilogramowe działa oblężnicze. I znajdują się na tyle blisko, żeby zamknąć kanał okrętowy wzdłuż północnego brzegu.

Jakby dla podkreślenia tego stwierdzenia, jedna z tratw wystrzeliła pocisk. Ciężka, żelazna kula leciała dwa kilometry ponad wodą, a potem podskoczyła kilkanaście razy. Każde uderzenie wzbijało w niebo fontannę wody, a pociski obłupywały rybacką przystań na północnym brzegu. Zimny wiatr chłostał płaszczem łydki Raja i kłuł go w świeżo ogolone policzki. Mężczyzna przymknął oczy w zamyśleniu na może trzydzieści sekund, konsultując się z Centrum. Pod powiekami obrazy wskoczyły na miejsce.

–

Grammeck – powiedział, mrużąc oczy i znowu popatrując na rzekę. – Jak myślisz, z czego są dachy tego czegoś?

Artylerzysta przyjrzał im się uważnie. – Dechy i worki z piaskiem, tak myślę – powiedział. – Odporne na szrapnele. A co?

–

Cóż, nie chcę zdejmować żadnej armaty z murów – rzekł z namysłem Raj. – Oto co zrobimy.



– Wziął od adiutanta notatnik i szybko szkicował, przyciskając papier rogiem płaszczu do blanek muru.

–  
Zróbcie tratwę – rzekł Raj, – Mamy pół tuzina stoczni, to nie powinno być problemem. Ochrońcie ją żelazem kolejowym z jednej z tutejszych hut, powiedzmy pięćdziesiąt milimetrów na podbiciu z dwustumilimetrowych dębowych desek. Żadnych otworów na działa. Zamiast tego wsadźcie w środek moździerz, z okrągłą, segmentową pokrywą. Żelazne segmenty, na zawiasach. Zróbcie trzy albo cztery tratwy. Kiedy będą gotowe, posłużymy się taką samą techniką przeciągania, żeby ustawić je w zasięgu tych pudełek na ser i zobaczymy, jak im się spodoba, gdy będą na nich spadać dwustumilimetrowe pociski.

–  
*Ispirito de Persona* – rzucił Dinnalsyn z chłopięcym rozradowaniem. – Duchu Człowieka. Wiesz, że to może się udać?

Spojrzał na szkic. – *Mi heneral*, mogą się przydać także na zachód od miasta – rzeka jest wystarczająco głęboka na coś tak płytko zanurzonego, przez kilka kilometrów, prawie aż do mostu. Gdybym wziął jeden z tych małych czajników do herbaty, jakich używają tutaj jako lokomotyw, i przyczepił jakieś zakryte wiosło...

Raj skinął głową. – Dopilnuj tego, ale po tym, jak załatwimy się z blokującymi tratwami. Muzzafie, tak na wszelki wypadek, obetnij cywilom racje o jedną czwartą.

–  
To będzie niepopularne w sferach wyższych – ostrzegł Komarianin.

–  
Mogę to przeżyć – rzekł Raj.

Robotnikom i tak będzie lepiej niż w większość zim: trzy czwarte racji żywnościowych i pieniądze, którymi mogli za nie zapłacić. Było to znacznie więcej niż to, na co mogli sobie zwykle pozwolić w spokojniejszych czasach. Oczywiście, magnaci-cywile będą jeszcze bardziej wkurzeni na panowanie Rządu Cywilnego niż przedtem... ale Barholm przysłał go tutaj, żeby zdobył Zachodnie Terytoria. Spacyfikowanie tego będzie problemem kogoś innego.

–  
Hmmm. Komandorze Lopeyzie, czy jacyś twoi ludzie mają doświadczenie z małymi łodziami? – Dwa tarany były przywiązane do miejskich doków, w górę rzeki od tratw nieprzyjaciela i nie mogły się poruszyć, dopóki te blokowały wyjście w morze.  
– Sporo z nich było rybakami, zanim wcielono ich do wojska – rzekł żeglarz.

–  
Gerrin, potrzebuję wybranych ludzi z Piątego do pewnej nocnej roboty. Wydaje się, że Brygadowcy nie pilnują tej stoczni, w której zbudowali tratwy. Poćwicz dyskretnie z wiosłarzami messera Lopeyza i za jakiś tydzień – będzie to noc, gdy zajdą oba księżyce i pewnie będzie zachmurzona – zrobimy sobie mały wypad i *trochę* podpalania.

Generale Whitehallu, kocham cię – rzekł Gerrin, uśmiechając się niczym wciągacz mający się wgryźć w swoją ofiarę.

–  
Przechodzimy do następnego problemu – powiedział Raj.

–  
A teraz...

\* \* \*

– Whitehall nas wszystkich *pozabija* – powiedział właściciel ziemski. – Będziemy *głodować*.

Jego Świątobliwość paratier łaskawie skinął głową, ignorując dobrze nabity kałdun mężczyzny. Wiedział, że Vihtoriowi Azaiglio przysłano do magazynów w Starej Rezydencji całe zbiory z jego posiadłości. Cokolwiek by się nie stało, nikt w jego domu nie będzie tak naprawdę głodny. A mówiąc to, Azaiglio wpychał sobie w usta kandyzowane figi z miseczki. Pokój był duży, ciemny i panowała w nim cisza, nie było nikogo poza magnatami, których wezwał paratier. Już samo to byłoby podejrzane, a pani Suzette i towarzysz Whitehalla, Komarianin, zbudowali zaskakująco skuteczną sieć informatorów w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Muszą działać szybko albo wcale.

Mężczyzna znajdujący się dalej przy stole chrząknął. – Co jest istotne – powiedział – to to, że im dłużej jesteśmy posłuszni Whitehallowi, tym bardziej prawdopodobne, że Ingreid poderżnie nam wszystkim gardła, gdy zajmie miasto. Gmin sam sobie pościeliłóże, biorąc stronę ludzi ze wschodu – ale *ja* nie mam ochoty leć w nim razem z nimi.

–  
A co gorsza, on może *wygrać* – odezwał się kupiec. Paratier go rozpoznał, Fidelio Enrike. Wszyscy na niego spojrzeli. Azaiglio odchrząknął. – Cóż, umm. Nie wydaje się to zbyt prawdopodobne – ale wówczas jego też byśmy się pozbyli. Pojechałby na jakąś inną wojnę.

–  
On by pojechał, ale Rząd Cywilny nie – powiedział Enrike. – Brygada jest wystarczająco zła, ale oni są głupi i leniwi, przynajmniej większość z nich. Jeśli upadną, to zaroi się od wprowadzających się tu monopolistów i kompanii frachtowych ze Wschodniej Rezydencji, Hayapalco i Komara, którzy wycyckają nas do sucha niczym pijawki – nie wspominając o poborcach podatków kanclerza Tzetasa.

Azaiglio prychnął. – Nie znam się na tym, nie zajmując się sprawami *handlu* – powiedział.

Trzeba było zaprosić Azaiglio – był największym cywilnym właścicielem ziemskim w mieście – ale paratier był zadowolony, gdy przemówił jeden z innych szlachciców.

–  
Jesteś przeklętym *głupcem* Vihtorio, niech Duch otworzy ci oczy! Koszary Carson zawsze nas słuchały, bo my jesteśmy *tutaj*. Wschodnia Rezydencja znajduje się w odległości miesiąca żeglugi, przy sprzyjających wiatrach. Dlaczego mieliby zwracać na nas uwagę? A co się stanie, jeśli za dekadę, gdy będą walczyć z Kolonią, stwierdzą, że jakaś inna granica jest ważniejsza i wycofają stąd swoich żołnierzy, pozwalając Oddanym oskubać nas do kości?

Wszyscy się wzdrygnęli. Przeorysza pochyliła się lekko do przodu i odchrząknęła.

—

Seynor, masz rację. Niewątpliwie podbój był straszną rzeczą, ale należy już do przeszłości. Brygada nas *potrzebuje*. Potrzebuje naszych miast – skinęła ku Enrike – bowiem sami nie mają rzemiosła i w przeciwnym wypadku musieliby mieszkać w chatkach z bali jak Oddani czy Straż. Potrzebują naszej szlachty, bo sami nie potrafiliby administrować chlewem.

— Są *heretykami* – rzekł z namysłem kolejny szlachcic.

—

Z czasem mogą zostać nawróceni – powiedziała przeorysza. – Wschodnia Rezydencja odda cały kościół Świętej Federacji w gestię państwa.

Nastąpiły pełne zamyślenia potakiwania. Cywilna szlachta Zachodnich Terytoriów w ogóle, a zwłaszcza wokół Starej Rezydencji, obróciła fakt posiadania u siebie drugiej kwatery głównej kościoła w bardzo korzystną rzecz.

—

Rząd Cywilny był cudowną sprawą, gdy rządono nim stąd – powiedział Enrike. – Jak już powiedziałem, bycie pograniczną prowincją imperium rządzonego ze Wschodniej Rezydencji to zupełnie inna sprawa. Właściwie to *my* rządymy Zachodnimi Terytoriami pod panowaniem Brygady – która dostarcza nam wojskowej ochrony za cenę o wiele bardziej rozsądną niż ta pobierana przez gubernatorów.

—

Nie wspominając już o tym, w jaki sposób Whitehall podburzył gmin i pomniejsze cechy przeciw wyższemu od nich stanem – rzucił ktoś z irytacją. – Brygada zawsze udzielała nam poparcia przeciwko motłochowi.

Paratier uniósł rękę. Zapadła cisza, a on odezwał się cicho – Te sprawy doczesne nie stanowią naszej głównej troski. Miłość wobec kościoła Świętej Federacji, wola Ducha Człowieka Gwiazd – oto nasze brzemie. Raj Whitehall jest gorliwym wyznawcą prawdziwej wiary, a jednak *Książeczki* ostrzegają nas, byśmy byli roztropni. Jeśli generał Ingreid zajmie to miasto szturmem, to nie oszczędzi kościoła.

Nie trzeba było mówić, iż nie oszczędzi także nikogo innego.

— Jednakże, jeśli otrzymałby miasto w darze od nas, wówczas, być może, zdołalibyśmy udobruchać go pieniędzmi. Ta wojna będzie kosztowna.

Gdy żołnierze Brygady znajdowali się w polu, trzeba było ich opłacać i karmić ze skarbca generała. Teraz właśnie był pełen. Forker był wielkim skąpcem i nie toczył żadnych znaczących wojen, ale złoto będzie wypływało z niego, jak krew z serca przebitego człowieka. Spiskowcy spojrzeli po sobie niespokojnie, z tego miejsca nie było już powrotu.

—

Jak? – spytał bez ogródek Enrike. – Whitehall ma pod swoją kontrolą milicję.

—

Jego oficerowie – rzekł dowódca kapłańskiej straży. – Ale niewielu z nich.

– Bramy są zwykle strzeżone przez te bataliony opłacanych milicjantów, jakich zebrał – rzuciła z namysłem przeorysza.

Milicji było czterdzieści tysięcy, ale większość z nich stanowili w najlepszym razie żołnierze do robót pomocniczych. Połowa z nich zgłosiła się na ochotnika, gdy Raj Whitehall ich wezwał; tysiąc najlepszych trafiło do batalionów regularnej piechoty. Z reszty urobił siedem batalionów zawodowych żołnierzy-ochorników, w mundurach, i zorganizowanych jak piechota Rządu Cywilnego, ale wyposażonych w broń zabraną Brygadowcom. Kadra szkoleniowa pochodziła z jego regularnych żołnierzy, ale oficerowie byli tutejszymi ludźmi.

Oficer straży kapłańskiej prychnął. – Każdy z dowódców batalionów, których wyznaczył, jest zagorzałym zwolennikiem Whitehalla – powiedział. – Sprawdziłem, bardzo ostrożnie wybadałem paru z nich.

Paratier skinął głową. – Wielu rozsądnych ludzi, oddanych Świętemu Kościołowi, było rozważanych na te stanowiska – rzekł z namysłem. – *A mimo to* każdy gotowy przyjąć naszą radę, został odrzucony.

Oficer skinął głową. – To nienaturalne. Nie można *go* okłamywać, tego Whitehalla. Patrzy na ciebie i, cóż, potrafi *odgadnąć*. – Kapłan-żołnierz dotknął amuletu. – Czasami lśnią mu oczy, czy zauważyłeś? To nie jest *naturalne*.

Kapłan zakaszłał dyskretnie. – *A mimo to* ludzie się zmieniają. Ponadto nie wszyscy oficerowie wybrani do tych batalionów zostali osobiście wyznaczeni przez *heneralissimo*. To tylko jeden człowiek i ma dużo do zrobienia.

Pozostali pochylili się do przodu.

\* \* \*

– Było zabawnie, dopóki trwało – rzucił ponuro Grammeck Dinnalsyn.

Raj skinął głową. Pierwsza grupa tratw Brygadowców wyposażona w działa paliła się i wybuchła widowiskowo, gdy spadły na nie móździerzowe pociski – a od kilku tygodni parowce sprowadzały statki z ładunkami bez przeszkód.

Dzisiaj była inna historia. Był to jasny, chłodny dzień z cienkimi pasmami chmur wysoko w górze, na tyle chłodny, by stłumić zapach. Fontanny wody i wybuchy po drugiej stronie rzeki były wyraźne i jasne jak miniaturowe obrazki w ilustrowanej książce. Długie *booom* ciężkich dział odbijało się głuchym echem, a ogromne stada zimującego ptactwa wystrzelały z trzciny i bagien na ten dźwięk. Nowe tratwy nieprzyjaciela miały pochyłe, gładkie burty, pociągnięte aż do spiczastych dachów, a cała powierzchnia połyskiwała słabo szarością żelaza. Sześciokątne płyty, jak z marmurowej posadzki, tak grube jak ramię *mężczyzny* i przymocowane do grubej drewnianej ściany pod spodem. Gdy Raj się przyglądał, uderzył pocisk z móździerza. Wybuchł, a woda odpłynęła wielkim półkolem od tej burty tratwy. Gdy dym się rozwiął, opadł pył wodny i błoto, żelazo błyszczało jaśniej, ale było ledwo zarysowane.

W opancerzonej burcie tratwy odsłonił się otwór i wysunęła się czarna lufa działa fortecznego. Dziura w środku miała dwukrotną szerokość ludzkiej głowy. Czerwony płomień rzygnął przez chmurę dymu. Czterdziestokilogramowy pocisk uderzył w burtę tratwy z moździerzem Rządu Cywilnego, znajdującej się w odległości jedynie tysiąca metrów. Białe światło trysnęło *od* uderzenia, a dźwięk przypominał potworny głuchy gong, zaś mniejsza tratwa z moździerzem poleciała do tyłu.

Wokół tratwy z moździerzem uderzało więcej pocisków, wznosząc pióropusze wody albo odbijając się od pancerza.

– Ten skurwysyn trzyma też swoje tratwy w ciągu dnia blisko baterii na brzegu – powiedział Dinnalsyn. – Wystarczająco dużo trafień i rozwalą drewnianą podkładkę albo odłupią kawałki z naszych.

Raj westchnął. – Wezwij je z powrotem – powiedział. – To do niczego nas nie doprowadzi.

Dinnalsyn skinął gwałtownie głową i dał znak swemu adiutantowi. Ponad wodą rozbłysły rakiety. Po kilku minutach tratwy z moździerzami zaczęły wycofywać się, poruszając się konwulsyjnie, gdy załogi wewnątrz nakręcały kable na kołowrót i popuszczały te przyłączone do kotwic zarzuconych bliżej południowego brzegu.

–

*Losien* – powiedział Dinnalsyn: – Szkoda. A potem z namysłem – *Chociaż... mi heneral* jeśli założymy czubki z utwardzonego żeliwa na moździerzowe pociski i może zapalnik z opóźnionym zapłonem... albo mógłbym... hmm. Znam teorię, gdybym miał trochę czasu, mógłbym złożyć gwintownicę do niektórych z tych wielkich, nie gwintowanych dział, jakie tu znaleźliśmy. Lite pociski z wydłużonym – zasięgiem ogniowym i ołowianymi osłonami jak w działach oblężniczych w rodzinnych stronach – posłużymy się oczywiście laną stalą z kobolassiańskich hut, ale w tych działach z żeliwa mógłbym wzmocnić część zamkową lufy obręczami. Trzeba rozgrzać do czerwoności parę walcowanych prętów z kutego żelaza, a potem skrócić je...

–

Dobry z ciebie chłop – rzekł Raj, klepiąc go po koleżeńsku po ramieniu. – Zleć to jednak innym, nie skupiaj się zbyt na tej jednej sprawie. Tego rodzaju posunięcia i kontrposunięcia mogą się ciągnąć w nieskończoność.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

Rzeczywisty świat zniknął, zastąpiony przez lśniąca, niebiesko-białą zaokrągloną tarczę Bellevue widzianą ze świętej orbity. Pałacy oczy ogień rozkwitł na tle mglistej górnej atmosfery. Wykwitały punkciki, które spadały w dół, uskakując i skręcając. Świetlne palce dotykały ich, a one gasły, ale inne przetrwały, przenikając coraz głębiej, aż niektóre spadły na nocną stronę znajdującej się poniżej planety, w dół na siatki światła oznaczające miasta, a potem buchnął słoneczny rozbłysk rozchodzący się kuliście, kopyły ognia wznoszące się ku stratosferze...

Raj potrząsnął głową. – Muzzafie – powiedział. – Znowu dwie-trzecie racji dla ludności. Grammeck, tak naprawdę to martwi mnie obszar na południowy wschód od muru. Spotkajmy się w

pokoju z mapami po południu i porozmawiajmy o tym.

\* \* \*

Woń słodkiego kadzidła unosiła się nad ubitą ziemią oczyszczoną strefy, rozciągającej się pomiędzy wewnętrzną stroną muru a budynkami Starej Rezydencji. Szeroka na sto metrów strefa, rozpościerała się po obu stronach jak kręta droga. Na większości panował ruch niczym na drodze; ludzie maszerowali albo ćwiczyli swoje psy, wozy z zapasami wlokły się z racjami i amunicją. Ta część należała do 24 Piechoty z Valencii, a oni zajmowali się wcielaniem swoich rekrutów, tych, którzy przetrwali próbne szkolenie.

Nowi ludzie stali w szeregach, zwróceniem twarzami do murów i reszty batalionu, a obok Raja i dowódcy znajdował się sztandar jednostki. Oddział flagowy wysunął się, by przeparać przed szeregami, a jednostka im salutowała – obydwie ramiona wysunięte sztywno pod kątem czterdziestu pięciu stopni w osi przedramienia; ten sam gest czci, jakim posłużyliby się w stosunku do świętego relikwiarza w przechodzącej procesji religijnej. Proporzec był szacownie zryty kulami i wielokrotnie naprawiany; miał na sobie wyszyte: *Sandoral* oraz *Port Murchison*.

Kapelan batalionu zebrał swoje narzędzia: malutkie żelazo do piętnowania w kształcie gwiazdki oraz ostry nóż. Dowódcą jednostki był major Ferdinando Felasquez, krępy mężczyzna w średnim wieku z opaską na jednym oku, spuściźnie po pocisku Kolonistów. Oficer miał ramię od szpicruty owinięte wokół nadgarstka.

W taki sposób składano przysięgę. *Przysięgam posłuszeństwo aż do śmierci, choćbym płonął w ogniu, choćby przebiła mnie stal, choćby smagano mnie biczem.* Posmakowanie żołdowej soli, piętno u nasady kciuka, ukłucie nożem w policzek i klepnięcie szpicrutą po obu ramionach. Niektórzy oficerowie nie zwracali sobie tym osobiście głowy, ale Raj miał na kciuku taką samą bliznę, od kiedy skończył osiemnaście lat i zajął się wojaczką,

– Kapitan Hanio Piny a, czyż nie? – spytał Raj, gdy ludzie przyjęli pozycję spoczynku.

– *Ci, mi heneral* – powiedział młodszy mężczyzna, sztywniejąc nieco, wyraźnie świadomy nowości dwóch kapitańskich gwiazdek na swoim hełmie.

Felasquez się odezwał – Formuję jedną dodatkową kompanię – powiedział. – Umieszczam w nim połowę rekrutów i połowę weteranów, a resztę nowych ludzi rozbijam pomiędzy pozostałe kompanie.

– Jak sobie radzą? – spytał Raj.

–

Nie najgorzej, *seyor* – rzekł nowo awansowany kapitan. – Wszyscy mają ponad osiemnastkę i mniej niż dwadzieścia pięć, wszyscy mają ponad minimalny wzrost i wszyscy widzą sylwetkę człowieka z pięciuset metrów i potrafią przebiec kilka kilometrów bez padnięcia. Lepszy surowy materiał niż zwykle dostajemy.

Wszyscy skinęli głowami. Jednostki piechoty zwykle dostawały chłopów pańszczyźnianych, przysyłanych przez właścicieli ziemskich zamiast podatków, albo tych, co to ich zgarnęły oddziały wcielające do wojska, gdy jednostce nakazano wymarsz i musiała dopełnić rejestr.

—  
Dziwne, jak ma się tyłu miastowych – rzekł Felasquez. – Choć niektórzy z nich są wieśniakami, którzy dostali się tu, zanim przybył nieprzyjaciel. Żadnych urzędników, sklepikarzy czy sług domowych – wszystko to rolnicy albo robotnicy fizyczni.

Trzej mężczyźni ruszyli wzdłuż szeregu. Wszyscy rekruci wyglądali teraz poważnie – składanie przysięgi tak działało na człowieka – a mieli za sobą już dosyć musztry, by pozostać nieruchomo w pozycji spoczyn. Przy korzystaniu ze Starej Rezydencji, wyposażenie każdego zgodnie z przepisami nie stanowiło problemu i to lepiej niż w te marne śmieci, którymi często musiały się zadowolić jednostki garnizonowe w rodzinnych stronach. Zrolowany koc na lewym ramieniu, owinięty nawoskowaną płachtą płótna stanowiącą część namiotu oddziału. Krótka łopata albo kilof wsadzony w skórzaną siarkę, z trzonkiem wystającym zza ramienia. Zapasowe skarpety, spodnie i robiony na drutach sweter wewnątrz zrolowanego koca. Bandolet z siedemdziesięcioma pięcioma pociskami i jeszcze dwadzieścia pięć w nawoskowanym kartonowym pudełku. Trzydniowa porcja sucharów. Karabin i bagnet, zwitek bandaży, olej do oliwienia karabinu oraz sprzęt do czyszczenia, emaliowany żelazny kubek, miska i łyżka, część sprzętu do gotowania należącego do oddziału...

—  
A tak przy okazji – rzucił Raj, gdy oficerowie powrócili do sztandaru. – Udało nam się założyć niezły warsztat do ponownego ładowania pocisków, więc podwój ćwiczenia strzelnicze i zbieraj wszystkie puste łuski. Ćwicz ich ostro.

—  
Będą się pocić, *mi heneral* – obiecał Felasquez. – Choć wolałbym wyprowadzić ich w pole, pod namioty, aż nowi ludzie się nie otrząsną. Szybciej też załapią sponglijski, jak nic nie będzie odciążać ich uwagi.

—  
Ingreidowi mogą nie spodobać się manewry – odparł sucho Raj. – Służba na murach da im przynajmniej trochę doświadczenia w byciu celami. – Brygadowcy umieszczali nocą snajperów mających mury w zasięgu i od czasu do czasu zdejmowali kogoś.  
Felasquez odchrząknął i oparł dłoń na drzewcu batalionowego sztandaru.

—  
Ludzie! – odezwał się wyraźnym, niosącym się głosem. – Nie jesteście już rekrutami, ale członkami 24 Piechoty z Valencii. Od dwustu pięćdziesięciu lat ta flaga oznaczała, iż ludzie nie obawiają się ciężkiej pracy ani ciężkiej walki. Niech Duch Człowieka Gwiazd pomoże wam, abyście okazali się godni tej tradycji. Teraz czeka was zaszczyt wysłuchania mowy naszego *heneralissimo supremo*, Raja Whitehalla.

Krótki, szczekliwy wiwat odbił się echem od murów fortyfikacji. Raj wystąpił do przodu z rękami założonymi z tyłu.

—  
Bracia żołnierze – powiedział; wiwaty się powtórzyły, a on uciszył je ręką. – Nazwano mnie mieczem Ducha Człowieka. To prawda, że Duch mnie prowadzi... lecz jeśli ja jestem rękojeścią miecza Ducha, to moi żołnierze są klingą. Ci weterani – nie zmienił pozycji, lecz skierował ich uwagę na szeregi za sobą – maszerowali ze mną ze wschodnich pustyń do Zachodnich Terytoriów i razem złamaliśmy każdego, kto próbował nas powstrzymać. Bowiem Duch był z nami, bowiem mieliśmy przeszkolenie i dyscyplinę, której nikt nie potrafił

dorównać.

Żołnierze nie wydali żadnego dźwięku, ale Raj był w stanie niemal wyczuć promieniejącą z nich dumę. *Biedne gnojki*, pomyślał. *Co piąty człowiek z Dwudziestego Czwartego zginął w okopach pod Sandoralem. Głównie od artylerii, nie mając szansy na odpowiedzenie uderzeniem.*

—

Zwycięstwo nie przychodzi łatwo – ciągnął. – Ale nikogo z nas nie zabito w czasie ucieczki. – Nawet odwrót Piątego spod El Djem nie był paniczną ucieczką. Ludzie Tewfika byli zadowoleni z przerwania walki. – Jeśli staniecie się godnymi towarzyszami tych ludzi – a nie będzie to łatwe – to będzie to coś, z czego będziecie mogli być dumni.

*Albo też będziecie kalekami lub ciałami w rowie*, pomyślał, spoglądając na młodych mężczyzn. Tylko fakt, iż dzielił z nimi niebezpieczeństwo, czynił to znośnym.

—

Ostatnia rzecz. Zanim zostaliście wcieleni do wojska, pewnie kochały was tylko wasze matki. – Uśmiechnął się lekko.

—

Teraz, gdy to nosicie – dotknął własnej niebieskiej kurtki – pewnie nawet wasze matki już nie będą was kochać. I nie jest to żart. Strzeżemy Rządu Cywilnego, ale otrzymujemy za to cholernie mało wdzięczności. Wdzięczność jest miła, tak jak i łupy, gdy je znajdujemy – ale nie o to walczymy. W tym upadłym świecie istnieje niewiele wiary i honoru; a to, co pozostało, w większości nosi mundur. Walczymy za Świętą Federację, za nasze przysięgi... a przede wszystkim za siebie nawzajem. Ludzie wokół was są teraz waszą jedyną rodziną, waszymi jedynymi przyjaciółmi. Słuchajcie swoich oficerów, wspierajcie swoich towarzyszy, a nie będziecie mieli się czego lękać ze strony nikogo, kto stąpa po tej ziemi.

\* \* \*

– Przyłóżcie swoje *grzbiety* – krzyknął Howyrd Carstens.

– Sam przyłóż *swój* pieprzony grzbiet – warknął w odpowiedzi żołnierz. – Jestem wolnym bratem z jednostki, a nie cholernym chłopem!

Pułkownik Brygady zeskoczył ze swojego psa. Spocony, zabłocony i mimo chłodu obnażony do pasa żołnierz cofnął się o krok, Carstens zignorował go. Wyminął mężczyznę, idąc do przodu kabla, i chwycił gruby, konopny sznur, zarzucając go sobie na plecy.

– A teraz *ciągnijcie*, wy cipki! – ryknął.

Ludzie, psy i woły napięli się. Działo oblężnicze zaczęło po kawałeczku posuwać się do przodu, pokonując ostatni stromy odcinek pospiesznie zbudowanej drogi. Zaprzęgi wyskoczyły na powierzchnię skalnego występu z jęklwym okrzykiem. Ciemność była całkowita, rozświetlana tylko przez kilka starannie osłoniętych latami. A także od czasu do czasu przez błysk pocisku Rządu Cywilnego, lądującego w okopach na wschodnim zboczu wzgórza. Wszyscy zanurkowali, słysząc paskudny trzask wybuchającego siedemdziesięciopięciomilimetrowego pocisku, ale szrapnel głównie przeorał przednią powierzchnię wzgórza wraz z ziemnymi skarpami i wałami z wikliny i drewna.



– Tak wykonuje się męską robotę, chłopcy – powiedział Carstens, dysząc i odwracając się do pozostałych.

Większość żołnierzy trzymających linę upadła na ziemię, gdy ciężka armata znalazła się już na równym szczycie wzgórza. Od wysiłku para unosiła się z ich ciał i oddechów; psy obok nich dyszały, a woły ryczały i ślinały się. Ludzie pobiegli, żeby podczepić nowe kable do żelaznej ramy podwozia działa i poprowadzić zwierzęta w dół zbrocza po następną broń. Zaszczekały kołowroty, przeciągając działa po nawierzchni z kłód położonej na szczycie wzgórza; dźwięk niczym trzęsienie ziemi, gdy wiele ton żelaza dudniło po pofałdowanej powierzchni. Zmęczeni żołnierze wydali z siebie radosny okrzyk na cześć Carstensa, gdy zaczepili ciężką linę okrętową, którą posłużyli się do przeciągania.

–

I nie zdejmujcie kurtek – zawołał za nimi Carstens. Chłód zawsze stanowił niebezpieczeństwo, gdy mocno się pocieś, a potem zatrzymywałeś się na zimnie. I tak zbyt wielu ludzi było chorych.

–

Tak, mam – krzyknął przez ramię w odpowiedzi żołnierz, ten sam, który rzucił wyzwanie wyższemu od siebie rangą, żeby upadł razem z nimi. Ludzie śmiali się, zbiegając truchtem po nierównej powierzchni, wymijając wozy podążające za działem z ładunkiem amunicji i kartaczy.

Jego eskorta przyprowadziła mu psa, a on zdjął płaszcz przyczepiony do siodła i zarzucił go sobie na ramiona. Serce wciąż waliło mu mocno. *Nie Jestem już taki młody*, pomyślał.

W słabym świetle teren przed nim wyglądał jak skopany ogródek. Wylatywała z niego ziemia, gdy tysiące ludzi pracowało, żeby wkopać działa w skraj klifu zwróconego w kierunku miasta. Tuzin stanowisk zwracał się ku oddalonym o dwa kilometry murom. Każde stanowiło głębokie, wąskie wcięcie, wyrąbane w żółtoziemne ściany, a potem przykryte daszkiem. Inne drużyny pracowały nad samąścianą klifu, umacniając ją wiklinowymi koszami wypełnionymi ziemią i grubymi deskami wsadzonymi pionowo. Za działami znajdowały się bunkry z osłonami z belek i worków z piaskiem, do schowania amunicji i zapasowej załogi. Gdy się przyglądał, ostatnie działa zostało skierowane w stronę swojego przypominającego tunel stanowiska, a setka ludzi zaczęła ciągnąć sznury. Były one przeciągnięte przez wielokrążek na zewnętrznym końcu stanowiska, a ten z kolei był przymocowany do pni drzew wbitych głęboko w ziemię. Monstrualne działa, przypominające kształtem butelkę wody sodowej, miało w części zamkowej wysokość dwóch metrów i prawie dziesięć metrów długości. Nieuchronnie wsunęło się konwulsyjnie na stanowisko, a żelazne koła zapiszczały na nierówno porąbanym drewnie.

Carstens podążył za nim do miejsca, gdzie pod krawędzią wysuniętego do przodu wału czekali Ingrid i Teodorę. Wtedy właśnie pocisk nieprzyjaciela wgrzył się w znajdującą się poniżej ścianę klifu. Trysnęła i opadła ziemia, stukając na grubych deskach dachu nad ich głowami. Carstens skłonił się władcy Brygady i wymienił uścisk nadgarstków z młodszym szlachcicem.

– Cieszę się, widząc cię na nogach – powiedział. Teodorę skinął głową, a potem zamachał ręką w kierunku miasta. – Nasza ostryga – powiedział. – Twarda, ale mamy na nią widelce.

Carstens spojrział przez swoją lunetę. Białe, wapienne mury były jasno oświetlone reflektorami cywilniaków, aż przymrużył oczy przed tym blaskiem. Wykwitła kula czerwonego ognia, a w powietrzu ze świstem przemknął pocisk i wybuchł sto metrów na lewo. Ziemia przeleciała przez deski w górze, a on kichnął.

–  
Niewiele wskórają przeciwko tej reducie – stwierdził.

–  
Mówiłem ci – rzekł Teodorę z dającym się wybaczyć zadowoleniem z siebie.

Ing Reid wybuchł śmiechem i walnął go w plecy; rękawica zadzwoniła o jego naplecznik z głuchym *bong*.

–  
Tym razem to my sikamy na nich z góry – powiedział Ing Reid. Wziął lunetę od swojego podwładnego i nastawił ją. – Ile to zajmie?

– Znajdujemy się w ekstremalnym zasięgu – rzekł Teodorę.

–  
W ogóle by się nie udało bez – tupnął nogą – setki metrów wzgórza pod nami. Przy tuzinie dział i dodatkowych ładunkach – cztery, pięć dni, żeby rozwalić odcinek muru.

–  
Odcieśliśmy im też *zapasy* – stwierdził radośnie Ing Reid. Błysnął w uśmiechu żółtymi zębami. – Powolna walka, ale wy dwaj dobrze się sprawiliście. Kiedy runie mur...

– Nie lubię stawiania wszystkiego na jedną kartę – stwierdził Teodorę. Starsi mężczyźni się roześmiali. – Mamy jeszcze jedną kulę w tym rewolwerze – rzekł

Carstens. – Wszyscy będą spoglądali w tę stronę – najlepszy moment, żeby dopieprzyć im od tyłu.

## Rozdział dziesiąty

–  
Wyjadę, cholera, tak właśnie zrobię – warknął Cabot Clerett, przechadzając się po pokoju. Był on mały i wdzięcznie urządzony, oświetlony przez jedną lampę. Jedwabne kotary poruszyły się lekko, wydzielając woń jaśminu, gdy je mijał.

– Cabocie, nie możesz mnie opuścić w samym środku kampanii. Nie wtedy, gdy twoja kariera tak chwalebnie się rozpoczęła! – powiedziała Suzette.

– Whitehall oczywiście nie spuści mnie już z oczu – rzekł Cabot. – On dwa razy nie popełnia tych samych błędów. A on tylko tutaj *siedzi*. Wrócę i powiem stryjowi prawdę o nim. A potem zbiorę posiłki, dziesięć tysięcy dodatkowych ludzi, powrócę tutaj i zrobię to tak, jak *trzeba*.

– Cabocie, nie zamierzasz mnie tu zostawić? – spytała Suzette z dużymi i błyszczącymi oczami. Chwyciła go za rękę i przycisnęła sobie do piersi. – Nawet na chwilę. Obiecuj, że tego nie zrobisz!

\* \* \*

– Przepuść mnie, mój synu – rzucił krótko kapłan.

– Nie jestem twoim synem, ty łysy alfonsie w spódnicy – warknął żołnierz. Był z 1 Kirasjerów; wysoki, potężny mężczyzna z mocnym nameryjskim akcentem.

*Dzikus*, pomyślał kapłan. *Gorsi niż Brygada*. Większość z tamtych była przynajmniej minimalnie uprzejma wobec ortodoksyjnego duchowieństwa.

Wschodnia Brama miała niewielkie tylne wyjście: wąskie drzwi w ogromnym, głównym portalu. W uchwycie obok nich znajdowała się pochodnia i migoczące światło odbijało się od szorstkiego drewna i grubego żelaza bramy, a wieże po obu stronach rzucały cienie. Skądś dobiegł trzask karabinowego ognia, może z odległości kilometra. Potem doszły słabe krzyki; część ciągłej gry w kotka i myszkę prowadzonej między oblężonymi a oblegającymi. Za nimi Stara Rezydencja była w większości ciemna; dostawy gazu odcięto na pewien okres, jako że węgiel trzymano do ogrzewania i gotowania. Lamp było niewiele z tego samego powodu; odcinały się łagodnym złotym blaskiem od czerni nocy. Białe obłoczki oddechu kapłana przypomniały mu, żeby spowolnił oddychanie.

– Mam ważną przepustkę – powiedział, wymachując żołnierzowi pod nosem dokumentem. Strużka Judzi wpływała i wypływała z miasta; było to korzystne dla obu stron.

– Rzeczywiście – dobiegł głos z tyłu.

Obrócił się. Mężczyzna wyszedł z cienia w światło pochodni. Był średniego wzrostu, o szerokich barkach i klatce piersiowej, z grubymi nadgarstkami szermierza. Był o wiele za ciemny jak na dawnego Eskadrowca, z twardą, kanciastą twarzą o zakrzywionym nosie i czarnymi włosami ściętymi „na donicę”. Major Tejan M’Brust, descottyjski towarzysz, który dowodził 1 Kirasjerów. Kapłan przełknął ślinę i podał przepustkę.

– Podpisana przez meszę Whitehall, to prawda – powiedział oficer.

Wynurzyło się jeszcze więcej żołnierzy i Kirasjerów, otaczając duchownego nieubłaganym kręgiem. Ich brodate twarze były w świetle pochodni samymi płaszczyznami i kątami; większość wciąż nosiła długie włosy związane w węzeł po prawej stronie głowy. Wyczuwał od nich mocny zapach potu, psów i skóry, niczym od zwierząt.

Kolejna postać podeszła, stając obok M'Brusta i wzięła dokument. – Dziękuję ci, Tejanie

– powiedziała. Mała, drobna kobieta, owinięta białym, wełnianym płaszczem, a jej oczy były chłodniejsze niż zimowa noc. – Tak, podpisałam to. *Zastanawiałam się*, czemu to ktoś podejmuje ryzyko opuszczenia miasta, aby przynieść kopię *Komentarzy awatara* Serejmo. Ten człowiek sam nie rozumiał sensu *Książeczek* i od tego czasu jeszcze innym miesza,

Ręka kapłana wykonała gwałtowny ruch w kierunku ust. Żołnierze spadli na niego. Jedna ogromna dłoń zacisnęła się wokół jego szczęki, a druga wyrwała mu papier z ust. Zakrztusił się bezradnie, a potem zmarł, gdy za uchem dotknął go bagnet.

Suzette Whitehall zabrała mokry, pognieciony papier i trzymała go z wystudiowaniem pomiędzy palcem a kciukiem w rękawicze. – *Zaszyfrowane* – powiedziała. – Oczywiście. – Podniosła do światła. Słowa były bełkotem, ale były rozdzielone i miały rozmiar prawdziwego pisma. – Kod podstawienienny.

Nieubłagane spojrzenie zielonych oczu zatrzymało się na nim. Wyraz twarzy miała spokojny niczym posąg, ale descottyjski oficer obok niej szczerzył się w uśmiechu jak carnosauroid. Mężczyzna odrzucił do tyłu swój płaszcz i uniósł jedną rękę, a miał w niej parę szczypców, którymi zaszczekał.

Kapłan zwilżył usta. – Moja osoba jest nietykalna – powiedział. – Zgodnie z prawem kanonicznym, kapłan...

–

W mieście obowiązuje *prawo stanu wojennego* – powiedziała Suzette.

–

Prawo kościelne ma pierwszeństwo!

–

Nie w *Gubernio Civil*, wielebny ojcze.

–

Obłożę was klątwą!

Kąciki ust powędrowały lekko w górę na marmurowej masce stanowiącej twarz Suzette. Tejan M'Brust roześmiał się w głos.

–

Cóż, wielebny ojcze – stwierdził – to mogłoby przstraszyć zwykłych żołnierzy. Naprawdę nie sądzę, żeby to przeszkadzało moim chłopakom, jako że wszyscy oni są heretykami tej Ziemi. Ręce przytrzymujące go zacisnęły się brutalnie, gdy się miotał. – A ja – ciągnął M'Brust

–  
po prostu nie jestem pobożny.

–  
Raj Whitehall jest mieczem Ducha – powiedziała Suzette. – *On jest* pobożnym człowiekiem... dlatego też ja zajmuję się takimi sprawami. – Odwróciła głowę ku żołnierzom.

–  
Sierzancie, zabierzcie go do wartowni. Rozpalcie w kominku i przynieście beczkę z wodą.

–  
*Ya, mez* – rzucił mężczyzna w nameryjskim: *tak, pani*. M'Brust jeszcze raz zaszczał szczypcami, obracając nadgarstkiem w ohydnej parodii tancerza z kastanietami. – Mówią, że klechy nie mają jaj – powiedział. – Może zobaczymy? Kapłan zaczął krzyżeć, gdy żołnierze wciągnęli go do wykładanej kamieniem komnaty, powłóczącego piętami o próg. Grube drzwi zamknęły się z hukiem, tłumiąc wrzaski.  
Nawet gdy stały się bardzo głośne. \* \* \*

–  
Już niewiele dłużej – powiedział Gerrin Staenbridge. Gruby materiał wieży trząsł się pod ich stopami. Część kamiennej ściany wpadła do fosy z grzotem jak przy trzęsieniu ziemi. Rdzeń z gruzu za trzymetrowymi blokami skalnymi składał się z cegieł, kamienia i ziemi, ale wieki sączącej się wody wygryzły w nim dziury. Następny pocisk wbił się głęboko i cała osnowa muru zaczęła się wyginać. Uniosły się

chmury dławiącego pyłu, skrywające klify znajdujące się w odległości dwóch kilometrów. Za nimi wstawało słońce, rzucając długie cienie na oczyszczonym terenie przed nimi. Światło słoneczne objęło już poszarpane stanowiska baterii, złocąc je. I z tego właśnie światła dobiegał miarowy, grzmiący huk dział oblężniczych.

– Czas ruszać – zgodził się Raj.

Poszli na tyły wieży i każdy wsadził stopę w pętlę sznura. Mężczyzna przy belce uruchomił kołowrót.

– Bede popuszczać powoli – powiedział. – I uważajta, gdzie stajecie, panowie.

Gerrin się uśmiechnął, a białe zęby błysnęły w cieniu kamienia. Kiedy zjechali trochę, odezwał się.

– Myślę, że mówił nam, co sądzi o oficerach pozostających zbyt długo w niebezpiecznej strefie. Bezczelny gnojek.

Wieża zatrzęsła się znowu, a obok nich przeleciały małe kawałki kamienia. Raj uśmiechnął się w odpowiedzi. – To prawda. A z drugiej strony, co proponujesz jako karę?

– Wyznaczyć go do tylnej straży na wieży – rzekł Gerrin i obydwaj się zaśmiali.

Wzdłuż całego odcinka muru, w który waliły działa Brygady, zatknięto kukły, ale było tam paru prawdziwych ludzi, którzy mieli się ruszać i strzelać aż do ostatniej chwili, zanim zjadą w dół po sznurze i rzucą się do ucieczki. Wszyscy byli ochotnikami, a ludzie, którzy zgłaszali się na ochotnika

do tego rodzaju roboty, nie należeli do tego typu ludzi, którym krew ścinała się w żyłach na skrzywioną minę oficera.

Dotarli na ziemię, dosiedli czekających psów i pokłusowali przez oczyszczoną strefę. Raj stanął w strzemiach, aby przyrzeć się całemu terenowi od wewnętrznej strony zagrożonego odcinka muru. Grupy budowlańców nie próżnowały; zburzono bowiem każdy dom na obszarze rozciągającym się na długości kilometra. Ruiny zostały rozparcelowane w celu uzyskania kamienia i drewna do budowy. To, co pozostało, stanowiło bezkształtne gruzowisko, a żadna jego część nie sięgała człowiekowi wyżej niż do pasa. Wzdłuż wewnętrznego skraju gruzowiska biegł nowy mur, dwukrotnej wysokości człowieka. Nie był bardzo zgrabny – włączyli w niego kawałki i fragmenty domów, biorąc je jak leciało – nie był też na tyle gruby, aby przeciwstawić się artylerii. Był odporny na kule, a wzdłuż całej długości na obu piętrach biegły otwory strzelnicze. Na ziemi tuż przed nim znajdowała się gruba barykada z drewna. Wbito w nią tysiące mieczy Brygadowców, a potem naostrzono je niczym brzytwy.

Za nim wciąż dobiegał chór bombardowania niczym uderzenia o kowadło. Wieża się zachwiała. Część zewnętrznej powierzchni odłupała się i spadła, niczym lawina w zwolnionym tempie. Bardzo słabo, ale dało się słyszeć zmasowane wiwaty nieprzyjacielskich żołnierzy, szykujących się do natarcia pod osłoną klifów.

Raj uśmiechnął się na ten dźwięk niczym rekin. Nienawidził bitew... w sensie abstrakcyjnym, i potem. Podczas bitwy czuł siężywy jak nigdy. Wszystko było ostre niczym brzytwa, wszystkie dwuznaczności znikwały. Była to czysta przyjemność robienia czegoś, co robiłeś bardzo dobrze, a jeśli to, iż potrafił doświadczać tej czystości jedynie w środku rzezi, mówiło coś niekorzystnego o nim samym, to niech tak będzie.

—

Dzień dobry, messerowie – powiedział do zgromadzonych oficerów, gdy już znaleźli się za wewnętrznym murem. Pokój wyglądał, jakby był salonikiem jakiegoś mieszczanina, ze stołem z drzewa rózanego, zakurzonym teraz i poobijanym. Raj rzucił przez ramię – Zabierzcie resztę z muru. Wróg będzie się teraz tego spodziewał.

—

A teraz... – powiedział, składając ręce, żeby poprawić rękawice. Młodszy oficerowie popatrywali na niego z oczekiwaniem.

>>Powiedz im<< powiedziało Centrum. >>Tak jak ja ci mówiłem przez te lata.<<

Raj skinął głową. – Oglądamy oto demonstrację – powiedział – dwóch rzeczy. Przewagi liczebnej i korzyści płynących z fortyfikacji.

Rozejrzał się dokoła i utkwiał wzrok w kapitanie Pinya. – Jaka jest główna przewaga wiążąca się z przeważającymi siłami, kapitanie?

Piechur oblał się rumieńcem. – Większa wolność w wykorzystywaniu licznych sposobów ataku, panie – powiedział.

—

Słusznie. Większość prawdziwie decydujących sposobów zmiżdżenia wroga w bitwie, wiąże się właściwie z przyszpileniem go przy pomocy jednej części twoich sił i uderzeniem go gdzieś indziej przy pomocy drugiej części. Im większa twoja liczebność, tym łatwiej to zrobić. Jeśli masz wystarczającą przewagę, to możesz zmusić drugą stronę do odwrotu albo poddania się w ogóle bez walki. Ci z was, którzy byli ze mną w Południowych Terytoriach, będą pamiętać, że Eskadra miała bardzo *dużą przewagę* liczebną – choć skuteczność bojowa stanowiła ich znaczną wadę. Właściwie to mogli nas zmusić do odejścia, odmawiając walki poza działaniami obronnymi. Trzymając duże siły w oczekiwaniu, w pewnej odległości od nas, i posługując się resztą do wybicia naszych grup furazowych. Wkrótce bylibyśmy zmuszeni rzucić się na nich z natarciem albo umrzeć z głodu lub odejść.

Zamiast tego oni sami uprzejmie poszarżowali prosto na nasze działa.

—

Aby zwyciężyć, trzeba atakować, ale defensywa jest taktycznie mocniejsza – ciągnął Raj, spoglądając na mapę.

—

To skutecznie zwiększa siły. Tak jak i fortyfikacje, jeśli tylko zbytnio się do nich nie przyzwyczaisz. Przy wymianie ognia, człowiek stojący za murem jest warty pięć razy tyle co człowiek biegnący ku niemu. To jeden z powodów dla których jestem znany jako „Król Łopat”. Zauważcie, iż tutaj przewyższają nas liczebnie pięć do jednego..., ale to Brygada musi atakować. To w rezultacie stawia nas w jednakowym położeniu i przywraca elastyczność taktyczną, którą odbiera nam przewaga liczebna nieprzyjaciela.

—

Stanowi to, panowie – ciągnął, stukając w mapę – sedno moich planów dotyczących tych działań. – Na papierze widniało zaznaczone miejsce każdej jednostki, ale żaden plan nie przetrwał kontaktu z wrogiem. – Posłużymy się fortyfikacjami dla zwiększenia skuteczności naszych blokujących sił, co z kolei uwolni rezerwy do zdecydowanych działań gdzie indziej, z przewagą miejscową. Przypominam wam, że wciąż działamy tutaj przy bardzo wąskim marginesie. Naszą przewagą jest szybkość reakcji, której dostarczają nam nasza większa elastyczność i dyscyplina. Spodziewam się po was wszystkich *inteligentnej* śmiałości.

Spotkanie skończyło się, a ludzie rozeszli się do swoich jednostek. Staenbridge był ostatnim, który odszedł.

– Skop im tyłki, Gerrinie – rzekł Raj.

Uderzyli się nadgarstkami od wewnątrz i po wierzchu. – Moja przyjemność, Whitehall – rzekł Staenbridge.

\* \* \*

– *Duchu Człowieka* – rzucił strzelec Minatelli.

Z platformy strzelniczej na drugim piętrze miał doskonały widok na walące się mury miejskie. Przeżył całe swoje życie w Starej Rezydencji, pracując w rodzinnym warsztacie kamieniarskim. Było to niczym przypatrywanie się, jak znika część wszechświata. Drganie na szczycie muru się wzmogło i cała budowla wygięła się jak płot z trzciny na ostrym wietrze. A potem ostatnie wychylenie na

zewnątrz nie zakończyło się powrotem; najpierw było bardzo powolne; długotrwały, opadający ruch. A potem mur *zniknął*, pozostawiając *po* sobie jedynie grzmot, który trwał i trwał, aż Minatelli pomyślał, że to trzęsienie ziemi, i że całe miasto rozpadnie się dokoła niego. Słup pyłu uniósł się ku słońcu. Gdy to dobiegło końca, mur stanowił jedynie zrąb zwalonych kamieni, a tam, gdzie stała wieża, widać było kilka wystających kikutów.

Armatnia kula uderzyła z olbrzymim trzaskiem i dookoła poleciały kawałki kamienia. Następny pocisk przeleciał przez dziurę, zagrzebując się w gruzach. Minatelli nigdy nie czuł się taki samotny, mimo iż po obu stronach byli ludzie, rozstawieni co metr tak daleko jak sięgał wzrok. Dowódca plutonu znajdował się trochę z boku, żując koniec nie zapalonego taniego cygara i opierając się o szablę w pochwie.

Minatelli przełknął konwulsyjnie ślinę. Mężczyzna, który przypadł na kolanie przy następnym otworze strzelniczym, był dwa razy starszym od niego weteranem imieniem Gharsia. Żuł tytoń i zanim odwrócił głowę w stronę rekruta, splunął brązowąśliną przez szczelinę w murze przed nim.

–

Ustawiłeś już celownik karabinu? – spytał.

–

Nnn-ie – odpowiedział młodzieniec, starając się zrozumieć.

Zanim zgłosił się na ochotnika, niewiele mówił po sponglijsku; kapłan w ich okolicy uczył biedne dzieci liter i trochę klasycznego języka. Miesiąc w wojsku nauczył go słów rozkazów, nazw części karabinu i ogromnej ilości przekleństw. Wciąż trudno było mu zrozumieć większość żołnierzy. *Dlaczego się zgłosiłem*, pomyślał. Zapłata była nie lepsza niż u kamieniarza. Kapłan powiedział, że była to praca dla kościoła Świętej Federacji, a jemu wreszcie udało się dostać między nogi Melicie Guyterz, jak wrócił na rodzinną ulicę w mundurze. To wspomnienie stanowiło niewielkie pocieszenie. Z pewnością nie był pierwszym, który tam był.

–

Daj mi. – Starszy mężczyzna wziął broń Minatelliego i przesunął wydrążoną suwnicę do przodu pod tylny celownik, podnosząc szczerbinę.

–

To siedymset – powiedział Gharsia. – Celuj im w nogi. I nie zapomnij nastawić, jak minom cele.

Oddał bron z powrotem. – I zmocz no muszkę – powiedział, oblizując kciuk i robiąc to w swoim karabinie.

Minatelli próbował zrobić to samo, ale usta miał suche. Przez chwilę szarpał się ze swoją manierką, aż przełknął haust zimnej wody o smaku płótna.

– *Gracez* – powiedział. *Dzięki*.

Weteran znowu splunął. – Każdy, co go zastrzelisz, nie zastrzeli mnie – powiedział. – Powstrzymamy ich albo wyrzną nas wszystkich.



Młody człowiek wsadził karabin w szczelinę i przyglądał się polu gruzu j wielkiemu pióropuszu pyłu na jego końcu. Uświadomił sobie, że gdyby się nie zaciągnął, to czekałby teraz w domu z rodziną – całkowicie bezradny, zamiast tylko częściowo. To sprawiło, że poczuł się trochę lepiej, gdy przytulał chłodną kolbę karabinu do policzka.

—

Mogło być gorzej – usłyszał, jak mówi weteran. – Mogło padać. – Dzień był pochmurny, ale jak do tej pory suchy. Światło było szare i zimne, sprawiające, że twarze wyglądały, jakby już byli martwi.

Z tyłu za nim odezwały się kroki na drewnie parapetu. Minatelli odwrócił głowę, a potem zamarł. Kapitan Pinya, dowódca kompanii – i major Felasquez oraz sam messer Raj.

—

Pracuj tak dalej, synu – powiedział messer Raj. Wyglądał niemożliwie spokojnie, gdy pochylał się, by wyrzeć przez szczelinę. Ręka spoczęła po koleżeńsku na ramieniu młodego żołnierza. – Widzę, że masz dobrze nastawiony celownik karabinu. Dobry z ciebie człowiek.

Poszli dalej i znowu zapadła pełna napięcia cisza oczekiwania. – Stawiasz mi napitek, dzieciaku – rzucił Gharsia. Paru żołnierzy się zaśmiało.

—

Takiego wała – odparł Minatelli. Nie było teraz najgorzej, ale chciał, żeby coś się wydarzyło.

\* \* \*

– *Upyarcz!*

Biały proporzec ukazał się nad skrajem zachodniej bramy. Był to sygnał. Pułkownik Brygady machnął mieczem przed siebie i regiment popłynął za nim. Byli bardzo niecierpliwi. Nikomu nie powiedziano, dlaczego ich tu trzymano, z dala od ataku, który, jak wszyscy wiedzieli, nadchodził z drugiej strony miasta. Musiało to pozostać tajemnicą. Wiedział tylko pułkownik i jego najbliższy personel, a oni zostali poinformowani przez samego generała Ingreida i jego najwierniejszych ludzi. Ponuractwo zmieniło się w gorliwość, gdy krótko streszczał im sytuację.

—

Otworzą nam bramę, chłopaki – powiedział. – Prosto do środka, zarąbać każdego człowieka ze wschodu, którego zobaczycie, utrzymać bramę dla reszty drużyny. A potem miasto będzie nasze.

—

*Upyarcz!* – ryknęli ludzie i ruszyli galopem za nim. Żadnego z nich nie bawiło siedzenie i jedzenie obciętych do połowy racji, tym bardziej w błotnistych, śmierdzących obozach. Nie zazdrościł, obywatelom Starej Rezydencji, gdy bracia z jego jednostki z nimi skończą.

Droga rozpościerała się przed nim, błotnista i dziurawa. Psy nie były w formie, ale nadadzą się do jednego ostrego biegu ku bramie. Dostać się do środka, gdy otworzą ją milicjanci cywilniaków, utrzymać ją i część muru. Następne regimenty wleją się przez nią do miasta i obrona się rozwali jak

szklany kieliszek spadający na kamień. Dostaną Whitehalla od tyłu, na wschodzie, tak jak dziki pies dorwałżoną młynarza.

Wciąż się uśmiechał na tę myśl, gdy jego pies wydał z siebie głośnie ujadanie i skoczył w powietrze, okręcając się. Oficer Brygady poleciał i tylko odwieczny instynkt sprawił, że zwinął się w kłębek w powietrzu. Wylądował ze wstrząsającą siłą i coś wbiło mu się w udo z potwornym bólem. Wyciągnął to ręką – rzecz z czterema trzycalowymi gwoździami stopionymi razem tak, że nieważne jak leżała, zawsze szpikulec będzie na górze. Buzdyganek...

– Zdrada! – jęknął, próbując wstać.

Kolano go nie słuchało i osunął się z powrotem na drogę. Za nim regiment tłoczył się w zamieszaniu pełnym przekleństw i wycia, ludzie piłowali wodze, gdy psy z ujadaniem gnały przez pola. Niektóre biegły na trzech nogach, z jedną łapą przytuloną do piersi. Inne leżały, gryząc gorączkowo swoje łapy albo boki. Ludzie wyrzuceni z siodeł biegli przed siebie; buty do jazdy miały twarde podeszwy i nie musieli się obawiać buzdyganków. Dwaj z nich pomogli mu się podnieść.

Brama znajdowała się w odległości mniejszej niż sto metrów. Nie rozwarła się, ale otworzyły się dwa nowo wycięte w niej kwadraty, na wysokości piersi od ziemi. Wiedział, że wystawione przez nie czarne lufy były tylko siedemdziesięciopięćmilimetrowe, ale wyglądały na tyle duże, żeby połączyć go w całości. Dostrzegął nawet pola gwintu *lufy*, spiralne żłobienia zakrzywiające się do tyłu luf. Dobywając miecza, rzucił się do przodu, przeklinając. Miał dość czasu, by zobaczyć, jak tysiąc strzelców podniosło się na blankach murów, zanim działo wystrzeliło z bliska kartaczami w splątany gąszcz ludzi i psów.

\* \* \*

– Oto nadchodzą – rzucił Gharsia.

Strzelec Minatelli przymrużył oczy, wpatrując się w celownik swego karabinu. Usta znowu miał suche, ale chciało mu się sikać. Gruzowisko tam, gdzie przedtem znajdowały się mury miejskie, było prawie płaskie, ale kanonada ustała. Pierwszy szereg Brygadowców pojawił się jakby z pomocą magii. Żołnierze gramolili się po rampie, w jaką ułożyły się zwałone kamienie, przełaząc przez pozostałości muru. Palec zacisnął mu się na spuście.

– Czekaście! – warknął porucznik.

W gruzowisku umieszczono słupy, aby oznaczyć obrońcom dokładny zasięg. Minatelli starał się sobie przypomnieć wszystko, co mu mówiono i pokazywano. Oprzyj, kolbę mocno, ale nie za silnie o ramię. Niech lewe oko się *zamknie*. Wybierz cel.

Wybrał mężczyznę. Pierwszy szereg Brygadowców niósł drabiny, drabiny na tyle wysokie, że mogły dosięgnąć jego pozycji.

Parę razy widział w swym życiu heretyków przejeżdżających przez ulice. Raz jakieś dziecko rzuciło w jednego jabłkiem, w zaułku koło ulicy jego rodziców. Wielki, jasnowłosy mężczyzna dobył miecza i przeciął je na pół, zanim zgniły owoc zdołał go trafić, i wybuchł śmiechem, gdy urwis uciekał. Ruch ten był zbyt szybki, aby śledzić go wzrokiem; machnięcie jasnego metalu i szelest, gdy ostrze rozpoławiało jabłko.

*Kiedy nadejdzie rozkaz?*

Rakieta z sykiem wzbiła się w powietrze. *Pop.*

—  
Kompania...

—  
Pluton...

—  
*Ognia!*

Nacisnął spust. *BAM.* Zaboląły go uszy, gdy przemówiło dwa tysiące karabinów. Dym buchnął wszędzie wzdłuż półkola wewnętrznego muru. Karabin walnął go w ramię, co wciąż było bolesne, mimo tych wszystkich ćwiczeń ze strzelaniem do celu, jakie odbył. Wydawało się, jakby jego ręka poruszała się sama, gdy pociągnął dźwignię w dół i sięgał do tyłu do swego bandoletu. Oczy miał rozwarte szeroko i skupione, już piekły go od ostrego dymu. Przewiało go do tyłu, a Brygadowcy wciąż nacierali. Następny pocisk zadzwięczał, wpadając w zagłębienie na szczycie zamka. Wsunął go kciukiem na miejsce i spróbował znowu wycelować. Kolejna fala Brygadowców wspięła się na gruzowisko, a za nią następna – wszyscy nosili napierśniki. Lufa karabinu mu się trzęsła.

– Wybierajcie cele – powiedział oficer za nim. Przełknął ślinę przy zaciśniętym gardle i wybrał mężczyznę – brodatego i wysokiego, niosącego muszkiet przeciągnięty przez pierś. Z odległości ośmiuset *metrów* był maleńki niczym laleczka.

– *Ognia.*

Wycelował w ziemię *tuż* pod małą, patyczkową sylwetką i znowu nacisnął. Tym razem odrzut stanowił niespodziankę. Czy mężczyzna upadł? Nie dało się stwierdzić, gdy dym na sekundę zasłonił mu widoczność. Ludzie *padali*. Dziesiątkami – a raczej setkami, bowiem nieprzyjaciel był upakowany w wyłomie ramię w ramię, biegnąc do przodu, a kolejny szereg za nimi. Ile tam było fal?

– Celujcie do tych, którzy przechodzą przez mur – odezwał się znowu oficer. – Ludzie na dole strzelają do tych bliżej. Wybierajcie cele.

– *Ognia.*

Znowu.

– Niezależny ogień, szybki ogień, *pal!*

Zaczął strzelać tak szybko, jak mógł, lufa przeskakiwała z jednego celu na drugi. Jakaś stopa szturchnęła go ostro, sprawiając, że się otrząsnął.

– Zwolnij, dzieciaku – rzucił starszy mężczyzna. Sam wypalił, otworzył zamek, chuchnął w komorę, przeładował, uniósł karabin. Nie rozglądając się, ciągnął dalej – Spokojnie, inaczej ta zezowata suka ci się zatka jak nic.

Minatelli naśladował go, dmuchając w zamek. Czuł na wargach rozgrzaną stal; szokujące, gdy powietrze było takie zimne. Przeładował i oparłłoże o kamień, strzelając znowu, i zmusił się do

załadowania raz jeszcze równo z mężczyzną obok niego. Miarowo niczym metronom: dźwignia, chuchnięcie, ręka do bandoletu, wsunąć pocisk, wybrać cel – który mignął w dymie – wystrzelić. Ponad gruzowiskiem unosiły się obłoczki prochowego dymu. Świeże chmurki dobywały się spomiędzy rozwalonych kamieni; niektórzy z barbarzyńców odpowiadali ogniem. Poczł nagle ogromną wściekłość na nich, silniejszą niż strach.

– Popaprańcy – wymruczał, sięgając znowu do tyłu.

Jego palce błdziły, górna warstwa pętelek była pusta. *Dwadzieścia pięć?* – pomyślał zaskoczony. Jak to możliwe, że już wystrzelał dwadzieścia pięć nabołów? Niedaleko od niego na parapecie znajdowała się otwarta skrzynia z amunicją: kiedy będzie potrzebował, będzie mógł chwycić garść i wsadzić naboje luzem w bandolet.

– Popaprańcy – rzucił znowu, warcząc tym razem. Ramię go *bolało*. – Gdzie jest pieprzona kawaleria?

Odezwał się po spanjolsku, ale ludzie po obu stronach się zaśmiali.

– Kto kiedy widział martwego psiarza? – spytał jeden.

– Opieprzają się, jak zwykle – powiedział Gharsia, znowu spluwając przez szczelinę. – Psiarze gotowi dać se odstrzelić jaja w natarciu, niedoczekanie. Zbudowałem ten mur, wykorzystam go, i to mi się *podoba*. To łatwe życie, chłopcze.

Kule zastukały o kamień koło twarzy Minatelliego. Starł się nie odskoczyć, zamiast tego pochylił się dalej do przodu. Kolejna fala Brygadowców nacierała przez wyłom, wymachując sztandarem. Wycelował w niego i strzelił, gdy ten mijał słup do mierzenia zasięgu. Proporcem szarpnęło i opadł, a ludzie wokół niego zwijali go niczym kukielki. Wielu ludzi musiało mieć ten sam pomysł. Czł się tak samo przestraszony, ale już nie sam.

– No *dalej*, wy popaprańcy! – krzyknął. Tym razem wyciągnął trzy naboje i wsadził sobie czubki pomiędzy wargi.

\* \* \*

– Zdeterminowane skubańce – stwierdził Jorg Menyez.

Kolejna grupa Brygadowców chwyciła za drabiny i pobiegła do przodu. Pluton przy otworach strzelniczych po obu stronach dowódców uniósł karabiny i wypalił; salwa niemal zginęła w ciągłym grzmiącym huku muszkietów na murach i odpowiedzi ogniowej Brygadowców na zewnątrz. Grupa z drabinami zachwiała się. Drabina zakołysała się i upadła, gdy większość niosących ją ludzi została zdmuchnięta przez ciężkie, jedenastomilimetrowe kule z karabinów ze zbrojowni. Ci, co przeżyli, przetaczali się w poszukiwaniu osłony, odbezpieczając muszkiety przerzucone przez plecy.

Raj wpatrzył się w dym. – Musi być ich tam ściśniętych z dziesięć tysięcy – powiedział.

Kule z otworów strzelniczych na poziomie gruntu przeszywały dwóch albo i trzech ludzi. Wszędzie na usianej gruzami strefie śmierci, kule, iskrząc, odbijały się rykoszetem od ziemi tam, gdzie nie trafiły w ciało. Od Brygadowców stłoczonych na przestrzeni w kształcie litery D unosił się głośny, jękliwy ryk; mieszanina bólu, strachu i pełnej frustracji wściekłości.

– Nie poślą następnej fali – stwierdził Menyez.

Rozejrzał się dokoła. Ludzie utrzymujący ten odcinek należeli do jego własnego 17 Piechoty z Kelden. Strzelali z miarową, mechaniczną regularnością. Co minutę albo coś koło tego któryś zataczał się w tył, gdy ogromny, ale rozproszony ogień nieprzyjaciela szczęśliwie trafił w otwór strzelniczy. Noszowi odciągali rannych lub martwych, a człowiek z plutonu rezerwowego kompani zajmował miejsce tego, który padł. Łuski naboju toczyły się i dzwoniły

o kamień, leżąc w zaspach mosiądzu wokół butów walczących ludzi.

Raj powoli kiwnął głową. Odwrócił się i uchwycił wzrok porucznika artylerii, stojącego obok wysokiej, drewnianej skrzyni. Z jednej strony wystawała żelazna korba, a miedziane druty biegły z jej szczytu do znajdującej się obok kłapy prowadzącej do piwnicy. Raj uniósł zaciśniętą pięść i machnął nią dwukrotnie. Młody oficer artylerii uśmiechnął się i zakręcił korbą z boku skrzyni. Na początku poruszała się powoli, a potem z jękiem nabrała szybkości. Znajdujący się koło oficera kapral czekał, aż on odsunął się, dysząc, a potem wcisnął przełącznik nożycowy po drugiej stronie skrzyni. Duże, błękitne iskry trysnęły z niej i z klamer na górze, gdzie spoczywały kable.

\* \* \*

Przez chwilę strzelec Minatelli myślał, że mur pod nim zapadnie się tak jak wały miasta. Hałas był zbyt donośny, aby usłyszały go jego umęczone uszy; natomiast grzmotnął go w klatkę piersiową i przeponę. Żołnierz osłonił się ręką przed falą pyłu i piasku, która buchnęła ku szczelinie strzelniczej, i zakaszlał od gęstego smrodu ceglanego pyłu, gdy ten przepływał nad nim. Wybuchy przebiegały od lewej do prawej przez przestrzeń w kształcie litery D przed nim. Ziemia i kamienie wystrzelały ku niebu, gdy potężne ładunki prochowe ukryte w piwnicach zburzonych domów wybuchały jeden za drugim. Brygadowcy znajdujący się nad ładunkami po prostu znikli – choć przez moment myślał, iż jego zmrużone oczy uchwyciły ludzką sylwetkę odcinającą się na tle nieba.

Cisza zapadła w sekundę potem, dzwoniąc boleśnie wewnątrz jego uszu. Z rozwartymi ustami gapił się na potężne kratery ziejące na otwartej przestrzeni i na tysiące postaci zataczających się, czołgających, wrzeszczących albo uciekających. A potem wybuchły także wielkie beczki smoły, nafty i ropy, zagrzebane dokoła, a małe ładunki rozrywające pod nimi obryzgiwały setki metrów kwadratowych łatwopalnym płynem – wymiocinami w kolorze piekła. Zapaliło się drewno rozsiane wśród gruzów zniszczonych budynków. Ludzie także płonęli, biegnąc z palącymi się włosami i mundurami. Ludzie biegali po całej strefie śmierci, uciekając na tyły.

*Uciekają*, pomyślał rozradowany Minatelli. Panowie z Brygady uciekali przed *nim*, synem kamieniarza.

Złapał za karabin i wypalił, raz i drugi. A potem, uśmiechając się, odwrócił się ku złemu staremu wyjadaczowi, który mówił mu, co ma robić.

Weteran leżał na plecach, zjedną nogą podwiniętą pod siebie. Kula, która go zabiła, przeszła przez mostek i wyszła przez kręgosłup. Ciało leżało w kałuży krwi klejącej się już na skraju, a jeszcze więcej wypływało z ust i nosa starszego mężczyzny. Suche gałki oczne patrzyły w niebo koloru żelaza. Spadł mu hełm, a przycięte krótko włosy pod nim były rzadkie i bardziej siwe niż czarne.

– Ale wygraliśmy – wyszeptał młody żołnierz sam do siebie. Usta pełne miażdżyny o smaku rzygowin.

Ręka zdzieliła go po hełmie. – Patrz do przodu, żołnierz – warknął kapral.

Minatelli się wzdrygnął, jakby obudził się z głębokiego snu. – Ta, panie – wymruczał. Palce mu się trzęsły, gdy przesuwiał dźwignię swojej broni.

– Zdarza się – ciągnął kapral. Pochylił się i zaciągnął ciało bliżej pod ścianę, żeby zrobić miejsce na parapecie i oparł karabin poległego mężczyzny koło otworu strzelniczego. – Myślałem, że stary *fassaro* będzie żyć wiecznie, ale zdarza się.

–  
–  
Tak, panie.

Żaden ze mnie pan. I patrz no, gdzie strzelosz, chłopcze.

\* \* \*

Rihardo Terraza uśmiechnął się, pomagając w popychaniu działa do przodu. Spojrzał przez szczelinę strzelniczą przed nimi. Działo zostało osadzone na samym skraju nowego muru, tam, gdzie mur stykał się z nienaruszoną częścią pierwotnych fortyfikacji miejskich.

Brygadowcy starali się teraz wycofać, ale nie robili tego w zwartych szeregach, w jakich zaatakowali. Starali się uciec wszyscy naraz – wszyscy, którzy mogli wciąż chodzić, a wielu z nich niosło albo ciągnęło ze sobą rannych towarzyszy. Oznaczało to tłok, gdy wdrapywali się na poharatane mury miasta. Ci, którzy byli najbliżej, znajdowali się w odległości jedynie pięćdziesięciu metrów, gdy lufa działa wysunęła się *przez dziurę* przypominającą szczelinę skrzynki na listy w wewnętrznym murze. Niektórzy z nich ją zauważyli.

*PAMMM*. Strzelali kartaczami. Cafe załoga odskoczyła z drogi, gdy działo poleciało do tyłu i zatrzymało się, opierając o sznurowe oparcia.

– Jeden za Pochitę, wy *fastardos* – krzyknął Rihardo, odskakując od koła.

Wystrzeliły cztery inne działa w szeregu; druga bateria na przeciwległym krańcu wylomu w murach miejskich otworzyła ogień w tym samym momencie. Tłumy Brygadowców, starające się uciec, zatrzymały się, gdy skosił je morderczy krzyżowy ogień, podczas gdy zmasowany ogień karabinowy walił im w plecy.

*Najlepsza suka, jaką kiedykolwiek szkolilem*, pomyślał Rihardo, kaszląc od siarkowego smrodu prochowego dymu. Piekły go też od tego oczy.

PAMMM.

– Jeden za Halvaro!

\* \* \*

Gerrin Staenbridge ścisnął Bartona za ramię. Czekali w siodle, jadąc udo w udo.

Młodzieniec uśmiechnął się do niego. A potem dał się słyszeć zmasowany grzmot detonowanych min. Widzieli odległe kolumny ziemi i dymu za dachami. Brama zaskrzypiała, a wysoki na dziesięć metrów portal otworzył się, gdy ludzie zakręcili kołowrotami. Była to brama rzeczna, najdalej wysunięta na południowy zachód w Starej Rezydencji. Po lewej wyłaniała się bryła kotwicznej reduty, a za nią znajdował się mur od strony rzeki. Dalej biegła jedna z długich alei rozchodzących się promieniście po mieście, rozciągając się krętym zakolem na północny wschód od wielkiego centralnego placu. Była wypakowana mocno ludźmi i psami; cztery bataliony kawalerii i dwadzieścia dział.

Brama otworzyła się, uderzając z hukiem o słupy. Gerrin wyrzucił ramię do przodu i w dół. Ryknęły trąbki, a 5 z Descott ruszył za nim galopem. Minęli bramę i znaleźli się na otwartej przestrzeni, podążając na zachód nadrzeczną drogą. Zimny wiatr smagał mu twarz, a odgłos tysiąca łap uderzających o zwirową drogę był niekończącym się grzmotem. Nieregularnie usytuowane stanowiska oblężniczych baterii Brygady znajdowały się z przodu i po prawej. Były małe, niczym modele. Prosto na prawo równina pokryta była ludźmi, maszerującymi, biegnącymi albo jadącymi; ogromne skupisko koło otwartej rany w murach miejskich, tam, gdzie rozwały je działa, sięgało aż do bramy kolejowej, a ta także się otwierała...

Gerrin zacisnął nogi wokół boków swego psa i rzucił się w rytmiczny, skoczny galop, a jego szabla wybijała metaliczny kontrapunkt, dźwięcząc o żelazo strzemienia. Odległość... *teraz*. Dotknięcie wodzami szyi j jego pies skręcił w prawo, zatrzymał się wraz z chorążym u boku i dwudziestką sygnalistów i gońców. Kolumna za nim wciąż wyjeżdżała przez bramę; ziemia trzęsła się pod ich łapami, a w powietrzu rozbrzmiewał brzęk ich uprzęży. Jechali po ośmiu w szeregu, każdy batalion w odległości stu jardów po bokach dwóch baterii dział. Głowa chodziła Gerrinowi w tę i z powrotem.

*Gładko, bardzo gładko*, pomyślał. *Zwłaszcza*, że nie było czasu ani miejsca do musztry do tego właśnie zadania. Postanowili utrzymać każdy batalion nieruchomo, aż ten przed nim znajdzie się w pełnym galopie, i wyglądało na to, że się udało.

Minął czas, jaki zajęło psu przebiegnięcie półtora kilometra.

– Teraz – powiedział.

Zaśpiewały trąbki i wielka nawałnica ludzi i psów zatrzymała się – najpierw tylny szereg, gdy ostatni batalion wyjeżdżający z bramy stanął, ledwo co wynurzywszy się z portalu. Kolejne wezwanie podjęte i powtórzone przez trąbki każdego dowódcy. Gerrin odwrócił się w siodle, żeby ich zobaczyć. Znajdował się mniej więcej w środku długiej kolumny, która wijąc się i falując posuwała się po nierównej powierzchni drogi. Kolumna poruszała się i skręcała, każdy człowiek obracał się w miejscu, z dowódcami wysuniętymi do przodu jak regularna kłamra przed pasem.

Utworzyły się luki i całe jednostki znajdowały się w kolumnach plutonów. Trzeci sygnał i ruszyli do przodu pod kątem prostym do drogi, przodem do bezkształtnej masy sił Brygadowców.

Wyglądało, jakby nieprzyjaciel przejechał przedtem większość drogi do murów, a potem zsiadł do natarcia. Teraz wielkie stado pozbawionych jeźdźców psów psuło wszelkie próby zawrócenia i ucieczki ludziom, którzy nie walczyli. Za nim zabrzmiało więcej ostrej, niemelodyjnej, metalicznej muzyki, powtórzonej czterokrotnie. Kolumny plutonów rozsunęły się, wysuwając się do przodu i na boki, aż ludzie jechali podwójnym szeregiem w kierunku wroga. I... tak, najtrudniejsza część. Ludzie po prawej, koło bramy, trzymali swoje wierzchowce na wodzy. Na lewo, wysunięte bataliony skręcały do środka, a cała formacja znalazła się ukośnie w stosunku do murów z lewym skrzydłem wysuniętym do przodu, gdy ruszyli ku północy.

Zbyt daleko, żeby zobaczyć, co robi Kaltin, wyjeżdżający z bramy kolejowej na północ od wylomu. Najpewniej to samo i był to *jego* problem, jego i Raja. Mógł polegać na nich, że wypełnią swoje role, tak jak mógł polegać na Bartonie, iż ten dopilnuje, aby lewe skrzydło posuwało się z dokładnie taką prędkością, jaką zaplanowali.

Masa Brygadowców przed nim rosła z szokującą szybkością. O to chodziło: uderzyć w nich, zanim zdołają przyjść do siebie po szoku wywołanym klęską przy wylomie – i zanim wtrąci się znacznie większa ilość ich sił.

Pognał swego psa do nieco szybszego cwału, aby było go dobrze widać. – Chorąży, trębacz – powiedział, spowalniając psa do stępa. – Sygnał z *siodła i do natarcia*.

Długi szereg nie zatrzymał się dokładnie jednocześnie – nie było to ani możliwe, ani konieczne przy siłach tej wielkości, a rozkaz rozchodził się nierówno, z opóźnieniem przekazywany do kompanii i plutonów – ale różnica pomiędzy pierwszym człowiekiem zsuwającym się z siodła przycupniętego psa i ostatnim wynosiła nie więcej niż trzydzieści sekund. Skomplikowana fala przeszła przez szereg, gdy każda jednostka obierała kierunek wedle sztandaru, a dowódcy batalionów i chorążowie zajmowali swoje zaplanowane uprzednio stanowiska. A potem cztery bataliony posuwały się do przodu nierównym, podwójnym szeregiem z karabinami w pozycji prezentuj broń.

Działa zatrzymały się i obróciły, zwracając swoje luty w stronę nieprzyjaciela, znajdującego się w odległości tysiąca metrów. Wszystkie, poza jazgoczącymi działkami. Te były na lewym skrzydle; zabezpieczenia na wypadek, gdyby nieprzyjaciel zareagował szybciej niż się spodziewano. Zabrzmiał metaliczny brzęki wykrzywane rozkazy. Seria *POUMF* poniosła się grzmotem wzdłuż szeregu, zaostając się do *KRAK!* z tyłu i na prawo, od wybuchu z luf najbliższych dział. Pierwsze pociski grzmotnęły w nieprzyjaciela. Do Gerrina dobiegły pierwsze wystrzały; słyszał, jak kule przelatują górą, przy tym zasięgu nie były groźne nawet dla człowieka w siodle. Chyba że miało się pecha. Działa odnajdywały stały rytm. Psy kotłowały się przed nimi, niektóre w panice gnały przez pofalowaną równinę. Coraz więcej muskietów waliło od strony nieprzyjaciela; małe obłoczki brudnego dymu. Tu i tam w szeregu Rządu Cywilnego upadał człowiek, w ciszy lub krzycząc z bólu. Szeregi nacierały tym samym żwawym krokiem, przysuwając się, aby zamknąć luki.

Osiemset metrów. – *Zagrajcie natarcie, salwą szeregami* – rzucił cicho Gerrin. Kaltin powinien znajdować się na miejscu za nimi, kowadło dla młota.



*BAM!* Wypaliło jednocześnie prawie piętnaście setek karabinów. Przedni szereg przyhamował na dziesięć sekund, wycelował, wypalił, wyrzucił łuskę i przeładował, a z kolei tylny szereg przeszedł przez niego do przodu kolejne dziesięć kroków i zatrzymał się. *BAMBAM-BAM-BAM*, niekończący się jazgotliwy huk. Znowu przedni szereg. Jeszcze więcej ludzi padło, ale zdyscyplinowany ogień karabinowy wbijał się w Brygadowców jak olbrzymie noże do cięcia siana, wcinając się w stóg z paszą. Znajdował się teraz bliżej wyłomu w murze, na tyle blisko, aby widzieć, że wciąż był on zapchany ludźmi starającymi się wycofać. Ci na zewnątrz też się starali, biegnąc na lewo i prawo, ale nie było dokąd uciec. Dwie siły, które urządziły wypad, spotkały się w najbardziej na zachód wysuniętym punkcie przecięcia, obracając się, aby zamknąć w pudełku schwymane w pułapkę siły.

– Teraz szybko!

\* \* \*

W środku tratwy z moździerzem było gorąco i gęsto od duszącego zapachu przegrzanego metalu i płonących węgli. Mały silnik lokomotywowy świstał i sapał z tyłu kabiny, popychając do przodu ciężkie żelazne pudło. Łańcuchowy pasek napędowy od kół zamachowych zaczepił o wał biegnący przez rufę i woda z przykrytego koła łopatkowego bryzgnęła na drewniane przepierzenie oddzielające silnik od otworu w podłodze tratwy.

Komandor Lopeyz wysunął głowę przez górny właz, zastanawiając się z goryczą, dlaczego zgłosił się do tego na ochotnika. *Bo wyglądało na to, że wszyscy inni zgłaszali się na ochotnika do czegoś*, stwierdził w myślach sucho.

Zimne powietrze przelatujące nad górą pudełka o opadających ściankach było szokiem po śmierdzącym gorącu panującym w środku. Gdy tratwa posuwała się spacerowym tempem zwężającą się rzeką Białą, wiatr wiał mu w twarz. Wiatr niósł czarny, długi pióropusz dymu z komina za nim, do miejsca, gdzie znajdowały się podążające w tyle dwie pozostałe tratwy. Żadna z nich nie robiła więcej niż cztery węzły... ale nie zostało im dużo do przepłynięcia *i to, że żadna z nich się nie rozwalila, to mały cud*. Powierzchnia rzeki była stalowo-szara z małymi bałwanami tu i ówdzie, gdy wzmagął się wiatr. Teren po prawej, na północnym brzegu, podnosił się. Niewiele widział ponad wałem przeciwpowodziowym obok strumienia, poza płaskimi jak stół trzystumetrowymi klifami, gdzie umiejscowiona była bateria oblężnicza Brygadowców.

Znajdowali się teraz na równi z nią, skręcając na północny zachód, podążając za zakolem rzeki. Tratwa zadrzała pod nim i zwolniła, walcząc z prądem, który robił się coraz silniejszy z każdym metrem pokonywanym w górę rzeki. Zszedł kilka stopni w dół po drabinie i dał znak inżynierowi; próba rozmowy była bez sensu, gdy syk pary i ryk pieca mieszały się z odgłosem łopatek ubijających wodę na pianę, kąpiąc wnętrza w hałasie.

Inżynier pociągnął za dźwignię. Jego błyszczący od potu pomocnicy kręcili się koło pasów transmisyjnych, zaimprovizowanej części urządzenia. Koło łopatkowe z prawej strony poruszało się szybciej, a lewe zwolniło. Powoli, niezdarnie, tratwa z moździerzem zaczęła zwracać się nosem w kierunku brzegu. Lopeyz wspiał się z powrotem na drabinę, aby ocenić wodę przed sobą. Ręce i stopy poruszały się ostrożnie po tłustym żelazie. Pozostałe jednostki naśladowały go, a kanał był głębszy przy północnym brzegu. Posuwali się dalej, zwalniając, aż wał zamajaczył z przodu i prawie

zasłonił widok klifu znajdującego się kilometr dalej w głębi ładu.

Znowu dał znak, wymachując rękami, w dół drabiny. Silniki stęknęły, syknęły i zamilkły. Nagły brak hałasu stanowił szok, tak jak chłodne powietrze wlatujące przez właz. Palacze, dysząc, opierali się na łopatach obok wiklinowych koszy z węglem. Oni oraz inżynierowie byli obnażeni, pozostając w spodniach i opaskach na czoło, czarni niczym Zanjiczycy, od węglowego pyłu i mocnego potu. Tak jak i kanonierzy stateczku zgrupowani wokół moździerza. Załoga wyroiła się z innych włazów i plusnęły kotwice.

– Gotowi? – zawołał do kanonierów.

Ich oficer skinął głową. Nad przysadzistą lufą moździerza znajdowało się żelastwo na obręczy w kształcie, jakbyś z okrągłej pizzy wyciął ćwiartkę. Kanonier sięgnął w górę i odczepił sworzeń, a jedna z części obręczy spadła, zaczepiona o zewnętrzną krawędź ramy. Szare światło dnia wpadło w mrok ładowni wraz z podmuchem zimnego powietrza, niosącym woń wody i mułu.

Lopez znowu wysunął głowę z włazu. Pozostałe dwie tratwy były zakotwiczone obok, w odległości tylko dziesięciu i trzydziestu metrów. Na górnych pokładach widać było otwory w kształcie klinów.

– Dwa tysiące dwieście – zawołał, oceniając odległość do stanowiska dział nieprzyjaciela.

Wycelował lornetkę; mnóstwo ruchu tam na górze, ale niewiele z postaci wielkości mrówek zwracało się ku rzece. Lopez uśmiechnął się do siebie. Brygadowcy sprytnie wkopali swoje działa w żółtoziem tak, że stały się celami niedostępnymi dla artylerii Rządu Cywilnego w Starej Rezydencji. Uniemożliwili również przesunięcie wielkich nie gwintowanych dział w czasie mniejszym niż kilka godzin.

– *Fwego.* – Otworzył usta i zasłonił uszy otwartymi dłońmi. *SZUMR*

Tratwa podskoczyła pod nim, a fale rozeszły się dokoła w niemalże doskonałych kręgach. Gorące powietrze śmignęło koło jego trójrożnego kapelusza. Dym buchnął przez właz, a ludzie rozkaszlali się i łapali oddech. Więcej pocisków przemknęło przez górny pokład za podłużnym pomarańczowym płomieniem, który na wysokości człowieka rzygnął z dwudziestomilimetrowej lufy moździerza. Lopez zamrugał od dymu i przyglądał się, jak zamazana kropka stanowiąca czterdziestokilogramowy pocisk moździerzowy uniosła się, zawahała i spadła. Pocisk wbił się w ścianę klifów od strony rzeki. W sekundę później ziemia trysnęła ogromną fontanną, która unosiła się, aż spadła deszczem rozdrobnionej gleby. Te pociski miały utwardzone czubki wykonane przez odlewanie ich w chłodzonej wodą formie, a zapalniki miały uderzeniowe, z opóźnionym zapłonem.

– Do góry o trzy, zwiększyć ładunek o jeden worek – krzyknął w dół ładowni.

Załoga zakręciła podnoszącą śrubą i gruba lufa moździerza uniosła się. Ładowacz owinał następną kielbasę prochu dokoła perforowanej, mosiężnej tuby u podstawy pocisku i trzech mężczyzn wsadziło to w lufę.

*SZUMR*

Tym razem pocisk poleciał łukiem ponad skrajem klifu na płaski teren za działami nieprzyjaciela. Lopez podniósł lornetkę i wyszczerzył się w uśmiechu niczym wciągacz. Ludzie wylewali się przez

krawędź klifów: niektórzy schodzili ostrożnie po stromych, porośniętych krzakami zboczach, a inni rzucali się w dół w pośpiechu. A jeszcze inni uciekali na wschód, po łagodniejszym stoku klifu z tyłu, tam, gdzie Brygadowcy uformowali ziemię w nierówną drogę. Słyszał okrzyki. Musiały być bardzo głośne, aby nieść się tak daleko – a w uszach dzwoniło mu od hałasu silnika i strzelającego moździerza.

– Poprawić na lewo – powiedział. Załoga przekręciła żelazo śruby regulującej kierunek o cały obrót i lufa moździerza przesunęła się lekko na lewo. – *Fwego*.

SZUMR

Prosto w stanowisko dział na krawędzi klifu zwróconej ku Starej Rezydencji.

– Skuteczny ogień! – rzucił. Pozostałe tratwy także wypaliły.

*SZUMR SZUMR SZUMR* Przerwa. *SZUMR SZUMR SZUMR* Postrzępione chmury dymu unosiły się na wietrze w górę rzeki. Krawędź klifu zaczęła się walić pod gradem pocisków.

\* \* \*

Karabiny Brygadowców poleciały ze szczękiem na wózek. Strzelec Minatelli wyprostował się z jękiem i rozmasował sobie plecy; to był *dlugi* dzień. Słońce zachodziło za zniszczonym, rozprutym stanowiskiem Brygadowców na klifie, barwiąc go krwią od zachodu

– co było odpowiednie. Powietrze robiło się chłodne, wciąż jednak pachniało w sposób towarzyszący gwałtownej śmierci, czego się uczył; jak latryna, w połączeniu ze sklepem rzeźniczym, gdzie nie wyczyszczono dokładnie odpadków. A z tym wszystkim pomieszana kwaśna woń prochowych resztek. Tutaj, na otwartych polach za wyłomem w murze, gdzie wiał wiatr, nie było jeszcze tak źle. W pewnej odległości siedziała w siodłach, z czujnym spojrzeniem, kompania kawalerii z karabinami opartymi o kule siodła.

Zawodzenie podniosło się znad znajdującego się w pobliżu pola bitwy. Brygada zaproponowała zawieszenie broni w zamian za pozwolenie zabrania swoich rannych i zabitych. Okazało się, iż oznaczało to przyjaciół, a nawet rodziny przychodzące przeglądać ciała po tym, jak żołnierze Rządu Cywilnego skończyli obdzieranie ich z broni i dającego się użyć wyposażenia. Czasami oznaczało to oglądanie kawałków ciał. Minatelli przełknął ślinę i naciągnął bandanę na nos. Nieco dalej, wielkie, czterokołowe wozy rolników ze spiętrzonymi trupami podążały ze skrzypieniem z powrotem ku linii wroga. Kapłani powiedzieli, że martwe ciała rozprzestrzeniają zarazę. Jeśli o to chodzi, to messer Raj był pobożny i wieść niosła, iż cieszył się, że Brygadowcy zabierali je, aby sprawić im pochówek.

Jedna z kobiet klęczących nad ciałem spojrzała w jego kierunku. – Dlaczego? – krzyknęła do niego. – Co ci zrobiliśmy? Dlaczego tu przybyłeś? – Mówiła po hiszpańsku z akcentem, ale pewnie nie spodziewała się, że ją zrozumie.

Młody szeregowiec ściągnął w dół bandanę. – Ja się tu *urodziłem*, ty głupia suko – warknął i odwrócił się.

Pozostali członkowie oddziału zaśmiali się. Zostało ich sześciu z ośmiu, którzy zaczęli ten dzień.

Gharsia nie żył, a jeden człowiek był u sióstr ze złamanym przez kulę obojczykiem. Ruszyli dalej, prowadząc zaprzęg dwóch wołów. Zatrzymali się przy kolejnej kupie ciał. Te były porozrywane przez kartacze i zapach był mocniejszy. Minatelli pozwolił oczom błądzić gdzie indziej. Nie chodziło o to, że nie mógł patrzeć, ale o to, że lepiej było tego nie robić. Pochylił się, żeby zacząć zbieranie karabinów.

– *Pieprzony Duchu!* – rzucił jeden z towarzyszy. To był kapral oddziału, Ferhanzo. – Patrzcie no!

Srebrne monety wielkości kciuka wysypały się ze skórzanego portfela, jaki martwy Brygadowiec miał przy pasie. Dało się słyszeć gwizdy i jęki.

– Najlepsze jak do tej pory – stwierdził kapral, wrzucając monety z powrotem do portfela i zapinając go. – Masz.

Rzucił go Minatelliemu, który wsadził go do kieszeni. Młodziak ze Starej Rezydencji był najlepszy z nich w arytmetyce, więc trzymał gotówkę ich wszystkich. *Traktuj mnie inaczej*, pomyślał.

I znowu go to uderzyło. *Przebrnąłem przez to!* Był przestraszony – przerażony – ale nie skrewił. *On* był teraz weteranem.

To sprawiło, że się uśmiechnął, ale też jeszcze mocniej zdał sobie sprawę z tego, co miał u stóp. Była to masa zimnych wnętrzności, zwiniętych niczym grudkowaty sznur i już przybierających szarą barwę. Owady wędrowały po niej w zdyscyplinowanych kolumnach, niosąc kawałki do swoich gniazd; kąsające mrówki z ośmioma odnóżami, tak długie jak pierwszy segment jego kciuka. Zebrało mu się na wymioty i konwulsyjnie przełknął ślinę.

– Hej, gdybyś był pod Sandoralem – rzucił zartobliwie jeden z mężczyzn. – Gorąc taki, że jajco można usmażyć. A te brudasy szybko całkiem czarne się robiły i napuchły, a potem pękały jak winogrona, jak je...

Minatelliemu znowu zrobiło się niedobrze. Kapral zrobił groźną minę. – Zamknij jadaczkę – powiedział. – Dzieciak jest w porządku. Nikt wam nie kazał przestać pracować.

Przeszedł obok sierżant plutonu. – Jesteście zlurowani – rzucił. – Te cipki z milicji przejmą robotę. Wszyscy dostajem dzień wolnego.

– Najwyższy czas – stwierdził kapral oddziału.

Podoficer zgłosił swój oddział na ochotnika z bardzo praktycznego powodu – skończył odcinanie trupowi kciuka z pierścionkiem, zanim się wyprostował.

– Dalej, chłopaki. dostaniem napitku i kurwy – rzucił kapral.

– Ja, ehm, chcę tylko spać – powiedział Minatelli.

Przód jego munduru obryzgany był krwią i innymi płynami z ciał, którymi się zajmował.

Powinien być głodny, w południe zjedli tylko chleb z kiełbasą, ale teraz myśl o jedzeniu sprawiała, że przewalało mu się w żołądku od nudności. Ale napitek... A myśl o kobiecie miała z nagłą w sobie coś ostro pociągającego. Odczucie to było na tyle mocne, iż przygłuszyło pamięć o przebytych dniach.

Kapral otoczył go ramieniem. – Ano, najlepsza rzecz dla ciebie – powiedział. – Tylko umyj się najpierw – pracujące dziewczyny mają swoje standardy.

\* \* \*

Kapłan parafii rezydencjalnej wszedł przez drzwi znajdujące się u końca długiego pokoju, jakby szedł ku wielkiemu ołtarzowi katedronu, a nie odpowiadał na wezwanie przysłane wraz z uzbrojonymi ludźmi. Jego szaty ze złotej tkaniny szeleściły sztywno, a laska w jego dłoni uderzała z pełną wdzięku regulamością, gdy szedł ku stołowi w drugim końcu komnaty. Po lewej znajdowała sięściana i ogromny kominek z płonącymi węglami, na prawo były okna, zamknięte przed chłodem nocy. Zatrzymał się przed stołem zajmującym drugi koniec pomieszczenia i uniósł w błogosławieństwie dłoń w rękawiczce.

*Trzeba podziwiać jego spokój, pomyślał Raj. Ten to ma jaja.*

—  
Dlaczego sprowadziłaś mnie tutaj, moja córko? – spytał paratier. – Trwają przygotowania do wielkiego nabożeństwa dziękczynnego za zwycięstwo Rządu Cywilnego i armii kościoła Świętej Federacji.

—  
Stanął na środku, przed długim stołem. Za nim siedziała Suzette, w otoczeniu skrybów i herolda. Raj znajdował się w rogu ze skrzyżowanymi ramionami. Wzdłużścian pomieszczenia stali żołnierze 5 z Descott, nieruchomi w pozycji spoczynnej. Zapadł wieczór i zapalono lampy. Kominek przydawał jasnemu światłu nafty przydymiony, węglowy odcień, odbijający się na wypolerowanej, czarno-białej, marmurowej posadzce i rzeźbionych tynkach sufitu. Kapłan spojrział surowo na Suzette, a potem rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu siedziska, które zgodnie z protokołem powinno na niego czekać. Raj podziwiał jego spokój w odgrywaniu niewiniątka.

—  
Duch Człowieka Gwiazd był z nami dzisiaj – rzekła cicho Suzette. – Jego woli stało się zadość – ale nie twojej, Wasza Świętobliwość.

—  
*Heneralissimo Whitehall* – zaczął kapłan głosem gładkim niczym stare, naoliwione drewno.

—  
Pani Whitehall występuje tutaj w charakterze cywilnego legata – rzucił beznamiętnie Raj. – Ja jestem jedynie świadkiem. Proszę zwracać się do niej.

—  
*Duchu*, pomyślał. Znał dobrych kapłanów, świętych ludzi – kapelana Hillchapel, gdy był chłopcem, a od tego czasu sporo wojskowych duchownych. Lekarzy-kapłanów i umartwione siostry, a we Wschodniej Rezydencji nawet paru mnichów z zakonów uczonych.

—  
Jednakże paratier... wyglądało na to, że istniał jakiś mechanizm filtrujący przy awansie powyżej sysupa. Może ci z prawdziwym powołaniem nie *chcieli* wznieść się wyżej i zostać kościelnymi urzędnikami.

Wprowadźcie pierwszego świadka – powiedziała Suzette. Otworzyły się drzwi koło stołu, w ścianie za kominkiem.

Wprowadzono człowieka w pobrudzonych resztkach kapłańskich szat, znajdującego się na wózku inwalidzkim popychanym przez żołnierzy. Głowa mu się kiwała i szlochał cicho w szczeciniastą brodę.

Acóż to? – ryknął gniewnie paratier. – To jest kapłan kościoła Świętej Federacji! Kto jest odpowiedzialny za to złe traktowanie, ohydne w oczach Ducha?

Ja oraz oficerowie pod moimi rozkazami – powiedziała Suzette. Wyciągnęła papierosa z długiej papierościcy z kości sauroida. – Został zatrzymany przy próbie opuszczenia miasta i skontaktowania się z generałami barbarzyńców. Zasztyfrowane dokumenty, jakie miał ze sobą, oraz jego zeznanie zostały włączone do dowodów. Skrybo, proszę odczytać te dokumenty. Jeden z mężczyzn siedzących koło Suzette odchrząknął, otworzył oprawioną w skórę teczkę i wyjął postrzępioną wiadomość i kilka stron notatek zapisanych starannym pismem.

Do Jego Znamienitości, generała Brygady, Władcy Ludzi, Ingreida Manfronda, od kapłana parafii rezydencjalnej, paratiera, sługi sług Ducha Człowieka, z pozdrowieniami. Władco Ludzi, błagamy cię, byś uratował nas z rąk tyrana i sługi tyranów Whitehalla oraz wybaczył i oszczędził to miasto, koronę twych włości. Jako dowód naszego zaufania i lojalności, przyrzekamy otworzyć przed tobą wschodnią bramę Starej Rezydencji i wpuścić żołnierzy w dniu, jaki wybierzesz, ustalonym przez ciebie i naszego przedstawiciela. Ten mężczyzna jest godny zaufania i ma sygnet...

– Pokażcie pierścień – dodała Suzette.

...stanowiący znak moich intencji. Naszej determinacji, by położyć kres cierpieniu i rozlewowi krwi naszego ludu sekundując następujący wielmożni panowie...

Paratier walnął laską w marmurową posadzkę. – Milczeć! – powiedział, a jego starczy głos nabrał zdumiewającej mocy. – Jak śmiesz, ty, cudzołożnica, oskarżać...

– Więzień będzie zwracał się do sądu z szacunkiem albo zostanie wychłostany – stwierdziła beznamiętnie Suzette.

Paratier przerwał w pół zdania, patrząc jej w oczy. Po chwili oparł się na swojej lasce. Suzette zwróciła spojrzenie ku mężczyźnie na wózku inwalidzkim.

Czy świadek potwierdza prawdziwość tych dokumentów?

Tak, och, tak – wyszeptał więzień. – Och, proszę... nie, proszę.

Zabierzcie go – powiedziała Suzette. – Więźniu, czy masz coś do powiedzenia?

Prawo kanoniczne zabrania sądowych tortur na wyświęconych duchownych – warknął paratier. Po chwili dodał oficjalnym tonem – Znamienita i dostojna pani.

Zdrada stanu jest sądzona według prawa Krzesła i świadkowie w takich sprawach mogą zostać poddani przesłuchaniu – podkreśliła Suzette.

To jest Stara Rezydencja. W tych murach żadne prawo nie przewyższa prawa kościoła Świętej Federacji. A z pewnością nie zarządzenia gubernatorów!

Niech protokół pokazuje – rzekła chłodno Suzette – iż więzień został ostrzeżony, że jeśli jeszcze raz wspomni o zdradzie stanu, odrzucając władzę jedyne go prawowitego autokraty, Jego Wysokości lorda Barholma Cleretta, wiceregenta Ducha Człowieka Gwiazd na Ziemi, to zostanie wychłostany, a jego wyrok zostanie zaostrzony.

Paratier otworzył usta i zamilkł. – Czy więzień zaprzecza oskarżeniom?

Zaprzeczam. Te dokumenty zostały sfalszowane. Torturowany człowiek powie cokolwiek, aby oszczędzić sobie bólu.

Suzette skinęła głową. – Jednakże tortury nie były konieczne w przypadku twych innych współników, Wasza Świętobliwość. Wprowadźcie ich.

Siedmiu mężczyzn weszło przez drzwi, jeden za drugim, z ponurymi minami. Twarz paratiera zabłyszczała lekko od potu, gdy ich rozpoznał; Fidelio Enrike, Vihtorio Azaiglio, dowódca straży kapłańskiej...

Niech protokół pokazuje, iż odczytano zeznania tych ludzi – powiedziała. – Więźniu, zostałeś uznany winnym spiskowania z nieprzyjaciółmi Rządu Cywilnego Świętej Federacji, mając na celu zdradę stanu. Karą jest śmierć.

Paratierowi zbieleły usta, a jego dłoń o pergaminowej skórze zacisnęła się na lasce. Raj wstał i stanął u boku Suzette.

Jednakże – ciągnęła – zgodnie z radą *heneralissimo supremo* ten sąd złagodzi prawo miłosierdziem.

Dwóch kapłanów postąpiło do przodu – byli to ludzie ze wschodu, kapelani wojskowi związani z Korpusem Ekspedycyjnym.

Jeden miał ze sobą prostą szatę z białej wełny. Drugi trzymał kopię *Książeczek Kanonicznych*, grubą księgę oprawioną w czarną skórę wykończoną stalą.

– Zostaniesz oszczędzony pod warunkiem, iż natychmiast złożysz przysięgę brata zakonu wpisywaczy danych – powiedziała. – Zostaniesz zabrany stąd do głównego domu swego zakonu we Wschodniej Rezydencji. Tam możesz spędzić pozostałe ci lata, rozmyślając nad swymi grzechami.

Wpisywacze danych poświęcali się milczącej modlitwie i poddani byli ścisłej regule nie komunikowania się.

Paratier odrzucił gwałtownie swoją laskę. – To jest sprawka Anny Clerett – syknął.

Po raz pierwszy, odkąd kapłan wszedł do pomieszczenia, na twarzy Suzette pojawił się jakiś wyraz, zaskoczenie. – Sprawka małżonki władcy?

– Oczywiście – rzucił z goryczą starzec. – Ona i ten jej oswojony hierarcha arcsysyp starali się narzucić kościołowi Świętej Federacji absurdalną doktryną zunifikowanego kodu. Przeciwną *prawdziwemu* ortodoksyjnemu stanowisku, iż interfejs z ludzkością stanowi autonomiczny podprogram standardowy tylko pojęciowo zaliczany do samego Ducha.

– Mylisz się, bracie paratierze – rzuciła Suzette, bezsilnie potrząsając głową. Zwróciła się do kapłanów stojących po obu jego stronach. – Rozpoczynajcie.

Gdy nowo wyświęcony mnich został wyprowadzony przez strażników, zwróciła się do sześciu magnatów.

– Jak zostało uzgodnione, wasze życie zostaje oszczędzone w zamian za wasze zeznania. – Przerwała. – Wasza własność i wasze osoby należą do państwa, tak jak i najbliższa rodzina. Skrybo, ogłoś wyroki.

Cisza wypełniła pomieszczenie, gdy wyprowadzano więźniów. Niektórzy przyjęli buntowniczą postawę, inni byli oszołomieni albo płakali. Gdy dowódca oddziału kazał odmaszerować swoim ludziom, Raj oparł udo o stół obok swojej żony i położył dłoń na jej głowie, gładząc krótkie, czarne włosy, gładkie jak jedwab.

– Dziękuję ci – powiedział. – Ze wszystkich moich towarzyszy, ty jesteś najlepsza.

Suzette wstała, tak nagle, że ciężkie krzesło poleciało z łoskotem do tyłu. Objęła Raja ramionami. Zaskoczony, on z kolei ją przytulił, czując, jak jej ramionami wstrząsają lekkie dreszcze. Odezwała się rozgorączkowanym szeptem z twarzą przyciśniętą do jego szyi.

– Wszystko dla ciebie, mój kochany. *Wszystko.*



## Rozdział jedenasty

– Cóż, teraz widzimy, co oni budowali – stwierdził Raj. – Wiesz, chciałbym dostać tego człowieka, któremu tam przychodzą do głowy te sprytne pomysły.

– Cc... co byś mu zrobił? – spytał nowy alcalle Starej Rezydencji. Zadrzał lekko na wietrze. Było to kolejny jasny dzionek, ale wiatr był nadal ostry po tygodniu mżawki.

– Dałbym mu pracą – odparł Raj. – Przydałby mi się tak sprytny człowiek.

Pochylił się, żeby spojrzeć przez ciężką lornetkę ustawioną na trójnogu. To... cokolwiek to było, właśnie wypełzło z obozu Brygady – tego, który rozsiadł się wokół lokalnej linii kolejowej prowadzącej na północ. W normalnych czasach linią tą wożono węgiel z kopalni znajdujących się trzydzieści kilometrów na północ. Na jego rozkaz zostały one zamknięte – pompy rozmontowane a szyby zalane – zanim przybył nieprzyjaciel, choć na powierzchni było nieco zmagazynowanego węgla. Teraz nieprzyjaciel wymyślił zupełnie inny sposób na jej wykorzystanie...

Bateria kolejowa została zamontowana na kołach kilku wagonów kolejowych. Zostały ześrubowane razem z pomocą grubych desek, z których ułożono „pokład”. Na nim ustawiono przodem trzy nie gwintowane forteczne działa, strzelające dwudziestokilowymi pociskami. Z przodu, nad działami znajdowało się pochyłe skrzydło okienne na zawiasach. Raj oceniał, iż żelazna osłona miała przynajmniej dwieście milimetrów grubości z podbiciem z grubych belek. Boki i góra przykryte były żelaznymi płytami, pewnie zabranymi z tratw z działami z południowego brzegu jeziora. Całe to urządzenie było zbyt szerokie, by zachować stabilność na torach szerokości półtora metra, więc z obu stron bryły wystawały podczipione wysięgniki. Spoczywały one na wysuwnicach umieszczonych na kołach, zaopatrzonych z przodu w żelazne tarcze. Bateria była popychana przez jedną lokomotywę, która sama chroniona była przez masę drewna i żelaza z przodu.

– Co zamierzają z tym zrobić? – spytał Gerrin Staenbridge. >>Obserwuj<< powiedziało Centrum do Raja.

Obraz przed nim podskoczył, a rzeczywistość prześwitywała niczym widmowy cień. Bateria przerwała powolne pełznięcie do przodu. Otwory szczelinowe z przodu otworzyły się i wysunęły się z nich działa forteczne. Buchnęły płomienie i dym, a potężny pocisk walnął z bliska w północny mur, w wieże przy bramie.

A potem, gdy zaszło słońce, przed oczami zapadła mu ciemność. Załoga Brygadowców rzuciła się, żeby odklinować koła baterii, a ta spełzła mozolnie do tyłu, gdy wyęzająca się lokomotywa zaciągnęła ją bezpiecznie do bramy w otoczonym wałami obozie.

Raj skinął głową. – Doprowadzić to na bliską odległość – powiedział. – Kruszyć fortyfikacje w ciągu dnia, wycofywać się nocą.

Brygadowcy zrobili się bardzo nerwowi, jeśli chodziło o opuszczanie obozów w ciemności, gdy Skinnerzy grasowali na wolności.

–  
Hmmm – zastanowił się nad tym Grammeck Dinnalsyn. – Czy mam zacząć prace nad wewnętrznym murem?

–  
Nie – rzekł Raj, uśmiechając się lekko. – Przy działach w bliskiej odległości, mogliby osłaniać każde natarcie przez wyłom – rozwalić wszystko, co ustawimy, i dać mocne wsparcie szturmującej grupie. Właściwie, to gdyby rozwalili zewnętrzny mur, opanowaliby całe miasto aż do zatoki. Od tego momentu wszystko szłoby po równi pochyłej.

–  
Panie – wystąpił do przodu Cabot Clerett. – Panie, zbiorę oddział straceńców. z mocnym wsparciem ogniowym z murów, powinniśmy być w stanie dotrzeć do tego z workiem ładunków, zanim dostanie się w bliski zasięg.

Młody major rzucił spojrzenie na Suzette. Reszta oficerów patrzyła na *niego*. Była to samobójcza misja, nie ma co.

–  
Nie, majorze Cleretcie – powiedział Raj, uśmiechając się szerzej. – Nie sędzę, abym miał dać Jego Wysokości powód do odebrania mi teraz dowództwa. – *Zabijając jego dziedzica*, to pozostało niewypowiedziane.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem zaczął chichotać. Towarzysze i dygnitarze wpatrywali się w pełnym przerażenia zdumieniu, gdy wybuchł głośnym śmiechem. Cabotowi Clerettowi zbieleły zaciśnięte usta.

– Panie – zaczął.

Raj uciszył go machnięciem ręki. – Przepraszam, majorze, nie śmieję się z ciebie. Raczej z nieprzyjaciela. Ktokolwiek wpadł na ten pomysł, jest naprawdę całkiem sprytny. Ale jest to młody człowiek, chyba że się mylę. Pułkownik Dinnalsynie, ile działek polowych mamy w zasięgu?

– Dwanaście, *mi heneral* – powiedział artylerzysta. Na jego wąską twarz zaczął wypęłzać uśmiezek, spodziewał się bowiem przyjemnej niespodzianki. – Ale niewiele poradzą przeciwko temu pancierzowi.

– Ja też tak sędzę – rzekł Raj, wciąż się podśmiewając. – Więc zaczekamy... tak.

W niesamowitej scenie, powtórzonej mu przed oczami przez Centrum, bateria zatrzymała się w odległości pięciuset metrów od północnej bramy. Paru cywilów na wieży cofnęło się bezwiednie, gdy załoga wysunęła się za tarcze przytwierdzone do wysięgników i zaczęła walić w ciężkie kliny za kołami. Inni wyciągnęli pocięte uprzednio belki i posłużyli się nimi do wsparcia samego pojazdu o podłoże torów; to miało rozłożyć siłę odrzutu i utrudnić wykolejenie się baterii. Brygadowcy pracowali żwawo, z przygarbionymi ramionami, wiedząc, iż znajdują się w zasięgu lekkiej broni obrońców – oraz, że choćelazne tarcze na wysięgnikach chroniły ich od kul karabinów, to nic by nie poradziły, gdyby nad głowami wybuchł im szrapnel.

Młoty uderzały o drewno i żelazo, a potem zostały odrzucone na bok, gdy żołnierze zakończyli swoje zadania i z wdzięcznością zanurkowali z powrotem do schronienia ofiarowanego przez pojazd.

Poprzednie próby zbliżenia baterii do murów Starej Rezydencji nauczyły Brygadowców zdrowego respektu wobec artylerii Korpusu Ekspedycyjnego.

Raj klepnął Dinnalsyna pięścią po ramieniu. – Teraz, pułkowniku, jeśli twoje działa skoncentrują się na torach, zaraz za tą zabawką Brygadowców...

Dinnalsyn też zaczął się śmiać. Po chwili przyłączyła się reszta towarzyszy, pokrzykując i waląc się nawzajem po plecach. Srebrzysty śmiech Suzette stanowił kontrpunkt dla głębokiego tembru męskich głosów. Tylko cywile wciąż wpatrywali się z oszołomieniem i strachem. Cabot Clerett też się nie śmiał, choć w jego oczach widać było gniewny wyraz zrozumienia.

\* \* \*

## POUMPE

Działko polowe osadzone na wieży wypluło w ciemność jęzor ognia w kształcie rzepy. Trzask pocisku wybuchającego nad uwięzionym kolejowym pojazdem był o wiele mniejszy, mignięcie czerwono-pomarańczowego ognia. Jak błyskawica, na mgnienie oka ukazało to, co leżało poniżej. Sam pojazd był nieuszkodzony, oprócz tysięcy jasnych zadrapań na ciężkim, szarym żelazie pancerza. Lokomotywa wciąż znajdowała się na torach, choć szczęśliwym trafem pocisk utracił komin pionowo ustawionego kotła. Czarny dym wciąż sączył się z kikuta, ale bez rury doprowadzającej powietrze nad skrzynię paleniskową, silnik nie mógł wciągnąć wystarczająco dużo powietrza, by wyprodukować parę.

Nie żeby para na wiele się zdała. Bowiem w odległości pięćdziesięciu metrów za lokomotywą tory były poskręcane i usiane kraterami, drewniane szyny i podkłady rozwalone na wióry, a nasyp podziurawiony jak przez olbrzymie krety.

Gdy drugi pocisk wybuchł nad nimi, żołnierze próbujący naprawić tory pod osłoną ciemności skoczyli do tyłu, rzucając swoje narzędzia i biegnąc ku bezpieczeństwu, jakie ofiarował obóz. Ciała i kawałki ciał pokazywały, jak dobrze udało się to poprzednio, w świetle dziennym – a jako że działa na wieży murów miejskich były już wycelowane, ciemność nie stanowiła osłony. Nie stanowiła osłony dla nikogo *poza* Skinnerami czającymi się dokoła; dzisiaj cena za uszy została podniesiona do sztuki *złota* za każde.

Karbidowy reflektor zapalił się przy głównej bramie i skąpał w świetle pojazd i ludzi dookoła niego. Było tam zgrupowanych tysiąc dragonów Brygady, starających się ochronić go oraz kanonierów przed grasującymi nocą dzikusami. Jedyнным sposobem dokonania tego było ciasne zgrupowanie się... co czyniło z nich doskonały cel teraz, gdy działa gruchnęły pięciopociskowymi salwami, a dwa bataliony piechoty puściły palbę z wież i murów. Dragoni odsunęli się od pojazdu; najpierw kilku ludzi z tylnych szeregów odczołgało się do tyłu lub też odbiegło kuląc się, a potem całe grupy w regimencie rzucały broń i gnały na tyły. Przeorał je ogień. Byłoby bezpieczniej poczekać pod taką osłoną, jaką mogli wyryć w ziemi, ale ludzie ogarnięci panicznym strachem biegli prosto w paszczę śmierci. Mimo iż to strach przed śmiercią nimi kierował.

Do czasu gdy reflektor został zestrzelony przez Brygadowca, który miał większe szczęście lub też był bardziej zręczny od reszty, pozostał tylko dowódca regimentu i mała grupka wokół niego. Oficer odwrócił się i zaczął oddalać się spokojnie z łopoczącym obok niego sztandarem. Zniknęli w

ciemnościach. Kilka sekund później otworzyły się drzwi pojazdu, a kanonierzy padli na ziemię zwartą grupą. Wahali się przez kilka sekund, a potem zaczęli biec na północ za wycofującym się pułkownikiem.

W pół minuty później w ciemnościach wybuchła strzelanina; długie błyski z luf karabinów Skinnerów kosiły ze stanowisk wzdłuż nasypu. Dało się słyszeć zgrzyt, jakby piły przegryzającej się przez kamień, grad lżejszych pocisków z muszkietów i pistoletów Brygadowców. A potem było słycać tylko wrzaski – cichnące, aż tylko jeden człowiek szlochał w agonii. Potem zapadła cisza.

– Panie – rzucił sztywno Cabot Clerett, stając na baczność.

Tylko on oraz Suzette i Raj pozostali na parapecie obok załóg dwóch dział i ich dowódcy. Parapet był zaciemniony ze *wzglądu na ryzyko ze strony snajperów*, oświetlony bladym światłem ćwiartki Miniluny.

– Panie, proszę o pozwolenie zniszczenia nieprzyjacielskiego pojazdu – ciągnął Cabot, głosem tak sztywno mechanicznym jak automaton na sprężone powietrze w Sali Audiencyjnej Wschodniej Rezydencji.

– Ależ oczywiście, majorze Cleretcie – powiedział Raj.

Whitehall opierał się oboma łokciami o jedną z blanek parapetu. Gdy się wyprostował, blask księżycy okrył cieniem jego twarz pod skrajem hełmu; wszystko poza szarymi oczami odbijającymi odrobinę światła. Młodszy mężczyzna dostrzegał w nich jedynie chłodną ocenę. Wyobraźnia domalowała pod tym szyderyczy uśmiezek.

– Niedobrze by było, pozwolić im na ponowne jego zajęcie jutro – stwierdził Raj. – Wyrządzili już wystarczająco dużo szkody przy bramie.

Suzette wysunęła się do przodu. – Jestem pewna, że Cabot świetnie wykona zadanie – powiedziała, uśmiechając się do niego.

Cabot Clerett stuknął obcasami i skłonił głowę. – Messa.

*A nikt nawet nie zauważy*, pomyślał wściekły, gdy schodził schodami wieży do wartowni na dole. Będzie to wisienka na torcie kolejnego wspaniałego fortelu Whitehalla. Nikt poza Suzette nie będzie zdawał sobie sprawy, co ja zrobiłem.

Dwóch Skinnerów stało na górze pojazdu, gdy przybył na czele kompanii 2 Straży Życia. Przyglądali się w milczeniu, opierając się o swoje długie karabiny, gdy zapalił szmatę owiniętą dokoła szyjki pełnej nafty butelki po winie i wrzucił ją przez otwarty właz. A za nią następną. Jęzory żółtego płomienia zaczęły wysuwać się przez właz, otwory strzelnicze i szczeliny obserwacyjne.

– Lepiej się odsunąć, panie – stwierdził starszy kapitan Fikaros.

Cabot w milczeniu skinął głową. Pojechali z powrotem ku bramie. Ludzie już nad nią pracowali, wycinając popękane drewno i wpuszczając nowe, wbijając gwoździe i waląc młotami. Stał i patrzył w milczeniu, jak pojazd się palił. Deski jego szkieletu zajęły się teraz całkowicie, a żelazo zaczynało się żarzyć na rudo wokół dziur, gdzie płomień pulsował rytmem takim jak oddech wielkiej bestii. Musieli przechowywać amunicję w metalowych pudłach, pewnie wodoodpornych, bowiem minęło

piętnaście minut, zanim doszło do pierwszego wybuchu. Oderwało się kilka żelaznych płyt, a ciężki pojazd podskoczył, gdy ogień trysnął z każdego otworu. A potem cały pojazd zniknął w kuli pomarańczowoczerwonego ognia, który przez parę minut odbijał się blaskiem na siatkówkach Cleretta. Fala uderzeniowa pchnęła go, aż zatoczył się na szorstką powierzchnię bramy. Ludzie wewnątrz krzyknęli z przerażenia, gdy wysokie skrzydła wrót zagrzechotały na obluzowanych zawiasach.

–

Mam nadzieję, że ci Skinnerzy mieli dosyć rozsądku, żeby zwać – rzekł Fikaros. Zaśmiał się. – Zgrabny koniec zgrabnej operacji. Zastanawiam się, ile jeszcze dział oblężniczych ma nieprzyjaciel?

–

Wystarczająco wiele – rzucił beznamiętnie Cabot Clerett. – Niech ludzie wrócą na kwatery, kapitanie.

–

Panie. Macie ochotę na kieliszek w mesie, majorze?

–

Na początek, kapitanie.

\* \* \*

–

Niech ich *Duch* pochłonie – rzucił Raj z cichą zawziętością. – *Potrzebuję* tych posiłków. Okna były otwarte, by wyłapywać pierwsze poddmuchy wczesnowiosennego powietrza. Było wciąż trochę chłodno, ale w słoneczny dzień wystarczała kurtka. Powietrze pachniało większą czystością niż zwykle w mieście; brakowało węgla, nawet do kuchennych palenisk.

–

Ile to nam daje? – spytał Gerrin Staenbridge. – Wszystkie, które wylądowały na Półwyspie Korony.

Jorg Menyez zaszeleścił papierami. – Pięć batalionów regularnej piechoty – powiedział. – Zwykle jednostki liniowe, odpowiednie do garnizonowej roboty. I siedem batalionów regularnej kawalerii. 10 z Rezydencji, 9 i 11 Dragonów z Descott, 27 i 31 Zwiadowczy z doliny Diva, 3 z Novy Haifa oraz 14 z Komar. Plus około sześć baterii artylerii, powiedzmy dwadzieścia do dwudziestu czterech dział.

– Dobrzy żołnierze – powiedział Raj. – I tyle z nich pożytku na Półwyspie Korony co we Wschodniej Rezydencji albo i Al Kebir.

– Masz całkowitą władzę jako dowódca teatru wojennego – zwrócił uwagę Gerrin.

Raj wskazał na stos listów, jego korespondencję z oficerami dowodzącymi posiłkami. Jego zęby odsłoniły się lekko w drapieżnym uśmiechu ledwo skrywanej wściekłości.

– Mam władzę życia i śmierci nad całymi Zachodnimi Terytoriami – teoretycznie – powiedział. – Połowa z nich nawet nie odpowiedziała. Druga połowa powiedziała, że nie mogą się dostać do

miasta *otoczonego* przez sto tysięcy żołnierzy.

– Dziwne, skoro nie mamy problemu z przyjmowaniem małych ładunków dostarczanych każdej nocy wodą – stwierdził Staenbridge.

Antin M'lewis skinął głową. – Ponie – odezwał się. – Moje chłopaki mogłyby przeprowadzić setki ładem, jakiej tylko chcesz nocy. Te barbarzyńce trzymają się naprawdę blisko swoich wałów.

– No to mamy kłopot – stwierdził Dinnalsyn.

Raj skinął głową. – Nieformalnie doszły mnie wieści od administratora Historomo. Dowódcy batalionów otrzymali ustne polecenie od Krzesła, aby nie oddawać się pod moje rozkazy. Tak naprawdę, to nie są pod *niczymi* rozkazami, choć wydaje się, że robią głównie to, co mówi im Historomo. A on porozbijał ich na małe grupki, przydzielając garnizonową robotę, którą równie dobrze mogłaby wykonywać jego milicja i żandarmeria.

Zaklął znowu, z goryczą. – Z pomocą kolejnych czterech tysięcy kawalerii mógłbym *zakończyć* tę cholerną wojnę przed zbiorami pszenicy. – Czyli za cztery miesiące. – Bez nich, to może zająć *lata*.

– Brygadowcy są w dość fatalnym stanie – stwierdził krytycznie Staenbridge. – Musieli stracić dwadzieścia tysięcy ludzi w tych atakach przez zimę – pewnie trzydzieści tysięcy wszystkiego, jeśli wliczy się tych, którzy stali się niezdolni do służby.

– I przez marnotrawstwo generała tracą setki co tydzień – powiedział Menyez. – Odwiedził ich chorąży Forbus.

M'lewis skinął głową i wszyscy lekko się skrzywili. Cholera w zimowym obozie to był koszmar. – Ichnie obozy śmierdzą na potęgę – powiedział. – A ich psy są w strasznie łopłakany stanie.

– Wciąż jednak przewyższają nas liczebnie pięć do jednego – powiedział Raj. – A my też tracimy ludzi, przez snajperów albo w nękających atakach. Nie aż tak wielu, ale od początku nie mieliśmy wielu. Jorg, a co z milicją?

–

Tylko ograniczona przydatność, *mi heneral* – powiedział Menyez. – Zawodowe bataliony mogą utrzymać bezpieczną, ufortyfikowaną pozycję bez flanki, ale nie wymagałbym od nich więcej. Ci dorywcy nie są zdolni nawet do tego. Tutejsi rekruci w naszych regularnych jednostkach zaaklimatyzowali się doskonale... ale głównie dlatego, że wzięliśmy tylko najlepszych i w niewielkiej ilości.

Raj skinął głową. – Gdzie jest Clerett? – spytał.

–

Ach... – ktoś zakaszłał. – Myślę, iż był na lunchu z panią Whitehall i kilkoma ze swoich oficerów.

– No to go tutaj *sprowadźcie*.

Whitehall przechadzał się niczym tygrys w klatce, aż pojawił się młodszy mężczyzna. A kiedy już przybył, Raj zachowywał starannie neutralny wyraz twarzy.

– Panie – Clerett zsalutował z leniwą precyzją.

–

Majorze – odparł Raj. Wskazał głową na tablice z mapami. – Omawialiśmy ogólną sytuację, teraz, gdy zima dobiega końca.

Cabot spojrział na mapy. – Sytuacja patowa – rzucił zwięźle.

–

Właśnie – odparł Raj. *On nie jest głupi i wiele się nauczył*, pomyślał ostrożnie. Ocenianie ludzi, których się nie lubiło, było trudnym zadaniem, wymagającym umysłowej dyscypliny. – Zastanawiamy się teraz, jak ją przerwać. A konkretnie, potrzebujemy czterech tysięcy kawalerzystów znajdujących się obecnie na Półwyspie Korony.

–

Siedzących z palcami w dupie i bez resztek rozsądku – dodał Gerrin Staenbridge. Twarz Cabota Cleretta była chłodna i nieodgadniona. *Nauczył się*, pomyślał Raj.

–

Panie? – ponaglił go młodszy mężczyzna.

Raj wrócił do swego krzesła i usiadł, bezwiednym ruchem lewej stopy odkopując na bok pochwę z szablą. Zapalił papierosa, wciągnął w płuca ostry dym, a potem wyciągnął ciężką kopertę z tej samej wewnętrznej kieszeni, w której znajdowała się poobijana platynowa papierośnica.

–

Mocą mojej władzy prokonsula, awansuję cię na pułkownika. – Podał papiery, a Clerett je wziął i obrócił w ręce zapieczętowaną kopertę.

Gratulacyjny pomruk *pro forma* ozwał się dokoła stołu. Cabot Clerett skłonił lekko głowę, oficjalnie go przyjmując. Awans miał oczywiście mniejszą wagę dla bratanka gubernatora niż dla zawodowego oficera.

–

Zwalniam cię także z dowodzenia Strażą Życia. Udasz się natychmiast do Miasta Lwa i obejmiesz komendę nad siłami wymienionymi w twoich rozkazach – a szczególnie, całą kawalerią i wszystkimi działami na Półwyspie Korony. Zbierz je razem, przećwicz przez jakiś tydzień, zaimprovizuj sztab. A potem wyruszcicie. Ziemie Brygady na tyłach zostały mocno ogołoczone z żołnierzy, więc niewielu stanie ci na drodze. Postępuj wedle własnego uznania, ale sprowadź tych ludzi i psy tu w pobliże tak szybko, jak to możliwe. A potem porozum się ze mną. Posłużymy *się* rzeczonymi barkami, szmuglując żołnierzy nocą.

–

Panie – uśmiechnął się powoli Cabot. Duże, niezależne dowództwo... a przyznane mu jednostki posiłkowe będą słuchać *jego*. Jako że był dziedzicem, lepiej, żeby usłuchały. – Panie, czy sądzisz, że słuszne jest uwięzienie kolejnych czterech tysięcy za murami?

– Tak – rzucił sucho Raj.

Same tylko milicja i regularna piechota mogły utrzymać mury przeciwko wszystkiemu poza zmasowanym atakiem. Mając czternaście tysięcy kawalerii Rządu Cywilnego, mógł wyprowadzić

jednostki wierzchem i posłużyć się nimi jak przenośnym młotem, aby rozetrzeć nieprzyjaciela w proch na kowadle ufortyfikowanego miasta.

Cabot wsadził kopertę do wewnętrznej kieszeni mundurowej kurtki.

– Mam udać się do Miasta Lwa, zmobilizować i skoncentrować kawalerię i działa, uformować z nich siły do działania w polu i dołączyć do głównych sił Korpusu Ekspedycyjnego, posługując się własnym osądem co do sposobu oraz miejsca? – spytał.

–

Właśnie tak, pułkowniku.

–

Natychmiast?

–

Tak szybko, jak to tylko możliwe,

– Sądzę, iż jestem w stanie wyruszyć dziś wieczorem – stwierdził radośnie Cabot. – Jeśli mi wybaczysz, panie? Muszę pożegnać się z paroma osobami.

Raj zgasił papierosa, rozgniatając go brutalnie, gdy bratanek gubernatora opuścił pokój.

– Czy to było rozsądne? – wymruczał Gerrin.

– Może nie – warknął Raj. – Ale to jedyny cholerny pomysł, na jaki wpadłem. – Rozejrzał się dokoła. – A teraz zajmijmy się planowaniem, dobrze?

\* \* \*

–

Cieszę się, że znowu cię widzę, Ludwigu – stwierdził Raj. Ludwig Bellamy się uśmiechnął. Wyraz jego twarzy nie był już taki chłopięcy jak cztery miesiące temu. Twarz mu zeszcupłała – nie była wychudzona, ale skóra bardziej przylegała do mocnych kości.

–

Ciszę się, że wróciłem, *mi heneral* – powiedział. Zawrócili psy i wjechali do środka miasta, oddalając się od bramy, przez którą wjeżdżali ostatni z 2 Kirasjerów; panowały czarne jak smoła ciemności, było pochmurnie i nie widać było księżyca. Słabe światło pochodziło z latarni w górze na wieżach przy bramie i z osłoniętych latarni w dłoniach niektórych oficerów. Ciężkie wrota zamknęły się za nimi z łoskotem, a rygle opadły z metalicznym brzękiem na swoje miejsce w kłamrach.

–

Kapitan M'lewis doskonale się spisał, przeprowadzając nas koło wartowników nieprzyjaciela – ciągnął dalej Ludwig.

–

Żaden problem – stwierdził M'lewis. – Te barbarzyńcy ant się ruszą nocą.

–

Czuliśmy ich – rzekł Ludwig. – Choć nie wiem, czym jeszcze mogą srać.



Przez kilka chwil Raj jechał w milczeniu. Od czasu do czasu smużka światła prześwitywała z okna na drugim piętrze, gdy jakiś mieszkaniec domu uchylił okiennicę, żeby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Psie łapy uderzały o bruk z dudnieniem, w takt brzęku uprzęży jego eskorty. Ludzie Bellamy'ego owinęli łapy swoich psów szmatami, żeby wyciszyć hałas. Jakiś wierzchowiec kichnął i potrząsnął łbem, dźwięcząc żelazem uzdy.

– Zatem tory są zniszczone? – spytał wreszcie Raj.

–

Reperują niektóre odcinki przy pomocy torów z normalnego drewna – powiedział Ludwig, a w jego głosie słyhać było dumę. – I ciągną pociągi przy pomocy wołów. Cały obszar jest pod bronią, rewolty wieśniaków i głód, a trzy czy cztery regimenty przeczesują busz w poszukiwaniu *insurrectos*. Odbiliśmy na północ. Oni próbują prowadzić karawany bagażowe od rzeki Padan do obozów tutaj. Widzieliśmy teźzołnierzy zdążających na północ, w kierunku pogranicza.

Wieśniacy przekazali nam pogłoski o najazdach Straży i Oddanych oraz o piratach na wybrzeżu. Raj skinął głową. – Padlinożercy gromadzący się wokół umierającego byka – powiedział.

–

Komandor Lopeyz zatopił w zeszłym miesiącu trzech korsarzy. – Wskazał ręką deltę Białej na lewo. – W związku z tym i z tamtym, myślę, że wróg będzie wkrótce zmuszony do

wykonania ruchu.

– Jak wygląda sytuacja z zapasami, panie?

– Nieźle, ale się pogarsza. Mamy dosyć, aby na razie utrzymywać ludzi i psy na pełnych racjach żywnościowych, choć cywilom się je zmniejsza. Nie ma jednak głodu.

Oprócz jakiegoś ciała znalezionego rankiem we wnęce drzwi wejściowych, ale to się zdarzało w każdym mieście, obłożonym czy też nie.

–

Co oni zrobią?

–

Nie jestem pewien... ale coś zrobią. I to wkrótce.

\* \* \*

–

Nie! – powiedział Ingreid Manfrond, odsuwając mapę. Spojrzał gniewnie przekrwionymi oczami na pozostałych dowódców Brygady.

– Władco Ludzi – zaczął Teodorę Welf.

–

Zamknij się, ty szczeniaku! – ryknął Ingreid. – Twój ostatni świetny pomysł kosztował mnie dwadzieścia tysięcy ludzi.

Teodorę odsunął się od stołu, stuknął obcasami – jego zbroja szczęknęła także – i pokłonił się sztywno przed odejściem. Ingreid wpatrywał się w niego; opuszczenie generała bez pozwolenia było

złamaniem protokołu. Większość pozostałych oficerów patrzyła ze skupieniem gdzieś indziej. Kilku spoglądało z wyrachowaniem, zastanawiając się, czy triumwirat się rozpadał. Słabe, wiosenne światło słoneczne przenikało przez klapę namiotu wraz z podmuchem wiatru poruszającym mapami na stole. Kwaśny zapach obozu był jeszcze gorszy; ludzie ze sraczką oraz psy.

—

Wasza Znamienitość – powiedział Howyrd Carstens – tym razem on miał rację. Musimy się zająć tą nową armią. – Jego gruby, pokryty odciskami kciuk przesunął się do Korony, a potem w górę półwyspu od Miasta Lwa.

—

Są nad Waladavir – powiedział. – Nasz tyłek jest odsłonięty przed wiatrem jak dupa cioty i jeśli on podąży na południowy zachód i odetnie nas od doliny Padan, to mamy przesrane – ilu ludzi nie jest już wierzchem, bo nie możemy wykarmić ich psów?

—

Myślisz, że powinienem posłać Welfa, który ma jeszcze mleko pod nosem? – spytał Ingreid. – Dać mu piętnaście regimentów?

Jego głos nie był już rykiem, lecz był chrapliwy od gniewu. Pstryknął palcami i podszedł służący z winem. Było jeszcze wcześniej... ale on tego potrzebował. Ostry chłód tej przekłętej zimy załazł mu za skórę.

*Jeszcze nie mam sześćdziesiątki, pomyślał. Mogę zwyciężyć w walce i przegonić każdego z nich. Ale każdego roku cena rośnie.*

Carstens potrząsnął głową. – Kogokolwiek chcesz – powiedział. – Poślij mnie albo sam jedź. Weź dwadzieścia tysięcy ludzi, tych z najlepszymi psami i z najmniejszą liczbą chorych żołnierzy. Wciąż zostanie nam tutaj siedemdziesiąt tysięcy zdolnych do służby, wystarczająco dużo do blokady miasta. Zmiażdż tę niewielką kolumnę cywilniaków – nie może w niej być więcej niż cztery regimenty. A potem wróć tutaj.

Ingreid potrząsnął głową. – Nie będę rozbijał naszych sił – powiedział. – Skończyłem z lekceważeniem Whitehalla, niech go przeklnie Duch Człowieka tej Ziemi. Zrobimy, co następuje...

Zaczął wydawać rozkazy, wskazując od czasu do czasu swoim krótkim i grubym palcem.

Carstens odchrząknął i splunął na ziemię, gdy ten skończył.

– Może się udać – powiedział. – W każdym razie to ty jesteś generałem.

Ingreid zdawał sobie sprawę ze spoczywających na nim spojrzeń. Prawdziwy generał prowadził wojowników Brygady do zwycięstwa. Jak do tej pory stracił czterdzieści regimentów w walce i jeszcze połowę tego przez choroby. Nie były to wybitne dokonania... a jego władza nad Stolcem była wciąż niepewna.

– *Jestem generałem* – powiedział. – I przed pierwszym zbiorem pszenicy w tym roku będę miał puchar do picia z czaszki Whitehalla.

## Rozdział dwunasty

–

On *coś* knuje – powiedział Raj. Zachodzące słońce lśniło czerwienią na grotach lanc regimentu kirasjerów Brygady, znikającego z zasięgu wzroku. – Coś całkiem dużego.

Jeszcze raz zgromadzili się na jednej z wież przy północnej bramie. Suzette była zawinięta w górę futer i wyglądała trochę blado po zapaleniu płuc i od jakiegoś kobiecego problemu, o którym nie chciała mu powiedzieć.

–

Przemieszczają żołnierzy – dodał M'lewis, kiwając potakująco głową. Każdej nocy grupki jego zwiadowców wychodziły zbierać informacje oraz nagrody za uszy. – Ale wygląda, jakby w te i z powrotem.

Gerrin i Ludwig Bellamy pochylili się nad stołem z mapami. – Cóż – rzekł w zamyśleniu starszy mężczyzna. – Ingrid już przedtem robił cholernie głupie rzeczy. Hmmm... przemieścił tysiąc Judzi z południowego brzegu rzeki na północny i żaden z *nich* nie został przesunięty z powrotem.

–

Ingrid bardzo się stara być sprytny – rzucił z roztargnieniem Raj, stukając kciukiem w brodę. – Zamierza coś zrobić – nie da się tego ukryć – ale nie chce, żebyśmy wiedzieli gdzie. – Zmasowany atak? – spytał Ludwig Bellamy.

–

Może. To byłoby dla niego kosztowne, ale nie możemy jednakowo mocno obstawić kilkudziesięciu kilometrów murów. Przy jego liczebności, mógłby przeprowadzić udany atak znacznymi siłami, a potem uderzyć nas mocno z innej strony przy pomocy reszty.

Dreszcz napięcia przeszedł przez oficerów, byli jak psy jeżące się, gdy poczuły wiosenne powietrze. Raj wyjrzał znowu na nieprzyjacielskie obozy; przesuwały się bloki ludzi i sztandary, maleńkie z tej odległości.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

Przed oczami ukazała mu się mapa, z punkcikami przedstawiającymi żołnierzy i strzałkami pokazującymi ich ruchy.

*Na pewno?* – spytał Raj.

>>Prawdopodobieństwo 82% plus minus 5<< odparło Centrum. >>Przyjrzyj się ruchom artylerii.  
<<

– Ach – powiedział na głos Raj. – On przesuwa *ludzi* wkoło, ale *działa* posuwają się tylko w jednym kierunku.

Pozostali mężczyźni milczeli przez chwilę. – To głupie z jego strony – stwierdził Staenbridge..

Ludwig skinął głową. – Myślę, że brakuje mu wołów pociągowych – powiedział. – Pewnie je zjadają. Krótkowzroczne.

–

Zatem oto, co zrobimy – powiedział Raj. – Jorg, wybierz jedenaście najlepszych batalionów twojej piechoty i trzymaj je w gotowości przy rzecznych dokach. Przesuń resztę tutaj, do północnego sektora. Gerrin, chcę, żebyś był tu ze mną. Ludwigu, weźmiesz pojazdy pancerne i całą kawalerię oprócz Piątego i Siódmego...  
Gdy skończył, na dłuższą chwilę zapadła cisza.

–

To dosyć ryzykowne, prawda? – stwierdził ostrożnie Gerrin. – Myślę, że jest prawie pewne, iż mogliśmy powstrzymać frontalny atak Ingreida.

Raj uśmiechnął się ponuro. *Jak szedł ten toast?* – spytał Centrum: było to coś pochodzącego z niekończących się historycznych scenariuszy, jakie wyświetlał mu jego opiekun.

–

Toast, messerowie – powiedział, unosząc swój kubek. Nagrody zbiera małe ten, kto zbyt mocno łąka się swego losu i ryzyka nie podejmie – by zwyciężyć albo wszystko utracić.

\* \* \*

–

Dokąd idziemy, kapralu? – wymruczał strzelec Minatelli. 24 z Valencii dreptał po wybrukowanej ulicy w stronę zatoki w chłodzie późnej nocy. Wciąż sennie mrugali, choć zjedli pospiesznie Śniadanie w swoich kwaterach. Mężczyźni z pochodniami albo latarniami stali na rogach ulic, kierując przepływem ludzi. Było ciemno mimo gwiazd i księżycy, a Minatelli posuwał się ostrożnie, żeby nie zaczepić o piętę człowieka przed sobą. Zapach wełny mundurów i ludzi przebijał się przez silną woń zimnego mułu z ujścia rzeki. Od czasu do czasu uchylało się okno, gdy ludzie w środku wyglądali na hałas poniżej – Uwięzieni i bezradni zastanawiali się, czy dziś w nocy zdecyduje się ich los...

–

Askąd, kurwa, mam to wiedzieć? – warknął kapral. – Zamknij...

–

Alto!

...no się.

*Niemal tak samo bezradni jak ja,* pomyślał Minatelli.

Choć on miał swój karabin. To dodawało otuchy. A wokół niego znajdował się batalion, co było jeszcze lepsze. A messer Raj zawsze wygrywa swoje bitwy, co było jeszcze bardziej pokrzepiające – wszyscy mieli co do tego pewność.

Oczywiście ostatnia bitwa – jego pierwsza – pokazała mu, że mogłeś stać się bardzo martwym w samym środku miażdżącego zwycięstwa. Płuca i kręgosłup Gharsii, które wyleciały mu przez plecy, stanowiły wyraźną ilustrację tego, co może się przydarzyć weteranowi po zwycięskiej stronie jednostronnej rzezi.

Nie martwiło go to tak bardzo jak powinno, co samo w sobie stanowiło powód do zmartwienia.

Długa kolumna piechoty zatrzymała się, potykając w tłoku w ciemnościach.

– Spocznij! – Mężczyzna się odprężył i szept przeszedł przez szeregi. – Cisza w szeregach.

Minatelli opuścił kolbę karabinu na kamienie i wyciągnął szyję. Był nieco wyższy niż większość żołnierzy, a ulica opadała ku dołowi. Rozciągały się przed nim długie rzędy głów w hełmach, kręcąc się nieco, a ciemny metal połyskiwał w świetle lamp; *zwinięte* proporce kompanii przed każdą setką ludzi oraz wyższe, bliźniacze drzewce na czele, tam, gdzie sierżanci grupy flagowej trzymali przykrytą flagę narodową i sztandar batalionu. Kolejny pełen batalion szedł ulicą krzyżującą się z tą, która biegła z kwatery szybko maszerującego Dwudziestego Czwartego.

– Szykuje się coś dużego – wymruczał kącikiem ust do kaprała.

Oficerowie przechadzali się wzdłuż zatrzymanej kolumny. Kolejny batalion maszerował za nimi, zatrzymując się. z łoskotem na rzucony rozkaz, gdy zobaczyli Dwudziesty Czwarty blokujący im drogę. Obłoczki oddechu unosiły się w bladym świetle księżyca.

– Nie ma znożenia – wyszeptał w odpowiedzi kapral, nie poruszając głową. – Tylko idziom tam, gdzie nos po...

Zagrała ostro trąbka. Ludzie zeszywnieli na jej dźwięk.

– *Boczność. Na ramię... broń.*

...ślom.

Minatelli ocknął się i zarzucił długi karabin ze zbrojowni na prawe ramię, opierając kolbę o dłoń. Trąbka zagrała znowu. Szkoda tylko, że sam kapral mówił trochę nerwowo.

– *Alo sinistra, waymanos! – Na lewo, naprzód.*

Jego lewa stopa ruszyła automatycznie do przodu, nie musiał o tym myśleć. Ćwieki butów *.zazgrzytały* na bruku; był mokry i śliski od rosy, choć jeszcze brakowało parę godzin do poranka. Maszerowanie było teraz łatwe, nie tak jak na początku. Problem w tym, że dawało mu to czas na myślenie. *Gdzie* wszystkich wysyłali? Bo sądząc po dźwięku, musiało posuwać się przynajmniej cztery albo pięć batalionów, wszystko piechota. Wyekwipowano ich w pełen zestaw sprzętu – ale żadnych namiotów ani zwiniętych koców, tylko racje żywnościowe na dzień marszu oraz dwa dodatkowe pudełka z amunicją w każdym chlebaku.

Przemaszerowali przez bramę od strony morza, wychodząc na drogę do przystani. Było tutaj trochę jaśniej, bowiem magazyny opierały się o mury, pozostawiając więcej wolnej przestrzeni niż na ulicach. Większość doków była pusta, wyglądając dziwnie w świetle gwiazd i księżyca, lśniących na oleistej powierzchni wody. Znowu się zatrzymali, w górę rzeki od basenu, gdzie dokowały oceaniczne statki kupieckie o głębokim zanurzeniu.

– Kompania E, 24 z Valencii – zawołał cicho jakiś mężczyzna.

Kapitan Pinya kazał im skręcić w lewo, odłączyć się od kolumny batalionu i wejść na chwiejne deski mola. Wzdłuż przystani czekały łodzie: rybackie jednomasztowe żaglowce, długie łodzie ze statków oraz parę barek z łodziami do ich ciągnięcia. Przy wiosłach czekali ludzie, w złachmanionym, tanim odzieniu noszonym przez marynarzy. Byli jeszcze inni kierujący piechotą, w mundurach Rządu Cywilnego, ale z czarnymi kurtkami i kordami przy boku – piechota morska. Dowódca kompanii szedł do długiej łodzi, a za nim chorąży i trębacz.

Porucznik z plutonu Minatelliego zeskoczył na barkę. – Sierzancie, zajmij się ludźmi – powiedział.

– No *dalej*, proste nóżki – jeden z żołnierzy piechoty morskiej warknął do Minatelliego. Trzymał owiniętą wokół pachółka cumę, która mocowała płaskodenną barkę na ziarno do mola. – *Wsadźcie* tu swoje tyłki. Muszę pomóc przy *wiosłach* na tej cholernej maciorze.

Kapral, gramoląc się, zszedł na dół. – Tylko do tego jesteście zdolni, przynęto na ryby – powiedział. – Słyszeliście człowieka, chłopcy. Czas na przejażdżkę.

\* \* \*

– Spokojnie, dziewczynko – powiedział Robbi M'Telgez. – Spokojnie, Tonita.

Jego suka szczeękła na niego sennie ze słomy w swoim boksie. Kapral podkręcił naftową lampę, podwinął rękawy koszuli, wziął zgrzebło i zaczął czesanie łba wielkiego zwierzęcia. Ogon Tonity uderzał o ziemię, gdy on przesuwiał sztywną szczotką po futrze jej szyjnej krezy. Nie była to pora na poranne oporządzanie, o wiele godzin za wcześnie, ale psu to nie przeszkadzało. Większość pozostałych wierzchowców wciąż spała, zwinięta na słomie. Stajnia pachniała psem i słomą, ale poza tym była czysta. Wszystkie zwierzęta były przyzwyczajone do stajni i czekały na swoją wycieczkę na wybieg. Była to normalna stajnia lokalnego magnata, zajęta, gdy Piąty został zakwaterowany.

M'Telgez poczuł, jak psie zęby podszcypują go w ramię, odwzajemniając pielęgnacyjny gest, gdy on zajmował się jej zębami. Ta praca miała w sobie domową swojskość, było to coś, co robił przez całe swoje życie – także na farmie w rodzinnych stronach. Rodzina M'Telgeza miała pięć psów pod siodło. Jednego wychował od szczeniaka i zabrał ze sobą do wojska. Tonita była jego drugim szczeniakiem. Suka została zakupiona z funduszu na wierzchowce jako trzylatka, zaraz przed kampanią w Południowych Terytoriach. Wojna była trudna dla psów, trudniejsza niż dla ludzi. Rozmyślał na próżno, co jego rodzina może teraz robić. Tata nie żył już od dwóch lat, jego młodszy brat Halsandro miał ziemię. W Descott brakowało miesiąca do wiosny, więc stada będą na pastwiskach w dolinie.

Kobiety pewnie są już na nogach, przygotowując śniadanie dla mężczyzn. W wyobraźni zobaczył ich wszystkich dokoła drewnianego stołu, zajadających owsiankę i kwaśne mleko.

Mama i żona Halsandro oraz jego siostry spędzą dzień głównie w domu, przędąc i tkając oraz wykonując prace w gospodarstwie. Trzeba będzie wykopać rów na wodę w ogrodzie, zawsze robiono tak o tej samej porze roku, więc Halsandro będzie się tym zajmował wraz z dwoma wynajętymi ludźmi. Pewnie posłał on Peydra i Marhineza, młodszych chłopaków M'Telgezów, do zagród w dolinie, żeby wyprowadzili na dzień owce i pół tuzina bydła należących do ich rodziny. Będą siedzieć na swoich psach, drząc lekko w kurtkach z owczej skóry, z karabinami przerzuconymi przez kolana. Rozprawiając o polowaniu, o dziewczynach albo o tym, czy pójdą na żołnierza jak ich brat Robbi...

– Hej, kapralu – zawołał ktoś od drzwi stajni. Podniósł wzrok. – Wymarsz i to migiem, mówi El-Tee.

M'Telgez skinął głową i po raz ostatni przejechał zgrzeblem, zanim powiesił je na ścianie działowej w stajni. Tonita zaskomlała i też się podniosła, obwąchując gopobrżękując łańcuchową smyczą mocującą jej uzdę do żelaznego haka wbitego w ścianę.

– Leżeć, dziewczynko – powiedział M'Telgez, wkładając kurtkę. Podniósł karabin i odwrócił się, z dala od jej błagalnego skamlenia. – Nic się nie dzieje.

Nie można okłamywać psa. One wyczuwają to w tobie.

\* \* \*

– Wszystko gotowe? – spytała Suzette.

Umartwione skinęły sztywno głowami. Jej twarz mogła wyglądać jak wyrzeźbiona z dębiny, ale na górnej wardze widać było lśniący pot. Wokół nich w kościele panowała krzątanina. Wyniesiono zwykłe ławki, a zamiast tego wniesiono stoły, aby wypełnić wielką powierzchnię pod kopułą. Lekarze się szykowali, wyciągając zawiniątka ze swoimi instrumentami z kadzi gotującej się wody z jodyną i myjąc się. Ostry smród karbolu w świeżonej wodzie przebijał przez kościelny zapach wosku i kurzu.

– Nawet nosze i bandaże – odparła zakonnica. – Tym razem przynajmniej niczego nie brakuje.

Suzette skinęła głową i odwróciła się. Zarekwirowali tuzin budynków wzdłuż ulic odchodzących od placu i wszystkie pozostałe w mieście kabriolety na karetki. A także lekarzy-kapłanów, choć medycy Korpusu Ekspedycyjnego będą dyrygować wszystkim, mając doświadczenie z traumą. Czas pomiędzy zranieniem a leczeniem był najistotniejszym czynnikiem. Więcej rannych przeżyje... jeśli Raj wygra.

*Wygra*, pomyślała sobie. Skurcz w żołądku sprawił, że się lekko skrzywiła. Fatima wzięła ją za łokieć.

– Czuję się dobrze – powiedziała, zdając sobie sprawę, że jest wciąż blada. Ból był o wiele mniejszy, a krwotok ustał. Prawie ustał.

– Nie powinnaś była – wyszeptała jej do ucha Fatima.

– Nie mogłam ryzykować – powiedziała Suzette równie cicho. – Nie byłam pewna czyje... będzie jeszcze czas.

Wyprostowała się i skinęła głową swojej eskorcie przy drzwiach. Wyglądali na nieco zdenerwowanych tymi przygotowaniami. To było dziwne, ale nawet najodważniejszy żołnierz nie lubił patrzeć na rozwijanie punktu medycznego albo na piły do kości.

– Z powrotem do kwatery głównej – powiedziała.

\* \* \*

– Kaltinie, ty oraz 7 z Descott to jedyna rezerwa na całym zachodnim odcinku murów – powiedział Raj.

Stali wokół mapy, tułąc kubki kawe, przyglądając się, jak jego palec się przesuwają. *Próbuję zapęłnić tuzin dziur sześcioma korkami*, pomyślał. Kolejna operacja przy pomocy niewielkiego kapitału... Ciągnął dalej – Ludwig może pilnować wschodu z większością kawalerii, aż przyjdzie czas na nią. Ja z Gerrinem tutaj na północy z Piątym i dziewięcioma batalionami regularnej piechoty, ale tam *wszystko zależy* od ciebie – ciebie i milicji. Oni nie są zbyt wdrożeni i nawet dosyć lekki atak może ich wystraszyć. Pilnuj, żeby byli odwróceny we właściwą stronę.

– Możesz na to liczyć – powiedział mężczyzna z bliznami na twarzy, uderzając się z nim pięściami.

– Liczę. *Waya con Ispirito de Hom*.

Raj wyprostował się i westchnął, gdy Gruder wyszedł. – Cóż, przynajmniej mamy dobrą pogodę do walki – stwierdził.

Okna ukazywały widmowy przebłysk zorzy, lecz niebo wciąż jaśniało gwiazdami. Wczorajszy deszcz przeminął, choć ziemia za murami była wciąż błotnista. Jednak dzisiaj nic nie będzie ograniczało widoczności.

– Mam nadzieję, że wszyscy messerowie zdajecie sobie sprawę, jak wąski mamy tu margines – powiedział Raj. – Blokujące siły muszą *wytrzymać*. – Skinął głową w kierunku dowódców piechoty. – A niech reszta z was, gdy nadejdzie czas, *rusza się*.

– Wydaje się to dosyć proste – rzucił ktoś.

Raj skinął ponuro głową. – Ale w czasie wojny najprostsze rzeczy stają się strasznie trudne. Rozejść się.

Mężczyźni wyszli jeden za drugim, pozostawiając w wielkim pokoju tylko jego i Suzette.

– Bardziej się przydasz w punkcie medycznym – powiedział. – I będziesz bezpieczniejsza. Tu jest cholernie blisko murów.

Suzette potrząsnęła głową. – Wschodnia Rezydencja byłaby bezpieczna, mój kochany. Będę tutaj – powiedziała.

\* \* \*

– Mamuśka, nigdy nie zoboczysz czegoś *takiego* na drodze z Blayberry Fair – wymruczał na wieży jeden z żołnierzy z Descott.

Pofalowany północny horyzont był czarnym łukiem szerokim na pięć kilometrów. Brygada nadciągała, ustawiona w formacjach bojowych. Dziesięć przednich szeregów niosło drabiny, a bloki z tyłu miały na ramionach muszkiety z nasadzonymi bagnietami. Słońce dopiero co wstało, a światło rozchodziło się niczym iskra w trawie od wschodu na zachód nad tą wyłaniającą się formacją, rozbłyskując na pięćdziesięciu tysiącach stalowych ostrzy. Skandowali maszerując; potężny grzmot niczym kamień młyński, w rytmie wybijanym przez tysiąc bębnow. Pomiędzy ogromnymi blokami ludzi posuwały się działa: ciężkie, oblężnicze modele i lżejsze mosiężne działka polowe, ciągnięte przez woły i psy, a potem kolejne kolumny wojowników Brygady.

– Cóż, nie jest to szczególnie sprytnie – rzucił lekko Raj.



A w duchu dodał: *Ale może zadziałać*. Brutalna siła często działała, choć zwykle miała skutki uboczne. Nawet gdyby Ingreid wygrał tę bitwę, to czyniąc tak, straciłby co piątego wojownika z całej ludności Brygady.

—  
Przeciwnatarcie baterii? – spytał Dinnalsyn.

—  
Ależ oczywiście – powiedział Raj.

—  
Lansjerzy z przodu – zauważył Gerrin Staenbridge. Słabe lśnienie zbroi znaczyło przednie szeregi; zostawili oczywiście broń drzewcową. Przez plecy mieli przerzucone muszkiety.

—  
Te homarowe pancerze dadzą im pewną ochronę – stwierdził Raj. – Przynajmniej przed odłamkami i odbitymi kulami.

Zastukała latarnia sygnałowa kanonierów. Skandowanie Brygadowców było o wiele głośniejsze, odbijając się echem od murów i wzgórz – Upyarz! Upyarz!

Raj przełknął resztkę kawy i wręczył kubek ordynansowi. Wstrząsnął lekko ramionami w bezwiednym geście, zabierając się za zadanie.

— Jako że ja zajmuję się wieżami – powiedział Gerrin – to byłbym wdzięczny, gdybyś był gotowy prędko ruszyć rezerwy, Whitehall – ciągnął dalej sucho.

— Postaram się – odparł Raj, skłaniając się lekko.

Uśmiechnęli się do siebie i uderzyli pięściami, tyłem rękawicy, a potem nadgarstkami.

\* \* \*

—  
Dobra, chłopaki – powiedział Raj, lekko podnosząc głos. Kolumny dymu wznosiły się znad wież w chłodnym, jasnym powietrzu świtu, rozciągając się na prawo i na lewo w płytkim zagłębieniu aż poza zasięg wzroku. Dym prochowy z ustawionych na nich działek polowych. Piechota na murach nie zaczęła jeszcze strzelać. *POUMPF... POUMPF* nie kończącej się kanonady z dudniącym grzmotem w tle. Ostrzejszy trzask wybuchających pocisków został stłumiony przez mury. Kiedy Raj to mówił, od jednej z wież dalej na zachodzie nadeszło potężne łupnięcie i buchnął dym, gdy ciężkiemu, nieprzyjacielskiemu pociskowi udało się szczęśliwym przypadkiem trafić. Kolejny przeleciał przez mur z dźwiękiem niczym rozdzierający się w czasie sztormu żagiel statku i na oczyszczonym terenie wewnątrz murów wzbił piramidę czarnej ziemi. Doleciał ich siarkowy smród prochowego dymu, niczym przedsmak nadchodzącego piekła.

—  
Cała Brygada zmierza w tym kierunku – ciągnął Raj. – Większość naszej piechoty udała się w górę rzeki, żeby zająć ich od flanki. Większość kawalerii wyjedzie przez zachodnią bramę i

weźmie ich z *tej* flanki.

—

Problem w tym – ciągnął, unosząc się lekko na palcach i opadając z powrotem – że tylko my pozostaliśmy, by ich powstrzymać, gdy to się będzie działo... i oczywiście reszta piechoty na murach.

Podniósł rękę i wskazał na wieże przy północnej bramie, z lewą dłonią spoczywającą na rękojeści szabli. – Pułkownik Staenbridge i kapitan Foley z kompanią Piątego utrzymują każdy swoją stronę bramy. Reszta z was – i ja – musimy powstrzymać tych, którzy przedrą się przez mury. Jeśli nam się uda, czeka nas zwycięstwo. Jeśli nie...

Zamilkł, z rękoma założonymi z tyłu i uśmiechnął się do półkola hardych, ciemnych twarzy. Sytuacja rysowała się całkiem poważnie, ale było niemal tak jak za dawnych czasów... pięć lat temu, gdy dowodził Piątym i niczym więcej.

– Jesteście, chłopaki, gotowe odwalić dzisiaj męską robotę? Odpowiedzią był nieartykułowany pomruk.

—

Piekło albo łup, psi bracia.

—

Przerzucicie się na przeciwpiechotne – rzuciłzwawo Barton Foley.

\* \* \*

Przedni szereg zastępu Brygadowców znajdował się w odległości jedynie trzech tysięcy metrów. Falisty teren złamał nieco ich szyk, lecz ich liczba była oszołamiająca. Było to gorsze niż stawianie czoła szarzy Eskadry w Południowych Terytoriach, bowiem ci barbarzyńcy nacierali w zupełnie nie barbarzyńskim, przyzwoitym porządku. Szereg na przedzie lśnił i pobłyskiwał; wyraźnie zadali sobie trud wypolerowania zbroi. Wił się na niskich wzniesieniach niczym olbrzymi metaliczny wąż. Pięćdziesiąt metrów za nim nadchodzili dragoni, maszerując z pochylonymi bagnetami karabinów. Barton dostrzegał teraz przy pomocy lornetki poszczególne twarze i znaki na flagach jednostek. Większość ciężkich dział znajdowała się daleko na tyłach, rozwalona przez działka polowe zamocowane na wieżach lub pozostawiona po tym, jak pociski zabiły ciągnące je woły. A jeszcze dalej z tyłu były kolumny ludzi wierzchem, może jakieś dziesięć tysięcy – gotowych do ruszenia szybko naprzód i wykorzystania wyłomu wszędzie wzdłuż linii frontu atakującej Brygady.

*Straszliwe niczym zastęp pod sztandarami*, pomyślał – był to fragment z *Kodeksów Upadku*; trochę staronameryjskiej retoryki. Sztandary nieprzyjaciela? łopotwały przed nimi na wietrze z północy. Wśród nich były setki kotłów; miarowy ryk niczym krew dudniąca ci w skroniach.

*POUMPF*. Działo na jego wieży wystrzeliło znowu. Dym poleciał prosto do przodu. Foley widział, jak pocisk wybucha nad przednim szeregiem żołnierzy Brygady, i usłyszał ostry, ohydny trzask. Ludzie padali, a kolejne wybuchy w powietrzu cięły przód nieprzyjacielskiej formacji. Działa wystrzeliły wzdłuż całej linii frontu, ale nie aż tyle, ile mogło być. Połowa siedemdziesiątekpiątek została zatrzymana z tyłu jako wsparcie kawalerii. Dobiegł bardziej głuchy odgłos nie gwintowanych

dział, gdy wypaliły mosiężne i żeliwne armaty wyciągnięte z magazynów w całej Starej Rezydencji, strzelając żelaznymi pociskami. Oficer skierował szkła, śledząc jeden pocisk, który wylądował za wcześniej, podskoczył w górę, a potem przetoczył się przez szereg nieprzyjaciela. Ludzie próbowali uskoczyć na bok albo się uchylić, ale szeregi były zbyt mocno upakowane. Pół tuzina legło, z rozwalonymi nogami i stopami oderwanymi w kostce.

*Szeregi zamknęły się znowu i ruszyły do przodu, nie zatrzymując się. Drabiny, które upadły, zostały znowu podniesione. Nie gwintowane działa były o wiele mniej skuteczne niż działa połowe Rządu Cywilnego i wolniej się je ładowało – ale na murach znajdowało się ich kilka setek. Ich kanonierzy byli jedynym milicjantami w tym sektorze, ale powinno się móc na nich polegać, gdy mieli bagnety regularnych w pobliżu nerek... Artyleria obrońców strzelała teraz bez przerwy, wyrzucając pióropusz brudnobiałego dymu przez mur ku miastu. Kilka oblężniczych dział Brygadowców wycelowało i strzelało nad głowami swoich żołnierzy. Jeszcze więcej ich lekkich, trzykilowych, mosiężnych działek skręcało, żeby wesprzeć ich z bliskiego zasięgu.*

Foley zignorował je. Oficer nabrał głębokiego szacunku wobec żołnierzy Brygady, ale z ich artylerią było tak jak ze skruceniem karku w kąpieli – mogło się zdarzyć, ale nie było to coś, czym się martwiłeś.

*Musieli już stracić dwa, trzy tysiące ludzi, pomyślał Foley.*

– Na Ducha, oni naprawdę chcą się z nami poznać – stwierdził. – Wiedziałem, że jestem przystojny, ale to jest śmieszne. – Porucznik obok niego zaśmiał się trochę nerwowo.

Karabiny najeżyły się na skraju wieży. Jeszcze więcej celowało z komnat pod jego stopami i wzdłuż murów po obu stronach. Armaty z miasta strzelały teraz kartaczami: zawiniątkami żelaznych kulek w sznurkowych sieciach. Pociski cięły nieprzyjaciela, który przeszedł do niezgrabnego truchtu. Wrogowie zbliżali się do najbardziej wysuniętego oznacznika, linii sięgających pasa piramid pobielonych kamieni – widocznie znaki do wyznaczania zasięgu nie były sztuczką znaną Brygadzie. Tysiąc metrów.

– Zaczekajcie – wyszeptał, a dźwięk ten zginął w dudniącym grzmocie kanonady.

Brygadowcy przeszli do biegu. Foley zmusił się, żeby zęby przestały mu zgrzytać. Dotknął łoża swojej strzelby-obrzyna przerzuconej przez plecy i poluzował pistolet w kaburze. Niezależnie od ceny, Brygada musiała zająć bramę, dlatego też na wieżach po obu stronach znajdowały się kompanie Piątego. Gerrin objął całkowite dowództwo na murach, a on musiał się tylko martwić o tę jedną wieżę oraz jakichś stu pięćdziesięciu ludzi na niej. Żołnierze klęczeli na parapetach, a pudełka z amunicją i ręcznymi bombami czekały otwarte w pewnych odstępach. Nie mógł nic innego zrobić...

– UPYARZ! UPYARZ!

Przedni szereg spieszonych lansjerów minął z łoskotem oznaczniki z pobielonych kamieni. Rakieta poszybowała w górę z wieży po drugiej stronie bramy i wybuchła obłoczkiem zielonego dymu.

– Teraz!

Wzdłuż murów setki oficerów wrzeszczało w antyfonicznym chórze: *fwego*. Wystrzeliły cztery

tysiące karabinów, potężne, odbijające się echem *BAAAAAAM*, głośniejsze nawet od dział. Nacierające szeregi ludzi w zbrojach zachwiały się, nagle wyglądały na postrzępione, gdy setki padały. Śmiertelnie zwiotczali albo wrzeszczący i miotający się ludzie; flagi także padały. Foley wstrzymał oddech. Jeśli się załamia...

– UPYARZ! UPYARZ!

Natarli, nadziewając się na zęby nie kończącego się uderzenia salw plutonów. A za nimi zatrzymał się pierwszy szereg dragonów. Długie lufy muszkietów uniosły się gwałtownie na ramiona jak falujące odnóża stonogi. Ich szeregi były głębokie na trzech ludzi, a było ich trzydzieści tysięcy.

– Za to, co zaraz otrzymamy...

Wszyscy na wieży pochylili się. Foley nie zawracał sobie tym głowy – stał bezpośrednio za blankami tak, że widać było tylko jego głowę.

*Dziesięć tysięcy pocisków*, pomyślał. Przedni szereg dragonów zniknął, gdy każdy muszkiet rzygnął długim na metr pióropuszem białawego dymu. *A mimo to musiałbyś mieć cholerne szczęście...*

Coś trzasnęło w powietrzu nad jego głową. Coś innego odbiło się od lufy armaty, gdy ta wspinała się po drewnianej rampie powodowana odrzutem, i wydało z siebie dźwięk *bzzzbzzz-bzzz*, odcinając przedramię kanoniera. Mężczyzna obrócił się w miejscu, tryskając krwią tętniczą.

–

Krępulec – rzucił Foley przez ramię. – Noszowi. Następny szereg dragonów Brygady potruczał przez dym, zatrzymał się i wystrzelił. A potem trzeci. Wtedy już pierwszy szereg przeładował.

–

Poruczniku – powiedział Foley, nieco podnosząc głos. Poziom hałasu wciąż rósł, jak zawsze, a starsi żołnierze byli zwykle nieco przygłusi. – Dopilnuj, żeby ludzie utrzymywali celowniki na tych z przodu.

Będzie gorąco. Szkoda, że nie ma tu Gerrina.

\* \* \*

–

Cholera – rzucił pogodnie, czytając sygnał z heliografu.

–

Ponie? – spytał Antin M'lewis.

Wyglądał nieco bardziej nerwowo niż zwykle, walka twarzą w twarz nie była zwykłym sposobem pracy Czterdziestu Złodziei, ale trzeba, gdy demony gonią.

– Zebrali prawdziwą rezerwę – rzucił z zamyśleniem Raj.

Ktoś tam miał dosyć władzy, by panować nad tymi gorącymi głowami z obsesją honoru, i

wystarczająco dużo rozsądku, aby trzymać na tyłach mocne siły w celu wykorzystania ich w przełomowej chwili. Dym prochowy unosił się w obłokach nad murami. Raj żałował teraz, że mury nie były wyższe – nawet z fosą, w większości miejsc nie wznosiły się wyżej niż dziesięć albo piętnaście metrów.

– Nie mogę wysłać tam Ludwiga, dopóki oni nie poświęcą rezerwy – wyjaśnił Raj. M’lewis nie był wykształconym człowiekiem, ale me był głupi. – Dwadzieścia tysięcy trzymany na tyłach to za dużo dla nich i są o wiele za mobilni. Musimy wciągnąć ich w bitwę, zanim będziemy mogli uderzyć w nich od tyłu.

M’lewis wciągnął oddech. – Ryzykowny moment, ponie – rzekł.

Raj skinął głową. – Pięć minut to różnica pomiędzy bohaterem a kozłem ofiarnym – zgodził się.

Przykłusował goniec i nachylił się, żeby wręczyć Rajowi wiadomość.

Napór silniejszy niż się spodziewaliśmy, przeczytał. Atak piechoty zostanie opóźniony. Natarcie nastąpi tak prędko, jak się da, z siłami w przyczółku mostowym. Jorg Menyez, pułkownik.

– Jakże wspaniale – wymruczał Raj. Wsadził wiadomość do kurtki. Ostatnią rzeczą, jakiej ludzie potrzebowali, było oglądanie naczelnego dowódcy rzucającego wiadomości na ziemię i deptanie ich. – Jakże wspaniale.

\* \* \*

–  
Będziemy postępować zgodnie z planem – rzucił stanowczo Jorg Menyez.

–  
Panie – zaczął jeden z dowódców batalionu piechoty.

–  
Wiem, majorze Huarezie – rzekł Jorg.

Skinął głową ku rzece. Ostatni z batalionów Huareza gramolił się z łodzi, ale to dawało im tylko sześć batalionów na brzegu – mniej niż pięć tysięcy ludzi. Reszta była rozrzucona wzdłuż rzeki wraz z marynarzami oraz piechotą morską u wiosła.

– Komandorze Lopeyzie – powiedział Menyez. – Zostawiam cię tutaj jako dowodzącego. Odeślij parowce z powrotem po resztę sił. – Wiosłowanie okazało się być mniej praktyczne, niż myśleli, sądząc po testach przeprowadzonych na małych grupach. Szybkość była po prostu zbyt nierówna. – Zbierz ich tutaj. Jak tylko trzy czwarte wyląduje, pozostali mają szybko nacierać, żeby mnie wesprzeć. Zwróć uwagę, że żadne usprawiedliwienia nie będą przyjmowane.

Tłumaczenie: *każdy, kto się wstrzyma, pójdzie pod ścianę.* Oczywiście, jeśli plan się nie powiedzie, to i tak wszyscy będą martwi, ale nie zaszkodzi, gdy będzie to całkowicie jasne.

Zaczerpnął głęboki oddech zimnego powietrza świtu. Jakiś kilometr stąd ku wschodowi ukryte były mury Starej Rezydencji, ale dostatecznie dobrze słyszeli zmasowany ogień karabinów i dział. Unosiła się nad nimi mglista chmura, jakby miasto już płonęło... A w dole znajdowało się to, czym dysponował. Kilka tysięcy piechurów, oficjalnie drugoliniowi żołnierze. Wyrobnicy w mundurach, dowodzeni przez nieudaczników, młodszych synów bardzo pomniejszej szlachty. Przed nimi znajdowało się osiemdziesiąt tysięcy wojowników Brygady.

–  
Towarzysze żołnierze – powiedział, podnosząc głos tak, żeby się niósł. Cokolwiek powie, zostanie powtórzone w szeregach. Odpowiednio zniekształcone, więc trzeba mówić prosto.

–  
Messer Raj i nasi towarzysze nas potrzebują – powiedział. – Jeśli dostaniemy się tam na czas, wygramy. Za mną.

Odwrócił się, a jego chorąży i sygnaliści ustawili się za nim. Normalnie oficerowie na poziomie kompanii i wyżej byli wierzchem, ale tym razem szli piechotą. – Bataliony kolumnami, po pięciu w szeregu – powiedział. – Truchtem.

Stanowiska Brygady na klifie były zniszczone i puste, ale *ktoś* tam będzie. Ktoś, kto zamelduje.

–  
*Hadelande!* – rzucił i ruszył ku odgłosowi dział.

\* \* \*

–  
Za mną! – zawołał Raj.

Dotknął piętami boków Horace’a. Trąbka zagrała cztery metaliczne nuty, a kolumna przeszła do truchtu. Dotknął lekko wodzy, by pies trzymał się tempa pieszych ludzi za nim. Mgła czarnego dymu prochowego była gęsta. Przypominało to bieg przez ciężki opar śmierdzący płonąca siarką. Mur po prawej był niemalże skryty przez nią mimo jasnego słońca, a wieże wylaniały się jak wyspy. Dźwięk był niczym potężne fale – ciągły trzask karabinowego ognia w tle grzmiących dział. Zabrzmiał głośniejszy *krak*, gdy czterdziestokilowa kula armatnia uderzyła o blanki, odłupując kawałki kamienia i rozszarpując ludzi.

Po oczyszczonej strefie za murami poruszali się gońcy i karetki. Teraz zobaczyli biegnących ludzi, rannych i nie. Uciekinierzy zatrzymali się gwałtownie, gdy zobaczyli sztandar Rozbłysku Gwiazd i Raja pod nim; a przynajmniej wszyscy rozpoznali Horace'a.

– Lepiej, żebyście dołączyli z powrotem do swojej jednostki – powiedział Raj. Zachwiali się, odwrócili i zaczęli gramolić z powrotem na kopiec ziemi wewnątrz murów.

Raj otworzył pudełko przy łęku siodła, uspokajając zdenerwowanego psa słowem, gdy pocisk świsnął nad głową i wybuchł pośród najbardziej wysuniętego rzędu domów z tyłu. Whitehall przez lornetkę widział nierówne końce sosnowych belek oblężniczych drabin, opartych o mur, i piechurów rozpaczliwie starających się zepchnąć je czubkami swoich bagnetów. Każdy z obrońców, którego głowa znajdowała się ponad kamiennymi fortyfikacjami przez dłużej niż sekundę albo dwie, przewracał się do tyłu. Na ziemnym szańcu musiało leżeć czterdzieści albo pięćdziesiąt odzianych na niebiesko ciał, większość z nich trafiona w głowę lub w szyję. Obrońcy wyciągali zawleczone ręczne bomby, po czym przerzucali bomby przez mur. Jeszcze więcej spadało deszczem z wież sto metrów po bokach, ciskanych ręcznie lub z umocowanych na czopie kusz.

Kolejny tuzin drabin oblężniczych powędrował w górę, gdy jeszcze dym i błyski czerwonego światła ponad parapetem pokazywały miejsce, gdzie lądowały bomby pośród ludzi upakowanych w błocie fosy i czekających na swoją kolej w natarciu.

–  
Ruszać – powiedział Raj. Zaśpiewała trąbka i Piąty zwrócił się w prawo podwójnym szeregiem, z jednym szeregiem klęczącym, a jednym stojącym za nim. Rozbrzmiał zgrzytliwy dźwięk, gdy ładowali swoją broń. – I nasadzić bagnety. – Dzisiaj do tego dojdzie.

– Kapitanie, czy te jazgoczące działka mogą stąd strzelać?

–  
Ledwo co, panie – stwierdził artylerzysta. Wielolufowa broń postawiona była pięćdziesiąt metrów za linią ognia, która znajdowała się w takiej samej odległości od murów. Załogi kręciły podnoszącymi śrubami, aż lufy przypominające plaster miodu maksymalnie się podniosły.

Raj dobył szabli i uniósł ją. Kule, które krzesaly iskry i odłupywały odłamki wzdłuż całego parapetu znajdującego się pod natarciem, przestały nadlatywać, gdy hełmy Brygadowców ukazały się nad skrajem, przeszkadzając wsparciu ogniowemu swoich towarzyszy. Żołnierze Rządu Cywilnego podnieśli się, strzelając prosto w dół. Pierwsza fala Brygadowców wspinała się z dobytymi pistoletami. W wymianie ognia z bliskiej odległości jednostrzałowe karabiny nie mogły się równać z rewolwerami. Dym przykrył walczących, gdy opróżniono kilkadziesiąt pięciostrzałowych bębenków. W parę sekund później zabrzmiał niemelodyjny brzęk stali uderzającej o stal, gdy na parapecie zaroilo się od dziesiątków barbarzyńców; miecz przeciwko bagnetowi.

– Czekajcie.

W jednej chwili platforma strzelnicza w górze pełna była żołnierzy w niebieskich mundurach i wojowników w stalowych napierśnikach, dżgających, strzelających z bliskiej odległości i wymachujących karabinami niczym pałkami. A w następnej znajdowali się na niej tylko Brygadowcy, a obrońcy zeskakiwali z krawędzi na miękką ziemię rampy poniżej albo wycofali się do drzwi wieży.

Zamachano tryumfalnie sztandarem z podwójną błyskawicą Brygady.

– *Fwego!* – Szabla Raja poleciała w dół.

*BAM*. A potem *BAM-BAM-BAM-BAM*, ostre salwy plutonów ozwały się wzdłuż szeregu. Jazgoczące działka czterokrotnie powtórzyły długie *braaaaap*.

Czas zatrzymał się gwałtownie. Na platformie bojowej na murze znajdowały się setki ściśniętych Brygadowców, a większość z nich nie wiedziała nawet, skąd nadleciały zabijające ich kule. Wielu patrzyło w przeciwną stronę, machając do towarzyszy w dole, albo wciągało drabiny, żeby spuścić je z murów. Cały szereg drabin zatrząsł się, a dziesiątki ich wypadały z rąk i spadały w dół, lądując z wstrząsającą siłą. Niektórzy żołnierze Rządu Cywilnego, którzy zeskoczyli w dół, wciąż się posuwali; rampa stanowiła miękką, nie ubitą ziemię i groziła tylko zadrapaniami, ale gdy miało się na sobie trzydzieści kilogramów stali, to była zupełnie inna sprawa.

Połowa sił nieprzyjaciela wciąż była na nogach, mimo iż jazgoczące działka wybijały czterometrowe dziury w zwartych szeregach. Kilku nieprzyjaciół miało czas, żeby wypalić z rewolwerów albo rozpocząć żmudną robotę ładowania muszkietów – było to równie jałowe co plucie, ale Raj podziwiał ich ducha – zanim uderzyły w nich kolejne trzaskające salwy. Jazgoczące działka zmieniły kierunek, wyrzucając swoje ładunki z mechaniczną precyzją.

– Przerwać ogień – rzucił Raj. – Tylko strzelcy wyborowi.

Zapadła cisza, gdy warknęły trąbki. Najlepsi strzelcy w każdym oddziale wystąpili krok do przodu i zaczęli powolne strzały niezależnego ognia w stronę każdego, kto był na tyle niemądry, żeby wspiąć się na drabinę i wychylić głowę ponad parapetem. Żołnierze Rządu Cywilnego w wieżach po obu stronach wyłomu krzyczeli radośnie, strzelając i spuszczać ręczne bomby. Oznaczało to, że nieprzyjaciel wycofywał się spod podnóża murów, choć grzmiący ryk trwał gdzieś indziej. Niesamowite było to, że kilku piechurów, którzy stoczyli się z bojowej platformy, stanęło na nogi i formowało szereg strzelców u dołu ziemnej rampy. Raj pchnął Horace'a do przodu. Młody oficer, kuśtykając, prowadził zaimprovizowany oddział zdolnych do chodzenia rannych, poganiając ludzi z zastygłymi od bitewnego szoku twarzami do ustawienia się w szeregu, uderzając ich po ramionach płazem szabli. Oto był ktoś, kto także miał właściwe odruchy.

– Poruczniku – powiedział Raj.

Musiał dwukrotnie powtórzyć rozkaz, zanim młodzieniec usłyszał. Kiedy się odwrócił, wpatrywał się szeroko rozwartymi oczami, a źrenica połknęła tęczę.

– Przerwać ogień, poruczniku.

– Ci, mi heneral.

Dobra robota, synu. – Młodszy mężczyzna zamrugał. – A teraz zaprowadź ich z powrotem tam na górę. Każdego, kto może strzelać.



Z powrotem na górę? – Porucznik drżał nieco, odreagowując. Spojrzał na ziemną rampę w górze, usianą ciałami nieprzyjaciół, czasami leżącymi na sobie. A także sporą liczbą ciał w niebiesko-bordowych mundurach. Jakiś żołnierz czołgał się w dół po drewnianych schodach, wznoszących się od płaskiej oczyszczonej strefy do szańców, pozostawiając po sobie lśniący ślad.

– Z powrotem na górę – powiedział Raj. Napisał rozkaz w swoim notatniku na wiadomości i wydarł stronę. – Zanieś to dowódcy swojego batalionu.

Nakazywał mu rozstawić żołnierzy tak, żeby zakryć lukę. Pewnie nie było to konieczne, ale ostrożność nigdy nie wadziła. Już trochę strzelców z wież na górze rozbiegało się po szańcu, strzelając do nieprzyjaciół albo zrzucając ciała w dół do fosy – odpowiednie miejsce dla nich, niech Brygadowcy się napatrzą.

– Zabieraj się za to, chłopcze.

Jeździec-goniec zatrzymał się, wzbijając fontannę żwiru. – Ponie – powiedział, wyciągając notatkę ze swojej rękawicy.

Napisano w niej: Około dziesięciu tysięcy rezerwy nieprzyjaciela wierzchem posuwa się na wschód z artylerią. Pozostałe dziesięć tysięcy spieszone, przygotowuje się do natarcia na mur na południowym wschodzie. Gerrin Staenbridge, pułkownik.

– Cóż, a więc to tak – wymruczał Raj. – Ustne potwierdzenie, kapralu.

Kolejny goniec, ten pieszo. – Panie, barbarzyńcy na murach, cztery wieże na wschodzie – sektor piechoty z Melagi. Major Filipсын mówi, że za minutę go pokonają.

– Prowadź – odparł Raj.

– Goniec – ciągnął, gdy grupa dowodząca pojechała z powrotem do czekających szeregów Piątego. – Do majora Bellamy'ego. *Teraz.*

Nieprzyjaciel miał dziesięć tysięcy ludzi w rezerwie do wykorzystania przy dokonaniu przełomu. Raj miał jakieś sześć setek do zatkania dziur.

\* \* \*

– Bataliony, uformować kwadrat – powiedział Jorg Menyez. Trębacze dyszeli tak jak i cała reszta – przebiegli truchtem ponad kilometr, od samego brzegu rzeki, przez nasypy kolejowe, skręcając na północ i zachód, aż niemal dostrzegali wschodnią bramę Starej Rezydencji. Mimo to udało im się odegrać skomplikowane wezwanie, powtarzając je, aż wszystkie inne jednostki je potwierdziły. Ostatnia, przedłużona, pojedyncza nuta oznaczała: *wykonać.*

17 Piechoty z Kelden znajdował się na czele. Oddzielił się od kolumny batalionu, ustawiając się jak otwierający się wachlarz. Tak samo zrobił 55 Karabinierów z Santander na tyłach. Jednostki po obu bokach przetasowały się jak talia kart, kolumna głęboka na ośmiu ludzi zwięzła się do o wiele dłuższej dwójkowej kolumny. Pięć minut i to, co było zwartym skupiskiem prostokątów szerokich na osiem rzędów i długich na jakichś sześćdziesiąt, wyglądało jak rozkładające się pudełko, rozciągając

się, aż stanowiło prostokąt długi na trzystu ludzi z każdej strony. Piąty batalion pozostał w środku jako rezerwa.

*Teraz właśnie zobaczymy, czy uda im się to zrobić*, pomyślał Menyez. Usta miał zaciśnięte w wąską linię.

Tego rodzaju robota należała do kawalerii. Piechota zajmowała się utrzymywaniem baz i linii komunikacyjnych. Wystarczająco często powtarzał, że to był zły pomysł. A teraz miał okazję to udowodnić... albo zginąć. A co gorsza, mógł zginąć cały Korpus Ekspedycyjny.

Omiótł lornetką przód formacji wroga, licząc sztandary. Powietrze było bardzo czyste, rześkie i świeże w jego płucach, pachnące tylko wilgotną ziemią. Miasto było kolumną prochowego dymu, wznoszącą się i unoszącą ku południowi. Połyskująca, posuwająca się stal znajdowała się o wiele bliżej, falując, gdy nieprzyjaciel jechał po pofałdowanych polach, skręcając, gdy odbijał, by ominąć gaj oliwkowy.

– Jest ich około dziesięć tysięcy, nie sądzisz? – odezwał się do swego przybocznego.

Osiem do dwunastu – odparł mężczyzna. – Trzy regimenty lansjerów, reszta to dragoni i trzynaście... nie, szesnaście dział.

Goniec – powiedział Menyez. – Do wszystkich dowódców batalionów. Strzelać plutonami w każde nieprzyjacielskie działo przygotowujące się do odpalenia, w odległości tysiąca metrów albo mniejszej.

Był to maksymalny zasięg dla trzykilowych, nie gwintowanych dział z brązu, jakimi posługiwał się nieprzyjaciel, a także zasięg odpowiedni dla zmasowanego ognia karabinów ze zbrojowni. Nie było tu żadnej artylerii, *żeby jego wesprzeć*, niech to diabli. Kilka szrapneli to byłoby to, co odebrałoby impet szarzy lansjerów Brygady.

– Reszta standardowe ustawienia jak dla: *odparcie kawalerii*.

*Los h'esti adala cwik* – powiedział jego przyboczny, gdy goniec odjechał kłusem: *spiesz się*. Brygadowcy nacierali mocnym kłusem i wyglądało na to, że dragoni zamierzali podjechać całkiem blisko, zanim zjedą z siodeł.

Proś mnie o wszystko, tylko nie o czas, jak mawia messer Raj – rzucił Menyez, odchrząkując. To była jedyna dobra rzecz w walce piechotą. Wciągnął głęboki oddech, wreszcie nie świszczący. Przynajmniej w pobliżu nie było żadnych *psów*, nie na tyle blisko, żeby mu zaszkodziły.

Pewnie najpierw zaatakują róg – ciągnął dalej. Była to najbardziej narażona na atak część kwadratu piechoty, tam, gdzie mogła strzelać najmniejsza liczba karabinów. – *Rzeczywiście*, wygląda na to, że im się spieszy.

Szeregowy Minatelli nie uświadamiał sobie, że słyszy trąbki. Jednakże jego stopy były gotowe wykonać rozkaz, gdy ten został przekazany jego plutonowi; *leżeć i klęczeć*.

Ludzie przed nim padli na dół, układając ciała w jodełkę. Przypadł na lewe kolano, czując, jak zimna, wilgotna ziemia przemacza wełnianą tkaninę mundurowych spodni. To była winnica do momentu, gdy ktoś nie ściał winorośli na opał, a porąbane kikuty korzeni wciąż wystawały z kamienistego iłu pośród chwastów. Teraz, gdy się zatrzymali, słyszał bitwę rozgrywającą się na miejskich murach; huk i brzęk stłumione przez odległość i podszyte rykiem głosów niczym szumem fal.

Nacierający na niego Brygadowcy znajdowali się o wiele bliżej. Skryci przez zagłębienie w ziemi, ale widział groty ich lanc. Wyglądało na to, że było ich całe mnóstwo...

*Wszystkowiedzący Duchu Człowieka*, pomyślał, gdy wpłynęli na szczyt wzniesienia jak fala przyływu. Były ich *tysiące*; wielcy mężczyźni w zbrojach na ogromnych nowofunlandach i bernardynach. Gnali z łoskotem w doskonałym szyku z uniesionymi lancami, w szeregu głębokim na trzech, podążając prosto do przedniego prawego rogu kwadratu. Prosto na *niego*. Odległość tysiąca pięciuset metrów, o wiele za blisko. Zbliżali się z każdą sekundą. Wydawało mu się, że jego karabin sam się uniósł, a położenie go z powrotem na ziemi wymagało wysiłku, od którego trzęsły mu się ręce.

– Nastawcie celowniki na czterysta metrów.

Rozkaz został przekazany dalej w szeregu. Minatelli przesunął kciukiem do przodu żłobiony suwak pod tylnym celownikiem, unosząc podziałkę szczerbinki tak, że znalazła się na przedostatniej pozycji; żeby było więcej, trzeba było unieść go pionowo i posłużyć się jak drabinkowym celownikiem. Mimo to czterysta metrów wydawało się być strasznie blisko.

– Na rozkaz, pal.

Za nim dudniły stopy. Obejrzał się na chwilę za siebie. Dwie kompanie batalionu rezerwowego ustawiały się w literę V zgodnie z rogiem kwadratu. Minatelli miał nadzieję, iż żaden z nich nie wystrzeli zbyt nisko – nawet na stojąco lufy będą się znajdować jedynie pół metra ponad jego głowę. Gdy odwrócił głowę z powrotem, Brygadowcy znajdowali się na tyle blisko, że zrobiło mu się jeszcze bardziej sucho w ustach. Nabierali szybkości. Zamierzali rozpocząć swój galop przy ekstremalnym zasięgu karabinów, przedostać się przez strefę śmierci tak szybko, jak się da. Słyszał uderzenia masy łap niczym bicie bębna, czuł, jak wibruje ziemia. Zbroje mieli wypolerowane do jasnego połysku, w świetle słonecznym wczesnego poranka bolały go oczy. Sztandary i pióropusze na hełmach powiewały na wietrze wywołanym pędem jeźdźców, długie groty lanc pobłyskiwały, ustawiając się w gotowości.

UPYARZ!

Czekajcie.

Oficer był nieludzko spokojny. Minatelli zaczerpnął głęboki oddech i wypuścił go powoli. Jeśli spudłuje, to będzie na niego nacierał jeszcze jeden szpikulec na sauroidy. Kolejny oddech.

– Cel.

Karabin powędrował w górę, a kolba oparła się o ramię. Pozwól, żeby ciężar bagnetu opuścił go lekko, celuj w łapę psa. Ignoruj otwarte paszcze z obnażonymi zębami.

– *Pal!*

*BAM.* Młot walący go w ramię. I trzask, gdy setki kul przeleciały mu nad głową. Przeładuj. Śmiercionośne piękno szarzy lansjerów rozpadało się, psy padały, a ludzie wylatywali łukiem łamiącym karki. *BAM* i jeszcze więcej ich leżało. Nastaw celownik. *BAM.* Nacierający posuwali się do przodu blokami i grupkami, wpadając na siebie tam, gdzie galopujące psy nie miały dość czasu, żeby ominąć martwych i rannych – ciężkie psy z ludźmi w zbrojach na swoich grzbietach nie były takie znowu zwinne. *BAM* i sztandar Brygady padł, a lansjer upuścił swoją broń i wychylił się, by podnieść ją z ziemi. *BAM* i jego ciało poleciało przez łęk siodła. Ten ruch musiał przyciągnąć kilkadziesiąt par oczu piechurów.

Dzięki niech będą *Duchowi* za mocny wiatr unoszący dym prochowy, inaczej do tej pory strzelałby już na ślepo we mgłę.

*BAM.* Metal komory, dotykający odcisku na jego kciuku, był gorący, gdy wpychał kolejny pocisk. Odrzut był jeszcze gorszy, karabin uderzał cię mocniej, kiedy lufa zaczynała się zanieczyszczać. Psy warczały; dźwięk budzący najgorszy strach na świecie, kły długie niczym sztylety, zbliżające się ku jego twarzy. Groty lanc bardzo blisko...

BAM. BAM. BAM.

\* \* \*

– Do tyłu i czekać! – Rzucił dowódca kompanii.

*Niech to Duch pochłonie, gdzie są Jorg i Ludwig?* – pomyślał Raj.

Znajdujący się dalej na ulicy Brygadowcy zatrzymali się, widząc zaimprovizowaną barykadę z przewróconych wozów i stołów. Była to mieszana grupa, spieszeni lansjerzy i dragoni...

A potem jakiś oficer krzyknął i natarli, biegnąc z łomotem po bruku z wymierzonymi muszkietami. Pewnie planowali zachować strzały na ostatnią chwilą. Nie była to dobra decyzja, ale w tej sytuacji takich nie było.

A także w jego sytuacji, teraz, gdy wróg przeszedł przez mury.

– Wybierajcie swoje cele i niech to ma sens – powiedział kapitan. Barykada najeżyła się karabinami. – Teraz!

Huknęła salwa, a hałas odbił się od budynków z zamkniętymi okiennicami po obu stronach ulicy. Z odległości mniejszej niż sto metrów, gdy Brygadowcy wciśnięci byli w ulicę szeroką jedynie na tyle, by pozwolić wyminąć się dwóm wozom, prawie każda kula trafiała do celu. Ludzie padali, zwaleni z nóg przez ciężkie kule. Ci, którzy przeżyli, zatrzymali się, aby odpowiedzieć ogniem,

skrywając chaos panujący na czele ich kolumny zasłoną z prochowego dymu. Strzeliły w nich jazgoczące działka z budynków po obu stronach barykady, biorąc całą ulicę w morderczy krzyżowy ogień skrzydłowy, aż do oczyszczonej strefy wewnątrz murów. *Braaaaap* rozbrzmiewało raz po raz.

*Niech mnie diabli wezmą, jeśli lubią te rzeczy*, pomyślał Raj, gdy dym nieco się podniósł. Droga z przodu pokryta była ciałami, wiele wciąż się ruszało. Jazgoczące działka były z pewnością skuteczne, ale czyniły całą sprawę zbyt mechaniczną jak na jego gust.

>>Nie musisz się martwić.<< W głosie pobrzmiwała chłodna ironia. >>Jeśli tutaj zawiedziesz, ludzie będą polować przy pomocy kamieni łupanych, zanim zaczniesz kolejny cykl zwyżkujący.<<

*Czy powiedziałem, że nie będę się nimi posługiwać?* – pomyślał.

Jak na razie to tyle – ciągnął na głos. – Wkrótce wrócę. Zanurkował do zarekwirowanego domu, którego używali jako wysuniętą kwaterę główną. Jego ostrogi brzęczały na drewnianych deskach, gdy wspinał się schodami na drugie piętro.

Wciąż się nie rozłążą, ponie – rzucił znajdujący się tam straszy sierżant, pokazując palcem, nie opuszczając lornetki.

Raj wystawił swoją własną lornetkę przez okno. Brygadowcy przeszli przez mur w trzech miejscach, a ich liczba sprawiała, że ścisnęło go w żołądku. Obrońcy na wieżach wciąż się trzymali, ostrzeliwując odcinki muru zajęte przez wroga. Mimo to, coraz więcej barbarzyńców przechodziło przez mur, zrzucali sznury z supłami i zsuwały drabiny na ziemną rampę podpierającą mur. Jedyne dobre wieści to takie, że wyglądało na to, iż nie wiedzieli, co zrobić, jak już się przez niego przedostali. Większość z nich kręciła się, odpowiadając wieżom ogniem. Jakiś tysiąc nacierał prosto na domy, gdzie schronił się Piąty, stając i prowadząc wymianę ognia ze strzelcami ukrytymi w drzwiach, oknach i za murem ogrodu.

Stwierdził, iż prawdopodobnie stanowią mieszaną z kilkunastu jednostek, a więc żaden starszy oficer nie przedostał się jeszcze przez mury. Mnóstwo agresji – można się było tego spodziewać po ludziach, którzy wciąż nadchodzili przez strefę śmierci, fosę i mury – ale nikt nimi nie kierował.

Zmieniło się to w trakcie, gdy się przyglądał. Nowy sztandar wzniósł się na murach, a on usłyszał ryk Brygadowców. Biegący pies bojowy, czerwony na czarnym tle, na srebrnym W. Herb Teodorę Welfa.

*Powinni poszerzać wylom i zająć bramę od tyłu*, pomyślał Raj. *Gdy zajmą bramę, miasto będzie skazane na zgubę. Welf jest sprytny. Ależ drugiej strony jest także młody...*

– Przynieść mój własny sztandar – rzucił przez ramię. Sięgnął za siebie, żeby wziąć drzewce, a potem zamrugał, zobaczywszy, że to Suzette mu je wręczała.

– Postawiłam chorążego w szeregu strzelców – powiedziała.

Karabin, który miała przerzucony przez ramię, zastukał o wypolerowane drewno kija. Raj przełknął ślinę i skinął głową, zanim wysunął drzewce przez okno saloniku i potrząsnął nim,

rozwijając ciężki jedwab. Ten skręcał się i syczał, łopocząc na wietrze i turkocząc – latający sauroid wyklejony złotymi łuskami na szkarłatnym jedwabiu, ze srebrnym Rozbłyskiem Gwiazd w tle.

Miotła nim mocny wiatr, a potem wydał go w bok. Raj się schylił i pociągnął za sobą Suzette, gdy kule podziurawiły wapienną kostkę wokół okna.

– Nie sędzę, żeby Whitehallowie byli tu zbyt popularni – powiedział.

– Prowincjusze – odparła Suzette rzeczowym tonem ze Wschodniej Rezydencji, zaokrąglając samogłoski. – Czego się można spodziewać.

– Ja sam jestem małą z dziczy – Raj odpowiedział na jej uśmiech, odpychając od siebie świadomość tego, co ciężkie, roztrzaskujące kości kule z nieprzyjacielskich muszkietów mogły zrobić z ludzkim ciałem. Na przykład z jej ciałem.

Zamiast myśleć o tym, przeszedł skulony pod linią okien do jednego z rogów i wyjrzał na zewnątrz. Bezkształtny tłum awangardy Brygady przekształcał się w coś przypominającego formację. Teraz sztandar Welfa znajdował się w dole wraz z nimi, a on i wierni mu ludzie – pewnie skrzyżowanie gromady wojów i prawdziwego sztabu – popychali resztę oraz pojedynczych ludzi, którzy przeżyli natarcie i powitanie zgotowane przez Piąty, do utworzenia szyku i poszukania osłony, choćby w postaci spiętrzonych ciał porozrzucanych w skupiskach na szerokim łuku w kształcie litery C, stanowiącym zajętą przez nich oczyszczoną strefę. Jak tylko im się to udało, ruszyli do przodu... prosto ku jego kwaterze głównej.

*Niebezpieczeństwa reputacji*, stwierdził sucho w myślach. Teodorę miał do niego osobistą złość, a także pewnie martwił się zostawieniem Raja na swoich tyłach.

– Goniec – rzucił ostro. – Pozdrowienia dla kapitana Heronimo, natychmiast przemieścić wszystkie jazgoczące działka do przodu. – Suzette wręczyła mu szklanę i opadła obok niego, opierając się o mur; spragniony, napił się wody.

– Młody Teodorę to sprytny chłopaczek – rzucił z roztargnieniem. Ogień skierowany w stronę domów narastał, stawał się bardziej regularny. – Ale popełnia błąd. Powinien zostawić blokujące siły i zdobyć więcej murów, ruszyć na bramy.

Suzette dotknęła go lekko w kolano. – Czy możemy ich powstrzymać?

– Nie na długo – powiedział. – Wcale nie na długo.

\* \* \*

– Wasza Znamienitość – odezwał się kurier, wypluwszy wodze spomiędzy zębów.

W jednej ręce trzymał pistolet, a w drugiej złożoną wiadomość. Jego pies stał na drżących nogach, a jęzor wielkości ścierki dyndał mu, gdy zwierzę dyszało.

– Melduj – powiedział Ingreid Manfrond. Howyrd Carstens . wziął papier.

–  
Władco Ludzi – rzekł jeździec-goniec – nadbrygadier Asmoto melduje, że nie udało nam się złamać ich kwadratu – naciera, powoli. Jeszcze więcej piechoty nadchodzi znad rzeki, maszerując w kwadracie. Znowu mniej więcej tyle samo ludzi, ale rozciągniętych w pół tuzinie grup. Nadbrygadier domaga się więcej żołnierzy.

–  
Nie! – ryknął Manfrond. – Powiedz mu, żeby *ich zatrzymał*. Na Ducha, to tylko piechota. Jedź!

Mężczyzna zamrugał, patrząc na niego oczami wyczernionymi z ubrudzonej ziemią twarzy, i zawrócił psa, bijąc piętami z ostrogami w jego boki. Zwierzak wydał z siebie przeciągłe wycie i ruszył kłusem.

Przygalopował i zatrzymał się kolejny jeździec, a jego pies przysiadł na tylnych łapach, żeby wyhamować. – Od dziedzicznego pułkownika Flekera, przy wschodniej bramie. Wypad.

– Ilu? – warknął Manfrond.

–  
Wciąż wyjeżdżają, Wasza Znamienitość. Tysiące, tylko żołnierze wierzchem – i działa, dużo dział. Przebili się przez nas.

Władca Brygady opadł w siodle, pomrukując, jakby go walnięto w brzuch. Znajdujący się obok niego Howyrd Carstens odkrył swoją lunetę i spojrzał ku południowemu wschodowi. Byli na wzniesieniu, kilometr na północ od miejsca, gdzie natarcie przedostało się przez fortyfikacje obronne. Działania na zachodzie były w większości skryte za widocznymi, wznoszącymi się zasłonami prochowego dymu, ale dostrzegali północno-wschodni węgiel miejskich murów.

–  
*Mówiłem ci, że mury były, cholera, zbyt łatwe – wychrypiał. – Oto nadchodzą, z działami i ze wszystkim.*

Ingreid pochwycił instrument, przekręcając ogniskową tak mocno, że jego grube palce zrobiły wgłębienia w cienkim mosiądzu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, byli rozpierzchający się żołnierze Brygadowców, cienka linia dragonów wierzchem. Część z nich strzelała do tyłu z rewolwerów. A potem wyłoniło się czoło kolumny żołnierzy nieprzyjaciela. Ci posuwali się w doskonałym szyku powolnym galopem. Widać było jakieś pół regimentu – nazywali to batalionem – a potem bateria czterech dział, a potem jeszcze więcej żołnierzy...

–  
Poślij wiadomość do Teodore, żeby się teraz wycofał – powiedział Carstens. – Ja zorganizuję flankę.

–  
Wycofać? – Luneta pogięła się w dłoniach Ingreida, a jego ogorzała, czerwona twarz posiniała.  
– Wycofać się, kiedy *wygraliśmy*?

—  
Co wygraliśmy? – ryknął Carstens. – Nasze siły są rozbite na trzy strony, tysiące znajdują się po drugiej stronie tego cholernego *muru*, nie mamy żadnej bramy, a osiem tysięcy wrogów wyjeżdża, żeby nas zmiażdżyć, kiedy my spoglądamy w innym kierunku!

—  
Zamknij się albo skoszę cię tam, gdzie stoisz! – ryknął Ingreid. – Jedź tam i powstrzymaj ich, a w tym czasie Welf wykończy Whitehalla.

Carstens wpatrzył się w niego z niedowierzaniem, a potem spojrzął w dół wzgórza.

Główna część sił Brygady – sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt tysięcy ludzi – była przyciśnięta do ściany północnych murów Starej Rezydencji, z tego, co widział przez dym. Większość ludzi strzelała ku murom i wieżom – ci, którzy nie umierali w fosie. Przeorywała ich artyleria i tysiące karabinów. Na części murów panowała cisza, znajdowały się w rękach Brygady... tylko że wieże wciąż się trzymały. W północnej bramie panowała jedna, kolosalna bijatyka, a fosa *zapełniła* się ciałami. Spojrzał na siły wroga. Nieprzyjacielscy żołnierze już skręcali ku zachodowi, a ich czoło znajdowało się na północ od głównych sił Brygady pod murami. Carstens mógł odegrać w myślach to, co stanie się dalej, nawet się nie starając. Działa – musiało być ich z pięćdziesiąt – ustawiały się w szeregu, a kawaleria cywilniaków formowała się w łuk niczym kosa.

—  
Zabierz stamtąd Teodorę, ty głupcze – powiedział. – Ja spróbuję spowolnić odwrót.

\* \* \*

—  
UPYARZ!

Raj podniósł się i strzelił Brygadowcowi w twarz. Ten zleciał z drabiny, ale mężczyzna pod nim wsadził swój trzymany jedną ręką muszkiet przez okno tak, że wystawał spod framugi. Raj poczuł, jak czas zamarł, gdy on starał się obrócić swoją broń trzymaną w lewej ręce. Whitehall widział, jak palec barbarzyńcy zaciska się na spuście i wtedy coś gorącego przemknęło mu koło żeber po prawej. Karabinek Suzette strzelający tak blisko za nim, że proch opalił mu kurtkę.

Brygadowiec wrzasnął i poleciał drgając w tył, a jego kula śmignęła, odbijając się od twardego kamienia murów. Suzette postąpiła do przodu ze spokojnym i niewzruszonym wyrazem twarzy. Wychyliła się i wystrzeliła sześć razy, naciskając spust powtarzalnego karabinka z gładką efektywnością. Za nią starszy sierżant wyciągał zapalnik ciemny w ręcznej bombie; odsunął ją na bok bez ceregieli, gdy ostatni strzał strącił hełm dragona wspinającego się ku sztandarowi Whitehallów. Bomba spadła łukiem w dół i wybuchła u podnóża drabiny. Ludzie wrzasnęli, ale ciężkie drewno pozostało, choć odsunięte z dala od muru. Raj wraz z podoficerem wsparli czubki szabel o słupy drabiny i pchnęli z okrzykiem wysiłku. Stal zagłębiła się w drewnie i drabina poleciała w bok, nabierając rozpędu.

— Schody! – krzyknął ktoś.

Raj pozostawił Suzette wpychającą pociski do magazynka jej kolonialnej broni i



poprowadził żołnierzy ku szczytowi schodów. W jego rewolwerze pozostały trzy kule. Siatka celownicza Centrum pojawiła mu się przed oczami i zabił pierwszych trzech mężczyzn, którzy wpadli na schody. Czwarty potknął się o ich ciała, bo nie chciał wypuścić muszkietu z ręk. Raj kopnął go w twarz, zamachując się nogą z całych sił. Kości trzasnęły pod butem do jazdy; brzmiało to niczym wbijanie do środka cienkich deseczek drewnianego pudełka. Mężczyzna zamachnął się klingą z koszową rękojeścią w stronę kolan Raja. Raj przeskoczył przez nią, a lądując, nadepnął na nadgarstek barbarzyńcy i pchnął pomiędzy szyją a obojczykiem. Mięśnie zacisnęły się na klindze, niemal wyrrywając mu ją z rąk, a potem . pół tuzina żołnierzy po obu jego stronach strzelało w dół klatki schodowej albo dźgało swoimi długimi bagnietami.

—  
Uważajta, gdzie strzelata, do kurwy nędzy! – dobiegł do nich z dołu głos Descottczyka. Błysk z lufy mignął karmazynowo w półmroku w dole i na chwilę dał się słyszeć głuchy brzęk stali uderzającej o stal.

—  
Uważajta, kogo wpuszczacie przez te pieprzone drzwi, wy skurwysyny – odkrzyknął w odpowiedzi starszy sierżant.

Raj wciągnął oddech w płuca. Pasma dymu prochowego unosiły się pośród potrzaskanych mebli w saloniku. *Nie powstrzymamy następnego ataku*, pomyślał z nagłą, chłodną jasnością.

—  
Raj – głos Suzette był podniesiony na tyle, żeby przebić się przez ryk w tle. – Kim są ci ludzie?

Podszedł do bocznego okna. Z lewej – na zachodzie – znajdowali się ledwo co widoczni żołnierze, maszerujący po oczyszczonej strefie za murami. Nosili mundury Rządu Cywilnego, ale z tej strony *nie było* żadnych żołnierzy, poza piechotą utrzymującą północne mury, która teraz miała na głowie wystarczająco dużo. I żaden regularni pod jego komendą nie maszerowali tak niezdarnie. Właściwie to wcale nie maszerowali, nie posuwali się truchtem, ale *biegli*. Biegli jak ludzie uciekający od bitwy, tyle że oni biegli prosto w nią.

Raj, wnioskując po szybkości reakcji wroga, był całkiem pewien, że Teodorę Welf wciąż żyje. Blok Brygadowców odłączył się od strumienia przepływającego przez mur i odbił, żeby stawić czoła...

Milicji zdał sobie sprawę Raj. To lokalna milicja.

Wyglądająca na skonfundowaną grupka zatrzymała się i dała ognia; zbyt nierówno, by była to prawdziwa salwa, raczej długotrwałe staccato. Zmierzający ku nim Brygadowcy odpowiedzieli ogniem, ale nie zawracali sobie głowy zatrzymywaniem się. Nacierali, podczas gdy milicjanci grzebali się ze stemplami i spłonkami. Raj gwizdnął cicho ze zdumienia – miejscy żołnierze *nie* rozproszyli się w panice. Niektórzy, owszem, uciekali tam, skąd przybyli, ale większość stała, czekając na spotkanie z szaro-czarnym przyływem. Zostaną zmasakrowani, kiedy dojdzie do walki wręcz, ale przynajmniej próbowali.

—  
Ponie – powiedział straszny sierżant u jego boku. – Grupka tutejszych nadchodzi od tyłu i mówi,

co chcą nom pomóc, ano.

Pobrużdżona, pełna blizn twarz podoficera wyrażała głęboki sceptycyzm.

–  
Sprowadź ich, sierżancie – powiedział Raj. – Zdecydowanie. Zebracy nie mogą wybrzydzać.

\* \* \*

Ludwig Bellamy zatrzymał psa. – Przerwać ogień! – krzyknął, a trąbki to powtórzyły. Ostatni z nieprzyjaciół przed nimi unosili odwróconą do góry nogami broń albo hełmy nasadzone na lufy swoich karabinów. – Weźcie tych ludzi pod straż.

Zapadła cisza, względna cisza po ryku, do którego przywykł w ciągu ostatnich dwóch godzin. Machnięciem ręki kazał chorążemu ruszyć do przodu i przejechali obok ostatnich ognisk oporu Brygadowców wewnątrz murów Starej Rezydencji i wzdłuż muru, ku stanowisku dowodzenia messera Raja.

Bellamy się rozejrzał. – Duchu *Człowieka* – zaklął.

Masakra wokół bramy była straszna. Pewnie jeszcze więcej ciał niż tutaj. Odblokowanie przejścia zajęło sporo czasu. Ale to *wyglądało* dokładnie tak samo fatalnie; i śmierdziało równie paskudnie, z tego, co mógł stwierdzić przy pomocy nosa już oszołomionego po dzisiejszym dniu. Cały oczyszczony teren wewnątrz murów, szerokości dwustu metrów, pokryty był dywanem ciał, niezależnie jak daleko jechali: dragoni Brygady w czarno-szarych mundurach, lansjerzy w zbrojach, ludzie Rządu Cywilnego na niebiesko i bordowo. Noszowi musieli chodzić po zabitych, żeby dostać się do rannych, a były ich tysiące. Jeszcze więcej ciał zwisało z murów i pokrywało ziemną rampę tam, gdzie nieprzyjaciół próbował się wycofać, uświadomiwszy sobie, co się dzieje na zewnątrz. Tu i ówdzie grupka żyjących Brygadowców siedziała z rękoma na karku albo bandażowała swoich rannych.

Zatrzymał się przy stosie zabitych, zgromadzonych w większej liczbie wokół sztandaru z biegnącym psem bojowym. Drzewce wciąż wystawało z ziemi, ale krąg trupów dokoła był głęboki na dwa albo i trzy ciała. Zabrzęczała zbroja.

– Noszowi! – zawołał ostro, zatrzymując się z boku. Przytruchtała para noszowych. – Ten tutaj żyje.

– Panie. Rozkazy mówią, że najpierw nasi ranni.

– To jest wyjątek – wypluł z siebie Ludwig. Zbroja mężczyzny wykładana była srebrem, a na hełmie miał pióra. – Zabierzcie go do punktu medycznego, zaraz. – Choć, sądząc po ilości straconej krwi i liczbie dziur po kulach, mogło się to okazać daremne.

Trzyczęściowa przyłbica była podniesiona, a twarz wewnątrz tak przypominała Ludwiga Bellamy'ego, że mogliby być braćmi. Jednak jego postępowanie było podyktowane czymś o wiele bardziej praktycznym. Jeśli to był Teodorę Welf, to dzisiaj miał dwa prezenty dla messera Raja.

Znowu zaklął, gdy wreszcie zatrzymali się przed budynkiem wysuniętej kwatery głównej. Kamienna fasada wyglądała, jakby została *przeżuta*. Ludzie siedzieli w oknach albo opierali się o ściany, wyglądając na nieco zagubionych. Jeden stał w głównym wejściu – wysoki mężczyzna, z

twarzą tak czarną od prochowego dymu jak Zanjczyk. Suzette Whitehall stała obok niego, obejmując go w pasie.

Ludwig Bellamy ściągnął wodze i zasalutował. – *Mi heneral* – powiedział.

Raj się uśmiechnął; widmowy uśmiech w osmalonej twarzy. Gdy zdjął hełm, widać było jaśniejszą smugę biegnącą po górnej części czoła.

– Długo ci to zajęło – stwierdził.

Bellamy dał znak, żeby człowiek postąpił do przodu. Ten zsiadł z psa i położył flagę u stóp Raja. – To jest flaga Howyrda Carstensa, wielkiego konstabla Brygady – powiedział. – Przynieśliśmy jego głowę, ale... – Ludwig wzruszył ramionami. Siedemdziesięciopięćmilimetrowy pocisk wylądował na tyle blisko Carstensa, że naprawdę niewiele zostało oprócz sygnetu, przy pomocy którego go zidentyfikowali.

## Rozdział trzynasty

–

Zadajecie sobie dużo trudu, żeby powiesić mnie zdrowym – powiedział Teodorę Welf.

Mężczyzna mówił cicho, bo bolało go przy głębokich oddechach.

Brygadowiec siedział podparty na wielkim łożu z czterema kolumnami, zawinięty w bandaż od szyi do pasa, z jednym ramieniem unieruchomionym w łupkach. Lekarz-kapłan w tonsurze duchownego Ducha Człowieka tej Ziemi, sięgającej od ucha do ucha, stał przy jego łóżku, patrząc gniewnie na Raja i Suzette oraz towarzyszy. Lekarz należał do domowników szlachcica Brygady i został wpuszczony w czasie rozejmu, jaki nastąpił po bitwie. Była to chłodna, wiosenna noc, a deszcz uderzał o romboidalne szyby w oknach, ale naftowa lampa i radosny ogień płonący w kominku sprawiały, że w sypialni było ciepło. Płomienie oświetlały inkrustowane meble i gobeliny, a także twarde twarze wojowniczych mężczyzn znajdujących się za Rajem.

–

Jestem zapobiegliwym człowiekiem – powiedział Raj w nameryjskim prawie równie dobrym jak sponglijski Teodorę. – Nie mam zamiaru cię wieszać ani robić niczego innego nieprzyjemnego.

– Świetnie, Wasza Prześwietność. Ostatnio miałem nadmiar nieprzyjemności – stwierdził młody szlachcic. – Czy Howyrda również pojмалиście?

– Wielkiego konstabla? Obawiam się, iż zginął, broniąc tyłów.

Welf westchnął. – Niech Duch zlituje się nad Brygadą – powiedział.

– Wątpię, aby Duch to zrobił, jako że to Duch powierzył mi zadanie zjednoczenia cywilizacji, a wy próbujecie mnie powstrzymać – powiedział Raj.

Młody szlachcic Brygady spojrzał na niego. Jego oczy rozwarły się nieco szerzej, gdy zobaczył stanowczą szczerłość w spojrzeniu Raja.

– A poza tym, Duch dał wam Ingreida Manfronda za władcę – zakończył Raj.

Teodorę był młodym człowiekiem, wciąż roztrzęsionym od doznanych ran zaaplikowanych mu leków. Niemalże wymusnęło mu się przytaknięcie.

Raj skinął głową. – Jeszcze porozmawiamy, gdy poczujesz się lepiej – powiedział i uniesieniem brwi dał znak kapłanowi.

Duchowny z niechęcią skłonił głowę. – Lord Welf będzie żył

–

powiedział. – Połamane żebra, złamane ramię i obojczyk, uszkodzenie tkanki. Spora utrata krwi, ale za miesiąc będzie chodził. Ramię zajmie więcej czasu.

Weszła służąca, wnosząc tacę z herbatą i miską parującego rosołu. Kobieta uskokczyła z piskiem, gdy spotkała się w drzwiach z grupą wysokich rangą osób. Nic nie rozlało się z tacy pomimo tego, że odskoczyła na bok; wyczyn wymagający znacznej zręczności i niosący ryzyko wylania gorących płynów na własną głowę. Raj z roztargnieniem skinął z uznaniem głową, gdy ruszyli korytarzem. Jego

własna kwatery znajdowała się niedaleko. Teodorę Welf był asem, którego zamierzał trzymać blisko siebie.

–

Domyślam się, że chcesz go jakoś wykorzystać? – powiedział Gerrin Staenbridge, gdy zasiedli wokół okrągłego stołu. Ordynansi wystawili zimny posiłek i oddalili się. – To znaczy, poza dopilnowaniem, że Ingreid go nie wykorzysta.

Raj skinął głową. – I to na wiele sposobów. Po pierwsze, podczas gdy się tutaj znajduje, to nie może zastąpić Manfronda, co byłoby bardzo niekorzystne dla nas.

Staenbridge się roześmiał, a potem skrzywił; miał obandażowaną głowę. – Wyobrażam sobie, że nie jest teraz zbyt miło usposobiony wobec Władcy Ludzi – powiedział. – Pewnie tak samo jak my byliśmy w stosunku do naszego dobrego pułkownika Osterville’ a w Południowych Terytoriach.

Kaltin Gruder przesunął dłonią po szyi z odpowiednim odgłosem. Gerrin skinął głową.

– Mógłbym to *zrobić*, gdybyśmy po twoim odjeździe mieli tam wojnę – powiedział do Raja. – Doprowadziłby do tego, że wszyscy byśmy zginęli.

Raj skinął głową. – Młody Teodorę pewnie rzeczywiście tak czuje – osądził. – Może później będziemy mogli to wykorzystać. A teraz, do roboty.

Jorg Menyez otworzył teczkę. – Ofiary śmiertelne: dziesięć procent. Piętnaście, jeśli wliczy się rannych, którzy będą niezdolni do służby przez miesiąc albo i dłużej. Nierówno rozłożone, oczywiście – niektóre z batalionów piechoty, broniących północnych murów skurczyły się do rozmiarów kompanii albo i mniejszych.

– Piąty liczy pięciuset ludzi zdolnych do służby – stwierdził ponuro Staenbridge.

Raj skinął głową w zamyśleniu. – Ingreid stracił... przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy

–

powiedział.

–

Plus pięć tysięcy więźniów – wtrącił Ludwig, przegryzając kanapkę. – Głównie z ich tyłów – walczyli na tyle długo, żeby pozwolić reszcie wrócić do obozów, ale ich otoczyliśmy. A tak przy okazji – żaden z nich się nie poddał, dopóki nie zginął Carstens.

–

Pozostawia to nas z około siedemnastoma tysiącami zdolnych do służby, a Ingreida z prawie sześćdziesięcioma tysiącami – powiedział Raj. Gdyby Brygada nie miała ufortyfikowanych obozów, do których mogła się wycofać, to ruszyłby w pościg, mając nadzieję doprowadzić ich do bezładnego odwrotu. Nie zamierzał z pewnością odrzucać zwycięstwa, nacierając na umocnienia ziemne i palisady.

– Wciąż nierówne szanse, ale ich morale nie może być zbyt dobre. Proponuję...

Od straży za drzwiami dobiegło wezwanie i odpowiedź, a potem dało się słyszeć pukanie. Zaskoczony Raj podniósł wzrok.

–  
Wiadomość od pułkownika Cleretta, *mi heneral* – powiedział porucznik dowodzący oddziałem straży.

–  
Cóż, daj ją tu – powiedział Raj. Pozostawił stałe rozkazy, by natychmiast przynosić mu wszystko, co przyjdzie od Cabota Cleretta.

– Ach – młody oficer odchrząknął. – Jest zaadresowana do messy Whitehall.

–  
Cóż, zatem *daj jej* – rzekł spokojnie Raj. Panował starannie nad wyrazem swojej twarzy, nie było sensu straszyć porucznika.

Młodszy mężczyzna z ukłonem wręczył list żonie Raja i wyszedł szybko z wdzięcznością. Suzette obróciła kwadrat ciężkiego papieru w palcach, unosząc smukłą brew. Była to standardowa koperta do wiadomości. Po złożeniu i przeciągnięciu nici dokoła dwóch metalowych ćwieków, umieszczonych na papierze, została zaklejona przez wylanie gorącego wosku na ich złączenie i przystępowanie tego pieczęcią. Kobieta w milczeniu upuściła list na stół, położyła na nim palec i przesunęła go po mahoniu w kierunku Raja.

Ponury uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy dobył sztyletu i przesunął cienkim ostrzem stali z Al Kabir pod woskiem. Papier trzeszczał, gdy go rozkładał. W pierwszych akapitach nie było niczego istotnego... pozostali podnieśli wzrok, gdy mruknął z zaciekawieniem.

– Nasz pełen fantazji Cabot stoczył potyczkę pod Lis Plumhas – powiedział. Opisowi towarzyszyła naszkicowana mapa. – Ma ze sobą cztery tysiące kawalerii i dwadzieścia siedem dział. Spotkał się z około dziesięcioma tysiącami Brygadowców i sprzął ich porządnie.

*Dobra robota*, stwierdził krytycznie. Zastosował atak z udawanym odwrotem – barbarzyńcy zwykle się na to nabierali – a potem się po nich przejechał, gdy zatrzymali się przed linią jego dział. *Nasz chłopaczek się uczy.*

– Co?!

Ryk gniewu sprawił, że pozostali wyprostowali się. z zaskoczenia; Raj był zwykle spokojnym człowiekiem. Walnął pięścią tak, że sztucce zatańczyły i zabrzęczały,

–  
Ten mały *bastardo!* Odmóżdżony, arogancki, tępy, mały *smark!* – Raj się zadławił, nie było słów zdolnych wyrazić jego uczucia.

Palce Suzette dotknęły jego nadgarstka; dotknięcie było niczym chłodna woda na jego rozpalonym do czerwoności ciele. Zacerpnął głęboki oddech i czytał dalej, z zaciśniętymi ustami.

–  
Nasz dobry pułkownik Clerett – rzekł wreszcie, rzucając papier, a Suzette podniosła go i wsadziła do teczki ze swoimi dokumentami – stwierdził, iż bez sensu jest przyłączanie się do nas. Zamiast tego, zamierza podążyć, pustosząc ziemię, prosto na południowy zachód przez samo serce terenów Brygady ku Koszarom Carson, żeby odciągnąć główne siły Ingreida i rozwiązać tę sytuację.

Pełna szoku cisza trwała całą minutę. A potem odezwał się Gerrin Staenbridge – *Mi heneral*, wiesz, to może się nawet udać.

Raj przełknął wodę i przemówił chrapliwym głosem. – To mogłoby się udać, gdybym to *ja* dowodził tymi siłami. Mógłbym powiedzieć *tobie*, żebyś to zrobił, gdybyś to *ty* im przewodził. Cabot Clerett...

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

Odplynęła rzeczywistość, a zamiast niej pojawiło się pole bitwy. Miał widok z góry na trzy wzgórza kontrolowane przez nierówne kwadraty żołnierzy Rządu Cywilnego. Znad każdego unosiły się słupy dymu, gdy karabiny i działa strzelały w dół w napływającą masę Brygadowców, falującą dokoła jak woda wokół rozpadającego się piaskowego zamku. Gdy się przyglądał, fala napłynęła na jeden z kwadratów i zgrabna linia formacji rozmyła się w walce. Trwało to mniej niż minutę, a na szczycie wzgórza nie pozostał nikt żywy poza barbarzyńcami. A ci ludzie odwrócili się i zsunęli w dół zbocza szarżą niczym lawina, by przyłączyć się do natarcia na następną formację.

Mignięcie, i zobaczył Cabota Cleretta stojącego obok chorążego. Wokół niego z tuzin ludzi trzymał się jeszcze na nogach. Cabot miał twarz ściągniętą w obnażającym zęby grymasie, którego nie powstydziliby się carnosauroid. Oficer rzucił się do przodu i przebił szablą pierś barbarzyńcy. Sześć cali metalu wyszło z tyłu skórzanej kurtki Brygadowca. Klinga była trzymana po mistrzowsku, płazem równolegle do ziemi, żeby nie utkwiała pomiędzy żebrami. Mimo to wyciągnięcie jej zajęło chwilę i szeroki miecz spadł na jego nadgarstek. Klinga była ostra i ciężka, dzierzona przez silnego mężczyznę. Ręka młodego szlachcica odpadła, a on obrócił się z wrzaskiem, gdy tętnicza krew z kikuta trysnęła na metr wysoko. Chorąży za nim wbił ozdobny szpikulec z brązu znajdujący się na szczycie drzewca w pierś szermierza, który zabił Cleretta, a potem padł pod tuzinem kling. Rozbłysk Gwiazd upadając, ciągnął się po krwi i ziemi.

>>Prawdopodobieństwo 57% plus minus 10<< ciągnęło beznamiętnie Centrum.

Raj zamrugał, powracając do rzeczywistości. Czuł, że inni mu się przyglądają.

– Cóż – stwierdził spokojnie – tak sobie myślę, że istnieje szansa pół na pół albo nieco więcej, że doprowadzi do swojej śmierci i do tego, że zmiotą jego siły.

Kaltin napełnił kieliszek wina. – Od czasu do czasu sam ryzykujesz – zauważył.

Raj wzruszył ramionami, rozluźniając napięte mięśnie. – Tylko gdy jest to uzasadnione. Teraz nie *musimy* podejmować ryzyka. Przy pomocy tych czterech tysięcy ludzi, mogę zakończyć tę wojnę w rok albo dwa; Zachodnie Terytoria czekały sześćset lat na rekonkwistę, rok nie robi różnicy.

*Kaltin ma rację*, pomyślał. *Kilka lat temu sam bym to zrobił*. Przez chwilę czuł lodowatą obecność Centrum w głowie, bezgłośnie.

–

Wkażdym razie – rzucił w zamyśleniu Ludwig – będą musieli odłączyć spore siły, żeby zająć się Cabotem. To powinno dać nam szansę.

–

Kosztowną, jeśli stracimy cztery tysiące elitarnych żołnierzy Rządu Cywilnego – stwierdził

Raj. Wzruszył ramionami. – Zajmijmy się sytuacją taką, jaka jest. Bartonie, przynieś tutaj stojak z mapą, dobrze?

\* \* \*

–

O dostojna pani, straszliwe nieszczęście!

–

Wieści z frontu? – spytała beznamiętnie.

Marie podniosła wzrok znad stosu próbek, jakie pokazywał jej kupiec.

Marszałek dworu potrząsnął głową i kontynuował w swoim nameryjskim ze spanjolskim akcentem. – Nie, główne spichlerze przy kanale, pani.

Załamał ręce. Marie wstała i wyszła z pokoju, wspinając się po wspaniałych, kręcących się schodach na taras na dachu. Była to jasna, wiosenna noc w Koszarach Carson, pachnąca jak zwykle lekko bagnami. Jakiś poprzedni generał kupił astronomiczną lunetę. Marie kazała wyciągnąć ją z magazynu i ustawić tutaj, na najwyższym miejscu w mieście. Nie pozwalano jej zbyt wychodzić z pałacu, ale mogła *widzieć* całe miasto. Kiedy przyłożyła oko do soczewki, wyskoczyły przed nią przysadziste, okrągłe wieże magazynów ziarna. Dym buchał ze stożkowatych dachów, podświetlony na czerwono przez płomienie w dole. Magazyny były z kamiennych bloków, ale szkielet i wewnętrzne przepierzenia oraz dachy zrobiono z drewna... a samo ziarno w wysokiej temperaturze będzie się dobrze palić.

Jedna z wież rozpadła się w kuli pomarańczowego ognia, która wzbiła się sto metrów w górę ponad dachami. Płonące gruzy spadały deszczem na domy oraz na barki i wagony kolejowe w dokach basenowych i stacjach rozrządowych przy końcu drogi na grobli.

Mąka nie tylko będzie się paliła: gdy zmiesza się z powietrzem tak, jak w do połowy pustym silosie, stanowić będzie całkiem skuteczny materiał wybuchowy.

– Manhwe! – rzuciła Marie rzeczowym tonem do marszałka, prostując się i naciągając szal na nagie ramiona, chroniąc się przed lekkim, wilgotnym chłodem. Damy dworu wokół niej szczebiotały i wskazywały palcami. – Poślij cały pałacowy personel, oprócz absolutnie niezbędnych, aby pomóc w walce z płomieniami.

–

Natychmiast, o dostojna pani – powiedział.

–

A reszta niech wraca do pracy. Nie stójcie tutaj, gapiąc się jak wieśniaczki.

Wszystkie się oddaliły oprócz Dolors i Katrini. A także Abdullaha, który pokłonił się, dotykając dłonią czoła, ust i serca; lekki uśmiech odsłonił białe zęby w ciemnej brodzie. Nie odezwał się słowem, nie było to potrzebne. Dzięki kilku galonom nafty oraz paru lojalnym stronnikom Welfów i arabskiemu zapalnikowi, Koszary Carson nie były teraz w stanie wytrzymać oblężenia. Gdy żniwa



były odległe o trzy miesiące, centralne prowincje wokół linii kolejowej prowadzącej do Starej Rezydencji wyniszczone, a w każdym mieście brakowało żywności przy kurczących się zimowych zapasach, pewnie niemożliwym będzie uzupełnienie zapasów w jakimś znaczącym stopniu.

– I Manhwel, natychmiast wyślij moje osobiste kondolencje do generała Manfronda.

Pomiędzy stolicą a siłami w polu istniał całkiem dobry system poczty kurierskiej. Wydeła wargi. Wystarczało jej, że dowiadywała się, jak ten głupiec Ingreid Manfrond marnował swoich wojowników. Co druga rodzina w Brygadzie opłakiwała ojca, syna albo męża. A po tym jak Teodorę stał się więźniem, a Howyrd Carstens zginął, będzie jeszcze gorszy.

Nie uda nam się wygrać tej wojny, powiedziała do siebie. A jeśli Manfrond pozostanie generałem, to próbując, zniszczy Brygadę.

Płomienie wzbijały się wyżej, a czerwonawy blask zaczynał się rozprzestrzeniać, gdy drewno z eksplozji wzniecało ogień gdzieś indziej, na tysiąc metrów dokoła. Dźwięczały dzwony i trąbiły bawole rogi, ale teraz Koszary Carson były miastem kobiet, starych ludzi i służby.

Ingreid Manfrond musi odejść... nastąpi zemsta za jej matkę i dom Welfów. Służąca zadrżała, zobaczywszy, jak Marie się uśmiecha.

Marie dała znak Abdullahowi, żeby się zbliżył, gdy marszałek odszedł. Straże w rogach tarasu znajdowały się poza zasięgiem słuchu.

–

Domyślam się, że też będziesz składał meldunek – powiedziała. On wzruszył beznamiętnie ramionami. – Te instrumenty, które nam pokazałeś, dobrze zadziałały.

– Ich działanie jest sprawdzone, moja pani – wymruczał, ponownie się kłaniając.

–

Wszystko, co uczyniłam, wynikało z mojej własnej decyzji – stwierdziła po chwili Marie, patrząc na jego niewzruszony wyraz twarzy. – Skąd zatem to poczucie, że to ty za tym stoisz?

–

Ja tylko ofiarowałem radę, moja pani – rzekł.

–

Jesteśmy dla was jak dzieci, czyż nie? – spytała powoli.

Musiał zdawać sobie sprawę, że strażę pocięłyby go na kawałki na jedno jej słowo, ale w sposobie, w jaki rozłożył ręce, było kocie rozleniwienie.

– Wiele można powiedzieć o energii młodości, pani Welf – rzekł.

– Przekaż Teodorę moje pozdrowienia – ciągnęła. – Powiedz mu, że miałam rację co do Manfronda.

\* \* \*

– Zdecydowanie się wycofuje – powiedział Raj.

Okna pokoju narad były otwarte na łagodny wiosenny dzień; powietrze pachniało świeżo i

zaskakująco czysto jak na miasto. Na drzewach wokół głównego placu widać było pączki – na tych, których nie ścięto na opał w czasie oblężenia – a rzeński wiaterek marszczył szerokie ujście rzeki Białej, przelatując między dachami miasta. Trzymasztowiec stał w dole rzeki, z żaglami jaśniejącymi w wydymających się lękach białego płótna, gdy statek się zakołysał, wzbijając skrzydła piany spod dziobu. Słupy dymu znaczyły obozy Brygady na odległym południowym brzegu, tam, gdzie płonęła nadwyżka zapasów i tratwy z działami.

– Ostrożnie – powiedział Jorg Menyez. – Żołnierze na południowym brzegu strzegą jego drogi odwrotu na południowy zachód stąd, wzdłuż linii kolejowej. – Przesunął palcem po mapie. – A na północ od miasta wycofuje się najpierw ze wschodnich obozów.

Kaltin Gruder potarł bok twarzy pokryty bliznami. – Moglibyśmy spróbować i pochwycić posuwające się kolumny – powiedział.

Raj potrząsnął głową. – Nie, chcemy pospieszyć naszych odchodzących gości – rzekł. – Wnosząc z ostatnich wiadomości, Clerett przedziera się przez wszystko, co staje mu na drodze.

Kilku towarzyszy wyglądało na skrępowanych; wszystkie wiadomości były adresowane do pani Whitehall.

Raj odchrząknął. – Powiedziałbym, iż wedle rozumowania naszego dobrego przyjaciela Ingreida „Ślepego Byka” Manfronda, to on się nie wycofuje – ale szarżuje w innym kierunku. Z powrotem na rodzinne pastwiska w Koszarach Carson, naprzeciw wrogowi, którego, jak sądzi, może dostać na otwartym polu.

*I może się tak stać, jeśli Centrum ma racje*, pomyślał Raj. Było to takie kuszące...

–

Zamierzasz pozwolić mu się całkiem swobodnie wycofać? – Tejan M’Brust wyglądał na nieszczęśliwego, a jego wąska, ciemna twarz pochyliła się nad mapą; stukał w wąskie gardła na przewidywanej drodze odwrotu Brygady.

–

Czy tak powiedziałem? – odparł Raj z uśmiechem carnosauroida. – Naprawdę? Komandorze Lopeyz, oto, co chcę, żebyś zrobił...

\* \* \*

*Mocno się trzymają*, pomyślał Raj.

Teren zwężał się tutaj; pochyły klin tam, gdzie nasyp kolejowy przecinał wzniesienie i zbiegał w dół ku rzece. Kilometr po obu stronach wznosiły się wzgórza, nie bardzo wysokie, ale nierówne; żółtoziem na skale. Pokrywały je drzewa, rodzime biczyskowe z czerwonym i żółtym wiosennym listowiem oraz dęby i brzozy w świeżej zieleni, tak jak usiana kwiatami trawa pod nimi. Powietrze pachniało intensywną świeżością w tle siarkowego smrodu prochu.

Właśnie wtedy wypaliła bateria po lewej. Niektórzy ze znajdujących się wokół niego adiutantów i posłańców musieli uspokoić swoje psy. Horace zignorował ten dźwięk z flegmatyczną obojętnością weterana, a właściwie to znowu próbował usiąść.

– W górę, ty sukinsynu – rzucił Raj, ostrzegawczo zwiększając ucisk uzdy.

Trzy pociski wybuchły nad szeregiem Brygadowców przed nim, w odległości dwóch tysięcy metrów. Szereg na otwartej przestrzeni miał głębokość trzech ludzi, z blokami żołnierzy wierzchem jako wsparcie oraz ogromnym tłumem psów, ich *własnych wierzchowców, na smyczach z tyłu. Przedni szereg* nieprzyjaciela wystrzelił – oddziałami, około dziewięćdziesięciu ludzi naraz – obrócił się i przeszedł przez rzędy z tyłu. Żołnierze zatrzymali się po pięćdziesięciu krokach i zaczęli przeładowywać, podczas gdy z kolei wystrzelił szereg odsłonięty przez ich kontrmarsz, a potem zrobił to samo. Jego własni ludzie znajdowali się w luźniejszej, dwuseregowej formacji jakiegoś tysiąc jardów bliżej, dając ognia niezależnie, z leżąco-klęczącej pozycji i nacierając kompaniami, gdy barbarzyńcy się wycofywali. Sprawilo to, że ich formacja przypominała z wyglądu piłę. Raz czy dwa, lansjerzy wierzchem, znajdujący się za dragonami, próbowali szarży, ale rozbiły ją działa.

Nieprzyjaciel ponosił ciężkie straty, płacąc za swoją upartą odwagę. Z odległości tysiąca metrów broń zadnej ze stron nie była bardzo celna, ale żołnierze Rządu Cywilnego nie musieli stać nieruchomo, żeby przeładować. Mimo to, ranni wracali stałym strumyczkiem, niesieni przez noszowych i przekładani do ciągniętych przez psy karetek. Od czasu do czasu dało się słyszeć ich jęki, dochodzące z drogi wijącej się koło pagórka, który wybrał do kierowania tą faza.

*To cena robienia interesu*, powiedział do siebie. Jednak nie zapłacił takiego rzeźnickiego rachunku tylko po to, by pognać wroga szybciej w drogę.

Więcej strzałów dobiegło od zalesionych wzgórz po obu stronach; nieregularne trzaski, a nie dudniące salwy bitwy na otwartej przestrzeni. To był zły teren; platanina parowów porośniętych chaszczami, *stroma zbocza i* powalone drzewa. Piechota Jorga parła naprzód z obu flank, ale była to powolna robota. Z bliska i osobiście, jak mawiali ludzie.

Podjechał Antin M'lewis. – Ponie – powiedział. – Barbarzyńcy ścieśniają się znowu kole mostu. Rybożercy na pozycjach.

Raj skinął głową. Adiutant zaciągnął się papierosem i podszedł, żeby dotknąć nim papierowego zapalnika sygnałowej rakiety; całkiem sporej, na podpórcie tak wysokiej jak nieduży mężczyzna. Rakiet zapaliła się, sycząc niczym smok, w deszczu iskier i dymu, który sprawił, że adiutant odskoczył do tyłu, a psy zaskomlały i kichnęły w proteście. Podążyli za nią wzrokiem, ich twarze zwróciły się w górę jak u pisklaków sauroida w gnieździe, gdy powróciła matka. Na wysokości tysiąca metrów rakiet wybuchła kulą mniejszych pióropuszy; ogromny dmuchawiec utrzymujący się przez chwilę, by wreszcie zostać uniesiony wiatrem ku północy, tracąc po drodze swój kształt.

\* \* \*

– To jest to – stwierdził Lopeyz z wieżyczki pilota na pierwszym parowcu. – Spuścić kable.

Czerwonawy dym rakiety rozwiął się. Żałobny świst gwizdka jego jednostki odbił się echem od klifów i trzymoździeżowe statki ruszyły z prądem. Tutaj rzeka zmierzała równocześnie ku północy jak i ku zachodowi, a woda płynęła szybciej. Ich przerobione z lokomotyw silniki sapały i szczękały. Spojrzał w dół i zobaczył pod stopami błyszczące potem ciała palaczy, którzy wrzucali łopatami węgiel do zaimprovizowanych ceglanych palenisk wokół drzwi pożarowych. Na prawo, na północnym brzegu rzeki, słyszał trwającą walkę ogniową w lesie i zobaczył unoszący się od niej

dym. Nieco dalej rzeka się zwiężała. Na brzegach czerniło się od ludzi i psów, a na moście kolejowym roilo się od nich tak, iż wyglądało to niczym poruszający się dywan mrówek – widział to nawet z odległości kilometra.

Wybuchła panika na widok statków rzecznych Rządu Cywilnego; krzyki i wrzaski i ogromne, bezkształtne falowanie.

Most zatkał się całkowicie, gdy ludzie próbowali uciec w panice na południowy brzeg, ku bezpieczeństwu. Kule zaczęły odbijać się od kutego żelaza pancerzy trzech stateczków, a niektóre przebijały się przez cieńszy metal kominów z wyraźnym dźwiękiem *ptunggg*. Przymknął metalową płytę zakrywającą otwór, pozostawiając tylko wąskie szczeliny do obserwacji, i krzyknął w dół wjazdu – Zmniejszyć prędkość do dwóch węzłów!

Środkowy kanał był tutaj głęboki, ale wąski, a wszędzie dokoła widać było piaszczyste brzegi i pniaki. Obejrzał się do tyłu. Pozostałe dwie jednostki podążały jedna za drugą, a czarny, węglowy dym bił z ich kominów, zaś rzeka pienila się pod ich łopatkami. Wtedy to potworne *czunggg* sprawiło, że w środku kanonierki zadzwoniło niczym dzwon. Lopeyz złapał się za uchwyt i rozejrzał się.

– Czterokilowy pocisk – krzyknął pierwszy mat ponad hałasem silnika. Sternik przygarbił się i trzymał wzrok utkwiony zdecydowanie przed siebie.

Lopeyz skinął głową. Lekkie działka strzelały pociskami nie stanowiącymi zagrożenia dla kanonierek... chyba że naprawdę mieliby szczęście i zdjęłyby komin; w tym przypadku piece nie wciągałyby powietrza, a on straciłby parę. To niebezpieczeństwo było mniej nieprzyjemne niż myśl o tym, jak schrzaniłoby to misję. *Za długo byłem z Rajem Whitehallem*, pomyślał.

Pojawiły się umocnienia ziemne fortu strzegącego północnego krańca mostu. Ściany były zryte przez zimowe deszcze i słabą konserwację, ale był wciąż okupowany, a nieprzyjaciel wprowadził do niego cięższe działa – forteczne modele ciskające czterdziesto- i sześćdziesięciokilogramowe pociski, które *stanowiły* zagrożenie dla kanonierek.

– Przygotować się do walki – zawołał.

Kanonierzy w przedniej części kadłuba załadowali do moździerza pocisk – ten nastawiony na opóźniony zapłon. W tej samej chwili szanice fortu rozbłysły czerwienią. W sekundę później koło dziobu z lewej burty wybuchł pióropusz wody wysoki na pięć metrów, gdy uderzyła kula armatnia.

– Zasięg: tysiąc. Spuścić kotwice, wszystkie silniki stop. – Cisza uderzyła w uszy przyzwyczajone *do* stękania i szczęku silnika, zakłócona odgłosami wody i pary wylatującej przez zawór bezpieczeństwa. Dobiegł brzęk żelaza, gdy część pancerza pokładowego w kształcie klina nad lufą moździerza została odczepiona i opuszczona.

–

Ognia!

–

Duchu – zamruczał Raj.

*POUMF.* Działko polowe wystrzeliło znowu, a załoga wydała radosny okrzyk, gdy pocisk trafił niedaleko mostu. Ładunek grzmotnął w ziemię pokrytą ludźmi i psami, wzbijając fontannę w kształcie świecy, z ziemi i kawałków ciał. Tłok był tam tak fatalny, że puste miejsce zapełniło się natychmiast. Nacisk z boku wepchnął ludzi w wodzie do dziury odpływowej. Wszędzie wzdłuż grani z widokiem na wąską półkę terenu zalewowego stali żołnierze Rządu Cywilnego i strzelali w dół w gęstą masę, pracując dźwigniami z histeryczną, upojną radością, jaką wzbudza jedynie bezbronny cel. Większość nieprzyjaciół była zbyt ciasno upakowana, aby posłużyć się swoją bronią, nawet gdyby mieli na to ochotę. Pojawiło się więcej dział; zostały spowolnione przez natłok poddających się ludzi oraz przez pozbawione jeźdźców psy na tyłach.

Fort przy moście był potrzaskany i płonął. Tak samo jak i środkowe przęsło samego mostu, a blade w jasnym słońcu poranka płomienie lizały drewnianą estakadę. W wodzie widać było głowy ludzi i psów. Wartki prąd porwał większość z nich w dół rzeki, ku pływowemu ujściu i czekającym wciągaczom. A z minuty na minutę coraz więcej dołączało do nich w wodzie...

– Przerwać ogień! – krzyknął Raj.

W Brygadowcach nie pozostało dużo ducha walki, gdy zdali sobie sprawę, że most za nimi był atakowany. Podjechało jazgoczące działko, zostało odprzodkowane i wypaliło w dół zbocza, w stronę nieprzyjaciela. Na sekundę utworzyła się nisza tam, gdzie gruchnęło razem trzydzieści pięć pocisków.

–

Przerwać ogień, niech to Duch pochłonie, zagrać: *przerwać ogień!* – krzyknął znowu Raj.

Trąbki zagrały raz za razem i dźwięk zaczął być przekazywany dalej do pozostałych jednostek. Żołnierze Rządu Cywilnego także byli upakowani prawie ramię w ramię ponad przeciwnikami i strzelanina zaczęła niechętnie milknąć. W dziesięć minut później krzyki rannych stanowiły najgłośniejszy dźwięk. Widział, jak tysiące twarzy zwracają się ku niemu, ku sztandarowi Rozbłysku Gwiazd pośród dział.

–

Biała flaga do paktowania – rzucił do adiutanta. – Znajdź oficera. Bezwarunkowe poddanie, natychmiast, ale zagwarantuję im życie i wolność osobistą, jeśli nie nic innego. – Mógł lepiej spożytkować tak dobrych żołnierzy, zamiast wysyłać ich na miny.

\* \* \*

– Cóż, Ingreidowi zostało teraz co, pięćdziesiąt tysięcy? – spytał Gerrin Staenbridge.

– Cztery tysiące martwych, cztery tysiące się poddało, z tych na tyłach – mniej więcej – powiedział Barton Foley, spoglądając w swój notatnik.

Dowódcy siedzieli wokół stołu na kozłach. Pod nimi oddziały jeńców robiły przegląd pola bitwy, zbierając rannych i broń pod nadzorem piechoty Rządu Cywilnego. Po zygzakowatej drodze posuwały się ze stekiem wozy załadowane rannymi nieprzyjaciela i łupami oraz stada psów z łbami zakrytymi kapturami. Artylerzyści i rzemieślnicy ze Starej Rezydencji uwijali się na moście kolejowym i naprawiali szkody. Odgłosy piłowania i walenia młotami dobiegały wraz z

niekończącym się dźwiękiem pędzącej rzeki, uderzającej o kamienne słupy. Kolejni jeńcy zajmowali się naprawą umocnień ziemnych fortu. Nawet artylerię może uda się uratować; trudno było zniszczyć te działa z lanego żelaza lub brązu.

Raj przełknął kęs chleba i kiełbasy i popił to wodą. – Grammeck, jak długo na moście?

–

Będzie gotowy na jutro, jeśli się wysilimy – powiedział artylerzysta. – Konstrukcja nie odniosła żadnej prawdziwej szkody.

Raj skinął głową. – Kaltin, ile psów żeśmy przechwycili?

–

Więcej niż *nam* się przyda i zdołamy wykarmić – powiedział towarzysz. – Osiem, dziewięć tysięcy, nie licząc tych, które lepiej zastrzelić. A co?

Raj uniósł rękę. – Dobra – stwierdził. Pozostali pochylili się do przodu. – Jak mogliście się domyślić, nie zamierzam pozwolić Ingreidowi na swobodne przejście do domu. Jeśli dostanie się za fortyfikacje Koszar Carson, to będziemy tu przez całe lata – i będzie cholernie trudno odciąć mu łączność, gdy rzeka znajduje się tak blisko.

Staenbridge przesunął ręką po swojej szczęce, szeleszcząc sinawym zarostem. – Spotkanie na otwartym polu? – spytał. – Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi... ryzykowne.

Raj potrząsnął głową i uśmiechnął się, przyciskając rogi mapy talerzami i kubkami. – Nie mam zamiaru walczyć, chyba że zrobi mi tę uprzejmość i zaatakuje frontalnie silną pozycję... a myślę, że nawet Władca Ludzi zdał sobie sprawę, że *to jest* błąd.

Pozostali zaśmiali się i przyglądali bacznie, gdy palec Raja przesunął się po linii kolejowej pomiędzy Starą Rezydencją a Koszarami Carson, cztery kilometry na południowy zachód, do doliny Padanu.

– Musi się wycofywać wzdłuż tej linii... cóż, *mógłby* pomaszerować prosto do najbliższego rzeczno-portu na Padanie, ale on tego nie robi. Ten odcinek ziemi wzdłuż linii kolejowej jest nagi, a kolej jest bezużyteczna do czegokolwiek poważniejszego, dzięki temu oto Ludwigowi. – Dawny Eskadrowiec okrył się rumieńcem. – Będzie musiał sprowadzić karawany z obszarów mających zapasy – i to w najgorszej porze roku.

– Ach, *bwenyo* – powiedział Kaltin Gruder. – Najazd, co ?

– Hmmm – Gerrin wydał usta. – Mimo to, będziemy mieli tylko sześć tysięcy ludzi – podkreślił. – Trudni do koordynowania i nie na wiele się zdadzą, gdy *dojdzie* do walki.

–

Nie dosyć – przyznał Raj. – Będziemy potrzebować jedenaście tysięcy karabinów i wszystkie działka polowe, to minimum. Jorg, weźmiemy dziewięć batalionów twojej piechoty. Szlachcic z hrabstwa Keldon podniósł wzrok, mrugając z zaskoczenia. – Moi chłopcy mogą maszerować – powiedział. – Ale są dwunożni, *mi heneral*.

–

Nie na psim grzbiecie – stwierdził Raj. – Dlatego zapytałem, ile psów przechwyciliście. – Uniósł ręce wobec burzy protestów.

–

Wiem, wiem, wyszkolenie kawalerzysty zajmuje lata, właściwie musi się do tego urodzić. Nie oczekuję, żeby walczyli wierzchem albo manewrowali czy też szybko przechodzili od działań w siodle do pieszych – nie oczekuję od nich niczego innego tylko tego, żeby pozostali na zwierzakach, a potem zsiadli z nich i ustawili się w formacji pieszej do działań piechoty. Piechota na psach, a nie kawaleria.

Jorg Menyez zamknął usta, przełykając protest, który miał wygłosić, i przez sekundę siedział w milczeniu. A potem skinął głową. – Tak, mogą to zrobić – powiedział.

Raj zastukał kostkami dłoni o szorstkie deski. – Jeśli Duch zdarzy i nie wywiąże się zesztywnienie karku – stwierdził. – Wybierz najlepszych, zostaw jednostki, które oberwały najmocniej. Postaw na czele solidnego człowieka, a on może rekrutować lokalnie, ile potrzeba. Najpewniej i tak nie będzie tutaj w okolicy żadnych prawdziwych walk przez resztę kampanii.

– Podzielimy się na trzy kolumny – ciągnął. – Gerrin, Kaltin i Ludwig będą dowodzić, każdy weźmie po piętnaście dział. Absolutne minimum zapasów, żadnych namiotów, żadnych ciur obozowych, żadnych pojazdów na kołach poza wózkami na amunicję do dział. Zarzućcie sześćset jedenastomilimetrowych pocisków na juczne psy, suchary na trzy dni i tyle.

Narysował prostą linię na mapie wzdłuż kolei. – To jest Ingreid. – Te trzy ikсы – jeden przed siłami Brygady i jeszcze dwa na południu i na lewo – to my. Tyle potyczek, żeby ich spowolnić.

Duża armia i tak była powolną armią, a jeśli zostaną zmuszeni do ustawiania się w szyku, będą jeszcze wolniejsi. Każdy dzień pokonywania kraju zwiększał ich problemy zaopatrzeniowe. Raj rozpostarł dłoń z rozłożonymi palcami, a potem przyciągnął palce do siebie i zacisnął.

– Będziemy się trzymać na tyle blisko siebie, by się nawzajem wspierać – powiedział. – Odcinajcie wszystkich furazujących i wycofujcie się prędko, gdy spróbują was zaatakować znaczne siły. Jeśli Ingreid się zatrzyma i rzuci się na nas, możemy się wszyscy połączyć i wybrać własne miejsce. Albo połamię sobie na nas zęby, atakując frontalnie okopy, albo będzie musiał na nowo podjąć marsz ku Koszarom Carson – a wtedy my wznowimy nękanie. Przy odrobinie szczęścia, kiedy dostanie się do stolicy, będzie umierał z głodu.

– A co z ich prawą flanką? – spytał Gerrin, przesuując palcem po łuku na północ od linii kolejowej.

– Jest tam nasz dobry i wierny pułkownik Clerett, pałac i mordując – powiedział Raj. – Wnosząc z meldunków, spodziewam się, że dotrze do Koszar Carson na długo przed Ingreidem. A poza tym umieszczę na tej flance Skinnerów. Julukowi to się spodoba.

– Niech Duch pomoże cywilom – powiedział Jorg. Raj wzruszył ramionami.

– Wojenne losy – a Skinnerzy uważają zabijanie cywili za kiepską zabawę, gdy mają pod ręką Długowłosych – powiedział. – Kiedy wszyscy dotrzemy tam, gdzie zdążamy, możemy połączyć się z Clerettem, co da nam piętnaście albo szesnaście tysięcy pierwszej klasy żołnierzy... a Ingreid

powinien być wówczas znacznie osłabiony. Jakież pytania?

Przytakujący pomruk. – Chcę wyruszyć do jutra – ciągnął. – Oto rozstawienie jednostek...



## Rozdział czternasty

Długa, łagodna grań ponad drogą była pokryta brzoskwiniowymi drzewami, a cały sad przybrany był puchem różowych pąków. Słodki zapach zwał z nóg, a deszcz skropionych rosą pąków spadał, ozdabiając ramiona i hełmy żołnierzy siedzących na psach. Pola zbóż rozciągały się aż do drogi i rozpościerały dalej, a tu i ówdzie kępa drzew albo chałupa wyrastała pośród wysokiej do pasa kukurydzy albo sięgającej ud pszenicy. Bruzdy po pługu były czerwono-brunatne, a pastwiska intensywnie zielone. Słońce świeciło jasno, żółtopomarańczowo na bezchmurnym niebie, a obydwie księżycy były przezroczystymi rąbkami blisko horyzontu. Pterosauroid szybował wysoko w górze. A jego rozpostarte na dziesięć metrów skrzydła wydawały się maleńkie na tle bezchmurnego nieba. Pierzaste i zębiaste nibyptaki goniły owady, przeskakując z gałęzi na gałąź ponad żołnierzami, szczebiocząc na widok tej uczyty, jaką wykopały łapy psów. Od czasu do czasu któryś zatrzymywał się, trzepocząc skrzydłami, przywierając do kory łapkami i pazurami palców znajdujących się na przednim skraju swoich skrzydeł i syczał w proteście na ludzi poniżej.

– Wyglądamy jak grupka cholernych družbów, jadących na wesele – stwierdził Kaltin Gruder, strzepując kwiaty z szyi swojego psa. Oficer obok niego zaśmiał się.

Pół kilometra na północ i sto metrów w dół, karawana wozów posuwała się ze skrzypieniem powoli na północ. Wozy były ciągnięte przez woły: dwadzieścia wielkich, białoskórych zwierzaków, przeznaczonych do największych pojazdów, „ładowych szkunerów”, z płóciennymi płachtami rozciągniętymi na pałakach. Wielkość wozów wahała się od tych znajdujących się teraz na dole do zwykłych, skromnych dwukółek rolniczych, ciągniętych tylko przez jedną parę. Kaltin gwizdał niemelodyjnie przez zęby, przesuwając lornetką ze wschodu na zachód. Większość ludzi w konwoju była wyraźnie tubylcami – wieśniakami w postrzępionych spodniach i sukmanach. Dalej podążali następni, poganiając po polach wzdłuż drogi stado owiec i rzeźnego bydła – prosto przez młodą kukurydzę i do połowy wyrosniętą ozimą pszenicę.

Byli tam jednak także inni ludzie wierzchem, z hełmami o „homarowych” ogonach, w czarno-szarych mundurach. Jechali w dwójkowych kolumnach po obu stronach konwoju i wysyłali małe patrole. Jedna grupka składająca się z czwórki ludzi jechała w dole po otwartym zboczku ku sadowi.

– Jakież dwie setki dragonów – powiedział Kaltin i zaczął wydawać krótkie rozkazy. Wystarczało to do pilnowania, żeby żadna banda niezadowolonych chłopów pańszczyźnianych nie napadła na karawanę z zapasami. Ale nie dosyć, żeby się dzisiaj na coś przydać.

Zagrała trąbka. Zwiadowcy Brygady gorączkowo ciągnęli za wodze, gdy trzy setki ludzi podniosło się na nogi i wyszło równym szeregiem z sadu. Kolejne dwie kompanie zbiegły truchtem w dół i zajęły pozycje po przeciwległej stronie drogi przed konwojem, blokując drogę powrotną do głównej armii Brygady.

– Teraz – zaczął Kaltin, a potem zaklaskał.

Zagrzmiały kotły Brygady. Cywile umykali prosto na północ przez pola zboża. Jeśli dowódca eskorty konwoju miałby w ogóle trochę rozsądku, to zrobiłby to samo. Jednak barbarzyńcy wypalili salwą z siodeł – ani jeden pocisk nie spadł w pobliżu sił Rządu Cywilnego, choć Kaltin słyszał, jak kule śmigają w koronach drzew pięć metrów w górze – a potem dobyli mieczy i natarli.

– Więcej jaj niż mózgu – stwierdził dowódca batalionu i zawołał do swego podwładnego.

Dalej na grani grzmotnęły działa. Pociski świsnęły w górze i wyrznęły w ziemię przed szarżującymi Brygadowcami. Z odległości czterystu metrów strzelcy wypalili salwą. Trzydzieści sekund później ci z Brygady, którzy przeżyli szarżę, galopowali jak szaleni w przeciwnym kierunku albo trzymali broń do góry nogami. Wszyscy poza ich przywódcą – on natarł z wyciągniętym mieczem. W odległości stu metrów od szeregu Rządu Cywilnego jego pies się zachwiał i padł, jakby się potknął, z nogami połamanymi od strzałów puszczonej nisko.

– Zobaczmy, co tutaj mamy – rzekł Kaltin, dotykając piętami boków psa.

Podjechał do leżącego mężczyzny. *Chłopak*, pomyślał. Tylko ciemny puszek na jego białych policzkach; gołowąs na czworakach macał w poszukiwaniu miecza. Kaltin pochylił się i zamachał czubkiem szabli przed oczami chłopaka.

– Poddaj się – powiedział.

Mruganiem odpędzając łzy wściekłości, *młodzieniec* wstał i podał swój miecz.

–

Jestem dziedziczny kapitan Evans Durkman – powiedział i oblał się rumieńcem, gdy głos mu się załamał w pół zdania.

W dole żołnierze 7 z Descott przystąpili systematycznie do pracy. Woły wyprzęgano i popędzano w górę zbocza okrzykami i uderzeniami arkanów. Ludzie stawali na wozach, żeby załadowywać na szeregi juczych psów worki z mąką kukurydzianą, fasolą, suszonym mięsem i kiełbasami. Jeszcze głośniejszy okrzyk powiadomił o wozie wypełnionym beczkami brandy. Dały się słyszeć jęki, gdy podoficer podjechał i rozkazał rozwalić wieczka beczek i wylać biały płyn na wszystkie pozostałe pojazdy. Minęło mniej niż pięć minut od początku działań, a pierwsze, karmione brandy płomienie buchnęły ku niebu. W kilka minut później cała karawana płonęła. Posępni jeńcy pod lufami descottyjskiej broni rozbijali własne karabiny o żelazne okucia kół wozów.

–

Nie ujdzie ci to płazem, ty bandyto – warknął w znośnym, sponglijskim niesamowicie młody Brygadowiec.

Kilku ludzi wokół Kaltina się roześmiało. On sam się uśmiechnął; nie w sposób niezyczliwy, ale bliźny uczyniły z uśmiechu coś, co sprawiło, że młodszy mężczyzna wzdrygnął się nieco, mimo swojej brawury.

–

Jeśli miałeś na myśli te siły liczące tysiąc pięćset ludzi, które wyjechały wam na spotkanie... – zaczął.

Wówczas to z północnego wschodu dobiegło słabe dudnienie, odbijające się echem od niskich wzgórz. Rozpoznanie w tym dźwięku odległej kanonady zajęło Brygadowcowi kilka chwil i wówczas zrobił się biały ja kreda.

– ... to właśnie oni – dokończył Kaltin. – A teraz twoje buty, młody messerze.

Mężczyzna dostrzegł, iż jeńcy byli na bosaka. Oddał niechętnie swoje własne buty, przyglądając

się w zadziwieniu, jak obuwie zostało wrzucone do buzującego ogniska, które jeszcze kilka minut temu było wozem.

– Nie mamy czasu ani żołnierzy, żeby was pilnować – Kaltin wyjaśnił pomocnie grupie ponurych jeńców. – A wątpię, aby Ingreid miał na zbyciu wierzchowce, broń czy obuwie, nie wspominając już o żywności. A więc, jeśli macie choć trochę rozsądku, to od razu zaczniecie maszerować do domu. Jestem pewien, że twoja matka nabierze otuchy, widząc cię, dziedziczny kapitanie Durkmanie.

Wsunął szablę do pochwy i zebrał wodze. Brygadowiec wybuchł potokiem nameryjskiego. Kaltin mówił trochę w rym języku, głównie poznanym od swojej konkubiny Mitchi. Sądząc po nazwach części ciała, większość z tego, co młodzieniec mówił, to były wulgaryzmy. Kilku jego starszych podwładnych pochwyciło go za ramiona. *Oni* zapewne dokładnie pojmowali, jaka była alternatywa wypuszczenia niewygodnego jeńca, *i* byli zaskoczeni, że wciąż żyją.

Durkman wyrwał się im. – Kiedy zamierzacie przestać się chować i czaić? – spytał ostro.

– Kiedy zamierzacie wyjść i stoczyć bitwę jak ucziwi ludzie?

Kaltin wyszczerzył się w uśmiechu i zawrócił swego wierzchowca ku wschodowi. – Toczmy bitwy – rzucił przez ramię. – I wygrywamy.

Odwrócił się, a jego ręka powędrowała w dół. – *Waymanos!*

\* \* \*

– Cóż, to coś nowego – stwierdził Barton Foley.

Droga stanowiła zrytą masę błota, nawozu i psiego gówna. Właśnie tego można się było spodziewać po przejściu potężnej armii. Po pierwszym tygodniu przyzwyczał się do porzuconych bagaży. Jednym w głównych problemów było uniemożliwienie ludziom obładowywania się zbędnymi łupami. Część z nich *była* dość kusząca – nawet srebrna wanna, na Ducha! Masy sług i niewolników oraz ludzie ciągnący za obozem, nie tylko dziwki, ale i rodziny.

Tym razem były to działa z lufami lśniącymi w krótkim, wiosennym deszczu. Brąz błyszczał jaśniej, gdy chmury się rozstały i przebiło się przez nie zamglone światło słoneczne. Dwadzieścia z tych dział to były lekkie działka polowe, trzy były cięższe – niezupełnie działa oblężnicze ale prawie... i tyle pozostało z artylerii Ingreida, łącznie z tym, co utknęło na brodach, spadło z mostów i złamało osie, zanim tu dotarło.

– Są tam, panie – powiedział porucznik Torridez.

Koleiny nie kończyły się na skraju drogi. Właściwie, to trudno było powiedzieć dokładnie, gdzie była przedtem droga w tym pokosie zniszczeń, stratowanej i zrytej ziemi, ciągnącej się ku południowemu zachodowi. Linię drogi wyznaczała tylko linia kolejowego nasypu. W okolicy sporo było bagien i lasów oraz kanałów melioracyjnych na oczyszczonych polach. Trzystu Brygadowców, siedzących w kucki z rękoma na karku, znajdowało się na czymś, co w lepszych czasach było pewnie pastwiskiem.

– Znalazłem ich, jak tu siedzieli – ciągnął Torridez. – Wcale nam nie sprawili kłopotu.

Foley zmarszczył lekko nos od ich zapachu i w myślach kazał sobie upewnić się, iż kapłani

sprawdzali wodę pitną ludzi. Dwaj oficerowie Rządu Cywilnego zatrzymali się przy starszym mężczyźnie. Miał on na sobie zbroję z napierśnikiem i napiecznikiem, choć żołnierze na polu byli dragonami. Mężczyzna powstał, wpatrując się mrugającymi, zażwawionymi oczami w młodzieńca z hakiem. Jego głowa była łyśa niczym kolano, a twarz pewnie miała mocne rysy, zanim gorączka i głód nie pozostawiły obwisłej skóry barwy popiołu.

– Pułkownik Otto Witton – rzucił chrapliwie.

–

Kapitan Barton Foley – odparł młodszy mężczyzna w starannym nameryjskim. – To jest twój regiment?

Witton się roześmiał, a potem zaniósł się kaszlem. – To, co z niego zostało – powiedział.

–

Ci, którzy nie zwiiali zeszłej nocy. – Znowu się zaśmiał, a potem kaszłał, aż zebrało mu się na wymioty. – Oficjalnie stanowimy straż tylną.

Foley dotknął hakiem ust. – Pułkowniku, *może* masz szczęście – stwierdził. – Odsyłam do tyłu eskortę z naszymi rannymi zdolnymi do chodzenia. – Brygadowiec skinął głową, równie świadomy co Kaltin tej drugiej możliwości. – Jednakże, jest parę spraw, o których chciałbym się dowiedzieć...

Witton zacharczał i splunął w błoto śliną z kropelkami czerwieni. – Pytaj. Straciłem brata i syna, bo ten ignorant-świnia, pieprzący sauroidy Manfrond, doprowadził tę wojnę do katastrofy, razem z całą spuścizną Teodore Amalsona. Na zewnętrzne ciemności, Forker mógł się lepiej sprawić.

– Duch Człowieka jest z generałem Whitehallem – powiedział Foley. – A teraz, chcielibyśmy wiedzieć...

Dźwięk napływający znad bagna z odległości kilometra był i tak ogłuszająco donośny. Stanowił coś pomiędzy bulgotliwym wrzaskiem a krzykiem sokoła, lecz jego donośność sprawiła, iż pobrzmiwał w tle niczym kamienie młyńskie. Stworzenie zaatakowało, zanim przebrzmiały ostatnie nuty. Jego ciało miało siedem metrów długości, było smukłe, lecz śmiertcionośne jak bykowiec. Połowę długości ciała stanowił ogon, a reszta zdawała się być głową o rozwartej paszczy, na tyle ogromnej, by objąć tors człowieka. Stworzenie biegło na tylnych łapach, masywne, lecz zwinne, a grube nogi popychały łapy z orlimi pazurami naprzód, pokonując trzy metry przy każdym susie. Przednie łapy były stosunkowo mniejsze, lecz na każdym znajdowały się zakończone pazurami palce wyciągnięte w kierunku ofiary.

Nakrapiane zieleniąłuski pokrywały górne partie jego ciała. Brzuch był kremowy, a korale pod gardłem miały kolor wścieklej czerwieni koguciego grzebienia.

Smród rozkładu wywabił go z bagien, gdzie polował na hadrosauroidy. Celem były trzy setki rozbrojonych Brygadowców i przeorałby się przez nich niczym napędzana parą piła przez miękkie drewno. Taki wielki carnosauroid zabijałby, aż wszystko wokół byłoby martwe, zanim zaczęłby się posilać, a potem leżałby *na swojej zdobyczy*, aż pochłonąłby *ostatni strzęp* gnijącego mięsa.

– Z siodeł, ostry ogień, *teraz!* – krzyknął Foley, a jego głos był rzeczowy, czysty i podniesiony tak, by się niósł.

Setka ludzi zareagowała sprawnie, a jedynie powarkiwanie zdenerwowanych psów sprawiało, iż różniło się to od ćwiczeń. Pierwszy wystrzał zadźwięczał niecałe dwadzieścia sekund później. Foley widział, jak kule wybijają dziury w błocie wokółłap stworzenia; małe pluski pośród tryskających jak spod kafara błota i wody za każdym razem, gdy trzypalczaste łapy waliły w ziemię. Jeszcze więcej kul uderzało w wysuniętą głowę, lecz mózg sauroida był mniejszy niż pięść dziecka i umieszczony w wielkiej i bardzo kościstej czaszce. A potem kula szczęśliwym trafem uderzyła w pierścień barkowy i odskoczyła od boku zwierzęcia. Nie była to poważna rana, ale zapiekła na tyle, iż zmusiła carnosauroida do zastanowienia się – lub też do włączenia jednego ze splotów odruchów uchodzących za myśl.

Zwierzak okręcił się w miejscu w poszukiwaniu tego, co go użądliło, wymachując ogonem dla podparcia i zamykając szczęki z dźwiękiem przypominającym marmurowy posąg upadający na kamienną posadzkę. To sprawiło, iż znalazł się bokiem do kompanii Foleya, a on *słyszał*, jak uderzają kule; odgłos przypominający grad walący w błoto. Większość stanowiły naboje do zabijania sauroidów, zakończone twardym mosiądzem. Bestia znowu się obróciła i ryknęła, rzucając się na nowo do ataku. Foley zacisnął nogi wokół torsu swego psa i dobył pistoletu, zdając sobie jednocześnie sprawę, że równie dobrze mógłby pocałować bestię w pysk, co zastrzelić ją z ręcznej broni. Dziesięć metrów od linii ognia – na długość ciała – łapy carnosauroida przestały pracować; jedna wysunęła się przed niego, a druga pozostała z tyłu, zamiast ruszyć do przodu przy następnym kroku. Stwór zarył długim pyskiem w miękką ziemię, ryjąc bruzdę.

Czarne niczym węgielki oczy pozostały otwarte, gdy trzytonowy drapieżnik zatrzymał się zaledwie metr od niego. Żołnierze wciąż strzelali, każdy wbijał w sauroida cztery albo i pięć pocisków; wynikało to z doświadczenia, a nie nerwowości.

Foley uspokoił psa, starając się zapanować nad oddechem. W rodzinnych stronach, w Descott, wypełniał swoje obowiązki przy polowaniach, choć nigdy za tym nie przepadał. Descott było jednak za suche, by mogło wyżywić liczne wielkie drapieżniki, zwłaszcza że trawożerne sauroidy zostały już wszystkie dawno powystrzelane. Stado sierpostopów wielkości człowieka, których było mnóstwo, było równie niebezpieczne. Jednak nie tak szarpiące nerwy.

–

Przepraszam za to zamieszanie – powiedział, odwracając się z powrotem do Otto Wittona. Ręce Brygadowca wciąż wykonywały ruchy, jakby żołnierz chciał sięgnąć po nieobecny karabin.

– One, ach, one zwykle nie...

–

...nie podchodzą tak blisko do ludzi – dokończył za niego Foley. – Chyba że są bezpieczne, gdy my się nawzajem wybijamy.

Co często miało miejsce: była to jedna z przyczyn, dla których tak, łatwo kraina popadała w barbarzyństwo. Gdy doszło do punktu zwrotnego i zmniejszenia zaludnienia, nie dało się powstrzymać rodzimej przyrody. Przekraczało jego zdolności pojmwania, jak ktokolwiek mógł myśleć, iż Duch Człowieka był *tej* Ziemi, podczas gdy człowiek tak wyraźnie nie nadawał się do życia tutaj. Jednak pewnie nie był to moment na teologiczne rozważania.

–

Dziękuję ci – rzekł starszy mężczyzna. Pochylił głowę w kierunku swoich ludzi. Większość z nich była zbyt wyczerpana, aby uciekać, gdy pojawił się carnosauroid.

– *Danad* – powiedział Foley w jego rodzimym języku: *to nic takiego*.

Witton wziął głęboki oddech, zakaszłał i zaczął – Ingrid ma około...

\* \* \*

–

Ponie – powiedział Antin M’lewis. – Jakies sześć tysięcy ich, przedzierają się z lewej, przez to bagno.

Raj skinął głową, patrząc na południowy wschód. Główne siły hufca Brygady ustawiły się w szyku bojowym, choć zajęło to większą część poranka. Teren tutaj był płaski prawie niczym błat, obsadzony zbożem tam, gdzie nie było moczarów. Wciąż pozostała zastraszająca ilość wrogów, rozciągających się w regularnych blokach od jednego krańca widoczności aż do drugiego, ale zbliżali się bardzo powoli. Słońce południa odbijało się kłującym w oczy blaskiem od zaostzonego metalu i sztandarów, ale nawet z *tej* odległości nieprzyjacielskie formacje wyglądały niechlujnie.

–

Czy to moja wyobraźnia – spytał Gerrin, wymierzając swoją lornetkę – czy są jeszcze bardziej powolni niż zwykle?

– Jedna trzecia z nich nie jest już w siodle – odparł Raj.

Obydwaj się uśmiechnęli. Przez ostatnich kilka dni zwiadowcy znajdowali w obozowych ogniskach Brygadowców zwęglone psie kości. Nie był to jeszcze kanibalizm, ale niewiele się od niego różnił dla wychowanego w siodle szlachcica. Nieprzyjaciele mogli być barbarzyńcami, ale byli na swój sposób dżentelmenami. Przychodziło im to zapewne nie łatwiej niż Descottczykowi czy innemu messorowi.

– Cóż, wygraliśmy walkę – stwierdził Gerrin.

–

Rzeczywiście. Grammeck, przygotuj się do poczęstowania ich zmasowanymi trzema pociskami, kiedy dostaną się w zasięg, a potem się wycofaj.

–

Jorg – Raj lekko podniósł głos. Menyez był na swoim długonogim, wykastrowanym samcu dojazdy, a zwierzak lubił psy równie mocno co jego pan. – Zabierz piechotę do tyłu, wierzchem i z życiem.

– Zrobimy nawrót? – spytał Staenbridge.

Raj potrząsnął głową. – Weź kawalerią, zrób pętlę i uderz w tę okrążającą nas z flanki kolumnę – powiedział. – M’lewis, ty i Czterdziestu Złodziei macie im towarzyszyć. My będziemy chronić waszą flankę. Nie napierajcie, chyba że weźmiecie ich z zaskoczenia, a jeśli tak, to zapędźcie ich na moczary.

Gerrin skinął głową, zakładając rękawice i przyglądając się wojsku Brygady. – Może to moje klasyczne wykształcenie – powiedział – ale czy nie odczuwasz pewnego poczucia niespełnienia, kończąc kampanię bez wielkiej bitwy stanowiącej moment szczytowy?

– Na pewno Ingreid wolałby zejść w glorii *chwały*, a nie przegrać ze sraczką i brakiem racji żywnościowych – powiedział Raj. – Jeśli o mnie chodzi, to moją ambicją jest ustanowienie kiedyś nowego standardu wygrywania całej wojny bez walki. Ta wojna, racz zauważyć, jeszcze się nie skończyła.

Pięć tysięcy żołnierzy Rządu Cywilnego wzdłuż linii ognia wstało, odwróciło się i pomaszerowało zgrabnie do tyłu, gdy zagrała trąbka. Nie znajdowali się dokładnie na szczycie, ten teren nie miał niczego godnego tej nazwy, ale było tam niewielkie wzniesienie. Wystarczające, by ukryć fakt, że mieli wierzchowce i odjechali, a nie tylko wykonywali kontrmarsz, przygotowując się do kolejnego pojawienia, jak zrobili to z pół tuzina razy.

–  
A od Koszar Carson dzieli nas tylko jeszcze jeden tydzień

–  
powiedział Raj.

–  
Dziesięć dni, jeśli Ingreid nie przyspieszy – odparł Gerrin.

–  
Do zobaczenia o zachodzie słońca, *mi heneral*.

Raj stał przez chwilę, patrząc na nacierającą armię. *Marnotrawstwo*, pomyślał. *Jakie cholerne marnotrawstwo*.

Nie odczuwał nienawiści wobec Ingreida Manfronda za to, że ten stawiał opór. Raj Whitehall wiedział, że zjednoczenie Bellevue było absolutną koniecznością, lecz Brygadowcy nie mieli tej informacji. Nie można było winić władcy Brygady za to, że chciał bronić swego ludu i utrzymać swoją pozycję. To całkowity brak *fachowości* obrażał Raja.

## Rozdział piętnasty

–  
Generale.

Cabot Clerett przykładowie zasalutował, a Raj odpowiedział *tym samym* gestem.

–  
Pułkownika.

Poszli do namiotu i usiedli, czekając w milczeniu, aż ordynans postawi rozcieńczone wodą wino.

– Pierwszorzędny obóz – stwierdził Raj.

Rzeczywiście taki był: zaraz na skraju nasypu, na którym znajdowała się droga i kolej do Koszar Carson, a tym samym z widokiem także na kanał. Clerett kazał wykopać zwykły, pięciokątne fort z rowem i bastionami, ale wpasował mały fort Brygady w jedną ze ścian, umacniając bardzo to stanowisko. Pachniało paskudnie bagniskiem, a owady okropnie kąsały, lecz ludzie i psy rozbici byli zgrabnym obozem, wykopano rowy odwadniające oraz latryny i rozstawiono kadzie oczyszczające do wody pitnej. Clerett przygotował też obóz większy, niż było to potrzebne; z wysuniętym przedmurzem, w najgorszym razie zmieściłyby się w nim wszystkie siły, jeśli nie musiałyby zatrzymywać się zbyt długo.

– Jednakże Ingreid powinien się tu znaleźć za dzień albo dwa – ciągnął Raj.

Cabot pochylił się do przodu. Minionych parę miesięcy dodało mu zmarszczek i sprawiło, że twarz mu wyszczuplała. Wyglądał teraz na starszego niż na swoje lata, silniejszego i bardziej pewnego siebie.

*I nie bezzasadnie*, pomyślał niechętnie Raj. Była to śmiała kampania, lecz poza szaleństwem samego zamysłu, całkiem sprawnie poprowadzona. Ten człowiek potrafił dowodzić.

–  
A my znajdujemy się pomiędzy nim a jego stolicą! – powiedział Clerett, waląc pięścią w stół. Gliniane kubki podskoczyły na nieheblowanych deskach stołu, wyglądających jakby zostały wyciągnięte z jakiejś tutejszej stajni. – Złapaliśmy go w pułapkę.

–  
Cóż, można i tak na to patrzeć – przyznał Raj, kiwając głową. – Można też stwierdzić, że on będzie nas miał pomiędzy swoją armią w polu a garnizonem Koszar Carson, razem przewyższając nas liczebnie jak pięć do jednego.

Dłoń Cleretta spoczywająca na stole zacisnęła się. – Uważam, iż jest absolutnie koniecznym – powiedział nieco podniesionym głosem – by utrzymać siły w obecnej pozycji. Jeśli Ingreid dostanie się za fortyfikacje Koszar Carson, to będzie mógł sprowadzać zapasy przez kanały na bagnach albo wyprowadzić żołnierzy – jeśli na to pozwolimy, zakończenie podboju może zająć lata.

–  
Rekonkwisty – powiedział Raj, popijając nieco kwaśnego wina i wyglądając przez otwartą



klapę namiotu. – To jest rekonkwista.

Słońce zachodziło nad bagnami; czerwone światło na chmurach nad horyzontem, kładące się cieniem na wysokich, pióropuszczołowych trzcinach. Mlecznobiałe kity pochylały się i słaniały na ogromnym bagnie, zabarwione krwistym szkarłatem. Ponad nimi niebo ciemniało fioletem.

–  
Uważasz to za *absolutnie konieczne*? – ciągnął. Clerett skinął energicznie głową, a Raj się uśmiechnął. – Cóż, zatem się szczęśliwie składa, iż zgadzam się z tobą, czyż nie, pułkowniku?

Clerett znowu skinął głową, odwracając wzrok. Wciąż musiał to robić, nie będąc na tyle doświadczonym, by całkowicie ukryć swoje uczucia. – Prowadzę korespondencję z Marie Manfrond – woli być nazywana Marie Welf – odkąd przybyłem tu w zeszłym tygodniu – rzucił neutralnym tonem.

–  
Doskonale, ja także. A raczej, pani Whitehall.

–  
Suz... pani Whitehall jest tutaj? – spytał Clerett. Jego dłoń zacisnęła się wokół kubka.

–  
Owszem. Dlatego też zdajemy sobie sprawę z sytuacji zaopatrzeniowej w Koszarach Carson. – *I mam nadzieję, że ona nie zdaje sobie sprawy z różnicy zdań w naszych szeregach*, dodał w myślach Raj. Utrzymanie dominacji psychologicznej nad dumną i inteligentną kobietą barbarzyńców, jaką była niechętnie nastawiona żona Ingreida, było wystarczająco trudne. Clerett odchrząknął. – A co z Ingreidem? Starczy mi zapasów na tydzień.

–  
Ja mam na trzy dni. Ingreid nie *ma* zapasów... ale uparty z niego gość i może się uczy. Nie chcielibyśmy, żeby ruszył na północ do Padan i okopał się w Empirhado czy innym miasteczku z nadrzecznym portem.

Clerett potrząsnął głową. – Żadnych więcej oblężeń – zgodził się.

– Cóż – Raj się podniósł. – Lepiej dopilnuję rozlokowania głównych sił – ciągnął dalej.

– Jeśli dołączysz do nas łaskawie jutro w czasie drugiego śniadania, moglibyśmy ułożyć plany.

Było coś żalnego w sposobie, w jaki Clerett dziękował za zaproszenie człowiekowi, którego nienawidził.

\* \* \*

–  
Mam nadzieję, że dobrze się czujesz – powiedział Raj. Teodorę Welf przeniósł wzrok z Raja na twarz Suzette i na towarzyszy zgrupowanych wokół stołu. Korpus Ekspedycyjny okopywał się na zewnątrz, a ta gospoda na końcu grobli została wybrana na miejsce zebrań w środku obozu.

Dziękuję ci, dostojny panie – rzekł. – Lektyka na psach nie była bardzo niewygodna i żebra dobrze się goją. Kapłani mówią, że mogą teraz jeździć. – Ramię miał wciąż w gipsie, przywiązane do piersi, ale tego można się było spodziewać. – Choć jak będzie szło w takim tempie jak w zeszłym roku, to mój szkielet będzie wyglądał niczym układanka.

Raj skinął głową, ryzyko połamanych kości wiązało się z ich zawodem. – Sprowadziłem cię tutaj, aby omówić parę kwestii – powiedział. Młody Teodorę rozmawiał z nim trochę, ale więcej z Ludwigiem Bellamy i niektórymi z towarzyszy, a Suzette często jechała koło jego lektyki.

Wskazał głową w kierunku kupki listów leżącej przed szlachcicem Brygady. – Możesz zobaczyć, iż twoja kuzynka Marie nie ceni sobie mocno przywództwa Ingreida Manfronda.

Teodorę ostrożnie skinął potakująco głową, przesuając zdrową ręką po długich, jasnoblond włosach. – Może popełniłem błąd, popierając wyniesienie Manfronda na stanowisko generała – przyznał. – W takim wypadku to małżeństwo było... ach, zbędnym poświęceniem.

– Postawmy to w ten sposób – powiedział Raj. – Ingreid Manfrond przybył do mnie z ponad stu tysiącami wojowników – z połową zaciężnych Brygady, i to lepszą połową. Obecnie, po chorobach, dezercji i walce w czasie oblężenia i odwrotu, zostało mu czterdzieści pięć tysięcy, a wszyscy głodują. Podczas gdy my jesteśmy silniejsi niż na początku.

Teodorę skinął głową z zaciśniętymi ustami. Raj ciągnął dalej – A teraz, powiedzmy, że Ingreid będzie na tyle rozsądny, by się wycofać, i że skieruje się na północ, a nawet na Costa di Orrehene na dalekim zachodzie. Będzie miał szczęście, jeśli zostanie mu dwadzieścia tysięcy, gdy dotrze do bezpiecznych terytoriów, gdzie będę musiał pozwolić mu na przerwanie walki. Osobiście sądzę, iż do tego czasu każdy jego człowiek umrze albo zdezerteruje. Ale powiedzmy, że mu się uda, i że zbierze kolejne sto tysięcy ludzi, ogołacając wasze garnizony na północy. Czy sądzisz, że w dogrywce poradzi sobie lepiej?

Teodorę wahał się przez dłuższą chwilę. – Nie – stwierdził wreszcie.

Siatka Centrum opadła na obraz twarzy młodzieńca, pokazując rozłożenie ciepłoty ciała, przepływ krwi w naczyniach krwionośnych, rozszerzenie źrenic.

>>Obiekt Teodorę Welf mówi szczerze, prawdopodobieństwo 96% plus minus 2.<<

– Ingreid Manfrond nie jest jedynym szlachcicem z krwi Amalsonow – powiedział Teodorę. Kropelki potu lśniły *mu* na czole, choć wieczór był chłodnawy.

Raj znowu skinął głową. – To prawda – rzekł. – Ale tak szczerze, czy któryś z ewentualnych kandydatów – na przykład ty – mógłby zrobić coś więcej poza przeciąganiem wojny, co skończyłoby się jeszcze większą katastrofą dla Brygady, wnosząc z obecnej sytuacji?

Tym razem milczenie było o wiele dłuższe. – Nie, bądź przeklęty – rzucił w końcu nieco chrapliwym głosem Teodorę. – Ingreid zmarnował kwiat naszych sił i podał ci Zachodnie Terytoria na talerzu. Miasta na południu i na wybrzeżu natychmiast przejdą na twoją stronę, i tak nie ma tam prawie żadnych braci z jednostki. Skończylibyśmy ściśnięci pomiędzy tobą a Oddanymi oraz Strażą na północy i zostalibyśmy zmieleni na mięso dla psów. Potrwałoby to rok, może dwa albo trzy, i koniec.

>>Obiekt Teodorę Welf mówi szczerze, prawdopodobieństwo 91% plus minus 3<< powiedziało Centrum. >>Wysokie prawdopodobieństwo zastrzeżeń myślowych wiążących się z okresem po twoim odjeździe.<<

Teodorę westchnął i odprężył się na swoim krześle. – W każdym *razi& ja nie* muszę się rym już martwić, dostojny heneralissimo.

Raj się uśmiechnął, co wyglądało niepokojąco, i brodą wskazał ku drzwiom. – Wręcz przeciwnie – powiedział. – Na zewnątrz znajduje się osiodłany pies i *ten twój domowy* kapłan na drugim. A to – przesunął papier po stole – jest glejt do przejścia przez nasze szeregi.

Niebieskie oczy zwęziły się podejrzliwie. – Twoje warunki, lordzie Whitehall?

–  
Żadnych warunków – rzekł Raj, rozkładając ręce. – Darowuję ci wolność. Zrób z nią, co zechcesz.

Brygadowiec podniósł papier i przyjrzał się pieczęciom, zdobywając parę sekund czasu.

–  
Skąd wiesz, że nie poradzę Ingreidowi, by stawiał opór *i* nie powiem mu, co wiem o rozmieszczeniu waszych sił? – spytał.

–  
Nie wiem tego – odparł Raj. – Ale jestem całkiem pewien twojej inteligencji... i twojej troski o swój lud. – *A także twojej nienawiści wobec Ingreida i troski o losy domu Welfów, ale bądźmy uprzejmi.*

Przyszedł ordynans z pasem i mieczem Welfa. Broń tkwiła w pochwie, a po drugiej stronie zgrabnie zapięto klapę przykrywającą kolbę rewolweru. Teodorę wpatrywał się w niego z rozmysłem, gdy wstał, aby mężczyzna mógł zapiąć mu pas. A potem jego twarz przybrała stanowczy wyraz i Welf wykonał oficjalny ukłon.

–  
Messer heneralissimo, messo Whitehall, messerowie – powiedział, odwrócił się na pięcie i wyszedł w nadciągające ciemności.

– To było nieco ryzykowne – rzucił trzeźwo Jorg Menyez.

–  
Jakieś dziewięć dziesiątych szansy, że mam rację – rzekł Raj. Przesunął wzrokiem po towarzyszach i swojej żonie. – A teraz możemy się spodziewać kolejnego gościa.

\* \* \*

– Ponie.

Raj wystrzelił jak z procy, podnosząc się, a jego ręka powędrowała do pistoletu pod poduszką. Suzette usiadła obok niego; przeblysł w ciemnościach pokoju. Ponownie dobiegł głos zza drzwi.

Raj poczłapał do nich, naciągając spodnie od munduru. – Tak? – spytał, wychodząc do pokoju odpraw.

–

Strzelanina w obozie barbarzyńców – powiedział M'lewis.

–  
Skinnerzy?

–  
Karabiny barbarzyńców, ponie – rzekł zwiadowca o łasicowatej twarzy. Policzki miał wysmarowane spalonym korkiem, a na włosach czarną, robioną na drutach czapkę; zeznania były z pierwszej ręki. – Mocno walili, a potem łucichło.

–  
Czy mam wzywać do broni, *mi heneral* – spytał Tejan M'Brust; był oficerem nocnej straży. Raj zamrugał i wyjrzał przez okno. Maxiluna znajdowała się w odległości trzech szerokości dłoni od horyzontu, koło Szabli. Cztery godziny do świtu.

–  
Nie – powiedział. – Niech ludzie się wyśpią. – A do M'lewis – Miej na nich oko, ale nie wtrącaj się, chyba że opuszczą obóz.

\* \* \*

Raj czekał niewzruszenie, siedząc u szczytu długiego stołu. Brakowało godziny do południa. Formalności związane z glejtami i protokołem zżarły godziny od świtu. Główna sala gospody była surowa w swej prostocie; pobielone kamienne ściany, palenisko, długi stół, a wszystko jasno oświetlone dzięki wysokim oknom otwartym na łagodne, wilgotne powietrze. Inkrustowana, platynowa buława spoczywała przed Rajem. Jego osobisty sztandar oraz Rozbłysk Gwiazd Świętej Federacji stały oparte o ścianę za nim, ale poza tym nie zadał sobie trudu, aby upiększyć pomieszczenie. Niektórzy oficerowie stojący za nim i po obu stronach rozmawiali cicho. Cabot Clerett stał całkowicie nieruchomo, lecz lekko drżał z napięcia. Raz czy dwa Raj myślał, iż wyjdzie on z uroczystości i tylko słowo wyszeptane mu do ucha przez Suzette uspokoiło go nieco.

Wreszcie na zewnątrz zabrzmiał warkot kotłów Brygady, a odpowiedział mu zaśpiew trąbek. Buty uderzyły o ziemię, gdy straż honorowa prezentowała broń. Czysty baryton Bartona Foleya zaanonsował – Jej Dostojność Marie Welf, regentka prowincji Brygady. Jego Srogość Teodorę Welf, wielki konstabl Brygady.

Foley wmaszerował, zasalutował i stanął w pozycji spoczniej przy drzwiach.

– *Heneralissimo supremo*, strażnik miecza najpotężniejszego pana suwerena i jedyne go prawowitego autokraty gubernatora Barholma Cleretta, posiadacz władzy prokonsula Zachodnich Terytoriów, trzykrotnie sławiony zbawca państwa, miecz Ducha Człowieka, Raj Ammenda Halgren da Luis Whitehall! Heneralissimo przyjmie regentkę i wielkiego konstabla. Proszę wejść.

Dwoje młodych Welfów wkroczyło dumnie, a ręka Marie spoczywała na zdrowym ramieniu kuzyna. Raj uniósł w myślach brew, przyglądając się chłodnym, jastrzębim rysom kobiety. Kobieta była dość piękna, ale Ingreid mógł równie dobrze wziąć do łóżka sierpostopa, jeśli stało się to wbrew jej woli. Zatrzymali się po drugiej stronie stołu, Teodorę się skłonił, a Marie dygnęła formalnie. Zapadła cisza, a oddechy i ciche tykanie wahadłowego zegara w rogu stanowiły najgłośniejsze dźwięki. Raj skorzystał z przywileju zwycięzcy. – A co z generałem Ingreidem

Manfrondem, który, jak sądziłem, włada Brygadą? – Utrzymał starannie neutralny ton głosu.

– Dawny generał Ingreid został pozbawiony stanowiska przez zgromadzenie wojowników – powiedział Teodorę, patrząc Rajowi prosto w oczy. – Za zdradziecką niekompetencję. Władza cywilna została powierzona Marie Welf, będącej najbliższą krewną ostatniego prawowitego generała, zaś władza wojskowa mnie. Ingreid Manfrond został zeszłej nocy aresztowany. Niestety, zabił się, zanim mógł zostać postawiony przed sądem.

Raj skinął głową. Marie *Welf nosiła* na ramieniu czarną tasiemkę jako oficjalny znak żałoby. Miała też na sobie ceremonialny pistolet laserowy generałów, założony na suknię, sztywną od haftów i srebrnej koronki.

– Rozumiem, iż to poselstwo stanowi przyznanie się do klęski? – ciągnął dalej Raj.

Kolejne dwa sztywne ukłony. Tym razem Marie się odezwała, seksownym kontraltem. – *Heneralissimo*, jako że armie Brygady wciąż znajdują się w polu, proszę o warunki poddania się takie same jak te, którymi została obdarzona szlachta Eskadry, gdy poddała się przed ostatnimi bitwami w Południowych Terytoriach.

*Ach, sprytnie*, pomyślał Raj. Technicznie rozsądne i pozwole na zachowanie dwóch trzecich włości indywidualnym członkom Brygady, a niejednej trzeciej, jaką do tej pory przyznawał.

– Z pewnością zarekomenduję te warunki najpotężniejszemu panu suwerenowi – rzekł z rozwagą Raj. Ktokolwiek skończy jako tutejszy wicegubernator, będzie potrzebował, by Brygadowcy nie byli w zbyt posępnych nastrojach. – I jestem pewien, iż tak samo uczynią ci moi oficerowie, którzy mają wpływy na dworze.

To był znak dla Cabota Cleretta. Po krępującej chwili milczenia, ten odezwał się tonem sugerującym, iż słowa te były wyciągane z betonu – Z pewnością zarekomenduję takie postępowanie jednemu prawowitemu autokracie.

Raj podjął wątek. – Niestety, w oczekiwaniu na potwierdzenie ze Wschodniej Rezydencji mogę jedynie przyjąć bezwarunkową kapitulację.

Marie zeszywniała, lecz Teodorę pochylił się, by poszeptać jej do ucha. – Dobrze – rzekła posępnie i dobyte starodawny laser. Postąpiła do przodu i położyła go na stole przed Rajem, a Teodorę uczynił to samo z mieczem.

Raj skinął głową, uśmiechając się. Odjęło mu to parę lat. – Natychmiast prześlę do twego obozu racje żywnościowe, wielki konstablu – powiedział. – Odeślemy ludzi do domów tak prędko, jak to możliwe. Usiądźcie, proszę.

Suzette obeszła stół, aby podsunąć krzesło Marie Welf. – Nie mogłam się doczekać osobistego spotkania z tobą – stwierdziła. – To jest pułkownik Clerett, bratanek gubernatora...

\* \* \*

Obywatele Koszar Carson przypatrywali się w ciszy, jak Raj Whitehall wjeżdża przez bramę, poprzedzany Rozbłyskiem Gwiazd, flagą Rządu Cywilnego. Ich milczenie wynikało bardziej z oszołomienia niż z wrogości, gdy tłoczyli się gęsto przed niskimi, przysadzistymi budynkami z

barbarzyńskimi ozdobami ze złoczonej terakoty; szeregi piechoty trzymały ich z dala od drogi. Psy łapy waliły, okute żelazem koła dział toczyły się z grzmiotem po nawierzchni z granitowych bloków, a podkute ćwiekami buty maszerującej piechoty uderzały z łoskotem. W kolumnie gęsto było od porońców, oddziały sztandarowe reprezentowały wszystkie jednostki. Radosne okrzyki podniosły się, gdy grupa flagowa wjechała na główny plac. Plac był wypakowany równymi szeregami Korpusu Ekspedycyjnego. Chorążowie wysunęli się, by stanąć przed swymi towarzyszami, gdy Raj jechał dalej, aż do stopni pałacu, pod sięgającymi trzech pięter kolumnami w kształcie łodzi desantowych Federacji.

Hałas uderzył w niego niczym fala, gdy ściągnął wodze, zatrzymując Horace'a. Teodorę Welf stanął, by pochwycić uzdę, gdy Raj zsiadał. Generał czekał, aż palce Suzette spoczną mu na ramieniu, w którym zwykle dzierżył szablę, i zaczął się wspinać po schodach. Buławę stanowiącą symbol jego władzy prokonsula trzymał w zgięciu lewego łokcia – odpowiedzialność cięższa niż całe światy. Towarzysze podążali za nim, pobrzękując ostrogami o marmur.

Zatrzymał się u szczytu schodów, odwrócił się twarzą ku zebranych szeregom i uniósł prawą dłoń, prosząc o ciszę. Zapadała powoli.

– Bracia żołnierze – zaczął. Kolejny wzbierający ryk. – Powiedziałem, gdy rozpoczynaliśmy tę kampanię rok temu – *czy aż tyle minęło od wyspy Stern?* – iż nie musicie się lękać stawienia czoła żadnym żołnierzom na świecie. Spotkaliście się z armią dziesięciokrotnie liczniejszą i całkowicie ją pobiliście. Dzięki waszej dyscyplinie, waszej odwadze i waszej wytrzymałości Rząd Cywilny odniósł zwycięstwo, które ludzie zapamiętają na zawsze. Jestem dumny, iż mogłem wami dowodzić.

Skłonił głowę, salutując. Tym razem dźwięk jego imienia odbijał się od wysokich budynków otaczających plac, niczym echo grzmotu w kanionie.

–

*RAJ! RAJ! RAJ!* – Hełmy powędrowały w górę zawieszane na karabinach, kiwając się w rytm skandowanych słów. Jednak, gdy ponownie uniósł dłoń, cisza zapadła tak, jakby dźwięk został przerwany przez ostrze noża.

–

A pierwszą rzeczą, jaką macie zrobić, gdy otrzymacie nagrodę w postaci sześciomiesięcznego żołdu – przerwał gestem wzbierający okrzyk – to wypić za poległych towarzyszy. – To nieco otrzeźwiło tłum.

–

Duch wciągnął ich dusze do swojej sieci. Dla Ducha, dla nich i dla mnie, pamiętajcie, iż ta kraina i ci ludzie są teraz także poddanymi Rządu Cywilnego Świętej Federacji, a nie naszymi wrogami. – Uśmiechnął się i zatoczył koło ręką. – Pamiętajcie o tym i bawcie się, chłopaki – zasłużyliście na to. Rozejść się do swoich kwater!

Odwrócił się i przeszedł przez wielkie drzwi z brązu, wzdychając w myślach z ulgi. Duch wiedział, iż ludzie zasługiwali na nagrodę, i na gratulacje od swego dowódcy, ale on nigdy nie lubił przemawiać publicznie. A co gorsza, zawsze istniało ryzyko, iż jakiś zbytnio rozentuzjasmowany imbecyl zacznie wychwalać go słowami gubernatorskich wiwatów, czego nie zapomnieliby ani nie

wybaczyli władcy mniej podejrzliwi od Barholma Cleretta.

Cichnące wiwaty były słabo słyszalne we wnętrzu wielkiej sali. Tutaj jedynymi żołnierzami byli ci, którzy stali wzdłuż wyłożonego czerwonym dywanem przejścia do wysokiego Stolca generałów. Żołnierze stanęli na baczność, prezentując broń, gdy Raj ich mijał. Whitehall świadom był sześciuset lat historii spoglądających na niego ze ścian. Minęło sześćset lat, odkąd Teodorę Amalson podbił Starą Rezydencję i rozpoczął wznoszenie tego budynku, a prawie tyle, od kiedy ukończył go j ego wnuk. Nigdy przez ten czas nie weszli do niego uzbrojeni ludzie w mundurach Rządu Cywilnego. To nie była jedyna rzecz, która wydarzyła się dzisiaj po raz pierwszy. Przed nim kroczyli kapłani Ducha Gwiazd, wymachując kadzielnicami i śpiewając. Za Stolcem podwójna błyskawica Brygady została ukryta pod ogromnym sztandarem Rozbłysku Gwiazd. Inne sztandary leżały w stosach na posadzce – flagi bojowe Brygady.

Wszystko to było wysoce symboliczne, a sądząc po oszołomionych wyrazach twarzy szlachty Brygady, stanowiącej większość słuchaczy, doceniali oni każdy z tych szczegółów. Raj szedł do Stolca, depcząc leżące pod stopami sztandary. Suzette zatrzymała się przy niżej ustawionym siedzeniu małżonki władcy. Raj odwrócił się u szczytu podestu i podniósł buławę będącą symbolem jego stanowiska. Oprócz stojących na baczność żołnierzy, wszystkie głowy pochyliły się nisko w ukłonie lub dygnięciu, pozostając w tej pozycji, aż on opadł na poduszki.

– Zachodnie Terytoria powróciły pod opiekę Świętej Federacji, na zawsze – powiedział.

– A teraz, panowie, mamy wiele do zrobienia.

## Rozdział szesnasty

– Duchu, czy to dopiero minął miesiąc? – spytał Raj, spoglądając na stół. Spotkanie sztabu zajęło kilka godzin, a nie było to jedyne oficjalne spotkanie w czasie jego dnia pracy. – Zaczyna dawać się nam we znaki wiek średni i urzędniczy tyłek.

– Dobra robota, Muzzafie. – Raj postukał w stos dokumentów kwaterunkowych i teczek dotyczących zaopatrzenia, leżących przed nimi. – Bez ciebie musielibyśmy sami robić to *wszystko*.

Szczupły, elegancki Komarianin skłonił się w swoim krześle. – Z chęcią znoszę pracę w administracji dla twojej sprawy. Towarzysze się uśmiechnęli, a kilku jęknęło współczująco.

–

Jeden z nas powinien się urwać – rzekł Gerrin Staenbridge, rozpierając się na siedzeniu i popalając swoje obcięte z obu stron cygaro. – Ktoś będzie się musiał zająć zachodnim wybrzeżem.

Potakujące kiwanie głowami: rodzina Forkera wciąż miała zwolenników na Costa Dil Orrehene, za górami Ispirito. Wielu z nich odmówiło przybycia i złożenia przysięgi wierności.

–

Żaden z was – powiedział Raj. – Zamierzam zakwaterować tam Juluka i jego Skinnerów, aż tamci docenią korzyści płynące z prawa, porządku i poddania się.

Po chwili milczenia odezwał się Jorg Menyez. – To właśnie nazywam *eleganckim* rozwiązaniem – powiedział, uśmiechając się powoli. Do jego piechoty należało utrzymywanie porządku w strefie zakwaterowania, co w przypadku Skinnerów równało się „całkowitej bezsensowności”.

–

Kaltinie, ty *wyjedziesz* z miasta – ciągnął Raj. – Oddani sprawiają kłopoty na północ od Lis Plumhas. Chcę, żebyś wziął swój Siódmy, 9 i 11 Dragonów z Descott, 27 i 31 Zwiadowców z doliny Diva, 3 z Novy Haifa, oraz 14 z Komar i położył temu kres. Z północnych garnizonów zabierzesz piętnaście tysięcy żołnierzy Brygady. Nie wahaj się słuchać ich oficerów, mają doświadczenie z dzikusami.

Kaltin skinął żarliwie głową, a potem się zastanowił. – Ach, to są głównie żołnierze Cleretta, prawda?

–

Nie, oni są żołnierzami Rządu Cywilnego – rzekł chłodno Raj. – I już czas, by im o tym przypomnieć. A jako że pułkownik woli pozostać w mieście – i *niuchać koło mojej żony* – posyłam ich z tobą.

Jego ton stał się normalny. – A przy okazji, żadnych jeńców i masz prawo do wypadów za granicę, kiedy już pozbędziesz się tych na naszej ziemi. Z Oddanymi trzeba rozmawiać językiem, jaki rozumieją.

–

Będę musiał złożyć przed nimi przysięgę braterstwa krwi, zanim ich zabiję, żeby byli naprawdę zadowoleni – powiedział Kaltin. – A tak właściwie, to cieszę się, mogąc się wyrwać teraz z domu.



Pozostali mężczyźni się roześmiali. – Naprawdę powinieneś zwolnić – rzekł ktoś. – Zanim zanikniesz, stając się sylfem.

Kaltin wyglądał jak urażony cnotliwiec. – Chodzi o Jaine, tę małą trzpiotkę, którą uratowałem przed Skinnerami. Okazało się, że jest jakąś tam piątą cioteczną prawnuczką rodziny, u której mnie zakwaterowano.

– I to stanowi problem? – spytał Raj.

–

Nie, powódźleż szczęścia, ona idzie do swoich krewnych, a ja byłbym głupi, gdybym się sprzeciwiał, prawda? Tylko okazało się, że Mitchi przywiązała się do tej dziewczynki, zrobiła się oswiała i obwinia *mnie*.

– Zrób jej dziecko, człowieku – powiedział Tejan M’Brust.

–

*Ona jest w ciąży. Czy kiedykolwiek spałeś z kobietą, która rzyga co rano?* – Gerrin zacmokał. – Łatwo ci mówić, W każdym razie ciesz się, jadąc znowu w pole.

– Szybko – powiedział Raj. – I weź ze sobą Czterdziestu Złodziei.

Antin M’lewis podniósł wzrok. Jego ludzie dobrze się bawili w Koszarach Carson, a do tej pory przyłapano tylko paru.

– Szacowny Fedherko Chivrez przybywa, by do nas dołączyć – rzekł Raj. – Jako polowy przedstawiciel gubernatora. – Wobec braku zrozumienia u pozostałych powiedział – Był dyrektorem do spraw zaopatrzenia w Komar parę lat temu.

Muzzaf Kerpatik zaklął sążnście w sponglijskim, z nagle mocnym zaśpiewem pogranicznego akcentu.

Kaltin zmarszczył brwi. – Czy to nie ten oszukańczy łajdak, który próbował orznać nas na zapasach tuż przed najazdem na El Djem?

– Właśnie ten. Ten, którego razem z Evrardem wyrzuciliście przez zamknięte okno głową do przodu, a potem trzymali, gdy obecny tutaj Antin zaczął obłupiać go ze skóry, zaczynając od stóp.

– Podziałało – podkreślił Kaltin.

Raj skinął głową. – A ja chcę, żebyście wyjechali z miasta, gdy on przyjedzie, co może się stać lada chwila,

– Chivrez to pies Tzetzasa – wtrącił Muzzaf. – A kanclerz nigdy nie zapomina zniewagi.

–

Zgadza się – rzekł Raj. – Dopilnujcie tego, żebyście wyjechali do jutra. – Obydwaj mężczyźni odeszli.

–

Czy jest coś jeszcze? Ludwig Bellamy zakaszlał uprzejmie. – Ach, *mi heneral*, Marie i Teodorę chcieliby porozmawiać z tobą dziś wieczorem. Poufnie.

Raj uniósł brew, uchwyciwszy coś niezwykłego w głosie mężczyzny. – Ależ oczywiście – powiedział.

–

Pomyślałem sobie, że mógłbym tam być – rzekł Ludwig. – I może Gerrin? Raj rozparł się na krześle. – Prosimy o to? – spytał, lekko przymrużając oczy. Ludwig zarumienił się nieco i spojrzął na swoje paznokcie.

–

Nie, tylko tak sobie pomyślałem.

–

Zatem zobaczę się z nimi na osobności w moim własnym gabinecie za – spojrzął na

zegarek – dwadzieścia minut. Czy to wszystko, messerowie? Nie ty, Gerrinie. Gdy znaleźli się sami, Raj spytał – Czy wiesz, o co w tym chodziło?

–

Niezupełnie – powiedział mężczyzna, wyciągając mały nożyk z kościaną rękojeścią i przycinając sobie paznokieć.

–

Ludwig rozmawiał ze mną ostatnio... i to niestety nie ze względu na mój ujmujący wdzięk. Myślę, że martwi się tym administratorem, którego przysyłają. Jest przekonany, iż zastąpienie cię tak wcześnie to błąd, jeśli to właśnie ma on zrobić.

– Nigdy nie byłem zbyt dobry w nadzorowaniu cywili – zwrócił uwagę Raj.

–

Ci Brygadowcy nie są cywilami, mój przyjacielu. Przywykli do silnej ręki. I ciebie szanują, a nie będą szanować jakiegoś gryziopórka z tłustym tyłkiem ze Wschodniej Rezydencji. Trzeba, by tu się uspokoiło. Rok jako prokonsul to byłby dobry pomysł, a pięć jeszcze lepszy.

–

Rok mógłby być słuszny, ale jest to mało prawdopodobne, a pięć już zupełnie – odparł Raj. Rząd Cywilny miał twardą politykę nie łączenia nigdy wojskowego i cywilnego dowództwa, chyba że w sytuacjach wyjątkowych.

Raj postukał się kciukiem w podbródek. – A Ludwig widywał się także często z wdową po świętej pamięci Ingreidzie Manfrondzie, czyż nie?

–

Tak mi mówi młoda, rozkoszna Arabka, mająca dostęp do plotek. A Ludwig poluje też często z Teodorę. Łby hadrosauroidów i głębokie rozmowy. Nie sądzę, abyś musiał obawiać się spisku. Ludwig wciąż jest w wieku, gdy wielbi się bohaterów, a ty jesteś tym bohaterem.

–

Spisku przeciwko *mnie*, nie – rzekł Raj. – Hmmm. Ludwig i Marie... to może nie być takie złe, w odpowiednich okolicznościach.

To znaczy z nowym adresem we Wschodniej Rezydencji dla Marie Welf... czy też Bellamy, jak będzie się wówczas nazywała. Teodorę także będzie tam pewnie mile widziany, zachęcany do tego,

by przywożono mu statkami na wschód dochody z posiadłości. Zostanie obdarzony ziemią i stanowiskiem i nigdy, przenigdy nie pozwoli mu się na udanie się na zachód od Cieśniny Kelden.

– Wkażdym razie, trzymaj się w pobliżu, dobrze?

\* \* \*

Prywatny gabinet Raja był raczej niewielki. Raj nigdy nie czuł się dobrze, pracując w pomieszczeniu, które mierzyło się w hektarach. Gabinet łączył się z sypialnią, która właśnie *była* tego rodzaju miejscem, i którą dzielił z Suzette. Przypuszczał, że musiał to być poprzednio pokój pokojówki na zawołanie, zanim pałac przeszedł w inne ręce. Raj kazał poustawiać na ścianach regały na książki oraz *ramy z mapami i wnieść* masywne biurko. W tej chwili latarnia w górze i płonący małym ogniem kominek czyniły go przytulnym, a nie nagim. Uśmiechnął się, witając dwoje młodych szlachciców z rodu Welfów. Ten uśmiech był szczery. Teodorę był dającym się lubić młodym szczygłem, na swój sposób wykształconym, i zapowiadał się na pierwszorzędnego żołnierza. Marie była równie zdolna na swój sposób, choć nieco niepokojąca.

*I pewnie zada biednemu Ludwigowi bobu*, pomyślał, ale to był – mógł być – problem Bellamy’ego.

– Usiądźcie, proszę – powiedział. – A teraz, czy chcecie ze *mną* o czymś porozmawiać?

Dwoje Brygadowców spojrzało po sobie. Raj skinął głową. – Te drzwi prowadzą do mojej sypialni i są zaryglowane z drugiej strony – rzucił zachęcająco. – Drugie drzwi wychodzą na korytarz, gdzie w odległości dziesięciu metrów stoją wartownicy. Jesteśmy na osobności.

Marie ścisnęła poręcz krzesła. – *Heneralissimo supremo* – powiedziała płynnym, lecz gardłowo akcentowanym, sponglijskim – przybyliśmy, aby omówić przyszłość świata... poczynając od Zachodnich Terytoriów.

Raj odchylił się na obrotowym krześle. – Dostojna pani, powiedziałbym, iż ta konkretna sprawa została rozwiązana raczej jednoznacznie.

– Nie, nie została – odparła Marie. – Powiedziałaś, że chcesz zjednoczyć Ziemię.

– Bellevue – poprawił ją Raj. – *Polecono* mi zjednoczyć planetę Bellevue, owszem. – Nie musieli wiedzieć, kto właściwie mu to polecił.

–

Uważamy – prawie cała Brygada teraz tak uważa – iż zostałeś zesłany przez Ducha, aby to właśnie uczynić – rzuciła porywczo Marie. Na jej policzku widniał lekki rumieniec, a oczy jej błyszczały. – Jakże inaczej zdołałbyś pokonać największych wojowników świata z tak małutkimi siłami?

Teodorę zakaszłał dyskretnie. Jego ramię do dzierżenia miecza zostało wyjęte z gipsu, wciąż jednak było słabe. – Myślę, iż mogę przemawiać w *imieniu* wojowników Brygady – powiedział. – Taka mniej więcej jest ich opinia, choć nie każdy przypisuje to Duchowi. Niektórzy z nich po prostu myślą, że jesteś największym dowódcą w historii.

–

Pochlebia mi to – rzucił sucho Raj. – Jednak najpotężniejszy pan suweren ma wiele

zdolnych sług.

– Niech zewnętrzne ciemności pochłoną Barholma Cleretta! – wybuchła Marie. – Wszyscy słyszeliśmy o jego niewdzięczności wobec ciebie, jego podejrzeniach i groźbach – i wszyscy słyszeliśmy o innych jego sługach, kanclerzu Tzetzasie i jemu podobnych, którzy obłupiliby ze skóry Ducha.

Teodoreę pochylił się do przodu. – Barholm nie zdobył Zachodnich Terytoriów – powiedział. – *Ty to zrobiłeś. Ofiarujemy ci, jako generałowi, Brygadę, a wraz z Brygadą, świat. Chcesz go zjednoczyć? Poprzemy cię, a gdy ty nas poprowadzisz i przeszkolisz, nic nas nie powstrzyma. Twoi własni żołnierze pójda za tobą do piekła. Już to zrobili, wiele razy. Oni dostarczą ci kadry, jakiej potrzebujesz. Za pięć lat pomaszerujesz tryumfalnie do Wschodniej Rezydencji, a za dziesięć, do Al Kebir. Twoi towarzysze będą więksi niżli królowie, a synowie twoich synów będą na zawsze rządzić rodzajem ludzkim!*

*Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego,* pomyślał Raj.

Marie pochylała się do przodu z błyszczącymi oczami, trzymając zaciśnięte pięści przy gardle. Raj przesunął wzrok z jednej żarliwej twarzy na drugą, a pokusa uderzyła go, jakby dostał pięścią w brzuch. Miał w gardle ostry, słonawy posmak, Jego twarz nie zdradzała większości z tych emocji, ale żadne z Brygadowców nie było głupie. Wymienili tryumfujące spojrzenia i odezwaliby się, gdyby on nie podniósł ręki.

– Gdybyście – odchrząknął. – Gdybyście zechcieli poczekać na mnie w pokoju zebrań, messerze, messa?

– Mógłbym to zrobić – wyszeptał w ciszy panującej w pokoju. A na głos; *Mógłbym.*

Nie byłoby to wcale takie trudne. Zachodnie Terytoria były ze swej natury bogate, a lokalna arystokracja i mieszkańcy miast przynajmniej liźnęli cywilizowanych umiejętności. Brygada nie wiedziała, jak je wykorzystywać, ale on by wiedział. Grammeck Dinnalsyn mógłby sprawić, że za kilka miesięcy fabryki produkowałyby karabiny ze zbrojowni. Lopeyz był lepszym dowódcą floty niż jakikolwiek inny, jakiemu płaciłżołd Barholm. Mogliby przejąć wyspę Stern i Południowe Terytoria, zanim zima zamknęłaby morskie szlaki. To dałoby im dosyć siarki, saletry, miedzi i cynku. Ze współczesną artylerią byłoby nieco trudniej, ale nie byłoby to niemożliwe.

Za rok miałyby sto tysięcy ludzi wyszkolonych do standardu, jakiemu nie dorównałby nikt na Bellevue. Skinnerzy garnęliby się pod jego sztandar. A przy pomocy ludzi takich jak Muzzaf, organizujących logistykę, oraz floty zbudowanej w stoczniach Starej Rezydencji i Veronique, mógłby...

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

...a Raj Whitehall jechał ulicami zrujnowanej Wschodniej Rezydencji. Tłumy wiwatowały na jego cześć, wykrzykując jego imię w histerycznym zapamiętaniu, mimo iż zatoka wypełniona była ogniem i zatopionymi kadłubami.

Kanclerz Tzetzas splunął na strażę, które wlokły go przed pluton egzekucyjny. Barholm szlochał i błagał...

Pojawiły mu się przed oczami mapy; bloki i strzałki przeprowadzanych z powodzeniem ataków i wypadów wzdłuż górnej Drangosh. Płonące wieże Al Kebir i jednooki Tewfik przyklękający, aby oddać swoją zakrzywioną szablę. Taranujące i bombardujące się floty na lazurowym morzu i białe mury miast, o których jedynie czytał, zanjiskie i azańskie. Nad nimi powiewał sztandar Whitehalla.

Raj Whitehall siedział na tronie ze złota i diamentów, a ludzie z ras, o jakich nigdy nie słyszał, klękali przed nim, ofiarując daninę i dary...

...i leżał staruteńki i posiwiały na ogromnym, jedwabnym łożu. Zza okna dobiegały przytłumione śpiewy, a kapłan modlił się cicho. Kilku starszych oficerów płakało, ale młodszy mierzył się nawzajem wzrokiem z nieskrywanym pożądaniem, czekając, aby stary król umarł.

Jeden pochylił się i szepnął mu do ucha. – Kto? – spytał. – Komu pozostawiasz berło?

Usta starego Raja poruszyły się. Oficer odwrócił się i przemówił na głos, uciszając szepty  
– Mówi, że *najsilniejszemu*.

Armie się zwały, w identycznych zielonych mundurach, niosąc jego sztandar. Miasta płonęły. Wreszcie tam, gdzie niegdyś we Wschodniej Rezydencji stał Pałac Gubernatora, znajdował się cichy, zielony kopiec. Dwaj mężczyźni pracowali w przyjacielskim milczeniu przy ognisku, odziani tylko w opaski lędźwiowe z wyprawionej skóry. Jeden wykuwał grot włóczni z kawałka starodawnego okna, pod ręką miał drzewce i rzemyki do wiązania. Jego palce poruszały się umiejętnie, posługując się kościanym kowadłem i młotkiem do zestrugiwania długich płatów zielonego szkła. Jego towarzysz pracował z równą maestrią, rozczłonkując tuszę przy pomocy ciężkiego kamiennego młotka i kawałków krzemienia. Minęła chwila, nim Raj sobie uświadomił, iż to ciało należało kiedyś do człowieka.

\* \* \*

Raj mruknął, potrząsając głową. – *Czy moi synowie nie mogliby* – zaczął.

>>Wszystkie dzieci twoje i pani Whitehall będą dziewczynkami<< stwierdziło nieubłagane Centrum. >>Analiza genetyczna wskazuje na wysokie prawdopodobieństwo stanowczych i inteligentnych osobowości, ale prawdopodobieństwo utrzymania przez nie stabilności po twojej śmierci jest zbyt niska, by móc ją obliczyć.<<

*Mógłbym wybrać następcę, adoptować...*

>>Nieistotne<< ciągnęło Centrum. >>Struktura władzy Rządu Cywilnego nigdy nie podda się bez walki władzy z zewnątrz – a ty będziesz reprezentował Zachodnie Terytoria. Aby wymóc posłuszeństwo, będziesz zmuszony zmiażdżyć jedyną strukturę rządową zdolną do władania Bellevue. Po twojej śmierci ten cykl historyczny będzie w przyspieszonym tempie zmierzał ku maksymalnej entropii.<<

*Lepiej dla cywilizacji, żebym nigdy się nie narodził*, pomyślał posepnie Raj. Pozostałości wizji trzęsły nim niczym bagienna gorączka.

>>W tym scenariuszu, owszem.<< Głos Centrum był zawsze całkowicie spokojny, ale on miał wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wychwycić ślad współczucia w jego tonie. >>Zwróciłem tylko uwagę, iż z osobistej perspektywy twoja rola w moim planie nie wpłynie na polepszenie sytuacji twego rodu na świecie.<<

Raj potrząsnął ze smutkiem głową. *Rzeczywiście*, pomyślał,

Z sypialni dobiegły głosy, podniesione w kłótni. Trzasnął odsuwany rygiel i wszedł Cabot Clerett, mierząc z rewolweru – jednego z należących do Raja, jak zauważył Raj w nagłej, czystej niczym kryształ koncentracji, wywołanej adrenaliną. Młodszy mężczyzna dyszał, koszulę miał rozerwaną, ale lufa ustawiła się nieruchomo w punkcie stanowiącym środek masy ciała Raja.

– Zdrajca – warknął Clerett. Piętą zatrzaskał za sobą drzwi. – Podejrzewałem to, a teraz mogę to udowodnić.

Raj zmusił się do podniesienia z przysiadu. – Pułkowniku Cabocie, nie możesz oczekiwać, że uda ci się zastrzelić wyższego rangą oficera w środku jego kwatery głównej – powiedział. – Odłóż broń. Wkrótce wszyscy znajdziemy się z powrotem we Wschodniej Rezydencji i jeśli zechcesz, przedstawiś przed Krzesłem wszelkie oskarżenia.

*A gubernator uwierzy we wszystko, co zechcesz powiedzieć* pomyślał. Gdy Barholm będzie miał za dziedzica kompetentnego generała, to Raj Whitehall stanie się bardziej niż zbędny

– Z powrotem we Wschodniej Rezydencji – zaśmiał się Cabot. Twarz miał wykrzywioną i pachniał kwaśno potem. – Tak z poparciem barbarzyńskiej armii. Twoi siepacze mogą mnie później zabić, ale zamierzam uwolnić Rząd Cywilny od twego zagrożenia, Whitehallu – nawet jeśli *będzie* to ostatnia rzecz jaką zrobię.

Za Clerettem otworzyły się drzwi i weszła przez nie Suzette Kobieta była ubrana w jedwabną koszulę nocną z falbankami ale samopowtarzalny karabinek w jej rękach odznaczał się dobrze naoliwioną śmiercionośnością. Clerett dostrzegł, jak rozwierają się szeroko wpatrujące się w niego oczy Raja. Była to stara sztuczka, ale musiał go ostrzec przeciąg. Clerett zrobił pół kroku w bok do miejsca, skąd mógł widzieć kątem oka drzwi i wciąż celować w Raja z rewolweru.

Suzette przemówiła głosem ostrym i czystym. – Odłóż broń, Cabocie. Nie chcę zrobić ci krzywdy.

–

Nie wiesz – nie słyszałaś – krzyknął Cabot. – On jest *zdrajcą*. Jest jeszcze bardziej niegodny ciebie, niż zaufania, jakim obdarzył go stryj. Uwolnię was *oboje* od niego.

Od drugich drzwi dobiegło ostre stukanie. Wszyscy w gabinecie drgnęli, ale Cabot obrócił rewolwer ze śmiercionośną szybkością. Był młody, wyćwiczony i w dobrej kondycji, a Raj wiedział, że nie było sposobu, aby przeskoczył dzielącą ich odległość bez zostania trafionym przynajmniej jedną kulą, a pewnie dwiema albo i trzema.

–

*Mi heneral*, przybył czcigodny Fedherko Chivrez – głos Gerrina brzmiał tak gładko jak zawsze; tylko ktoś, kto go dobrze znał, mógł wychwycić ślad napięcia i lęku. – Naciska na to,

byś udzielił mu natychmiastowej audiencji, abyś wysłuchał rozkazów najpotężniejszego pana suwerena.

Wyszczерzone z wściekłości usta Cabota ułożyły się w uśmiech tryumfu. Jego palec zacisnął się na spuście...

...i warknął karabinek. Kula została wystrzelona z odległości mniejszej niż metr, z tak bliska, że skórę za prawym uchem miał podziobaną ziarenkami czarnego prochu od podmuchu z lufy. Rana wlotowa była małą, okrągłą dziurką, ale nabój miał wydrążony czubek i wywalił w jego czole otwór wielkości pięści. Rozbryzgujący się mózg i odłamki kości nie wylądowały na Raju, lecz opryskały biurko. Clerett wybałuszyl oczy od hydrostatycznego szoku przechodzącego przez tkankę mózgową, a usta rozwarły się w pojedynczym, skrzywionym grymasie. A potem upadł twarzą w dół, spoczywając w powiększającej się kałuży krwi.

Mocne ramiona grzmotnęły o drzwi. Raj poruszył się z porażającą szybkością, wyrwijąc karabinek z rąk Suzette tak prędko, iż krzyknął bezwiednie z bólu, poparzywszy się o lufę. Obrócił się ku drzwiom na zewnątrz.

Wpadli Gerrin i Barton Foley, za nimi znajdowali się Ludwig i Welfowie. A pośród nich niski, pulchny mężczyzna, w sięgających kolan bryczesach, długim płaszczu i koronkowym żabocie, stanowiących cywilne odzienie we Wschodniej Rezydencji. Jego oczy też wychodziły z orbit, gdy utkwil je w Cabocie Cleretcie.

Raj się odezwał głosem donośnym i ostrożnym. – Zdarzył się straszny wypadek – powiedział. – Pułkownik Clerett badał broń i nie znalazł się na mechanizmie. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za ten tragiczny wypadek.

W pokoju zapadła cisza, pośród zapachu dymu prochowego, smrodu krwi i płynów wydalonych w chwili śmierci. Wszyscy wpatrywali się w tył głowy martwego mężczyzny, w zgrabną dziurkę za uchem.

– Sprowadźcie kapłana – ciągnął Raj. – Witam, czcigodny Chivrezie. Ogromnie mi przykro, iż przybyłeś do nas w tak nieszczęśliwej chwili.

Szok Chivreza nie trwał długo. Mężczyzna nie przeżył całego pokolenia polityków w Rządzie Cywilnym dzięki tchórzostwu czy zbytnej wrażliwości. Teraz musiał się starać, by powstrzymać uśmiech. Raj Whitehall stał nad ciałem dziedzica gubernatora i dosłownie trzymał dymiący karabinek.

Chivrez wyciągnął kopertę z wewnątrz kurtki. – Przynoszę wezwanie najpotężniejszego pana suwerena i jedyne go prawowitego autokraty – powiedział. – Niech Duch Człowieka Gwiazd obsypie go swymi błogosławieństwami.

– Koniec pliku – wymruczeli wszyscy.

Wszedł kapelan i dwóch żołnierzy i zawinęli ciało w dywan. Chivrez wtrącił się szybko – Ciało ma zostać zabalsamowane i przewiezione do Wschodniej Rezydencji. – A potem odchrząknął. – Ty, generale Whitehallu, masz powrócić natychmiast do Wschodniej Rezydencji, aby odpowiedzieć za wykorzystanie władzy, jaką ci powierzono. Natychmiast. Wszelkie dalsze negocjacje z Brygadą będą

prowadzone przeze mnie i moich ludzi.

– Nie zrobisz tego, prawda, panie? – wykrztusił Ludwig Bellamy.

Raj spojrział w łasicowate oczy biurokraty.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

Zobaczył te oczy znowu, wpatrujące się z desperacją w dół jedwabnej poduszki. Krótkie, grube kończyny uderzały o pościel, gdy przyciśnięto mu poduszkę do twarzy. Po kilku minutach mężczyzna znieruchomiał. Ludwig Bellamy owinał ciało prześcieradłami i podniósł je. Raj rozpoznał Gerrina Staenbridge, zamaskowanego, gdy ten otwierał drzwi.

Widok się zmienił – na bagna przed Koszarami Carson. Ci sami mężczyźni wyrzucili owinięty w surowe płótno tłumok z pokładu małej łódki. Zniknął prawie bez pluśnięcia, obciążony zwojami łańcucha i żelaznym pociskiem ważącym czterdzieści kilo.

– Oczywiście, że pojedę – rzekł na głos Raj. Spojrzał na Chivreza i uśmiechnął się. – Moi oficerowie okażą się bardzo pomocni i oddani dobremu rządowi – powiedział.

Uśmiech Raja złagodniał, gdy mężczyzna zwrócił się ku Suzette. Jego żona wpatrywała się w niego przerażona, a jej zielone oczy były ogromne, zaś zaciśnięte kostki palców zbieleły.

– To mój obowiązek – ciągnął.

>>Obserwuj<< powiedziało Centrum.

Tym razem widok był znajomy. Raj przywiązany nagi do żelaznego krzesła w pokoju z kamiennymi ścianami, głęboko pod pałacem we Wschodniej Rezydencji. Rozżarzone żelazo zbliżało się coraz bardziej do jego oczu...

>>Szansa przeżycia, jeśli posłuchasz rozkazu przyjazdu, wynosi mniej niż 26% plus minus 6<< powiedziało Centrum. >>Jednak szansa ponownego zjednoczenia Bellevue w tym historycznym cyklu wynosi mniej niż 15% plus minus 2, jeśli odmówisz wykonania rozkazu.<<

– To mój obowiązek – powtórzył Raj. Z podniesioną dumnie głową i tak, żeby nie musiał widzieć, jak oczy Suzette napełniają się łzami. – I obym zawsze wypełniał swój obowiązek wobec Ducha Człowieka.